



Przełożyła: Lidia Bazańska

## Część pierwsza

Inny powód, by kochać

### Rozdział pierwszy

Niezwycięzeni

Filip de Selongey czekał na śmierć. Nie jak na wroga - spotykał ją zbyt często pośród oblężeń i bitew, by brać ją za byle przeciwnika. Również nie jak na coś przerażającego, gdyż mogła być wyrazem najwyższego miłosierdzia. Raczej jak na nieproszonego gościa przybywającego i rozsiadającego się w chwili, gdy jego obecność jest najmniej pożądana. Mogła była przyjść, i pewnie nawet nie zwróciłby na to uwagi, podczas jakiejś zasadzki, w czasie niekończącego się oblężenia Neuss albo na równinie Grandson, gdzie opatrnościowy przypadek uratował go, poważnie rannego, kiedy armia burgundzka pozostawiła go równie bezbronno niczym wyrzucona przez przyływ rozgwiezda, a jego towarzysze uciekali przed Szwajcarami. To byłoby normalne, a nawet logiczne, zgodne z tym dziwnym targiem, którego dobił we Florencji pewnego styczniowego dnia 1475 roku z jednym z najbogatszych ludzi w mieście, Franceskiem Beltramim: w zamian za rękę czarującej Fiory, jego przybranej córki, i towarzyszący temu królewski posag, Filip przysiągł ograniczyć swe żądania do jednej nocy, po której miał zniknąć i nigdy nie powrócić.

Był wtedy szczery. Dla tego majątku, który przeznaczył na wojska Zuchwałego, i dla kilku godzin miłości beztrąsko rzucił na szalę swoje życie, myśląc, że ma już za sobą tyle szczęścia, do ilu miał prawo na tym świecie. Tymczasem wpadł w pułapkę miłości i zamiast szukać śmierci, robił wszystko, by jej uniknąć, w nadziei, że ujrzy znowu - choćby raz - twarz tej, którą kochał. I ujrzał ją. Ich miłość zapłonęła na nowo, gdy rozbrzmiewało podzwonne Wielkiego Księcia Zachodu i niepodległej Burgundii. Przeżyli ten koniec, a jednocześnie to zaranie nowych czasów, i Filip sądził, że dzielić będą resztę swej ziemskiej drogi. Lecz nagle wszystko pogrążyło się w chaosie... Fiora myślała, że czeka ich spokojna egzystencja w rodzinnym szczęściu. On wiedział, że ten spokój nie jest możliwy, gdyż Burgundia musi dla swej księżniczki Marii nadal walczyć z potęgą niepokonanego króla Francji. Miał nadzieję, że młoda żona będzie posłusznie czekać na jego powrót do rodzinnej siedziby Selongeyów, ale Fiora nie rozumiała, ani nie mogła się pogodzić z tym, że po tylu tarapatkach chce znów ją opuścić, aby oddać swój miecz do

dyspozycji władczyni, która dla niej była jedynie inną kobietą. A poza tym padło to nieszczęsne słowo „posłuszeństwo”, które wyrwało się Filipowi... Choćby żył sto lat - na co nie miał najmniejszej szansy - nie mógłby zapomnieć ostatniego obrazu swej ukochanej, który zachował: zawinięta w pośpiechu w zerwane z łóżka prześcieradło, z czarnymi włosami opadającymi w nieładzie na nagie ramiona i dużymi szarymi oczami pełnymi burzowych chmur, Fiora była uosobieniem buntu i nie liczyła się ze słowami. Ojciec nigdy nie zmuszał jej do „posłuszeństwa”! Był to termin nienależący do jego słownika. Zaś jeśli on, tak niedawno odzyskany mąż, ośmielający się przemawiać jak pan i władca, zechce się z nią spotkać, zostanie ją w dworze podarowanym jej przez króla Ludwika jako nagrodę za trudy poniesione w jego służbie. Wyniosłe acz spieszne wyjście uratowało zbuntowaną kobietę przed gwałtownym wybuchem małżeńskiego gniewu. Filip wiedział aż za dobrze, jakiego rodzaju usługi oddała Fiora przebiegłemu władcy, jak pochwyciła w pułapkę swej fascynującej urody kondotiera Campobasso, który aby ją odzyskać, zdradził Zuchwałego w dniu ostatecznej bitwy. Fiora żałowała swego czynu, ale samo przypomnienie o tym i łaskawości króla Filip uznał za rzecz w najgorszym guście. Jedynie z tego powodu nie pobiegł za uciekinierką. Miał nadzieję, że wróci, trochę zmieszana, lecz czuła i gotowa znów oddać się podniecającym miłosnym igraszkom. Nie wróciła. Godzinę później Fiora opuściła Nancy i udała się do Plessis-lez-Tours, królewskiego zamku, w towarzystwie starej przyjaciółki, pani Leonardy Mercet, i pod opieką sierżanta Zawieruchy, czyli Douglasa Mortimera, z Mortimerów z Glen Livet, jednego z najznakomitszych oficerów słynnej gwardii szkockiej króla Ludwika. Żadne pojednanie nie było możliwe, gdyż Filip za nic w świecie nie rzuciłby się w pogoń za żoną, wiedząc, że udaje się ona do najgroźniejszego wroga nieżyjącego księcia Burgundii. Nazajutrz Filip również opuścił Lotaryngię i pojechał do Gandawy, by przyłączyć się do księżniczki Marii Burgundzkiej i księżnej wdowy Małgorzaty, starających się zebrać wierne sobie oddziały, by stawić czoło przyszłości, wyjątkowo mrocznej. Polityka ponownie tworzyła przepaść, którą miłość zdawała się zasypać na zawsze...

Próbując odegnąć to odbierające mu odwagę wspomnienie, Filip chciał wstać, trochę się przejść. Miał przed sobą niewiele godzin życia; nie chciał ich strawić na płonnych żalach. Pobrzękując długimi łańcuchami, łączącymi jego nadgarstki z murem, opuścił to, co służyło mu za łóżko - cztery wmurowane w ścianę deski - i podszedł do wpuszczającego nieco dziennego światła okienka, starając się nie prostować, gdyż kamienne sklepienie było zbyt niskie w stosunku do jego wzrostu.

Okno wychodziło na wewnętrzny podwórzec Domu Małpy w Dijon, stanowiącego zarazem ratusz i więzienie. Ten letni dzień wypełniał je blaskiem słonecznego światła docierającego do więziennych cel, a nawet do wydrążonych w ziemi lochów. Przed okienkiem rosło kilka źdźbeł trawy i więzień spróbował ich dosięgnąć. Chciał potrzymać je w dłoniach, zgnieść, by poczuć zapach pól i raz jeszcze nasycić się tymi prostymi przyjemnościami, które pamiętał ze swego niemal wiejskiego dzieciństwa. W wieku pięciu czy dziesięciu lat syna kasztelana i synów jego wasali łączyły ścisłe więzy. Różnica dała się odczuć później: młodzi hołysze pozostali przywiązani do ziemi, zmieniających się pór roku, do swych świąt i swojej pracy, podczas gdy mały szlachcic odjechał, by nauczyć się nosić zbroję, która stać się miała jego drugą skórą, i by zastąpić dereniowe miecze i kopie pięknymi ostrzami wykutymi w Toledo lub Mediolanie. W tym kamiennym grobowcu, w którym widział przedsiónek czekającego go ostatecznego grobu, hrabia wracał myślą do swego dzieciństwa, jak bardzo starzy ludzie, wiedzący, że ich droga wkrótce dobiegnie kresu. Myśl o żonie była zbyt okrutna i wolał o niej zapomnieć. Zaś jeśli chodzi o tę ostatnią walkę, za którą go skazano, to rozumiał teraz, że od początku uważał ją za z góry przegraną.

Nie pozostało nic, lub bardzo niewiele, ze wspaniałej armii, którą nieprzychylny los unicestwił w czasie niewiele dłuższym niż rok. W Burgundii wielu było pragnących pokoju za wszelką cenę. Następczyni tronu, Maria Burgundzka, której sprawy tak żarliwie bronił Filip, czuła się niemal tak samo jeńcem w swym pałacu w Gandawie, jak on w dżońskim więzieniu. Najbardziej niespokojne z flamandzkich miast było jak kufer lichwiarza: zamknęło się wokół niej i księżnej wdowy i nieprędko zwróci im wolność. A Maria, z tytułu urodzenia legalna następczyni tronu, miała mniejszą władzę niż najskromniejszy z jej kasztelanów.

Była wprawdzie zaręczona z księciem Maksymilianem, następcą tronu Niemiec, ale czy zobowiązanie to zostanie dotrzymane? Czy syn cesarza nie porzuci na wpół zrujnowanej Burgundki, by zwrócić się ku bardziej interesującym partiom? Któż to wie? Nowiny z Flandrii z trudem docierały do garstki stronników zamierzających zachować Burgundie dla córki Zuchwałego.

W pierwszym okresie po śmierci księcia wszystko układało się dosyć dobrze. Początkowo żałobna wieść spotkała się z niedowierzaniem. Mówiono, że Karol umknął śmierci, że ukrywa się gdzieś w Szwabii, gdzie przychodzi do siebie po odniesionych ranach i szykuje swój powrót, Długo jeszcze zresztą o końcu ostatniego Wielkiego Księcia Zachodu opowiadać miano legendy, których żywot był tym dłuższy, im bardziej były fantastyczne.

Jednakże Dijon dość szybko dowiedziało się prawdy od powracających z Lotaryngii. Kobiety zebrały się wówczas i przemaszerowały ulicami, krzycząc: „Niech żyje Pani Maria!”, pełne radości i entuzjazmu na myśl, że na tronie po tyłu mężczyznach zasiądzie kobieta. Mężczyźni zaś zachowali większą rezerwę w swych ocenach.

Później dowiedziano się, że król Francji zamierza odzyskać bogatą Burgundie, ofiarowaną niegdyś przez Jana Dobrego synowi, Filipowi Śmiałemu, w nagrodę za waleczność w bitwie pod Poitiers. Niektórzy uważali, że to sprawiedliwe i że, jakkolwiek by na sprawę patrzeć, Ludwik XI, choć nie tak wyjątkowy jak Zuchwały, jest dobrym władcą dla swoich poddanych: stara się, na ile to możliwe, oszczędzić im wojny i cierpień, a handel pod jego rządami wprost kwitnie. Inni jednak nie byli tego zdania i utrzymywali, że sztandar Marii powiewający nad wieżą Saint-Nicolas powinien tam pozostać.

Filip de Selongey należał do tych ostatnich, a utwierdzały go w tej opinii sukcesy odniesione we Franche-Comte przez braci de Vauldrey, którzy zdołali zmusić do wycofania się wojska królewskie pod dowództwem Jerzego de La Tremoille, pana na Craon. Na nieszczęście La Tremoille, odkładając zdobycie tych ziem na później, skoncentrował swe siły na Dijon i zdobył je z pomocą Karola d'Amboise i Jana de Chalon, jednego z pierwszych pozyskanych. La Tremoille utworzył w mieście garnizon i rozkazał wybudować fortecę mającą bronić Dijon przed atakiem z zewnątrz... a garnizon przed napaścią wewnątrz miasta. Ta decyzja, ogromnie niepopularna, zwiększyła liczbę stronników księżnej.

W marcu Filip powrócił do miasta i w tajemnicy zamieszkał w rodzinnym pałacu, który dzięki zamkniętym drzwiom i okiennicom nadal sprawiał wrażenie opuszczonego. Dom stał pusty od tak dawna, że obecność kawalera orderu Złotego Runa, znanego ze swego oddania dla księcia Karola, nie mogła nie wydać się okupantowi podejrzana. Choć działał w ukryciu, zdołał jednak zebrać wielu ludzi dobrej woli i odważnego serca spośród tych, którzy byli w mniejszym lub większym stopniu związani z jego rodziną lub którzy jej służyli. Ścisłe kontakty ze stronnikami z okolic miasta pozwoliły mu opracować plan nocnego ataku na Dijon, podczas którego on sam miał we właściwym momencie otworzyć jedną z bram. Ale by pokonać francuski garnizon, trzeba było wielu ludzi, należało więc uzbroić się w cierpliwość. I dochować tajemnicy. Buntownik znajdował się w niebezpieczeństwie, gdyż znaczna część ławników i bogatych mieszczan zaczynała godzić się z myślą o zostaniu poddanymi króla Ludwika, jeśli taka była cena spokoju.

Sojusznicy Filipa rekrutowali się przede wszystkim spośród młodzieży, ludu i dawnych, niemal zrujnowanych żołnierzy księcia, ale niełatwo było utrzymać ich w ryzach, gdyż za bardzo palili się do działania. I tak 1 czerwca wybuchła bijatyka z powodu jakiejś kobiety znieważonej przez żołnierza na przedmieściu Saint-Nicolas. Rozległy się okrzyki: „Niech żyje Burgundia!”, na murach pojawiły się obelgi pod adresem króla Francji, posypały się kamienie na żołnierzy, którzy nie pozostali dłużni. Polało się nieco krwi, po czym dość szybko zapanował spokój. Filipowi wydawało się, że odzyskał panowanie nad swymi stronnikami, lecz nie zdawał sobie sprawy, że niektórzy spośród nich widzą w tej niepodległościowej wrzawie jedynie pretekst do wzniesienia walki klasowej. Dramat wybuchł 26 czerwca, pod nieobecność La Tremoille'a, podczas wyborów nowego mera, na których gościł herolda Marii Burgundzkiej. Urzędnicy miejscy zebrali się w Cordeliers. Wówczas to grupa ludzi uzbrojonych we wszystko, co im wpadło w ręce, wkroczyła przez Bramę Saint-Nicolas. Na ich czele podążał ubrany w popielatą szatę niejaki Chretiennot Yvon, niegdyś bogaty kupiec korzenny, dziś zrujnowany i mieszkający w Gevrey w dworku należącym do mnichów z Cluny.

Ledwie wkroczył do miasta, Yvon zmusił strażników wieży Saint-Nicolas do wydania mu kluczy i zdarł królewski sztandar powiewający na jej szczycie. Następnie wraz ze swymi ludźmi ruszył w stronę centrum Dijon, wzywając do broni stronników księżniczki Marii. Ktoś z tłumu zawołał:

- Chodźmy po panów ławników, którzy rządzą miastem i chowają się w Cordeliers!

Jednakże Selongey, świadom, jak szalony jest to pomysł, wszczął alarm i ostrzegł ławników. Kiedy Yvon wkroczył na plac des Cordeliers zastał tam jedynie Jana Joarda, przewodniczącego parlamentu Burgundii, starca, który ufnym w swój wiek i wpływy, chciał stawić czoło zamieszkom, nakazując buntownikom złożenie broni i rozejście się.

- Jesteśmy tu, by zwrócić miasto Pani Marii - zawołał Yvon. - Oddaj hold twojej księżniczce, jeśli ci życie miłe!

- Nasza księżniczka nigdy nie chciała odzyskać Dijon, idąc po trupach dawnych sług swego ojca - zawołał Selongey, zasłaniając starca z mieczem w dłoni. - Zabijać trzeba Francuzów, nie naszych!

- On i jemu podobni dawno już zaprzędali się królowi Ludwikowi. A ty jesteś pewnie taki jak oni.

- Nazywam się Filip, hrabia de Selongey, jestem kawalerem Złotego Runa, wiernym aż do końca dostojnemu panu Karolowi, niech go Bóg ma w swej opiece. I nie złamałem złożonej mu przysięgi wierności.

- Łatwo powiedzieć - rzekł tamten z głośnym śmiechem. - Cóż za przypadek, pan de Selongey tutaj? Kiedy wróciłeś?

- Trzy miesiące temu. Wiedzą o tym niektórzy z tu obecnych, a ty właśnie niszczysz mój plan.

- Czy ktoś z was już go widział?

Były kupiec korzenny przesuwając po twarzach obecnych groźne, żądające odpowiedzi spojrzenie, wyrażające wyzwanie, by ośmielono się mu jej udzielić. Nikt nawet nie drgnął i Filip pojął, że budował zamki na lodzie.

- No tak! - stwierdził Yvon. - Skończmy zatem z wszystkimi tymi poplecznikami Ludwika XI i podzielmy między siebie ich dobra. Do dzieła, chłopcy!

Chwilę później stary przewodniczący padł przebity sztyletem Chretiennota Yvona, a Filip został pojmany przez pięciu czy sześciu pomocników rzeźnika, którzy przewiązali mu na szyi czerwony aksamitny szal ofiary. Po uroczystym proklamowaniu władzy księżniczki Marii banda szaleńców ruszyła na Dom Małpy i zaczęła go plądrować, a Filip zmuszony był im towarzyszyć.

On, który tak marzył o oddaniu księżniczce kluczy do Dijon, był teraz więźniem ludzi, którzy twierdzili, że bronią tych samych, co on, barw, ale którzy w rzeczywistości zaspokajali jedynie własne pragnienie zemsty i żądze pieniędzy. Przez całą noc banda plądrowała, rabowała, paliła domy tych, których uważano za rojalistów, a więc głównego poborcy Vurry, pana Arnoleta Macheco i proboszcza de Fenaya. Filip z bezsilnością i rozpaczą patrzył na ten wybuch nienawiści. Zaprowadzono go następnie do własnego domu, w którym Yvon i jego ludzie urządzili sobie kwaterę, by świętować i dzielić łupy.

Tam właśnie cztery dni później pojmał ich, a wraz z nimi Filipa, La Tremoille we własnej osobie.

- To on jest naszym szefem - oświadczył Yvon z szyderczym uśmiechem. - To dostojny pan hrabia de Selongey, jeden z przyjaciół świętej pamięci księcia Karola.

- Szlachcic na czele bandy morderców i rabusiów? - powiedział pan de Craon z pogardą. - Czego innego można by oczekiwać po Burgundczyku?

- Oczywiście, jestem Burgundczykiem i uważam to za powód do dumy, ale zostałem uwięziony i nie jestem ich przywódcą - zaprotestował Filip.

- Doprawdy? Czyżbyś należał do tych, tak już licznych, którzy gotowi są złożyć przysięgę wierności królowi, mój panie? W takim razie.

Filip nigdy się nie wahał, musząc wybierać między swym życiem a honorem. Poza tym dostrzegł wyzwanie w spojrzeniu tego byłego kupca korzennego, który wbrew jego woli zaciągnął go pod swój sztandar.

- Nie. Nigdy nie złożę przysięgi królowi Francji. Jestem wiernym poddanym Pani Marii, jedynej prawowitej księżniczki Burgundii.

- Ta odmowa będzie cię kosztować głowę. Godzinę później wtrącono Filipa do więzienia w Domu Małpy, skąd wyprowadzono go skutego jedynie po to, by skazać na karę śmierci.

Tydzień później wyrok wciąż jeszcze nie był wykonany. Według przynoszącego mu marne jadlo strażnika, opóźnienie to wynikało jedynie z jego pozycji. Zachowano go na deser, miał być czymś w rodzaju gwoźdźcia krwawego spektaklu, który pan de Craon przygotował dla Dijon. Francuz, wściekły z powodu zamętu powstałego podczas jego nieobecności, mścił się, stosując terror. Od jego powrotu zawieszona została wszelka władza poza jego własną, a stronnicy króla uczestniczyć mogli w karaniu tych, którzy wyrządzili im krzywdę. Ścigano wszelkich podejrzanych, a kat i jego pomocnicy nie narzekali na bezczynność. Jehan du Poix, miejski oprawca, torturował, wieszał i ścinał głowy. Aby urozmaicić widowisko, znaleziono nawet przypadkiem jakiegoś fałszerza pieniędzy, którego ugotowano w mieszaninie oliwy i wody...

Pochwycenie źdźbeł trawy okazało się niemożliwe: łańcuchy, którymi więzień przykuty był do muru, okazały się zbyt krótkie, więc z westchnieniem wrócił na posłanie. Zbliżał się wieczór. Miasto było dziwnie ciche, jakby poczuło nagle potrzebę odpoczynku po tylu gwałtach. Nie słychać już było krzyków, przekleństw ani dzwonu obwieszczającego ostatnią godzinę skazanych. Filip pomyślał, że być może nie pozostał już do zabicia nikt poza nim samym. W takim razie śmierć musiała być niedaleko. Czyżby ta noc miała być ostatnia?

Odwrócił głowę, słysząc zgrzyt odsuwanych rygli. Wszedł strażnik niosący dzban wody i bochenek chleba. Nie był to ten sam strażnik co zwykle. Ten był starym, powłóczącym nogami człowiekiem, o długiej, żółtawoszarej brodzie, opadającej mu prawie do pasa.

- Kim jesteś? - zapytał Filip. - Widzę cię po raz pierwszy.

Mężczyzna spojrział na niego oczami o nieokreślonym kolorze i zaczerwienionych powiekach.

- Do usług! - wymamrotał. - Colin, co się zajmował podziemiami, złamał sobie nogę, zlatując z dachu, jak wlaźł, żeby lepiej widzieć egzekucję. No to posłali po mnie, ale te schody to nie na moje nogi. Tym bardziej, że stopnie są śliskie, a w moim wieku...

- Kogo stracono dzisiaj? - spytał Selongey, niezbyt ciekaw dalszego ciągu narzekań starca.



- Tego Chretiennota Yvona. Trzeba go było wnieść na szafot, bo nogi po torturach miał w kawałkach, ale to była piękna robota. Mistrz Jehan du Poix załatwił go jednym ciosem topora, a potem pociął go na cztery równiutkie części do powieszenia na szubieniczkach przy bramach miasta. Głowa jest przy Bramie Saint-Nicolas, prawa noga przy Bramie Ouche, lewa...

- Nie chcę tego dłużej słuchać - przerwał Filip z niesmakiem, po raz pierwszy zaniepokojony na myśl, że być może opisano mu jego własny los.

Śmierć jest dla wojownika rzeczą zwykłą, ale myśl, że zostanie zanieiony na szafot jako ludzki wrak, a później poćwiartowany jak mięso u rzeźnika, budziła w nim bunt i wywoływała gęsią skórę. Chciał móc spojrzeć katu w oczy i stanąć wyprostowany przed tłumem przybyłym tam jak na przedstawienie.

- Czy wiadomo, kiedy nadejdzie moja kolej? - spytał głosem mimo wszystko spokojnym.

Starzec wzruszył ramionami i spojrział na więźnia jakby z litością.

- Wiem, że taka wiadomość to nic miłego, ale zdaje się, że to jutro. Uprzedzono mnie, że jakiś mnich przyjdzie tej nocy, by cię wypowiadać. Trzeba ci będzie odwagi, panie.

- Gdyby mi na niej zbywało, nie byłbym tutaj. Strażnik postawił wreszcie dzbanek i chleb, i jak dobry lokaj wytrzeptał leżący na posłaniu koc.

- Póki co miałeś szczęście, panie! Dali ci najlepszą celę na piętrze, tę odnowioną.

- Odnowioną? - powiedział Selongey przyglądając się pokrytym saletrą murom, sklepieniu, którego nie zdołało osuszyć burgundzkie lato i na wpół zgniłej słomie leżącej na ziemi. - Chyba dawno temu?

- Pewnie, że dość dawno, ale ja, jak tu stoję, widziałem to więzienie, jak była w nim tylko słoma, stare, zardzewiałe łańcuchy i szczury, co biegały stadami. I widziałem, jak w tym wszystkim jedna biedna dziewczyna urodziła dziecko. Popelniła grzech cielesny ze swoim bratem, a prócz tego cudzołóstwo, ale była taka młodziutka, ładniutka, że serce mi się ścisnęło, gdy widziałem, jak wiję się w bólach całe godziny.

Filip zbladł i z przerażeniem patrzył teraz na to więzienie, które do tej pory nie wydawało mu się inne od wcześniej widzianych.

- Nazywała się Maria de Brevailles, prawda? - wyszeptał. - I umarła pięć dni później...

- Tak właśnie było! - powiedział osłupiały strażnik. - Znałeś ją, panie?

- Nie, ale znałem niegdyś jej brata będącego w służbie dostojnego pana de Charolais. To istotnie smutna historia.

- Właściwie to wcale nie taka smutna!

- Jak to?

- Wy tłumaczę ci, panie. Jak rodziła to swoje dziecko, wyglądała jak kupka nieszczęścia, ale szkoda, że nie widziałeś jej, gdy szła na szafot ze swoim bratem! Ponieważ byli ze stanu szlacheckiego pozwolono im się umyć, założyć najpiękniejsze stroje i wyglądali wspaniale. Zanim weszli na wózek, wzięli się za ręce i uśmiechnęli do siebie. Wyglądali na tak szczęśliwych jak przed weselem. I byli tacy piękni! Wszyscy płakali, patrząc, jak umierają.

- Ale zostało dziecko?

- Tak. Dziewczynka, którą oddano do przytułku. Strasznie to smutne, bo był to owoc śmiertelnego grzechu, ale mówią, że dobry Bóg zlitował się nad nią. Przejeżdżał tamtędy jakiś cudzoziemiec, bogaty kupiec. Widział egzekucję i zapragnął zabrać matę. Nie wiadomo, co się z nią stało...

Selongey powstrzymał uśmiech. Zastanawiał się, jaką minę zrobiłby ten zacny człowiek, gdyby mu powiedział, że owo dziecko zostało jego żoną. Ale nie miał ochoty dłużej rozmawiać. To, że przypadek chciał, by spędził ostatnie godziny w celi, w której Fiore przeżyła swe pierwsze chwile, było dla niego znakiem od losu. Nie zazna, jak Jan de Brevailles, radości umierania u boku ukochanej i dzielenia z nią grobu, ale odejdzie ze wspomnieniem swej pięknej florentynki w sercu. Próby wygnania go stamtąd okazały się daremne. Nie można było zapomnieć obrazu Fiory, wielkich oczu Fiory, uśmiechu Fiory. Może myśl o niej sprawi, że śmierć wyda mu się mniej gorzka. W gruncie rzeczy miała rację, nie zgadzając się na życie, które jej proponował. Kim byłaby teraz, gdyby przystała na zamieszkanie w Selongey? Wdową żyjącą w rozpacz i rozdrażnieniu spowodowanym obecnością szwagierki tak głupiej jak Beatrycze, kobietą wygnaną ze swych włości, jak to się zdarza, gdy chodzi o majątek skazańca? Byłaby może prześladowana, uwięziona? Filip nienawidził z całego serca króla Ludwika, jedenastego tego imienia, i za nic w świecie nie zgodziłby się mu służyć, ale w tych okolicznościach lepiej się stało, że Fiore postanowiła zostać przy nim i przyjąć kasztel, który jej podarował. Tak więc nawet jego śmierć nie skrzywdzi tej, którą kochał.

Strażnik dawno już wyszedł, wygnany milczeniem więźnia i zapadającym zmierzchem. Filip wziął przyniesiony chleb i nakreśliwszy kciukiem znak krzyża na brązowej skórce, oderwał kawałek i ugryzł. Nie był głodny, ale wiedząc, co go czeka nazajutrz, chciał zachować pełnię sił. Zresztą, wyjątkowo, chleb był świeży i pewną przyjemność sprawiało mu żucie go i wacanie. Zapach gorącego chleba wyjętego z pieca kojarzył mu się z dzieciństwem; uważał go za jedną z najprzyjemniejszych woni. Pochłonął pół bochenka,

popijając kilkoma łykami chłodnej wody. Resztę należało zostawić na rano. Nie przyniosła mu już nic do jedzenia.

Zapadła noc i godziny upływały jedna za drugą. Filip był śpiący, ale zastanawiał się, czy może sobie pozwolić na sen: strażnik powiedział, że tej nocy ma przyjść ksiądz. Spowiadanie się w półśnie nie jest rzeczą łatwą. Ponieważ jednak czas mijał i nikt nie nadchodził, wyciągnął się na posłaniu, zamknął oczy i zasnął.

Obudziło go delikatne potrząsanie. Spostrzegł, że przez okienko wpada szarawe światło poranka, i zrozumiał, że przespał spokojnie swą ostatnią noc. Przy nim stał niski mnich w szarym habicie świadczącym o przynależności do zakonu braci mniejszych utworzonego niegdyś przez świętego Franciszka z Asyżu. Nie całkiem jeszcze oprzytomniały ze snu Filip usłyszał jego cichy i łagodny głos:

- Pora na ciebie, mój synu. Przyszedłem, by cię wesprzeć. Musisz się przygotować na spotkanie ze Stwórcą...

Mnich miał jasne, pełne współczucia oczy w twarzy nienaznaczonej jeszcze dojrzałością. Filip uśmiechnął się do niego.

- Jestem do twojej dyspozycji, mój bracie. Czy wiesz, ile czasu mi pozostało?

- Nie dzwoniли jeszcze na prymę. Zostało ci kilka godzin.

Więzień poczuł, że blednie.

- Nie mam tylu grzechów, by wystarczyło ich do wyznawania przez cały ten czas. Pewnie przed egzekucją czeka mnie jeszcze przesłuchanie?

- Nie sądzę. Nic mi na ten temat nie wiadomo, a zazwyczaj jestem o tym uprzedzany. Myślę - powiedział z nikłym uśmiechem - że będziesz mógł iść na śmierć o własnych siłach, jeśli to cię niepokoi.

Filip nie mógł powstrzymać westchnienia ulgi. Była to najlepsza wiadomość, jaką mógł usłyszeć. Nic nie osłabi jego odwagi i ci, którzy już może gromadzą się na placu Morimont zobaczą, jak umiera kawaler Złotego Runa.

Uklękawszy przed siedzącym na posłaniu mnichem, począł oczyszczać duszę ze wszystkich śmiertelnych i powszednich grzechów, które mógł popełnić podczas trzydziestu lat życia. Trwało to dłużej, niż przypuszczał, gdyż w miarę jak cofał się w czasie, w pamięci odżywały mu mniej lub bardziej zatarte wspomnienia o twarzach tych, których zabił na wojnie lub w pojedynkach. Najtrudniej jednak było mu wyznać, jakich środków użył, by zmusić Francesca Beltramiego do oddania mu ręki Fiory i jej bajecznego posagu.

- Ale nie chciałem tego złota dla siebie - próbowałem się bronić. - Potrzebne ono było mojemu księciu, którego skarb był pusty.

- Rozumiem - powiedział surowo mnich - odbyło się to jednak kosztem niewinnej istoty. Nie kochałeś tej dziewczyny...

- Kochałem, i to bardzo. Kocham ją nadal, jest moją żoną i nigdy nie przestanę jej kochać. Wpadłem we własne sidła i to jest moja kara. Cierpię jedynie z tego powodu, że nie mam o niej żadnych wieści.

Zapadła cisza zakłócana jedynie ciężkim oddechem Selongeya. Mnich patrzył na niego niewidzącym wzrokiem zatopiony w myślach. Nagle wyjął niewielki zwój papieru i podał go więźniowi.

- Pewien człowiek błagał mnie wczoraj wieczorem o przekazanie ci tego listu. Zawiera on podobno ważne i nieoczekiwane wiadomości.

Filip wziął list, jakby przyjmował hostię. Jego złote oczy zapłonęły.

- Czy ten człowiek powiedział ci, jak się nazywa?

- W przeciwnym razie nie zgodziłbym się. Powiedział mi, że nazywa się Mateusz de Prame.

Zapominając, że powinien pozostać na kolanach, póki nie otrzyma rozgrzeszenia, opanowany ogromną radością Filip wstał i podszedł do okna rozświetlonego różowym blaskiem jutrzenki. Jego serce biło jak oszalałe, sprawiając mu niemal ból. Palce drżały, obejmując cienki pakiet, którego nie miał odwagi otworzyć. Kiedy w marcu rozstał się w Gandawie z Mateuszem, który był jego koniuszym, ale z którego tyle wspólnych lat, zarówno w czasie wojny, jak i pokoju, uczyniło najlepszego i najniezawodniejszego z przyjaciół, wysłał go do Turyngii, aby się dowiedział, jak się miewa Fiora. Nie mógł znieść braku wiadomości o niej, a nikt lepiej niż de Prame nie mógł wywiązać się z tej delikatnej misji: zobaczyć, nie będąc widzianym, dowiedzieć się czegoś tak, by nikt nie odgadł jego obecności. Honor, a może także duma, nie pozwalały Selongeyowi udać się osobiście do żony po tym, jak go wyniosłe pożegnała. Ponad wszystko jednak obawiał się, że Fiora zrealizuje swą ostatnią groźbę: doprowadzi do unieważnienia małżeństwa, odzyska wolność, rękę i serce... które podaruje może innemu. Jeśli tak by się miało stać, Filip chciał wiedzieć, komu musi rzucić wyzwanie do walki na śmierć i życie. Nawet z dala od niego Fiora za wszelką cenę pozostać miała jego żoną.

Mateusz nie wydawał się zachwycony tym zadaniem:

- Wyznaczasz mi rolę szpiega?

- Raczej rolę przyjaciela. Nie mogę pojechać sam, gdyż we Francji grozi mi więzienie. Ludwik XI wie, że nigdy nie złożę mu hołdu, a byłaby to doskonała

okazja, by zrobić z mojej żony wdowę. Ale gdybym musiał bronić mojej sprawy, przyjadę do ciebie. We dwóch moglibyśmy ją porwać.

- Dlaczego więc w takim razie nie zrobić tego już teraz?

- Ponieważ chcę jej dać jeszcze trochę czasu. Ponieważ chcę zobaczyć, ile jest warta jej miłość. Teraz nie darowałyby mi użycia siły.

Prame pojechał, zrzędzący, lecz przekonany. Kilka dni później księżniczka Maria wysłała Selongeya do Dijon i nigdy nie otrzymał tak upragnionych wiadomości.

- Nie czytasz? - zapytał z wyrzutem mnich.

Filip posłał mu niepewny uśmiech. Jego wahanie było śmieszne, wiedział o tym. Wynikało ono wyłącznie z tego, że obawiał się przeczytać jakieś raniące słowa. Mateusz nie miał w sobie nic z kronikarza i posługiwał się piórem jak zakonnik-nowicjusz. Nie umiał ozdabiać arabeskami i kojąco łagodzić brutalnej prawdy.

Zbierając całą odwagę, Filip rozwinął wreszcie papier. Istotnie zawierał on niewiele słów:

Fiora ma się dobrze. Nie ma mowy o unieważnieniu, gdyż spodziewa się dziecka... Wybacz, że przybywam tak późno. Jestem Twoim wiernym przyjacielem i tak chciałbym Ci pomóc... Jestem bardzo nieszczęśliwy. ..

Filipowi napłynęły do oczu łzy i nie próbował ich ukrywać. Odsłonił przed tym mnichem swoją duszę, jakie więc znaczenie miało to, że duchowny widzi go płaczącego? Ponieważ dostrzegł niepokój na jego dobrodusznej twarzy, podał mu list.

- Czytaj, mój bracie! Zrozumiesz, że płaczę... z radości. Niech Bóg w swojej dobroci da mi syna, gdyż w ten sposób nie całkiem umrę.

- Będę się o to modlić, a teraz chodź przyjąć rozgrzeszenie i hostię, bo robi się późno i słyszę jakiś hałas.

- Jeszcze tylko słowo. Z pewnością ujrzysz jeszcze Mateusza. Powiedz mu, że zabraniam, by moja żona dowiedziała się o moim losie. W każdym razie nie przed porodem. Jej smutek mógłby odbić się na dziecku... bo mimo wszystko mam nadzieję, że nie jestem jej obojętny.

- Bądź spokojny! Przekażę mu to. Uklęknij teraz, abym mógł odpuścić ci twe winy w imieniu Boga wszechmogącego.

Był już najwyższy czas. Ledwie ciało Chrystusa dotknęło warg skazańca, kiedy drzwi otworzyły się i do celi wszedł strażnik prowadzący cyrulika. Gdy tylko zapadł wyrok, Selongey poprosił, by go ogolono przed zaprowadzeniem na szafot. Zależało mu na tym, aby pokazać się od jak najlepszej strony.

Golenie nie trwało długo. Cyrulik był zręczny i miał lekką rękę. Był nawet tak uprzejmy, że wyszczotkował zakurzone odzienie więźnia.

- Nie mam czym ci zapłacić - powiedział Selongey, kiedy był gotowy. - Nie zostawiono mi złamanego szeląga.

- Nie przejmuj się tym, dostojny panie. Dostanę zapłatę... a jeśli nie, to bez znaczenia. Jestem dumny, że mogłem ci oddać tę przysługę.

- Znasz mnie więc?

- Nie, ale moja matka pochodzi z Selongey. To wielka szkoda, że opuszczasz ten świat bezpotomnie.

Filip uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu tego ostatniego przyjaciela.

- Sądzę, że Bóg temu zaradził. Jeśli chcesz zrobić coś jeszcze dla krajana, proś Go, by moja piękna małżonka, która niestety przebywa daleko stąd, ale jest brzemienna, wydała na świat syna. Sądzę, że mając taką jak ona matkę, będzie umiał godnie nosić nasze nazwisko.

Filip był gotowy. Cyrulik odszedł ze łzami w oczach, a zastąpił go oddział żołnierzy, czekających za drzwiami. Stary strażnik, posługując się jednym z zebranych w pęk kluczy, uwolnił więźnia od kajdan. Filip nie miał jednak nawet czasu rozmasować obolałych nadgarstków, gdyż natychmiast sznurem związane mu ręce za plecami.

- Czy nie mógłbym umrzeć, mając wolne ręce?

- Takie mam rozkazy - odpowiedział sierżant dowodzący oddziałem łuczników. - Chodźmy, już czas!

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na tę celę, tak mu nienawistną, a jednocześnie drogą, gdyż zdawało mu się, że unosi się w niej jasny duch Marii de Brevailles, skazaniec w towarzystwie spowiednika przekroczył drzwi i znalazł się między oczekującymi go żołnierzami. Oddział wspiał się po kamiennych stopniach wytartych pośrodku przez tysiące zakutych w żelazo stóp i wyszedł na ulicę, gdzie czekał wózek, być może ten sam, który dwadzieścia lat wcześniej wiózł na śmierć de Brevailles'ów, tak stary i rozklekotany był to pojazd. Jednakże widząc go, Filip ponownie odetchnął z ulgą. Obawiał się największego upokorzenia, jakim było ciągnięcie skazańca na plecionej macie pośród kurzu i odpadków, jak było w zwyczaju w Dijon. Widząc, że go to nie czeka, nagle poczuł się znacznie lepiej. Przypomniał sobie, że nie dokończył chleba, ale zupełnie tego nie żałował. Był wypoczęty i opanowany, co uważał za łaskę. Postanowiwszy zapomnieć o tym padole, wzniósł oczy ku delikatnie błękitnemu niebu, którego nie odbarwił jeszcze żar letniego słońca. Zapowiadał się przepiękny dzień. Poranek miał tryumfujący blask młodości. Przy takiej pogodzie miało się ochotę błędzić po łąkach, zasiąść nad rzeką z przyborami do

wędkowania i dzbanem wina dla schłodzenia wstawionym do przepływającej wody, była to pogoda na czytanie ładnych wierszy w cieniu starego dębu lub po prostu na wdychanie woni róż z ręką ukochanej w dłoni, wreszcie pogoda na szczęście i radość życia...

Podczas gdy trzęsący się wózek przemierzał brukowane ulice i gdy kolejno wszystkie dzwony odzywały się żałobnym biciem, mającym umilknąć dopiero w chwili jego śmierci, Filip patrzył na wierzchołki drzew, w których śpiewały ptaki, i na niebo, tak cudownie głoszące tego ranka chwałę Boga. Ziemia nie była piękna i wołał o niej zapomnieć. Rozbrzmiewała rechotami, a nawet obelgami, które zrywały się wzdłuż trasy przejazdu zaprzęgu. Jak niepojęty był ten lud, który najpierw zdawał się tak oddany swej prawowitej władczyni, a teraz obrzucał wrogimi okrzykami człowieka chcącego mu pomóc w dotrzymaniu wierności księżniczce. W rzeczywistości wcale nie tak liczni byli ci, którzy żalowali księcia Karola, i choć Burgundczycy nie byli całkiem gotowi poddać się rządowi króla Francji, to skazaniec miał przygnębiające wrażenie, że śmierć Zuchwałego niejednemu sprawiła ulgę. Koniec z wciąż nowymi poborami dla wypełnienia wyrw powstałych w armii w wyniku klęsk, koniec z wymuszonymi podatkami na skarb wojenny! Nie trzeba już ukrywać majątku, strzec się sąsiadów. Było to miasto raczej mieszczan niż szlachty, a mieszczanie zawsze byli zwolennikami pokoju.

Bijące dzwony sprawiły, że Selongeyowi przyszła do głowy pewna myśl. Pochylił się ku mnichowi odmawiającemu u jego boku modlitwy za umierających.

- Sądziłem - szepnął - że po bitwie pod Morat książę Karol rozkazał, by wszystkie dzwony Burgundii zostały przetopione na działa? Czyżby tak wiele ich jeszcze pozostało? Przecież chyba nie zdążono odlać nowych?

Mnich spojrzał na niego ze zdumieniem:

- Za chwilę staniesz przed Bogiem, mój bracie! Czy nie sądzisz, że wypadałoby, byś zwrócił swe myśli ku innym sprawom?

- Zaraz opuszczę ziemię. Pozwól mi jeszcze trochę o niej porozmawiać! A więc, jak to było z tymi dzwonami?

- Przetopiono głównie te z wiejskich parafii. Tutejsze kościoły również je przekazały, ale te mniej piękne. Niektóre to prawdziwe dzieła sztuki, o boskich głosach. Świętokradztwem byłoby robienie z nich armat.

- Skromne, wiejskie dzwony miały taką samą wartość dla okolicznych mieszkańców, których godziny odmierzały. Nie czerwień się, mój bracie! Tam, gdzie jest teraz... a gdzie i ja będę za chwilę, książę Karol nie przejmuje się już małymi ludzkimi podłościami.

- Czy naprawdę uważasz, że w dalszym ciągu masz prawo osądzać innych? Zapomnij o tym, kim byłeś, i pomyśl, że jesteś takim samym jak inni człowiekiem, który obraził Boga.

- Za chwilę poproszę Go o przebaczenie. A teraz ani słowa więcej, mój bracie: jesteśmy prawie na miejscu!

Filip miał dziwne uczucie. Przed chwilą opuścił loch, w którym Maria de Brevailles w bólach dała życie dziecku; teraz zmierzał ku śmierci w starym wózku, być może tym samym, w którym swą ostatnią podróż odbyli młodzi, kazirodczy kochankowie, i nagle poczuł się tak im bliski, jak nigdy dotąd. Czy to lekkie drżenie na jego ramieniu, to była delikatna dłoń jego młodej teściowej? Czy ten szept przy jego uchu, to był głos Jana, który niegdyś, gdy Filip był jeszcze niesfornym paziem, umiał sprowadzić go na właściwą drogę i uchronić przed surowymi karami książęcego szambelana? Choć nieprzesądny i nieskłony do zastanawiania się nad tajemnicami życia wiecznego, skazaniec poczuł, że spływa na niego jakiś spokój, że otacza go coś ciepłego, co nie ma nic wspólnego ze słonecznym żarem, a podtrzymuje go na duchu i dodaje sił. I mimo woli wyszeptał:

- Czuwajcie nad nimi, proszę! Nad moją żoną i dzieckiem. Będzie im to potrzebne. Ja za chwilę dołączę do was.

- Co mówisz, mój bracie? - zainteresował się mnich.

- Nic. Modliłem się.

Jak zawsze, gdy wykonany miał być wyrok śmierci, plac Morimont był szczelnie wypełniony ludźmi. Tłoczyło się tam całe miasto, a ścisk był taki, że nie sposób było rozróżnić twarzy. Niektórzy stali na dachach i na drzewach, a na tym ludzkim morzu obity na czarno szafot podobny był do tratwy płynącej w stronę trybuny honorowej, gdzie zajęli miejsca La Tremoille, jego urzędnicy i kilku ławników, których czerwone szaty dziwnie harmonizowały z odzieniem zamaskowanego mężczyzny stojącego przy pniu i wspartego oburącz na długim mieczu o szerokim ostrzu.

Gdy na plac wjechał wózek, w tłumie zapanowała cisza wywołana wyglądem skazańca i jego dumną postawą. Wiedziano, że należy on do jednego z najdostojniejszych rodów w Burgundii, że jest kawalerem Złotego Runa i że był przyjacielem Zuchwałego. Poza tym był piękny i w wielu kobiecych oczach pojawiły się łzy. Dla mężczyzn był symbolem wspaniałej i świetnej przeszłości, której wielu już nie chciało, może dlatego, że doprowadziła ich na krawędź ruiny, ale która nadal miała wielki urok. Zdjęto z głów kapelusze i czapki, a kobiety się przeżegnały.



Żałobny zaprzęg przesuwiał się powoli przez rozstępujący się przed nim tłum. Nagle powstało poruszenie. Jakiś odziany na czarno mężczyzna z mieczem w dłoni wspiął się na szafot i zawołał:

- Ludu Burgundii, czy stałeś się tak tchórzliwy i gnuśny, że bez szemrania pozwolisz mordować najlepszych twych synów? Ten człowiek nie popełnił żadnej zbrodni. Chciał jedynie, by nasza stara ziemia zachowała niepodległość. Chciał, by pozostała wierna swej księżniczce, Pani Marii, gdyż tylko ona, a nie ludzie króla Francji, ma prawo tu panować... Ludu Burgundii, niegdyś byłeś dumny i waleczny, ale teraz przypominasz stado baranów! Obudź się! Jeśli tego nie uczynisz, to może jutro ty wejdiesz na ten szafot...

- Zamilknij, Mateuszu! - zawołał Filip. - Odejdź! Nie masz żadnej szansy!

- Jeszcze zobaczymy! - wrzasnął de Prame, wciąż wymachując mieczem.

Kat stał bez ruchu, jako że prawo zabraniało mu tknąć człowieka, którego sprawiedliwość nie oddała w jego ręce.

- Dalej, tchórze! Ruszcie się! Pomóżcie mi!

Jego bystre, czarne oczy patrzyły we wszystkich kierunkach jednocześnie, śledząc poruszenie, jakie jego przemowa wywołała w tłumie, oczekując zbawczej fali, ale jedynie grupa żołnierzy biegła w jego stronę i otaczała szafot. La Tremoille wstał i wyrzaskiwał rozkazy, których nie było słyhać, gdyż zewsząd zrywały się okrzyki. Wołano: „Łaski! Łaski dla Selongeya!", ale nikt się nie ruszał.

- Uciekaj, Mateuszu! - zawołał Filip z rozpaczą. - Zabiją cię, a potrzebny mi jesteś żywy!

Mateusz de Prame nie słuchał. Z zaciekłością wynikającą z wściekłości runął na żołnierzy, którzy wspięli się na szafot. Niestety nie miał szans w tej nierównej walce. W jednej chwili został pojmany, związany i wyniesiony jak worek na ramionach czterech ludzi. Nie zakneblowano go i wrzeszczał jak opętany, wymyślając tłumowi, który odmówił mu pomocy.

- Dość mieliście księcia Karola, wy tchórze! Zobaczycie, jaką ciężką łapę ma król Francji! Zegnaj, Filipie, żegnaj! Powiedz świętemu Piotrowi, że wkrótce do niego zawitam.

Zniknął za rogiem ulicy Saint-Jean, a skazaniec próbował ruchem ramienia otrzeć spływającą mu po policzku łzę. Francuski gubernator ponownie zasiadł na trybunie i dał znak dłonią. Nadeszła godzina śmierci.

Zaprzęg ustawił się obok platformy. Mnich pomógł skazańcowi zejść z wózka, ale Filip nie chciał skorzystać z jego pomocy przy wchodzeniu po stopniach. Dotarwszy na górę, przemierzył szybkim krokiem obity czarnym płótnem podest, aby zbliżyć się do trybuny.

- Daruj mu życie, dostojny panie gubernatorze! To mój przyjaciel i chciał mi tego dowieść. Dobrze wiedział, że nie ma żadnych szans.

- Usiłował podburzyć lud. To dowód przyjaźni zasługujący na śmierć!

- Czy to zbrodnia, że chcemy pozostać tym, kim jesteśmy? Burgundczykami?

- Burgundia zapomniała, że stanowi jedynie apanaże\* Korony francuskiej.

\* Apanaże (fr. apanage - od późnołacińskiego słowa apanare - dawać chleb) - funkcjonujący we Francji sposób zapewnienia dochodów członkom rodziny królewskiej, początkowo poprzez wydzielenie części domeny królewskiej, później również w formie renry pieniężnej (przyp. tłum.).

Jej rzekoma niepodległość była zdradą, a wasi książęta dowiedli tego, łącząc się przymierzem z Anglikami. Teraz król odzyskuje swoje prawa!

- Swoje prawa?

- Niepodlegające przedawnieniu! Za kilka dni wasza księżniczka poślubi syna cesarza. Czy tak wam spieszno zostać Niemcami? My, Francuzi, nie dopuścimy do tego! Kacie, czyń swą powinność!

- Myśl o Bogu, mój bracie! - szepnął mnich, podchodząc do Filipa i przysuwając mu do ust mały krucyfiks z czarnego drewna, do którego ten niemal machinalnie przyłożył usta.

Ogarnął go ogromny smutek. Tak więc walczył o coś, co było tylko ułudą! Burgundia wzięta w dwa ognie przez Cesarstwo i Francję, nie miała już żadnego prawa do własnej tożsamości. To, czy stanie się ona posiadłością niemiecką, czy prowincją francuską, nie miało już w istocie żadnego znaczenia, gdyż on tego nie zobaczy, a kiedy złożą go w grobie, ziemia, która go przykryje, będzie tylko ziemią.

Wzgardziwszy opaską na oczy podaną mu przez kata, skazaniec objął spojrzeniem plac wybrukowany pełnymi napięcia twarzami, wielkie drzewa i wyżej lazurowe niebo przecinane szybkim lotem jaskółki. Później zdecydowanym krokiem podszedł do pnia, podniósł z uśmiechem kata, który przyklęknąwszy, prosił go o przebaczenie, i sam ukląkł.

- Fioro! - szepnął. - Tak cię kochałem i tak bardzo Kocham. Nie zapomnij mnie!

Bez drżenia położył głowę na twardym pniu i zamknął oczy.

Kat wzniósł miecz...

## Rozdział drugi

### Dom w Barwinkach

Fiora uważała, że nie ma na świecie miejsca bardziej zachwycającego niż jej kasztel na brzegu Loary. Spodobał jej się już w chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy za zakrętem nieutwardzonej drogi, która za murami Tours wiodła od brukowanego traktu do opactwa Świętego Kośmy. A przecież był to chłodny poranek końca stycznia i znajdująca się w okowach zimy natura nie ukazywała się ze swej najlepszej strony. Ale jak ładny był ten dom!

Zbudowany z kremowego tufitu i różowych cegieł budynek składał się z dwóch prostopadłych skrzydeł i łączącej je ośmiokątnej wieżyczki, a wszystkie jego okna o kolorowych szybkach lśniły, odbijając wesoły blask płonącego wewnątrz ognia. Wokół rozciągał się ogród, z jednej strony opadający ku rzece, a z drugiej ginący w lesie, który dochodził aż do murów Plessis-lez-Tours, królewskiego zamku, gdzie poprzedniego dnia Fiora i jej towarzysze zostali przyjęci z najserdeczniejszą gościnnością. Dalej na północy wysepka i wznoszące się na niej stare opactwo tonęły w liliowej mgle, z której, w pół drogi do nieba, tajemniczo wyłaniała się dzwonnica. Widok ten przypominał religijny obraz jakiegoś anielskiego malarza.

Ścieżka prowadząca do zameczku była wąska i chyba dosyć stara, gdyż zagłębiała się w ziemi między trawiastymi zboczami, na których pojawiały się już delikatne pędy pierwiosnków i fiołków. Po obu stronach wznosiły się stare dęby, wyginając na tle jasnobłękitnego nieba szare, pokryte porostami gałęzie. Tworzyły coś w rodzaju sklepienia, które latem musiało dawać ochłodę, a za nimi cały dom promieniował przyjaźnią i zdawał się otwierać ramiona na powitanie szukającej w nim schronienia podróżniczki. Po lodowatych mgłach Lotaryngii i niekończących się śniegach Szampanii łagodna falistość doliny Loary, jej lekkie powietrze i majestatyczna wspaniałość błękitnawych wód sprawiły, że podróżni mieli wrażenie, iż przeszli z surowego czyścica do miejsca pobytu szczęśliwych wybrańców. Gniew i rozpacz młodej kobiety znalazły w tym pewne ukojenie. Nie miała już tak zamkniętej, napiętej twarzy i oczu ciężkich od ciemnych chmur, jak po wyjeździe z Nancy, za co Leonarda podziękowała w duchu Bogu.

Stara panna pamiętać będzie do końca życia, jak dwa dni po pogrzebie Zuchwałego Fiora wpadła do jej niedogrzonej komnaty, stąpając bosą po zimnej posadzce, okryta jedynie przytrzymywanym przy piersi prześcieradłem, z masą czarnych włosów opadającą na ramiona i spojrzeniem miotającym błyskawice. Nie mówiąc nawet dzień dobry, rozkazała drżącym z gniewu

głosem, by spakowano bagaże i sprawdzono, czy wysłannik króla Francji, Douglas Mortimer, jest jeszcze w pałacu. Jeśliby tak było, miał przygotować konie do wyjazdu za godzinę.

Oczywiście Leonarda nie poddała się bez walki. To, że ujrzy swą przybraną córkę w takiej furii, gdy dziewczyna powinna była kosztować najśłodszych i najzarliwszych radości w ramionach odnalezionego małżonka, było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała. Zażądała wyjaśnień, lecz nie od razu je otrzymała.

- Czy masz nadal ten dokument, który pokazałaś mi w Grandson, ten tytuł własności jakiegoś kasztelu nadany mi przez króla Francji?

- Pięknie by wyglądało, gdybym go zgubiła! To jedna z tych rzeczy, których się dobrze pilnuje. Zaszłam go pod suknią. Ale przypominam ci, że go nie chciałaś.

- Zmieniłam zdanie. Przyjmuję. Tam właśnie pojedziemy!

- Ale... twój małżonek? Pan Filip?

- ...przyjedzie po mnie, kiedy będzie gotów żyć ze mną! Nie można było wyciągnąć z niej nic więcej, ale znając swojego „aniołka”, Leonarda opuściła Fiozę wrzucającą z wściekłością do skórzanego kufra niewielką ilość dóbr doczesnych, jaka pozostała im po długiej peregrynacji w ślad za świętej pamięci księciem Burgundii, i rzuciła się na poszukiwanie Mortimera. Odnalazła go w chwili, gdy sam szykował się do wyjazdu, ale nie miała żadnego kłopotu z przekonaniem go, by na nie poczekał i towarzyszył im w drodze do Ludwika XI. Szkot, wierny swym zasadom, niczego nie komentował, zadowolając się uniesieniem brwi. Z błysku jego niebieskich oczu stara panna wywnioskowała, że będzie nawet zadowolony, mogąc odwieźć do swego pana młodą florentynkę, dla której powziął przyjaźń.

Niespiesznie wracając do swego pokoju, Leonarda miała nadzieję, że burza minęła i że nawet jeśli kłótnia między małżonkami była poważna, pojednanie jest już przynajmniej zapoczątkowane. Tak jednak nie było. Zastała Fiozę całkowicie ubraną, w podbitej futrem pelerynie na ramionach, siedzącą przy oknie i spoglądającą na zewnątrz nieobecnym, niewidzącym spojrzeniem. Jej oczy były suche, ale nieco zaczerwienione, a lśniące jeszcze policzki i przyspieszony oddech świadczyły o tym, że niedawno rozpaczliwie płakała. Nie mówiąc ani słowa, Leonarda uporządkowała nieco zawartość kufra, do którego wszystko było powrzućane bez ładu i składu, przygotowała się do drogi, po czym obie oczekiwały w milczeniu na przybycie Mortimera i koni.

Przez wiele, wiele mil Fiora nie otworzyła ust. Jechała przed siebie przez tnący wiatr, tumany śniegu i lód, siedząc prosto w siodle, na pozór równie

nieczuła jak posąg, i nie mówiąc więcej niż trzy słowa dziennie. Dopiero na postoju w Troyes, po szczególnie męczącym etapie, pozwoliła wypłynąć goryczy zatruwającej jej serce. Filip nie miał jej do ofiarowania nic poza propozycją, by zamieszkała w jakimś starym zamku w towarzystwie szwagierki, której jej przybycie na pewno nie sprawi przyjemności, podczas gdy on sam odjedzie, by służyć swym mieczem i życiem księżniczce Marii! Sądziła, że wraz ze śmiercią księcia Karola skończyła się wojna, ale Selongey marzy! tylko o tym, by znów walczyć, tym razem o niepodległość Burgundii... i dla pięknych oczu dwudziestoletniej księżniczki, o której mówiono, że jest śliczna i pełna uroku!

Leonarda pozwoliła wypłynąć zatrutej fali, nie powstrzymując jej: Fiora potrzebowała tej ulgi. Dopiero kiedy wyczerpana dziewczyna padła na łóżko, by się wypłakać, spróbowała, bardzo łagodnie, przemówić jej do rozsądku. Prawo Burgundii, podobnie jak Francji i wszystkich innych znanych państw, nawet Florencji, chciało, by kobieta, strażniczka domowego ogniska i rodzicielka, pozostawała w domu, podczas gdy mąż zajmował się swoimi sprawami i jechał tam, gdzie wzywał go obowiązek. Życie wciąż w drodze, narażanie się na niebezpieczeństwa, nie jest rzeczą normalną... a wypoczynek może mieć wiele uroku.

- Toteż będę odpoczywać - odrzekła Fiora - ale u siebie, a nie w domu, w którym byłabym intruzem. Najwyższy czas, by Filip dowiódł mi swojej miłości, gdyż do tej pory nie zadał sobie zbyt wiele trudu!

- Jesteś niesprawiedliwa. Przecież wrócił do Florencji, by cię odnaleźć. A później, czyż nie bił się o ciebie, i to dwa razy? Jeśli dobrze rozumiem, nie pozostawiłaś mu wielkich możliwości, opuszczając pokój w Nancy?

- Tak sądzisz? A mnie się wydaje, że dałam mu jedną bardzo atrakcyjną, którą zresztą pochwycił, jako że pozwolił mi odjechać.

- Jaka to była możliwość?

- Możliwość odzyskania wolności. Powiedziałam mu zresztą, że pojedę do Rzymu, by doprowadzić do anulowania naszego małżeństwa przez papieża, jeśli nie przyjedzie do mnie do Francji!

Leonarda nie mogła powstrzymać pełnego żalu westchnienia:

- Czy naprawdę musieliście z czystej dumy zadać sobie tyle bólu w chwili, gdy dopiero co się odnaleźliście? Nie jest rzeczą dobrą kazać mężczyźnie wybierać między głosem serca i obowiązku. A gdyby miał... nigdy nie wrócić?

Z trwającego kilka chwil milczenia Fiory Leonarda wywnioskowała, że dotknęła czułego punktu. Dostrzegła zresztą strach w jej szarych oczach, ale trwało to tylko chwilę: błysk urazy powrócił na swoje miejsce. Fiora

zachowywała się jak dziki kot w klatce, krążąc po dzielonym z Leonardą pokoju w oberży i zastanawiając się może, czym by tu rzucić.

Nagle zatrzymała się przed starą opiekunką:

- Po tym, co uczyni, ocenię wartość jego miłości. I wiesz, Leonardo, zastanawiam się, czy takiego mężczyzny jak on, nie przywiązałaabym do siebie bardziej, uciekając mu, jak to właśnie zrobiłam.

- Co za pomysł!

- Wcale nie taki szalony! Zdaje mi się, że zaczynam poznawać mężczyzn. Usunięcie się w zacisze domowe i oczekiwanie na męskie zachcianki oraz na dzieci, dzięki którym zapewniają sobie nasz spokój, jest być może najlepszym sposobem na osłabienie miłości. Powszedniejąc, uczucie traci swój blask.

- Może dzieje się tak z namiętnością! Pozostaje jednak czułość i to słodkie porozumienie, utkane z przemijających wspólnych dni. Obawiam się, że szybko dość będziesz miała samotnych nocy.

- Czy byłyby one mniej samotne w Selongey, podczas gdy Filip galopowałby uczepiony ogona konia swej księżniczki? Mam ochotę być u siebie, naprawdę u siebie. Już nie pamiętam, jak to jest.

Temat został wyczerpany i nie wracały do niego. Leonarda doszła do wniosku, że to wiejskie odosobnienie dobrze zrobi zbyt impulsywnej młodej kobiecie, skłoni ją do większej rozwagi i zniechęci do nieprzemyślanych reakcji. Ona również zresztą była oczarowana tym domem, który król podarował swej młodej przyjaciółce i w którym wszystko służyło uprzyjemnieniu życia.

Kasztel nosił nazwę La Rabaudiere, ale już od dawna okoliczni mieszkańcy nazywali go Domem w Barwinkach z powodu długich, niebieskich wstęg tych kwiatów rozjaśniających wiosną poszycie lasu. Opanowałyby również ogród, gdyby do tego dopuszczono, a odbijały to sobie, czepiając się położonego od strony rzeki tarasu, na który wychodziło się z głównej komnaty. Setki ciemnoniebieskich gwiazdek i wiecznie zielone listki podkreślały biel kamieni i ściany w kolorze jutrzeńki. Zaś w ogrodzie, przechodzącym w sad, znajdowały się wielkie, otoczone bukszpanem kobierce kwiatów, kipiące od czerwonych goździków, których nieco zdziczałe kępy okalały krzewy różane, rozmaryn oraz czarne i czerwone porzeczki, rosnące swobodnie po obu stronach alei prowadzącej do kamiennych schodów, po których wchodziło się na taras.

Wnętrze miało tyle samo uroku, co otoczenie, i zdawało się kontynuacją ogrodu. Poza wielkim gobelinem, stanowiącym ozdobę głównej komnaty, nie było w tym drewnianym domu ciężkich tkanin, a jedynie połyskliwe brokatele, osłaniające łóżka materie haftowane w wizerunki domowych zwierząt i

różnobarwne kwiatuszki oraz kwadratowe poduszki ułożone tu i tam dla wygody zmęczonych ciał i odpoczynku stóp. Meble były proste, ale w doskonałym guście. Pachniały woskiem pszczelim, a stały na nich wspaniałe cynowe naczynia i inne przedmioty, z których niektóre, jak piękne kielichy z weneckiego szkła i zielone majoliki, pochodzące zapewne z Romanii, wywołały rozczulony uśmiech Fiory. Liczne kufry i kredensy rozłokowane w poszczególnych pomieszczeniach zawierały wystarczająco dużo naczyń i bielizny, by zadowolić panią domu, nawet tak wymagającą jak Leonarda. Kuchnia, połyskująca od miedzianych rondli i obficie zaopatrzona w szynki, warkocze cebuli i pęki suszonych ziół wiszące u powały, do reszty podbiła serce starej panny, która po raz pierwszy od bardzo dawna miała rozkoszne wrażenie, że po długiej nieobecności wraca na właściwe miejsce. Fiora zaś weszła do swego domu jak porzucony kotek, który znajduje wreszcie schronienie i zwija się w kłębek przy popiele paleniska, by tam spędzić zimę. Wtopiła się weń, jakby go znała od zawsze.

Do opieki nad niewielką posiadłością wyznaczono, znacznie przed przybyciem Fiory, małżeństwo w średnim wieku - Stefana Le Puellier i jego żonę Petronełę. Ich dom nad brzegiem Cher został rok wcześniej porwany przez powódź i Ludwik XI, znając Stefana od dziecka, udzielił im schronienia w Plessis i obiecał, że da im dom piękniejszy od poprzedniego, jeśli zgodzą się zająć La Rabaudiere. Uczynili to bardzo chętnie, gdyż oboje rzuciliby się w ogień na każde skinienie swego „dobrego króla”. Zajmowali na poddaszu domu piękny pokój, którego okno, zwieńczone wimpergą w kształcie kwiatu lilii, wychodziło na lśniące dachówki okrywające domostwo. Stefan i Petronela byli ludźmi silnymi i uprzejmymi, lubili pracować i byliby najszczęśliwsi na świecie, gdyby niebiosa zesłały im dziecko, ale nieskuteczne okazały się modlitwy, nowenny i częste odwiedziny grobu świętego Marcina, chwały pobliskiego Tours. Petronela, której stuknęło czterdzieści pięć lat, wiedziała, że nie może już wiele spodziewać się po Pani Naturze. Pocieszała się, racząc swego Stefana arcydziełami swej kuchni, której jakoś wytrzymywała porównanie z kunsztem mistrza Jakuba Pastourela, królewskiego szefa kuchni, i zdarzało się, że król wracając z polowania, zasiadał przy jej stole.

Petronela była krągła jak jabłko, miała twarz o łagodnych rysach, a jej uroda zawierała się w dużych oczach koloru barwinków, które dały nazwę domowi. W swoim czasie Stefan musiał nieraz wdawać się w bójki, by zniechęcić zalotników umizgujących się do jego żony. Zawsze umiał sobie z nimi poradzić, gdyż był równie barczysty, jak Petronela krągła, a naprzemienne

posługiwanie się siecią rybacką, łopata i siekierą wyposażyło go w muskuły, z którymi należało się liczyć.

Przybycie Fiory i Leonardy wcale ich nie zmartwiło, przeciwnie - sprawiło im ogromną przyjemność połączoną z ulgą. Nie wiedzieli, komu właściwie król podarował Dom w Barwinkach. Powiedziano im tylko, że jest to pewna młoda dama, której Ludwik XI jest życzliwy. Toteż małżonkowie obawiali się, że może chodzić o jakąś królewską faworytę, tym nieznośniejszą, że może nie najlepiej urodzoną, a z powodu wieku króla - arogancką. Już sam fakt, że Ludwik XI ma kochankę, choć ślubował nie dotknąć żadnej kobiety poza swoją żoną - co zapewne nie zdarzało się zbyt często, jako że królowa Szarlota przebywała przez cały rok w zamku w Amboise leżącym o dobrych sześć mil od Plessis - wystarczająco niepokoił tych poczciwych ludzi.

Uroda nowo przybyłej, jej uprzejmość i budzący szacunek wygląd Leonardy uwolniły ich od większości niepokojów, a dobrze im znany Douglas Mortimer, któremu król polecił towarzyszyć nowej właścicielce, do reszty ich uspokoił: donna Fiora jest córką dawnego przyjaciela Ludwika i król postanowił wziąć ją pod swoją opiekę po wielu nieszczęściach, które na nią spadły. Największym z nich było może poślubienie w przeszłości burgundzkiego szlachcica, zbyt zaprzyjaźnionego ze świętej pamięci Zuchwałym, by zgodził się zostać Francuzem, który mimo próśb swej młodej żony zamierzał ponownie chwycić za broń i szukać przygód. Toteż zrozpaczona donna Fiora postanowiła szukać schronienia u swego starego przyjaciela, którego zaufania nie chciała zdradzić.

Ta przemowa, tak niezwykła u Szkota, na ogół niewypowiadającego więcej niż trzy słowa na godzinę, zrobiła wielkie wrażenie na Stefanie, wcale nie bardziej od niego rozmownym, i sprawiła, że wrażliwa Petronela uroniła kilka łez. Małżonkowie zaopiekowali się dziewczyną i wychodzili ze skóry, by ukazać jej uroki życia w Turenii. Robili to z tym większym entuzjazmem, że Petronela i Leonarda natychmiast doszły do porozumienia mimo pewnej różnicy wieku. Obie były bardzo pobożne, umiały również porozumieć się co do sztuki perfekcyjnego prowadzenia domu. Leonarda rządziła niegdyś we florenckim pałacu i wspaniałej podmiejskiej willi, lecz umiała ukryć rodzaj wyższości wynikający ze swych talentów i szczerze podziwiać specjalność, w której Petronela została uznana za mistrzynię, to znaczy sztukę kulinarną. Petronela ze swej strony doceniała takt starej panny, oddała jej z własnej inicjatywy klucze od kufrów i szaf oraz starała się skorzystać z jej wiedzy. Nigdy nie nudziło jej się słuchanie, jak wspomina cuda tej bajkowej Florencji, na której ujrzanie Petronela nie miała żadnych szans. Nierzadko można było zobaczyć, jak w obszernej kuchni Leonarda sortuje bieliznę, opowiadając



jednocześnie swej nowej przyjaciółce, zajętej mieszaniem sosu, o odgłosach, kolorach i zapachach piątkowych targów. Czasami bywało na odwrót i Petronela wprowadzała Leonardę w miejscowe zwyczaje i tradycje oraz w plotki, ploteczki i historyjki obiegające miasto i okolicę, gdyż zawsze była w tym na bieżąco.

Petronela była wyjątkowo gadatliwa i pod tym względem nieco przypominała Leonardzie grubą Colombę, będącą zarazem jej przyjaciółką i najlepszym źródłem informacji we Florencji. Ale burzliwa wymowa opiekunki Chiary Albizzi w niczym nie przypominała opowieści pani Le Puellier. Petronela była urodzoną gawędziarką, umiejącą opowiedzieć w sposób barwny i dowcipny o najbanalniejszej kłótni między dwiema chłopkami w czasie targu na przedmieściu Notre-Dame la Riche. Poza tym jej język, pozbawiony jakiegokolwiek wulgarności, był czysty i elegancki. Leonarda nie mogła się powstrzymać, by jej tego nie pogratulować.

- To wynika z faktu - powiedziała Petronela - że urodziłam się w tej okolicy. My, ludzie z Turenii, znani jesteśmy w całym królestwie jako ci, którzy najlepiej posługują się naszym językiem. Ale nie pytaj mnie, skąd nam się to bierze, nie umiałabym ci odpowiedzieć. Sądzę jednak, iż to dlatego, że nasz dobry król tak lubi rozmawiać nie tylko z ważnymi mieszczanami z Tours, lecz również z takimi zwykłymi ludźmi, jak Stefan i ja.

W wyniku tego Leonarda poczuła jeszcze większy szacunek dla swej towarzyszki oraz sympatię do tej uroczej krainy, gdzie życie jest tak przyjemne. Przywiązywała się do niej z każdym dniem bardziej, aż zaczęła obawiać się dwóch wydarzeń mogących zakłócić jej szczęśliwość: niespodziewanego przyjazdu Filipa, który mógł przybyć, by po dobroci lub siłą zabrać żonę do swej burgundzkiej fortecy, i realizacji groźby wypowiedzianej przez Fiore: wyjazdu do Rzymu w celu uzyskania od papieża unieważnienia małżeństwa. Fakt, że młoda kobieta zdaje dobrze się czuć w nowym domu i nigdy nie wymawia imienia swego małżonka, nie całkiem ją uspokajał: nazbyt dobrze знаła jej impulsywność i nierozłącznie związaną z jej naturą potrzebę ruchu.

Toteż kiedy pewnego marcowego poranka Fiora po wstaniu z łóżka odepchnęła z niechęcią miskę zupy chlebowej na słodzonym miodem mleku, oświadczyła, że jest jej niedobrze, i z wdziękiem zemdlała na posadzce kuchni między stopami Leonardy i Petroneli, kobiety spojrzały na siebie rozjarzonym wzrokiem i padły sobie w ramiona, nie pomyślawszy nawet o pospieszeniu jej z pomocą.

- Dziecko! - zagrzmiała Petronela. - Nasza młoda pani z całą pewnością oczekuje dziecka! Chwała niech będzie Panu Bogu i Pannie Świętej, którzy pobłogosławili temu domowi!

Leonarda rozplakała się z radości, a gdy tylko przyszła matka została wygodnie ułożona w łóżku, popędziła jak strzała do opactwa Świętego Kośmy, by dać jałmużnę i zapalić kilka świec. Nigdy już nie będzie mowy o tej bezsensownej podróży do Rzymu, jako że związek Filipa i Fiory miał wydać owoc.

Kiedy ta wiadomość dotarła do Fiory, zdumiała ją. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że wynikiem namiętnych nocy z Filipem w Nancy może być dziecko. Swą miłość do niego ukryła w głębi serca pod tak grubą warstwą urazy i zazdrości, że zdarzało jej się o niej zapomnieć. I oto teraz ta zduszona miłość wypuszczała pęd, który miał pokryć się pączkami podczas nadchodzącej wiosny i lata, by zakwitnąć w porze dojrzewania winogron. A więź łącząca ją z Filipem stać się miała zbyt mocna, by mogła ją kiedykolwiek zerwać, chyba że za cenę własnego życia.

Słabość, która ją ogarnęła, minęła jak odpływająca fala. Dom był spokojny, ciepły i cichy, z wyjątkiem odgłosów dochodzących z kuchni, gdzie Petronela wygrywała na miedzianych rondlach tryumfalną melodię. Fiora wstała i boso podeszła do wysokiego i wąskiego weneckiego lustra, dość podobnego do tego, które kiedyś sprowadził dla niej ojciec, i stanowiącego największy zbytek w jej sypialni. Stojąc przed nim, zdjęła koszulę i przyjrzała się swemu ciału z myślą, że może dostrzeże w nim jakąś zmianę, ale jej talia była nadal równie szczupła, brzuch równie płaski, a piersi zupełnie takie same jak poprzedniego dnia.

- Jest jeszcze za wcześnie - powiedziała Leonarda, która weszła i zaskoczyła ją w tej pozycji. - Jeśli dobrze policzyć, musisz być w drugim miesiącu ciąży, mój aniołku. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona?

Oczywiście, że tak. To było cudowne uczucie po dwóch miesiącach zamknięcia się w sobie. Świadomość, że zaczynało w niej kiełkować nowe życie, pozbawiała ją tego przygnębiającego uczucia, że jej egzystencja jest zupełnie bezużyteczna i pozbawiona sensu, ponieważ mężczyzna, który pewnego zimowego wieczora przysiągł ją chronić, kochać, szanować i dzielić z nią łożę, póki ich śmierć nie rozłączy, wolał od niej wojnę i służbę księżniczce, o której mówiono, że zamierza zostać Niemką. Od tej pory Fiora miała rację istnienia i cel: wydać na świat najpiękniejsze na świecie dziecko, a później, nawet gdyby jego ojciec nigdy się nie pojawił, wychować je, uczynić zeń silnego i mądrego człowieka, dla którego broń i szaleństwo walki nie będą najwyższym dobrem; człowieka umiejącego zatrzymać się, by powąchać kwiat,

podziwiać piękno pejzażu czy dzieła sztuki, czy po prostu by porozmawiać na rogu ulicy z przyjacielem o sprawach użyteczności publicznej lub o ostatnich odkryciach ludzkiego umysłu. Człowieka dużo bardziej przypominającego Francesca Beltramiego niż własnego ojca.

Było to bez wątpienia nielogiczne, a nawet błędne, ale przerażała ją myśl, że jej syn może zostać rębaczem przywiązującym znaczenie jedynie do siły, a nawet brutalności. Przyglądała się wojnie zbyt długo i ze zbyt bliska, by nie nabrać do niej wstrętu.

- A jeśli to będzie dziewczynka? - spytała Leonarda, która pozostała powierniczką Fiory.

- Nie przyszło mi to jeszcze do głowy. Dla mnie dziecko Filipa może być tylko chłopcem. Zresztą to musi być chłopiec! Tylko nie wywnioskuj z tego, że nie umiałabym kochać dziewczynki! Wręcz przeciwnie, gdyż byłaby ona bardziej moja. Chłopca trzeba wcześniej czy później przekazać nauczycielom. Przekonana jednak jestem, że muszę przygotować się na przedłużenie rodu Selongeyów.

Nie powiedziała tego, ale żywiła ukrytą nadzieję, że przynęta w postaci syna zdoła może skłonić Filipa do bardziej zdrowego pojmowania życia rodzinnego. Postanowiła przygotować się do tego wielkiego wydarzenia, grzecznie słuchając rad udzielanych jej przez Leonardę i Petronekę. Ta ostatnia łamała sobie głowę, by przygotowywać potrawy niewywołujące wstrętu u przyszłej matki, a nawet wzmagające jej apetyt. Wykluczono smakowite, lecz ciężkie wyroby mięsne, stanowiące - i słusznie - dumę Tours, na rzecz lżejszego pożywienia. Podawano Fiorze nabiał, świeże sery, puszyste ciasta, soczysty drób i najlepsze ryby, jakie Stefan łowił w Loarze. Otrzymywała także, tak długo, jak trwały mdłości, napary z melisy i mięty, a kiedy wiosna pokryła skarpe barwinkami i sprawiła, że drzewa owocowe w sadzie przemieniły się w ogromne, białe i różowe bukiety, Fiora, po tym pierwszym trudnym okresie, poczuła się znacznie lepiej niż kiedykolwiek i mogła wziąć aktywny udział w przygotowaniach do narodzin: w szyciu wyprawki.

Zycie w Domu w Barwinkach toczyło się spokojnie, z dala od świata, a nawet samotnie. Cieszyło to Fiorę obawiającą się początkowo, że bezpośrednie sąsiedztwo zamku królewskiego narazi ją na niepokoje i wizyty. Tak by niewątpliwie było, gdyby Ludwik XI rezydował w Plessis, ale niemal nazajutrz po przybyciu podróżniczek opuścił swą ulubioną siedzibę wraz z większą częścią dworu i udał się na północ, gdzie stacjonowały jego wojska.

Zamierzał bowiem nikomu nie powierzać troski o spadek po Zuchwałym. Niewielkie dał szanse swemu wrogowi na wymknięcie się z pułapki pod

Nancy: w tej samej chwili, gdy lody stawu Świętego Jana zamykały się nad konającym ostatnim Wielkim Księciem Zachodu, wojska króla Francji zajmowały pozycję na granicy Lotaryngii w pobliżu Toul i Metz oraz na Sommie, i tylko czekały na znak, by głębiej wejść na terytorium Burgundii, której granice zostały już przekroczone. Później rozszalała się wojna w Artois i Pikardii, podczas gdy potężne miasta flamandzkie, czujące raczej ulgę niż smutek po śmierci władcy, uwalniającej je od ciężkiej im opieki, dały do zrozumienia Marii Burgundzkiej, że minął czas kwestionowania ich przywilejów i że uważać się powinna raczej za więźniarkę niż władczynię. Aby jej to udowodnić, ścięto ostatniego kanclerza Burgundii, Hugonneta, i pana na Humbercourt, będącego jednym z najpoważniejszych doradców Marii.

Nie wiedząc już, do kogo się zwrócić, nieszczęsna następczyni tronu napisała pod koniec marca owego 1477 roku rozpaczliwy list do syna cesarza Fryderyka, uważanego przez nią za narzeczonego, wzywając go na pomoc. Była to w przybliżeniu chwila, gdy Filip de Selongey przybył do Dijon, stolicy księstwa, z której miał nadzieję, zbuntowawszy ją, uczynić ośrodek oporu.

Fiora w swym strzeżonym przez las i rzekę kasztelu nie miała pojęcia o wszystkich tych wydarzeniach. Dowiedziała się o nich dopiero w kwietniu w czasie niespodziewanej wizyty pana na Argenton, Filipa de Commynesa, który jako pierwszy doradca króla powinien był, jak sądziła, walczyć u jego boku.

Okazał jej przyjaźń w trudnych okolicznościach, powitała go więc z przyjemnością, jaką odczuwa się, przyjmując kogoś lubianego. zaproponowała mu wypoczynek przy kominku, w którym płonął stos pachnących polan, oraz kubek wina, zgodnie ze zwyczajem podawany podróżnemu w każdym gościnnym domu. W tym czasie na jej polecenie Leonarda pobiegła uprzedzić Petronele, że ma przygotować wystawną kolację. Wiedziała, że Commynes jest łakomy i ma wspaniałą, flamandzki apetyt, który wypadało zaspokoić. Tymczasem wszystkie te względy wywołały jedynie głębokie westchnienie królewskiego doradcy:

- Wkrótce żałować będziesz, że zadałeś sobie dla mnie tyle trudu, pani. Sądzisz pewnie, że przywożę ci jakieś wieści od naszego króla?

- To prawda - przyznała Fiora. - Tak myślę, ale nawet jeśli jest inaczej, jesteś równie miło widziany. Czyż od czasu pobytu w Senlis nie jesteśmy przyjaciółmi?

- Taką miałem nadzieję i dlatego w drodze na wygnanie nie mogłem się powstrzymać, by cię nie odwiedzić. Szukam pocieszenia.

- Wygnanie? Poróżniłeś się z królem, panie?

- To może za mocno powiedziane. Powiedzmy, że moja obecność źle go usposabia i że pragnie się mnie pozbyć na jakiś czas. Wysłała mnie do Poitiers.

- Do Poitiers? A cóż tam będziesz robić?

- Nie wiem dokładnie. Mam rozwikłać z ławnikami miasta jakąś skomplikowaną prowincjonalną historię, prawdziwa męka dla kogoś takiego jak ja. Ale to prawda, że źle go usposobiłem moimi wyrzutami.

- Ty robiłeś wyrzuty królowi?

- Ja. A najgorsze jest to, że tego nie żałuję i gotów jestem zacząć od początku.

- Ale dlaczego?

- Bo zastanawiam się, czy nie zwariował! Proszę cię, madonna, nalej mi jeszcze trochę tego wina z Bourgueil! Bardzo go potrzebuję, gdyż mam do powiedzenia rzeczy gorzkie. Nie poznaję naszego króla. On, tak mądry, tak ostrożny, tak oszczędzający życie innych... zachowuje się tak, jak zrobiłby to na jego miejscu świętej pamięci książę Karol.

- Chcesz powiedzieć, że masakruje tych, którzy stawiają mu opór?

- Mniej więcej. A przecież wszystko szło tak dobrze! Król nakazał Rene Lotaryńskiemu zachowywać się spokojnie i wycofać swe wojska. Później przekupił Zygmunta Austriackiego, by został w Tyrolu, i to samo zrobił ze Szwajcarami, aby zgodzili się zadowolić tym, co uzyskali. I wtedy, tuż po twoim przyjeździe, ruszyliśmy do krainy nad Sommą. No i wtedy...!

I Commynes, rozwlekłe i z mnóstwem szczegółów, jak przystało człowiekowi, dla którego polityka jest drugą naturą, opowiedział swej gospodyni, jak Ludwik XI wkroczył do Pikardii i do Artois pod oszukańczym pretekstem ochrony dóbr Marii Burgundzkiej - będącej zresztą jego chrześnicą - postępując niby dobry ojciec chrzestny w stosunku do sieroty. Wiele miast, między innymi Abbeville, Doulens, Montdidier, Roye, Corbie, i Bapaume, pozwoliło się wziąć bez większych trudności i nie miały powodu do skarg. Jednak inne, być może trzymane mocniejszą ręką przez burgundzkich gubernatorów, nie chciały się poddać i wezwały na pomoc Marię. Poznały wówczas siłę gniewu króla Francji: szturm, płądrowanie, egzekucje notabli, wygnanie mieszkańców i zniszczenie w całości lub w części stawiających opór miast. Nie był to już Wielki Pająk, cierpliwie snujący swą sieć w zaciszu gabinetu, to był Atylla prowadzący swe oddziały. Na wpół zburzone Arras zostało opróżnione z mieszkańców, których zastąpiono nieszczęśnikami, którzy również wszystko stracili.

- I wtedy właśnie - zakończył Commynes - rozpoczęły się nieporozumienia między królem a mną. Czyniłem mu wyrzuty z powodu tych gwałtów tak

niezgodnych z jego naturą, a on mi wyrzucał, że pozostałem zbyt flamandzki i że żywię sympatię dla jego wrogów. Oto dlaczego widzisz mnie w drodze do Poitiers, pocieszającego się jedynie myślą, że będę mógł odwiedzić panią Helenę, moją piękną małżonkę, w jej siedzibie w Thouars.

- To prawda, że nie widzisz jej często, panie. Czy to normalne, żeby kobieta żyła samotnie na swych ziemiach, podczas gdy jej małżonek rezyduje na dworze władcy? - szepnęła Fiora w zamyśleniu. - Zdaje się, że ty odwiedzałeś swoją żonę jedynie wtedy, gdy nie mogłeś tego uniknąć? Wy wszyscy, Francuzi i Burgundczycy, robicie na mnie wrażenie bardzo dziwnych ludzi! U nas mąż i żona żyją razem, póki ich śmierć nie rozłączy. I nie mów mi, że jest to życie mieszczańskie: dostojny pan Lorenzo i donna Clarissa, jego małżonka, nawet jeśli nie zawsze mieszkają pod jednym dachem, to przynajmniej przebywają w tym samym mieście. A tutaj król mieszka w Plessis, a królowa w Amboise; twoja małżonka przebywa w Thouars, a ty u boku króla, i...

Fiora ożywiła się, rozprawiając. Jej blade niczym z kości słoniowej policzki nieco się zaróżowiły, a w dużych szarych oczach zalśniły łzy. Jej ciepły głos lekko się załamywał. Commynes przyglądał jej się przez chwilę bez słowa, rozkoszując się widokiem jej urody, zdającej się zbliżać do doskonałości, jak bliska rozkwitu róża. Siedziała na rzeźbionym, dębowym krześle, wygodnie wymoszczonym poduszkami ze srebrzystozielonej brokateli, które rzucały odblaski morskich głębin na miękką, białą suknię, haftowaną w maleńkie wierzbowe listki i blade fiołki, tworzące girlandy na rękawach, wokół głębokiego dekoltu, skromnie przysłoniętego muślinowym kołnierzykiem, i u dołu sukni. Jej piękne włosy z prostotą przewiązane wstążką tworzyły gruby warkocz opadający wzdłuż długiej, wdzięcznej szyi, nadając Fiorze wygląd młodej dziewczyny.

W tej prostej toalecie była bardziej olśniewająca niż kiedykolwiek. Jednakże bystry wzrok pana na Argenton spostrzegł, że pod obfitymi, miękkimi fałdami zebranych pod piersiami i przytrzymanymi szerokim srebrnym paskiem figura jej zdawała się lekko zaokrąglona. Spojrzał wówczas na nią innym wzrokiem: ujrzał w niej nie tylko istotę o niezwykłym uroku i wyjątkowej odwadze, lecz również osłabioną przyszłym macierzyństwem kobietę, pozbawioną zapewne wszelkich wiadomości od tego, którego kocha; kobietę mającą ogromne trudności w przywyknięciu do tego życia w separacji, narzucanego często przez dworskie obowiązki i wymogi wojny. We Włoszech wojna była sprawą najemników: książe, który umiał zdobyć ich najwięcej i najlepiej wyszkolonych, miał wielkie szanse na zwycięstwo. Mieszkańcy Florencji,

podobnie jak inni, płacili za pozostanie w domu, ale kiedy jakiegokolwiek niebezpieczeństwo zbliżało się do murów miasta, do walki ruszali wszyscy, kobiety ramię w ramię z mężczyznami. Fiora nigdy nie zrozumie, dlaczego służba władcy musi ją skazywać na samotność.

Delikatnie ujął rękę młodej kobiety, przytrzymał ją w swoich dłoniach i dokończył zdanie, które pozostawiła w zawieszeniu.

- I twoje własne małżeństwo, bardziej jeszcze rozdzielone, jako że twój małżonek służy księżniczce Marii, a ty związana jesteś z Francją.

- Wiążą mnie z nią przyjaźnie i interesy, gdyż cały mój majątek znajduje się tutaj, a poza tym nie mam żadnego powodu, by zwalczać króla Ludwika, który był dla mnie dobry.

- Ale oczekujesz dziecka, i twój dylemat jest z tej przyczyny jeszcze boleśniejszy. Co mogę uczynić, by ci pomóc, droga przyjaciółko?

Poczerwieniała mocno, a łzy, których nie mogła powstrzymać, spływały jej po policzkach.

- Ty, panie, który zawsze o wszystkim wiesz, czy możesz mi powiedzieć, gdzie on jest? Wkrótce miną cztery miesiące, odkąd go opuściłam i nie mam od niego żadnych wieści.

- Chciałbym cię uspokoić, ale to trudne nawet dla mnie. Maria Burgundzka i księżna wdowa są przetrzymywane przez mieszkańców Gandawy w swym zamku Coudenberg. Są pod ścisłym nadzorem, traktowane raczej jak zakładniczki niż władczynie, i nasi szpiedzy nie są w stanie niczego się o nich dowiedzieć. Jednakże mogę ci powiedzieć, pani, że pan de Selongey przebywał przy nich do niedawna, ale zdaje się, iż ostatnio znikł.

- Znikł?

- Nie zrozum tego źle, madonna. Chcę powiedzieć, że nie ma go już w Gandawie, i myślę, że Pani Maria musiała powierzyć mu jakąś misję, może we Franche-Comte, a prędeż w Burgundii, gdzie śmierć Zuchwałego podobno nie wzbudziła wielkiego żalu. W takiej sytuacji miałby za zadanie rozbudzić na nowo ten słabnący entuzjazm.

- Innymi słowy: jest w niebezpieczeństwie! Mój Boże!

- Proszę cię, uspokój się, pani. To tylko przypuszczenia. Księżna mogła go równie dobrze wysłać do swego narzeczonego z prośbą, by ten się pospieszył. Powtarzam: nic nie wiemy. Mogę ci jedynie obiecać, że prześlę ci wiadomości, gdy tylko jakieś do mnie dotrą.

- Sądzisz, że w Poitou będziesz je często otrzymywać?

- Ależ rozdrapujesz ranę, pani! - powiedział Commynes ze śmiechem. - Wiedz, że utrzymuję tu i tam kilku dobrych informatorów i że tak czy inaczej

nie zabawię długo w Poitiers. Brak mi będzie bardzo naszego króla... ale jemu jeszcze bardziej brak będzie mnie!

Wchodząc, by zapowiedzieć, że podano do stołu, Leonarda zastała ich roześmianych, co ją uspokoiło. Commynes, choć stał się Francuzem, zachował burgundzki zapaszek, który ją lekko niepokoił, jednak zapomniała o tym podczas posiłku. Commynes zawsze był miłym, wesołym i elokwentnym współbiesiadnikiem. Tego dnia, zachwycony wspaniałym łososiem z Loary w sosie cytrynowym, kiszką pasztetową z kapłonów, smaczną potrawką z jarząbków i kuropatw z grzybami oraz towarzyszącymi im doskonałymi miejscowymi winami, nabożnie przechowywanymi przez Stefana Le Puellier w domowej piwniczce, pan na Argenton był błyskotliwy i tryskał dowcipem. Fiora śmiała się, a Leonarda - szczęśliwa, słysząc jej śmiech - okazywała wiele względów przelotnemu gościowi.

Nazajutrz Commynes ponownie wyruszył w drogę na wygnanie, pozostawiając Fiore pełną nadziei. Wielka burgundzka szlachta, niezbyt chętna do służenia cesarstwu niemieckiemu, zaczynała patrzeć łaskawszym okiem na pełne prezentów ręce, które do niej wyciągał król Ludwik. Coraz liczniejsi byli ci, których pozyskiwał, tym bardziej że zapłacił okup za niektórych ze szlacheckich więźniów księcia Lotaryngii. W chwili, gdy wyjeżdżał, Commynes szepnął:

- Sam Wielki Bastard Antoni, ulubiony brat i najlepszy dowódca zmarłego księcia, myśli podobno o przejściu na naszą stronę. Twój mążzonek, pani, nie będzie mógł w nieskończoność udawać nieujarzmionego. Pewnego dnia zrobi to, co inni: wybierze Francję.

Nie mógł powiedzieć nic bardziej pokrzepiającego. Skoro Wielki Bastard uważał, że Burgundia powinna wrócić na łono Francji, i pamiętał, że w jego herbie znajdują się kwiaty lilii, pociągnie za sobą tych, którzy mają dlań szacunek i przyjaźń. Filip do nich należał. Być może będzie się jeszcze boczył przez jakiś czas. Najważniejsze, by nie popełnił jakiegoś nierozważnego czynu, a Fiora aż nazbyt dobrze pamiętała, że tylko dzięki niej umknął szafotu za próbę zabicia króla Ludwika. Oczywiście, jeśli zdecydował się towarzyszyć księżniczce Marii w podróży do Niemiec, było możliwe, że nieprędko powróci.

Tę myśl Fiora odpychała ze wszystkich sił. Musiała zachować jasność umysłu i nadzieję, by przekazać dziecku swój optymizm. Po porodzie być może będzie można rozpocząć poszukiwania Filipa. Król prawdopodobnie powróci ze swych wypraw, jego pomoc będzie cenna. Dziecko uczyni resztę.

Wkrótce po wizycie Commynes'a do drzwi zameczku zapukał inny podróżny. Przybywał z Paryża, a był to młody Florent, terminator w kantorze



Agnola Nardiego. Przybył pewnego deszczowego wieczora, przemoczony do nitki mimo grubej peleryny z kapturem, która go okrywała i rozpościerała się na zadzie równie zmokniętego konia. Jego oczy jarzyły się jak świece, a twarz promieniała radością.

Wraz z długim listem od Agnola wypełnionym detalami natury finansowej i czułością, Florent przywiózł przyjazną serdeczność mieszkańców ulicy des Lombards i dość wypchaną sakiewkę zawierającą zyski Fiory z interesów dawnej firmy Beltramiego. Fiora zdziwiła się, że powierzono taką sumę narażonemu na wiele niebezpieczeństw w drodze młodzieńcowi, ale ten tylko się roześmiał z jej obaw: Bogu dzięki policja króla Ludwika była doskonała i drogi Francji, przemierzane obecnie przez jeźdźców poczty królewskiej, były naprawdę bezpieczne.

## Rozdział trzeci

### Więzień

W miarę jak zbliżał się czas rozwiązania, Fiora, zamiast zalec na miękkich poduszkach i oddać się słodkiemu lenistwu, okazywała nadmierną aktywność. Nie mogła usiedzieć na miejscu, co budziło wielkie przerażenie Leonardy i Petroneli, które ustawicznie obawiały się nieszczęśliwego wypadku, widząc, jak przechadza się po ogrodzie czy w lesie dosiada mulicy, udając się na modlitwę do przeorstwa Świętego Kośmy, lub zbiera jajka na farmie. Była w niej jednak jakaś radość, która popychała ją do działania. Zdawało jej się, że im większą się wykaże siłą, tym mocniejsze i zdrowsze będzie jej dziecko.

Dlatego też dwudziestego piątego sierpnia, w dniu świętego Ludwika, patrona króla Francji, namówiła Leonardę, by towarzyszyła jej w podróży do Tours, gdyż chciała zobaczyć miasto w pełnej krasie i pomodlić się po raz ostatni przy grobowcu świętego Marcina. Bywała tam już wielokrotnie i tak dobrze jej to robiło, dawało takie ukojenie duszy, że zapragnęła zaczerpnąć tam dodatkową siłę przed nadchodzącą próbą.

Leonarda nie była tym zachwycona. Dziecko powinno przyjść na świat mniej więcej za tydzień i wielką nieostrożnością było zapuszczać się do miasta ogarniętego szaleństwem zabawy, ale Fiora tak upierała się przy swoim pomysle, że niepodobieństwem było przekonanie jej do jego porzucenia. W dodatku Florent rozstrzygnął problem, mówiąc, że umieści damskie, miękko wyściełane siodło na najłagodniejszym z mułów, a sam, tak czy inaczej, będzie eskortował panie, aby uchronić je przed wielkim ściskiem na dziedzińcach i ulicach.

Pogoda tego dnia była niezwykle przyjemna, gdyż lekko się ochłodziło po okropnych upałach, które przez dwa tygodnie nawiedzały okolicę, zmuszając Florenta do intensywnej pracy w celu uchronienia ogrodu przed suszą. Niebo miało barwę głębokiego błękitu i usiane było białymi obłoczkami przypominającymi owieczki, a cała przyroda, spłukana potokami wody przyniesionymi przez ulewę, która nastąpiła po silnej burzy, olśniewała zielenią i kwiatami, jakby dopiero co się narodziła.

Pomagając Fiorze ułożyć się w siedzisku\* umieszczonym na grzbiecie muła, Florent pomyślał, że mimo zniekształconej sylwetki jest piękniejsza niż kiedykolwiek.

\* Ponieważ nie zostało jeszcze wymyślone dosiadanie konia „na amazonkę” - autorką tego pomysłu była Katarzyna Medycejska - kobiety podróżowały na swego rodzaju siedzisku z oparciem, w którym siedziały jak w fotelu.

Suknia z cienkiej materii i welon przypięty do wysokiego przybrania głowy w formie rogala miały jasnoniebieską barwę kwiatów lnu, która odbijała się w jej oczach i podkreślała delikatną cerę. Żadna paskudna plama nie szpeciła jej twarzy, a cienie pod oczami tylko dodawały uroku. Toteż poczciwy chłopiec w prostocie swego serca zadawał sobie pytanie, jak mężczyzna, który miał niewiarygodne szczęście trzymać ją w ramionach, całować te miękkie wargi i zanurzyć palce w tych jedwabistych lokach, mógł później zaakceptować życie z dala od tak wdzięcznej istoty. Ten hrabia de Selongey musiał być kompletnym kretynem i Florent osobiście miał nadzieję, że więcej nikt go tu nie zobaczy.

Wjechali do Tours przez Bramę La Riche i od razu znaleźli się pod jego urokiem. Mimo nieobecności króla, którego nie spodziewano się tu raczej przed jesienią, miasto było wystrojone jak panna młoda. W oknach umieszczono najpiękniejsze materie, najpiękniejsze kobierce, na których upięto wszystkie kwiaty z ogrodów. Choć był piątek, wszyscy przywdziali niedzielne stroje. Jednakże, ponieważ był to dzień targowy, sklepiki były otwarte. Pomiedzy nabożeństwami każdy tego ranka zajmował się swoimi obowiązkami.

Wokół zabytkowej bazyliki Świętego Marcina, jej romańskich wież i klasztoru, mrowiło się od ludzi, gdyż był to jeden z najważniejszych celów pielgrzymek w Europie. Minęło ponad tysiąc lat, odkąd na brzegi Loary, dokładnie w to miejsce, przyciągało tłumy z wszystkich stron świata ciało Marcina, rzymskiego legionisty, który z miłości do swych braci-ludzi został biskupem i spowiednikiem, Marcina, który w śnieżny dzień podzielił się swym płaszczem z biedakiem. Mówiono, że święty Marcin wskrzesił trzech zmarłych i przywrócił zdrowie tysiącom nieuleczalnie chorych. Trędowaci, kaleki, obłąkani zwani lunatykami, a nawet opętani, uwolnieni zostali od swych cierpień i oczyszczeni przez sam kontakt z jego grobem. Toteż pielgrzymi wciąż licznie ściągali ku tej nadziei, która była nadto ważnym etapem na „gwiazdnej drodze”, długim szlaku, który z państw północnych wiódł aż do Composteli w Galicji.

Obecny kościół był czwartym zbudowanym nad szczątkami Marcina po jego śmierci, która miała miejsce około roku 400. Najpierw była skromna drewniana kapliczka, następnie kaplica, która uległa zniszczeniu w pożarze, ale szczątki świętego pozostały nienaruszone. Biskup Henri de Buzancais, po zapowiadanych okropnościach roku tysięcznego, wzniósł bazylikę, lecz po kilku nieszczęściach, jakie ją dotknęły, wymagała ona na przełomie XI i XII wieku odbudowy, która właściwie była niemalże budową nowego kościoła, nad którym potężną i hojną pieczę sprawował król Ludwik. Zapewniał jego

utrzymanie i nie było roku, by nie przekazał mu jakiegoś daru, choć najsilniej wyrażał swej oddanie względem Notre-Dame de Clery.

Kiedy Fiora i Leonarda, zostawiwszy Florenta na straży przy mułach usiłowały wejść do kościoła, świątynia była jak zwykle wypełniona po brzegi. Mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci, w większości pielgrzymi lub chorzy, cisnęli się wewnątrz bez przepychania, całkiem nawet spokojnie czekając na swoją kolej, by zbliżyć się do grobu przejściem otaczającym prezbiterium. Wszyscy śpiewali, wielbiąc Boga i wysławiając świętego Marcina, podczas gdy mnisi robili, co w ich mocy, aby kierować tłumem, a przede wszystkim, by przekonać tych, którzy dotarli już do celu, aby ustąpili miejsca następnym. Niektórzy bowiem wczepiali się w złocone kraty, pragnąc pozostać tam tak długo, aż ich prośby zostaną spełnione, i błagając, by zechciano ich tam zostawić. A przecież epoka wielkich pielgrzymek minęła. W tym czasie wiara była mniej egzaltowana i już nie tak często wyruszano do Rzymu, a rzadziej jeszcze do Jerozolimy. Tylko Compostela w Galicji wciąż przyciągała tłumy zmierzające licznymi szlakami gwiazdźście przecinającymi Europę, ale był sierpień i wielkie wielkanocne wyprawy dawno minęły. Jednakże bazylika Świętego Marcina w Tours, podobnie jak Le Puy, Conques, Mont Saint-Michel i wiele innych ważnych ośrodków kultu ściągały nadal wielu wiernych, których nie przerażała odległość stu czy nawet dwustu mil.

Widząc tyle ludzi, Leonarda chciała wyprowadzić Fiorę, by uchronić ją przed zbyt długim oczekiwaniem, ale młoda kobieta nie chciała o tym słyszeć. Postanowiła, że dziś prosić będzie świętego o ochronę i żadna ludzka siła nie przeszkodziłaby jej w zajęciu miejsca w kolejce do grobu. Zresztą, zauważywszy jej stan, jedna z pielgrzymujących kobiet i stary mnich prowadzący grupę wiernych z Normandii, zdołali zrobić jej miejsce i mogła zbliżyć się do relikwiarza, który jak słońce słał promienie w prezbiterium czcigodnego sanktuarium. Setki otaczających go świec zapalało błyski na złotych i srebrnych powierzchniach i w głębi różnobarwnych szlachetnych kamieni, które w nim były osadzone.

Fiora uklękła przy grobie i wsunęła rękę pomiędzy kraty, aby dosięgnąć jednej z cyzelowanych złotych płyt. Jej palce napotkały piękny, duży topaz i pogładziły go. Jednocześnie zwróciła się do świętego z żarliwą modlitwą, którą już dawno sformułowała. Wprawdzie wiara, którą kiedyś utraciła, wróciła do niej wraz z pewnością, że jest jedyną kobietą w sercu Filipa, ale nigdy nie umiała osiągnąć takiego stopnia ufnej i pozbawionej wątpliwości pobożności jak Leonarda. Dla jej piastunki istniał tylko jeden sposób na problemy, których sama nie umiała rozwiązać: zwrócenie się do Boga, do Najświętszej Panny lub

do świętego, który ze względu na swoją specjalność był najbardziej właściwy w danej sprawie. Tego dnia, modląc się za swoje dziecko, Fiora modliła się całą duszą.

Opuszczając kościół, czuła się wyciszona. Dziecko mogło przyjść na świat. Powierzyła je świętemu Marcinowi i teraz była pewna, że będzie piękne, silne i wolne od wszelkiego zła. Toteż rozdała hojną jałmużnę żebrakom błagającym ją o wsparcie, szczęśliwa, że słyszy błogosławieństwa, którymi ją obsypali, i życzenia związane z jej macierzyństwem.

Trzymając Leonardę pod ramię, zatrzymała się na chwilę, by przyjrzeć się ewolucjom linoskoczka, który wykonywał akrobacje na linie napiętej między dwoma palikami. Chłopak był młody, gibki, uśmiechnięty i w swoim pstrokatym kostiumie przypominał płomień fruujący w powietrzu za sprawą niewidocznego magika.

- Jeśli chcesz zrobić zakupy, musimy się trochę pospieszyć - poradziła Leonarda. - Wracajmy do Florenta.

Zbliżając się do miejsca, gdzie zostawiły muły, kobiety zobaczyły, że młodzieniec rozmawia z jakimś cudzoziemcem. Nie stanowili oni rzadkości w Tours, podobnie jak w innych świętych miejscach, ale rozmówca Florenta wyglądał na tyle dziwnie, że przyciągał uwagę. Wysoki, chudy, a nawet kościsty, o pociągłej twarzy, opalonej cerze i czarnych oczach południowca. Przyrodziany był jak zamożny kupiec, ale Fiorę uderzyło to, że machinalnie sięgał do pasa w taki sposób, jakby szukał rękojeści miecza.

Widząc, że nadchodzą, głęboko skłonił się dwóm kobietom, z nadmierną swobodą pożegnał Florenta ruchem dłoni i wmieszał się w tłum.

- Kim jest ten człowiek? - zapytała młoda kobieta.

- Jakimś kupcem. Przyjechał tu nabyć jedwabie, ale co zabawne, jest twoim krajanem, donno Fioro.

- To Florentczyk? Wydaje mi się, że gdybym go wcześniej widziała, zapamiętałabym!

- Nie. Nie jest z Florencji, tylko z jakiegoś innego miasta, zapomniałem nazwę. Nie pytaj mnie też, pani, o jego nazwisko, niedokładnie zrozumiałem i nie jestem w stanie powtórzyć...

- To ciekawe - powiedziała kpiąco Leonarda. - Możesz chociaż powiedzieć, czego chciał?

- Tak. Zauważył, jakie mamy piękne muły, i chciał jednego odkupić, by zastąpić tego, którego właśnie zabrała mu choroba. Rzecz jasna nie zrobiłem mu najmniejszej nadziei. Dlatego oddalił się, widząc, że nadchodzicie, pewnie nie chciał być natrętny.

- Co wskazuje na wielką delikatność - powiedziała Leonarda. - Dziwne, ale uważam, że nie wygląda na człowieka, który miałby takie skrupuły.

Fiora nic nie mówiła. Nie podobało jej się spojrzenie, jakim obrzucił ją nieznajomy. Nie było ono w niczym podobne do tych, do których przyzwyczaili ją inni mężczyźni. Żadnego podziwu, żadnej czułości, za to zimne okrucieństwo połączone z wyrazem tryumfu, od którego przebiegł jej po plecach zimny dreszcz. Poczula się tak, jakby wychodząc z wypełnionego światłem miejsca, znalazła się nagle nad przepaścią, na dnie której pełzają nieokreślone bestie.

- Jesteś zupełnie błada! - zauważyła natychmiast zaniepokojona Leonarda. - Chcesz, żebyśmy wracali?

- Nie, nie, nic mi nie jest! Nie chcę wracać, dopóki nie załatwię sprawunków.

Nieprzyjemne wrażenie zniknęło zresztą w ciepłych promieniach słońca i w ogólnej wesołości. Pełen radości głos dzwonów unosił się nad miastem, a Fiora, która uwielbiała ich dźwięk, szybko przypisała to, co czuła przed chwilą, nadmiernej nerwowości związanej z ciążą, tak więc w całkiem dobrych humorach towarzystwo dosiadło mułów i ruszyło ulicą Grand-Rue, która przecinała miasto na całej jego długości z zachodu na wschód, od Bramy Billault lub Bramy Orleans do Bramy La Riche.

Obserwowanie ulicy, nawet w dzień powszedni, było zawsze zajmujące. Gdziekolwiek spojrzeć, burzono stare domostwa i wznoszono na ich miejscu nowe, i nierzadko widziało się piękny nowiuteńki dom z fasadą z pruskiego muru, ze sklepem na parterze i ogrodem od tyłu, sąsiadujący z jeszcze niezabudowanym terenem lub z rudera, której nie zdążyły rozwalić kilofy robotników. Król Ludwik, który lubił to miasto znacznie bardziej niż stolicę, nie ustawał w wysiłkach, by uczynić je bogatym, potężnym, wspaniałym i lepiej zagospodarowanym, niż jakiegokolwiek inne. To również on założył w Tours manufaktury wytwarzające jedwabne materie, złotogłowie i srebrogłowie, których sława zaczynała przekraczać granice, a porty usytuowane na Loarze, u podnóża wysokich murów otaczających miasto, cieszyły się nieustannym zajęciem. Teraz bowiem surowy jedwab, którego jedynym dostawcą była niegdyś Florencja, francuskie statki przywoziły aż z Orientu. A mieszkańcy z Tours, którzy początkowo buntowali się przeciwko obecności pracowników spoza Alp, zrozumieli w końcu, że i tym razem król miał rację i że jego dalekosiężna wizja jak zawsze pozwoliła mu wyprzedzić wydarzenia i pomnożyć bogactwa.

Fiora natomiast, zapominając, że ten handel stanowił konkurencję dla jej miasta rodzinnego, lubiła odwiedzać sklep mistrza Guina de Bordes, który uchodził za zaopatrzonego w najpiękniejsze tafty, a zwłaszcza w te grube jedwabie, które zaczynało zwać gros de Tours. Sklep, wyłożony ciemną, doskonale woskowaną boazerią, z szafami po brzegi wypełnionymi wspaniałościami, podobał się Fiorze z powodu swej elegancji oraz miłego obejścia i uprzejmości kupca, które przypomniały jej atmosferę niegdysiejszych sklepów.

Miała ochotę na nową suknię, jak to zazwyczaj bywa, kiedy od wielu miesięcy żyje się ze zniekształconą figurą, więc kupiła kilka łokci tafty w pięknym koralowym kolorze, a później wybrała śliwkowy aksamit dla Leonardy i ładny ciemnoniebieski jedwab, który zamierzała sprezentować Petroneli. Florent załadował zakupy na swojego muła, po czym ruszyli w stronę Carroi-aux-Herbes u podnóża zamku, który dominował nad ogromnym mostem ciągnącym się nad Loarą i znajdującymi się na niej wyspami aż do przedmieścia Saint-Symphorien. Znajdowała się tam oberża słynna ze swych pasztetów ze szczupaka, a Fiora, jak to się jej często zdarzało, odkąd była w ciąży, umierała z głodu. Usiedli więc pod oplecioną winoroślą altaną przylegającą do oberży, aby podreperować siły przyszłej matki.

Miejsce było urocze, nieco oddalone od ruchliwej ulicy, która stanowiła przedłużenie mostu o dwudziestu pięciu przęsłach. Pomiędzy dojrzewającymi już kiściami winogron widać było niebieskie stożkowate dachy wież, złociste wiatrowskazy zamku i iglicę kaplicy, w której Ludwik XI poślubił Szarlotę Sabaudzką i gdzie pobrali się jego rodzice, Karol VII i Maria Andegaweńska. Wydarzenia te nie wystarczyły, by związać króla z tą elegancką twierdzą i wolał od niej zamek w Plessis.

Po spożyciu pasztetu podlanego doskonałym winem z Vouvray trójka podróżnych pozwoliła sobie na chwilę odprężenia, podjadając smażone w cukrze śliwki. Zieleń, pod którą się schowali, chroniła ich przed słońcem nagrzewającym dachy domów i rozświetlającym Carroit, ale panowała temperatura normalna dla tej pory roku, a nie upały, które dotknęły region ostatnio. Fiora i Leonarda czuły, jak rozpływają się w tym wrażeniu błogostanu, które na ogół poprzedza sen.

- Czy nie powinniśmy wracać? - zapytała jednak ta ostatnia. - To nie jest dobre miejsce na sjętę!

- Tak tu dobrze! - poprosiła Fiora. - Jeszcze chwileczkę. Pod groźbą śmierci nie umiałyby powiedzieć, dlaczego tak jej zależało, by jeszcze tu pozostać. Może z powodu tego głębokiego, całkowitego spokoju, który ją zalewał,

spokoju tym cenniejszego, gdy się wie, że nie będzie trwał, że coś się zdarzy i że wkrótce zacznie się walka. Oczywiście nie wyobrażała sobie nawet, że może to być inna walka niż poród, a tymczasem...

Spokój, w którym całe miasto zdawało się drzemać, nagle rozerwał się na kawałki. Rozległy się krzyki, których nie zrozumieli, jakieś hałasy i tupot setek stóp biegnących po bruku ulicy. Oberżysta wyszedł przed drzwi, żeby dowiedzieć się, co się dzieje, i zobaczył, że wszyscy biegną w stronę mostu.

Ktoś wrzasnął:

- Więzień! Wiozą więźnia w klatce! Jest na moście! Fiora natychmiast wstała, poderwana przez jakąś wewnętrzną siłę, której nie mogła opanować.

- Chodźmy zobaczyć!

- Oszalałaś? - zaprotestowała Leonarda. - Po co chcesz przyglądać się jakiemuś nieszczęśnikowi?

- Nie wiem, ale muszę tam być. Skoro wsadzili go do klatki, to musi to być ważny więzień.

- To szaleństwo. Nic dobrego nie przyniesie to ani tobie, ani dziecku. No, pomóż mi! - dodała pod adresem Florenta, który także wstał i patrzył na młodą kobietę z niepokojem.

On jednak tylko potrząsnął głową w milczeniu. Wystarczająco dobrze znał Fiorę, by wiedzieć, że gdy marszczyła czoło i zaciskała usta, niemożliwością było przekonanie jej do zmiany decyzji. Tym razem ograniczyła się do spojrzenia na ogrodnika.

- Chodź ze mną, Florent! - powiedziała. - Powinieneś dać radę ochronić mnie przed tłumem. Pani Leonarda poczeka na nas tutaj!

- Jeszcze czego! - zaprotestowała Leonarda. - Zaczyna mnie męczyć powtarzanie, że tam gdzie ty, tam ja. Żądam jednak, żebyśmy wzięli muły. Pójście tam pieszo byłoby szaleństwem. Upieram się jednak, że takie widowisko nie jest właściwe dla kobiety bliskiej rozwiązania... zresztą dla żadnej kobiety!

Chwilę później, wdrapawszy się na muła, którego prowadził Florent - uznał, że lepiej będzie, jak swojego zostawi w oberży wraz ze sprawunkami - Fiora z trudem posuwała się do przodu w tłumie, który się zebrał, gdy tylko rozległy się pierwsze krzyki i który przepychał się przez Bramę Saint-Genest prowadzącą bezpośrednio na most. Ludzka rzeka posuwała się powoli, gdyż w tym miejscu trakt, oddzielony od zamku głęboką fosą zasilaną przez Loarę, zwęzał się. Wkrótce zupełnie przestała się przesuwac. Zniechęcony Florent odwrócił się do Fiory, która dawała wyraz zniecierpliwieniu.



- Lepiej zrobilibyśmy, czekając tutaj! Więzień nie zostanie na moście. Z pewnością wwiozą go do miasta. Poczekajmy, aż będzie przejeżdżał.

Zanim młoda kobieta zdołała mu odpowiedzieć, zwrócił się do jednego z żołnierzy strzegących mostu zwodzonego zamku:

- Czy wiesz, dokąd prowadzą tego człowieka?

- Może do zamku Loches, chyba żeby do Plessis... albo do jakiegoś doradcy królewskiego!

- Do doradcy? Po co?

- No żeby go strzegł! To szczególny dowód przychylności naszego pana - powierzenie pieczy nad więźniem komuś, kogo szanuje - odpowiedział mężczyzna, rozbawiony zdumioną miną młodzieńca, którego zresztą ta odpowiedź nie zadowoliła i zamierzał wyjaśnić sprawę do końca:

- Ten wasz doradca musi mieć bardzo dużą bramę, skoro może przejechać przez nią klatka z więźniem.

- To znacznie prostsze - wyjaśnił tamten, niewzruszony - rozwała się część muru, a potem ją odbudowuje. Zamawia się wcześniej murarzy. Chcieliście przejechać przez most? dodał, zwracając pełen podziwu wzrok na Fiorę. - Młoda dama mieszka zapewne w Saint-Symphorien?

- Skąd! Chcieliśmy tylko zobaczyć przejazd więźnia. Mieszkamy w Plessis - dodał niby niedbale.

- To zostańcie obok mnie. Na pewno tędy przejadą. Zresztą właśnie coś się ruszyło.

Porozumiawszy się mrugnięciem z drugim strażnikiem, z galanterią ustawił oba muły na moście zwodzonym zamku, co zapewniało dwóm kobietom wymarzone stanowisko obserwacyjne bez narażania się na przepychanie. Był najwyższy czas. Wszyscy ci, którzy nie zdołali przekroczyć bramy, której wysoki łuk odcinał się od oślepiającego błękitu nieba, zostali odepchnięci do tyłu przez siłę, której nie mogli się przeciwstawić, podczas gdy ci, którzy byli na moście, nie mogli już się wycofać, gdyż orszak z więźniem odcinał im odwrót. Niektórzy spadali do wody, o czym świadczyły krzyki i donośny chlupot. Fiora czuła, że jej serce się ściska, obawiała się nieprzytomnie, że tym ważnym więźniem może być jej małżonek. Skłaniały ją do tego dochodzące głosy:

- Podobno to jakiś burgundzki rebeliant! Walczył przeciwko naszemu królowi! Jeden z ludzi tego przekłętogo Zuchwałego!

Ze wszystkich stron dochodziły okrzyki wydawane przez ludzi, którzy w gruncie rzeczy nic nie wiedzieli, głupie obelgi, nieuzasadnione i zbyt łatwe względem zupełnie bezsilnego człowieka. Wreszcie pod strzelistym łukiem

bramy pojawiła się klatka górująca nad wzburzonym morzem głów. Trzęsąc się na rzecznych kamieniach, którymi wybrukowano ulicę, rodzaj topornej platformy przesuwiał się z trudem pośród grupy jeźdźców uzbrojonych we włócznie, a na tym podwyższeniu znajdowała się klatka wystarczająco wysoka, by zmieścić się w niej stojący człowiek, klatka wykonana z grubych drewnianych listew uzbrojonych w żelazne zasuwę, w której siedział mężczyzna, wyczerpany gorącym promieni słonecznych, przed którymi nic go nie osłaniało.

Jego twarz była niewidoczna, gdyż ukrył głowę między opartymi na kolanach ramionami, może by choć częściowo osłonić się przed różnego rodzaju przedmiotami, którymi ciskał w niego motłoch, domagając się wrzaskiem jego śmierci. Człowiek ten był jednym z Burgundczyków, z którymi trzeba było walczyć przez prawie wiek i nawet tu, w krainie spokoju i dobrobytu, uraza pozostawała. W miarę jak wóz przesuwiał się naprzód, tłum był coraz głośniejszy i strażnicy musieli zrobić użytek z włócznie, by utrzymać go na dystans. Gdyby nie to, być może zdobyto by klatkę szturmem, nic nie wiedząc o więźniu.

Westchnienie ulgi wydobyło się z piersi Fiory. Filip był brunetem, a włosy tego mężczyzny, choć bardzo brudne, były jasne jak pszenica. Obrzydzenie ścisnęło ją za gardło. Z całego serca nienawidziła tych ludzi, na co dzień tak uprzejmych i spokojnych, którym sam widok nieznanego uznanego za wroga wystarczył, by zmienili się w watahę wilków. Patrzyła na tę okrutną scenę, nie mogąc oderwać od niej oczu, i rodziła się w niej ogromna litość dla tego nieszczęśnika, który musiał cierpieć tysiączne katusze w ten gorący dzień bez kropli wody do picia. Wbiła wzrok we Florenta:

- Idź do oberży i przynieś mi dzbanek zimnego wina!

Ton nie pozostawiał pola do dyskusji. Rozumiejąc, że jeśli nie posłucha, to zostanie natychmiast przegoniony, Florent nie próbował oponować, szybko znikł i wrócił po pięciu minutach z dzbankiem, który drżącą ręką podał młodej kobiecie.

- Co chcesz uczynić? - wyszeptała Leonarda, chociaż już zrozumiała.

Fiora mimo to zgodziła się wyjaśnić:

- Być może spotkaliśmy tego człowieka w ubiegłym roku w obozie księcia Karola. Chcę mu udzielić pomocy...

I, nie zwlekając dłużej, skierowała swojego muła przez tłum w kierunku klatki.

- Pani, dokąd jedziesz? - zawołał żołnierz, który zaoferował jej schronienie na moście zwodzonym.

- Tam, gdzie muszę! Ten człowiek jest więźniem. Nie skazańcem!

Thum rozstąpił się przed mułem niemal bez protestów. Ta kobieta, tak piękna i tak widocznie bliska rozwiązania, imponowała gawiedzi. Jednak jeden z uzbrojonych we włócznie żołnierzy chciał się przeciwstawić:

- Co robisz? Precz stąd!

- Jestem przyjaciółką króla Ludwika, którego święto dziś obchodzimy, i chcę podać trochę wina temu nieszczęśnikowi. Czy twoje rozkazy każą ci temu zapobiec?

- N... nie, ale...

- Masz rozkazy, które zabraniają ci przyjąć to? Ty także odczuwać musisz pragnienie, podobnie jak twoi towarzysze. Po wykonaniu zadania napijcie się za moje zdrowie. Proszę tylko o chwilę!

W jej szczupłych palcach zabłysło złoto. Żołnierz patrzył na nią z zachwytem.

- Kim jesteś? - wyjąkał. - Jesteś piękna jak Najświętsza Paniienka, nasza najśłodsza pani!

- Nieważne, kim jestem. Moim celem jest pomaganie tym, którzy tego potrzebują. Czy mogę się zbliżyć?

Thum, początkowo szemrzący, uspokajał się, widząc tę niesamowitą młodą kobietę przyodzianą w błękit, która miała autorytet księżniczki i której szare oczy spokojnie patrzyły na ludzi. Scena ta była w końcu ciekawsza od wznoszenia okrzyków, wycia i rzucania głabami kapusty w człowieka, który wydawał się nie zwracać na to uwagi. Strażnik się odsunął.

- Czyń według swego życzenia, szlachetna pani, ale masz tylko chwilę!

Fiora znajdowała się już przy klatce. Siedząc na mule, znajdowała się na tej samej wysokości co więzień i żeby unieruchomić zwierzę, schwyciła jeden z prętów.

- Weź to wino, przyjacielu! Wypij! Bardzo go potrzebujesz!

Dźwięk jej ciepłego głosu zdołał przebić grubą warstwę zapiekłego uporu, w którą owinał się mężczyzna, żeby nic nie słyszeć i nie widzieć. Podniósł znad kolan spuszczone głowę, ukazując wynędzniałą, lecz aż nazbyt znajomą Fiorze twarz.

- Mateusz! - wykrztusiła, podczas gdy więzień schwyciwszy zachłannie dzbanek, pił z niego chciwie. - Mateusz de Prame! Skąd tu się wziąłeś! Gdzie jest Filip?

Słyszając swoje imię, drgnął i dopiero teraz spojrzał znad brzegu dzbanka oczami pełnymi bólu.

- Nie żyje... - powiedział wreszcie. - Został pojmany w Dijon... jako rebeliant... i stracony. Chciałem zbuntować tłum, by uwolnić go od szubienicy. Dlatego mnie pojмали.

Przez chwilę trwali pogrążeni w głębokiej ciszy. Fiora, której serce się zatrzymało, patrzyła na skutego mężczyznę. Jego głos, dziwnie głuchy, zdawał się docierać do niej z bardzo daleka.

- Nie żyje? Chcesz powiedzieć, że... został zabity?

- Tak, przez ludzi króla! Gubernatora Dijon, pana de Craon! Nie widziałem, jak umierał, bo wcześniej mnie zabrali... ale był już u stóp szafotu... Wybacz! Pomogłaś mi, a ja sprawiam ci ból.

Fiora już nic nie słyszała. Wszystko wokół niej się kołysało: ciemnobłękitne niebo, odbłaski rzeki we wnętrzu starej bramy, wiatrowskazy zamku, pręty klatki i młoda patetyczna twarz więźnia, który szeroko otwartymi oczami patrzył, jak kobieta blednie, i nic nie mógł zrobić, żeby jej pomóc. Ale Leonarda była niedaleko. W jednej chwili jej muł znalazł się obok muła Fiory, którą schwyciła w ramiona.

- Pomóżcie mi! - zawołała - Przecież widzicie, że mdleje? A może macie serca z kamienia, nieczułe na jakiegokolwiek nieszczęście?

Strażnik ruszył jej na pomoc, a i w tłumie jakieś kobiety przepychały się łokciami, by do niej dotrzeć.

- Nie powinienem był jej pozwolić! - żałował strażnik.

- Nigdy nie zrobiłeś nic lepszego, przyjacielu! Ale trzeba przyznać, że w jej stanie widok tego nieszczęśnika nie jest odpowiedni. Czy nie możecie zachowywać się bardziej po ludzku w stosunku do więźniów?

Mężczyzna, wyraźnie zakłopotany, rozejrzał się wokół z niepokojem, a potem pochylił nad starą panną i szybko wyszeptał:

- Ona zna tego człowieka? To jej przyjaciel?

- Tak, ale jakie to ma dla ciebie znaczenie?

- Nieważne. Powiedz jej, że spróbuję mu trochę pomóc. Żeby pamiętała strażnika Marcina Venanta. Idź teraz do niej. Musimy ruszać dalej!

Fiora została przez dziesiątki pomocnych ramion zdjęta z muła i poniesiona w kierunku oberży, w której jadła posiłek. Oszałały z niepokoju Florent trzymał jej zimną dłoń. Podczas gdy strażnik wydawał polecenia. Leonarda zwróciła się do niego:

- Dokąd zabieracie tego człowieka? Wiecie?

- Do zamku w Loches! Niech cię Bóg ma w swojej opiece!

Leonarda nie odpowiedziała na skierowane do niej życzenie. Już ruszyła w stronę oberży, gdzie położono Fiorę na ławce, z poduszką pod głową.

Gospodyni klepała ją po dłoniach, a Florent nacierał skronie octem, ale nic nie działało: młoda kobieta miała blade policzki, zamknięte oczy i nie reagowała. Oddychała z trudem, ale oddychała, i tylko po tym można było poznać, że ten cios jej nie zabił.

Mimo strachu, który ścisnął jej żołądek, Leonarda zmusiła się do zachowania spokoju. Dotknęła dłoni i stóp Fiory, przekonując się, że są lodowate, po czym poleciała:

- Dajcie mi wódki i podgrzejcie cegłę, żeby przyłożyć jej do nóg. Dajcie też coś do przykrycia! Zapłacimy za wszystko, ile trzeba!

- Nie chcesz, żeby przygotować dla niej pokój?

- Nie, dziękuję. Lepiej spróbować odwieźć ją do domu. Mieszkamy w kasztelu La Rabaudiere.

- Dom w Barwinkach - powiedziała kobieta z półuśmiechem. - Znam go. Bardzo piękna siedziba!

- Tak, ale w tej chwili wydaje mi się, że leży na końcu świata! No, Florent, rusz się, zamiast patrzeć na panią zapłakanymi oczami! Postaraj się znaleźć jakąś lektykę, jakieś nosze, sama nie wiem!

Mówiąc, próbowała jednocześnie, ostrożnie i nie bez trudności, wlać pomiędzy zaciśnięte zęby chorej łyżkę wódki ze śliwek. Służąca przyniosła nagrzaną cegłę i kołdrę do owinięcia ciała Fiory, które nagle zaczęło się trząść, jakby do komnaty wpadła lodowata bryza. Mocny kordiał także zaczynał działać: Fiora zakrztusiła się i kilka razy zakaszła. Leonarda uniosła ją i poklepała w plecy. Kaszel ustał i na białych policzkach pojawił się cień rumieńca.

Otwierając wreszcie oczy, Fiora ujrzała pochylone nad nią nieznajome twarze, ale od razu zauważyła, że znajduje się w ramionach Leonardy. Próbowała usiąść, ale nie udało jej się tego zrobić.

- Co ja tu robię? - zapytała głosem wciąż zduszonym z powodu napadu kaszlu.

Należała jednak do tych osób, które szybko odzyskują zmysły, i natychmiast przypomniało jej się, co zaszło. Wybuchnęła szlochem i schowała twarz na ramieniu starej przyjaciółki.

- Zabierz mnie stąd! - powiedziała błagalnie. - Szybko! Szybko! Chcę wracać!

Na szczęście Florent wrócił z dobrą wiadomością: ksieni pobliskiego zakonu posiada lektykę i chętnie udostępni ją szlachetnie urodzonej damie, która znalazła się w trudnościach. Pojazd lada chwila będzie tutaj.

Leonarda podziękowała oberżystom za starania, za które chciała zapłacić, ale nie przyjęli pieniędzy:

- Biedna młoda pani! - powiedziała rozczulona gospodyni. - Musiało stać się coś bardzo bolesnego, że doprowadziło ją do takiego stanu! Taka się niedawno wydawała wesoła i z takim apetytem jadła pasztet! Oddajcie mi tylko któregoś dnia tę kołdrę. Dbajcie o nią!

Było to zbyteczne zalecenie. Gdy lektyka ksieni unosiła je obie w stronę dworu, Leonarda zastanawiała się z trwogą, jak zdoła opatrzeć tę nową, straszliwą ranę, którą los zadał jej ukochanej dziewczynce. Już kiedyś, po bitwie pod Grandson, kiedy widziano, jak Filip de Selongey upada, Fiora myślała, że zginął, ale może wtedy w głębi serca pozostało jej słabiutkie światełko nadziei: w czasie bitwy zdarza się, że ranny uznany za martwego wraca do życia. Tak właśnie stało się z Filipem: szczęśliwy los zesłał mu Demetriosą Lascarisa, jednego z najlepszych lekarzy świata chrześcijańskiego, i Fiora doczekała się powrotu swego małżonka żywego. Jednak jaką nadzieję, choćby bezsensowną, można zachować po wykonaniu wyroku śmierci? Leonarda ze smutkiem starała się ukoić ten rozdzierający szloch, który zdawał się nie mieć końca. Fiora, pogrążona w otchłani bólu, zdawała się z każdą chwilą zagłębiać w niej coraz bardziej i nie słyszała ani jednego z uspokajających słów, których nie szczędziła jej stara opiekunka.

Pląkała więc przez całą drogę i choć łzy płynęły słabiej, to wciąż wstrząsały nią spazmy, kiedy Stefan i Florent, poprzedzani przez Petronekę, przerażoną i niemogącą pojąć, co się dzieje, zanieśli ją do sypialni i położyli na łożu.

Dopiero leżąc, Fiora stopniowo się uspokoiła i przeszła w stan prostracji, bardziej może zatrwajający niż gwałtowna rozpacz, która go poprzedzała. Trwała w nim całe godziny, nieruchoma, pozornie obojętna, niczego nie słysząc, ale mając oczy szeroko otwarte i spojrzenie utkwione cały czas w ten sam punkt kotar otulających jej łożo. Jej krótki i płytki oddech przechodził czasem w bolesne dyszenie, którego Leonarda słuchała z rozdartym sercem, przerażona na myśl, że jej mała Fiora być może traci rozum.

Trzeba było oczywiście opowiedzieć o wszystkim Petroneli, która natychmiast zaproponowała, by zwrócić się do przeora od Świętego Kośmy, który - jak przystało na dobrego ucznia świętego patrona swego zgromadzenia - cieszył się doskonałą opinią jako lekarz zajmujący się przypadkami szaleństwa i jako egzorcysta w przypadkach opętania przez diabła. To ostatnie słowo nie spodobało się Leonardzie.

- Nie o to tu chodzi! - powiedziała oschłym tonem. - Nasza młoda pani jest w rozpacz tak wielkiej, że prawie odbiera jej zmysły. Będę przy niej czuwać

tej nocy i jeśli jutro nadal będzie w takim samym stanie, to zobaczymy, co należy zrobić. Na dziś ograniczymy się do napojenia jej lipą z miodem.

Podczas gdy poczciwa kobieta poszła posłusznie po to, o co ją proszono, Leonarda usadowiła się u wezglowia Fiory, jak to robiła tak często, dawno temu, kiedy ta jako dziewczynka była cierpiąca lub po prostu miała gorączkę, i biorąc jej bezwładnie leżącą na prześcieradle rękę, przycisnęła ją do ust, nie starając się dłużej powstrzymać łez, które od czasu tragedii usiłowała powściągnąć.

- Boże - modliła się bezgłośnie - nie zabieraj mi jej, błagam! Nie pozwól, by straciła rozum przez tego, którego kochała za bardzo, i by zagubiła się we mgle szaleństwa. To dziecko, które się wkrótce urodzi, nie ma już ojca. Nie odbieraj mu matki! Wiem, że będzie jeszcze cierpieć, że znajduje się na początku nowej drogi krzyżowej, że nieświadomość jest dla niej miłosierdziem...

Przerwała. Fiora nagle jęknęła i Leonarda uniósłszy głowę, zobaczyła, że patrzy na nią szeroko otwartymi ze strachu oczami.

- Boli mnie! - wyszeptała. - Tak jakby mi ktoś wbijał nóż, tu, w brzuch!

Ostry, gwałtowny ból wyciągnął ją z przepaści, do której spadała i wydobył na powierzchnię życia. Aby się od niego wolnić, przewróciła się na bok, podciągając nogi do brzucha, ale cierpienie nie mijało. Było jak paląca fala przepływająca przez trzewia i wyczerpanym przez rozpacz umysłem nie umiała pojąć, skąd mogło się brać.

Leonarda natychmiast odrzuciła prześcieradła i kołdry, aby przyjrzeć się zwinętemu w kłębek ciału, i przesunęła ostrożne dłonie po napiętym brzuchu. Szukające wsparcia spojrzenie Fiory było jak wzrok uwięzionego zwierzęcia. Nagle, jakby cudem, ból się uspokoił pod dłońmi Leonardy i Fiora poczuła, że prześcieradła są mokre...

- Co mi... co mi jest? - wyszeptała.

Przez zalewające ją łzy zobaczyła pokrytą zmarszczkami, promienną twarz Leonardy.

- Nic, mój aniołku, nic, co nie byłoby zupełnie naturalne! Dziecko chce przyjść na świat. Będiesz musiała być dzielna.

- Dzielna? Nie jestem dzielna i myślę, że już nigdy nie będę! Filip! Mój Filip!

Odradzający się ból natychmiast rozproszył rozpacz, sprowadzając Fiorę do stanu kłębka cierpienia. Petronela, która przyniosła zaparzoną lipę, od razu zrozumiała, co się dzieje.

- Dziecko jest w drodze? - zapytała radośnie. - Przygotuję zaraz wszystko, co trzeba!

Natychmiast zaczęła rozpalać ogień w kominku w sypialni, po czym ustawiła na nim kociołek z wodą. W kuchni była już gorąca woda, ale pomyślała, że tej nigdy nie będzie za dużo. Po czym ogrzała prześcieradła, żeby wymienić pościel Fiory, i ułożyła stos bielizny oraz ręczników. Leonarda nie ruszała się od wezglowia i nie puszczała dłoni przyszłej matki, która wczepiła się w nią z całej siły.

Jak długo trwała nawałnica bólu, który opanował Fiorę? Nie umiałyby tego powiedzieć, ale okres ten wydawał jej się wiecznością. Czas się zatarł, a wraz z nim świadomość wszystkiego, co nie było torturą ciała. Cierpienie zmiotło nawet jej rozpacz. Wkrótce ból nie pozostawiał jej już chwili przerwy czy odpoczynku. Czowała się tak, jakby dziecko niczym olbrzym trzęsący murami więzienia wszystko w niej rozrywało, by szybciej wydostać się na świat. Jedyną realną rzeczą, oprócz straszliwego cierpienia, była zaniepokojona twarz Leonardy oświetlona ogniem na kominku, dłoń Leonardy trzymająca mocno jej rękę i głos Leonardy, który szeptał słowa otuchy.

Teraz Fiora już nie krzyczała, ale z jej wysuszonych warg, które Leonarda zwilżała od czasu do czasu, wydobywał się ciągły jęk. Dyszała schwytna w pułapkę tego nieubłaganego cierpienia, którego nie mogła przerwać żadna siła ludzka, żadna magia i które trzeba było wytrzymać aż do jego naturalnego końca. Co jakiś czas Leonarda przecierała jej spocone czoło kawałkiem płótna nasączonego wodą królowej Węgier i świeży zapach na chwilę otrzeźwiał rodzącą, po czym dziecko znów robiło się natarczywe i pogrążało matkę w cierpieniu.

Wyczerpana już wcześniej rzewnym i długim płaczem Fiora rozpaczliwie pragnęła chwili, jednej jedynej, przerwy, która pozwoliłaby jej poddać się ogromnemu zmęczeniu. Tak bardzo chciało jej się spać!... Spać! Przestać cierpieć! zapomnieć... Czy ten okropny ból kiedyś się skończy? Czy będzie mogła znowu spać?

Petronela, która zdecydowanie umiała wszystko i której nic, co związane z prowadzeniem porodu, nie było obce, badała od czasu do czasu Fiorę błagającą, by zostawiła ją w spokoju. Następnie szeptem informowała Leonardę o stwierdzonych postępach.

Gdy noc zbliżała się ku końcowi, świadomość młodej kobiety zaczęła zasnuwać się mgłą. Petronela, która odsunęła nawet Leonardę, poleciła jej pomóc w akcji porodowej i przeć.

- Nie mogę... Nie mogę już... - szlochała Fiora. - Pozwólcie mi umrzeć!

- Nie umrzesz, a dziecko będzie tu za kilka minut. Bądź jeszcze przez chwilę dzielna, moja śliczna!



Dzielna? Fiora nawet już nie wiedziała, co to znaczy. Posłuchała jednak, niemal odruchowo, i nagle poczuła ból silniejszy, niż wszystkie poprzednie, ból przewyższający wszystkie bóle, który spowodował, że zawyla. Florent, który czekał w ogrodzie, padł na kolana i zasłonił uszy dłońmi. Ale to był ostatni krzyk. W następnej chwili Fiora, uwolniona od cierpienia, pogrążyła się w tej błogosławionej nieświadomości, której tak pragnęła. Nie słyszała ani zachrypniętego piana koguta, ani pełnego złości krzyku dziecka, które Petronela z wprawą klepała w pośladki, ani radosnego okrzyku Leonardy:

- To chłopiec! Wolała zemdleć.

Kiedy odzyskała przytomność, zdawało jej się, że pływa w lekkiej mgle. Jej ciało przestało istnieć. W cudowny sposób zerwała cumy, które łączyły ją z okrutną i bezlitosną ziemią, zdawało jej się wręcz, że wstąpiła do królestwa błogosławionych. Jednakże znajomy głos Leonardy udowodnił jej, że wciąż przebywa wśród żyjących:

- Otworzyła oczy - mówił ten głos. - Petronelo przynieś mi szybko jajko rozbite w mleku! Trzeba przywrócić jej siły.

Fiora instynktownie przesunęła dłonie wzdłuż ciała i stwierdziła, że znów jest płaskie, prawie jak kiedyś. Przypomniała sobie wówczas, przez co przeszła, i zapytała wciąż jeszcze słabym głosem:

- Dziecko? Urodziło się?

- Oczywiście, że się urodziło! Oto ono!

W ramionach Leonardy znajdowało się białe zawiniątko z delikatnego płótna, które stara panna ruchami pełnymi nabożeństwa umieściła między ramieniem młodej matki i jej piersią. Fiora nieco się uniosła i zobaczyła czerwoną i pomarszczoną twarzyczkę w śnieżnym obramowaniu czepeczka z haftowanego batystu, dwie piąstki, mikroskopijne a jednak doskonałe, przyciśnięte do malusieńkiego noska. Odsunęła nieco ramię, by lepiej je trzymać i instynktownie uśmiechnęła się do tego dziecka, które było jej własnym.

- Boże, jaki on jest brzydki! - szepnęła, głaszcząc ostrożnie palcem jedną z rączek.

- Chyba chcesz powiedzieć, że wspaniały! - zapiała Petronela, która przyniosła mleko. - Wyrośnie na przystojniaka, możesz mi wierzyć. Ale coś mi się wydaje, że nie jest do ciebie szczególnie podobny...

Uciszyło ją szturchnięcie Leonardy, ale Fiora przyjrzała się ponownie malutkiej buzi, podczas gdy gorzka fala smutku, na chwilę odepchnięta przez udreki porodu, znów brała ją w swoje władanie.

- Jest podobny do swojego ojca. Do ojca, który go nigdy nie zobaczy!

Trzeba było wiele troski i wielu słów Leonardy, by ukoić ten kolejny atak płaczu. Fiora uspokoiła się w końcu, zgodziła się zjeść lekki posiłek, po czym zasnęła tym dobroczynnym snem, o którym tak marzyła w trakcie nocnych męczarni. Leonarda zabrała niemowlę, które Fiora do siebie przytulała, i zaniósła je do kołyski umieszczonej w jej własnym pokoju, by matka mogła spokojnie odpoczywać.

Jako że i ono zasnęło, poszła po wodę, aby się nieco umyć, co po nieprzespanej nocy było konieczne, włożyła czystą suknię i świeżo wyprasowany kornet, po czym zeszła do kuchni, żeby zjeść śniadanie, którego pilną potrzebę odczuwała.

Petronela zajęta była wychwalaniem przed swoim Stefanem niezliczonych zalet tego, które nazywała już „naszym dzieckiem”, pospieszyła jednak z podaniem jej dużej miseczki namoczonego w mleku piernika i gorących gofrów, racząc ją przy tym swoim niestrudzonym gadulstwem. Stefan pomyślał, że stwarza to okazję, by zwiąć, wypił jednym haustem duży kubek domowego cydru i zniknął.

Rozwazały właśnie imiona, jakie chłopczyk mógłby otrzymać na chrzcie, kiedy Florent wrócił z sadu z koszykiem śliwek w rękę. Posępny wyraz jego twarzy uderzył obydwie kobiety.

- Nie powinienes robić takiej miny, mój chłopcze! - powiedziała Petronela. - Nasza młoda pani szczęśliwie powiła dziecko i tylko to się liczy. Na razie zażywa zasłużonego odpoczynku.

- Trochę zbyt szybko zapominasz o tym, co wydarzyło się wczoraj - powiedział młodzieniec. - Cierpiała przez całą noc i teraz śpi, ale nie będzie spać wiecznie. Co się stanie, gdy znajdzie się w obliczu rzeczywistości?

- Myślisz, że się nad tym nie zastanawiam? - spytała Leonarda. - Niedawno znowu zaczęła płakać, a myślałam, że nie została jej już ani jedna łza. Trzeba będzie troszczyć się o nią i mieć nadzieję, iż przeniesie na syna całą tę miłość, którą darzyła pana Filipa. Ale jest pewne, że my wszyscy, którzy ją kochamy, znajdujemy się w rękę Boga...

- Niewątpliwie, ale nie tylko o to chodzi! Przypominasz sobie, pani Leonardo, tego kupca, który wczoraj interesował się naszym mułem na dziedzińcu przed kościołem Świętego Marcina?

- Tego cudzoziemca, którego twarzy zupełnie nie mogłam sobie przypomnieć?

- Tak. No więc właśnie spotkałem go w alei dębów. Szedł tutaj.

- Po co?

- Zapytałem go. Odpowiedział, że szuka zamku najjaśniejszego pana...

- Co za bzdura! Nie przechodził przed zamkiem w Plessis i nie widział strażników przy bramie?

- Dokładnie to mu powiedziałem. Odrzekł, że właśnie strażnicy potraktowali go grubiańsko i szuka innego wejścia, z mniej nieprzyjemną strażą. Przyznam, że nie byłem dla niego znacznie uprzejmiejszy od wartowników. Król, powiedziałem mu, nie wrócił jeszcze z wojny i cudzoziemcy nie mają czego u niego szukać. Odpowiedział na to, że wie, ale że tak zachwalano mu cudenka tego zamku, że zapragnął go obejrzeć przed powrotem do swojego kraju. Myślał, że może jest jakaś brama łącząca park królewski z naszym. Na koniec nawet sięgnął do sakiewki. Proponować mi pieniądze, żebym wpuścił go tutaj!

- zakończył Florent wciąż czerwony z oburzenia. - Wyobrażacie sobie coś takiego?

- Co z nim zrobiłeś? - zapytała Leonarda, rozprawdzając łyżkę miodu na gofrze.

- Powiedziałem mu, że nie ze mną takie gierki i żeby ruszał swoją drogą. Co zresztą zrobił, wruszywszy ramionami, ale z uśmiechem, który mi się wcale nie podobał. Odwracał się wiele razy, odchodząc, żeby jeszcze spojrzeć na nasz dom. Może nie mam racji, ale zrobił na mnie nieprzyjemne wrażenie.

Petronela, w której drzemał duch psa strzegącego domu, oświadczyła wówczas, że jej także nie podoba się ta historia i że nie później niż zaraz wyśle Stefana do Plessis, żeby zobaczył się z panem Etienne'em Le Loup, kamerdynerem króla, który czuwał nad jego siedzibą w trakcie królewskiej nieobecności, aby opowiedział mu o tym incydencie. Nie żeby obawiała się, iż samotny cudzoziemiec może spowodować jakieś szkody w królewskiej siedzibie, zawsze ściśle strzeżonej, ale żeby Le Loup rozciągnął swoją ochronę na Dom w Barwinkach.

Leonarda przyznała, że to dobry pomysł, i poprosiła, by ochrona była na tyle dyskretna, aby nie niepokoić Fiory, która w ciągu ostatnich dwóch dni otrzymała większą dawkę bólu i niepokoju, niż można znieść.

- Być może robimy z igły widły - zakończyła. - Może ten cudzoziemiec to rzeczywiście tylko jakiś ciekawski.

- Pozory ciekawości mogą skrywać szpiega - stwierdził Florent, który się nie poddawał. - Albo kogoś jeszcze gorszego: adoratora!

- Dlaczegoż to adorator miałby być gorszy od szpiega? - zapytała Leonarda, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

- Już wyjaśniam. Wiem, że wielu mężczyzn podziwia donnę Fiorę i że zawsze będą kolejni, ale nie chciałbym, żeby miała do czynienia z takim

osobnikiem, jak ten. Nie widziałaś, jakie ma oczy? Zimne i okrutne. Nie sądzę zresztą, żeby był kupcem. Na piętnaście metrów czuć od niego żołnierza.

Tym razem Leonarda nic nie powiedziała. Wspomnienie, jakie zachowała o cudzoziemcu, podpowiadało jej, że Florent, inspirowany być może swoją mającą na wszystko baczenie miłością, mógł mieć rację. Tym bardziej że nieznajomy pochodził z Włoch, a Leonarda wiedziała z doświadczenia, że ciemne typy miały tam bardziej sprzyjające warunki bytu, niż w królestwie francuskim, gdzie twarda ręka króla Ludwika i policja pod dowództwem Tristana L'Hermite budziły w obwiesiach zbawienny strach. Tak czy inaczej, nie zaszkodzi, jak dom będzie nieco lepiej strzeżony. Przynajmniej do powrotu króla, który nie mógł być odległy.

Jednak dni mijały, a nikt więcej nie widział niepokojącego osobnika.

## Rozdział czwarty

### Zamach

Wbrew obawom otoczenia Fiora bardzo szybko doszła do siebie po porodzie. Pięć dni później stanęła na nogi i robiła wrażenie całkiem zdrowej, ale nie miała mleka, by karmić małego Filipa. Trzeba więc było niezwłocznie postarać się o mamkę, której usługi Leonarda i Petronela na szczęście zagwarantowały sobie wcześniej w przewidywaniu takiego, zawsze możliwego, rozwoju zdarzeń. Była to silna dziewczyna z wsi sąsiadującej z Savonnieres, która pozostawiwszy swe najmłodsze dziecko pod opieką matki i rodzinnego stadka kóz, z wyraźnym zadowoleniem zamieszkała we dworze. Była raczej dobrym nabytkiem - zawsze w świetnym humorze, łagodna i cicha, wyraźnie uwielbiała dzieci i natychmiast przywiązała się do powierzonego jej noworodka. Miękkie legowisko i obfite posiłki Petroneli podbiły ją do reszty i Marcelina - tak miała na imię - zajęła miejsce wśród mieszkańców Domu w Barwinkach z mocnym postanowieniem pozostania w nim jak najdłużej. Od razu nawiązała nić porozumienia z resztą domowników i choć Fiora robiła na niej ogromne wrażenie, uznała to za najnormalniejszą rzecz na świecie, w końcu była właścicielką kasztelu. Ani przez chwilę nie wyobrażała sobie, że przed jej oczami rozgrywa się dramat.

Fiora bowiem nie była już tą samą osobą i ci, którzy żyli obok niej, z trudem ją rozpoznawali, kiedy się pojawiała - szczupła i wysoka czarna postać, którą żałobne welony czyniły podobną do ducha. Przestała się śmiać, ledwie się odzywała i spędzała długie godziny, siedząc we wnęce okiennej i patrząc na Loarę przepływającą na końcu jej małej posiadłości. Porzuciła całkowicie haft, który stanowił jej rozrywkę w czasie ciąży, a smukłe dłonie bezczynnie spoczywały na czarnej materii sukni. Najwidoczniej zabrakło jej łez i ani razu nie wymówiła imienia swego małżonka. Więcej nawet - - kiedy Leonarda kojącymi słowami próbowała zaleczyć ranę, której istnienie podejrzewała, ucieła krótko:

- Nie! Na litość boską, nie odzywaj się do mnie! Nigdy mi o tym nie mów. Umarł z dala ode mnie... i to wyłącznie moja wina!

Po tych słowach wyszła z komnaty, jakby uciekała, zeszła do ogrodu i usiadła pod niewielką pergolą z róż mchowych, arcydziełem Florenta. Ten zresztą był niedaleko, zajęty porządkowaniem kobierca z goździków, które koty potar mosiły, bijąc się wśród nich przy pełni księżyca. Jego pierwszym odruchem było podejść do młodej kobiety, ale zauważył jej nieruchomą twarz,

nieobecne spojrzenie, i nie ośmielił się z obawy przed odprawą, która by go zraniła. Jego piękna pani zdawała się tracić duszę.

W pewnym sensie tak było. Fiora wiązała swoją rozpacz i swoje wyrzuty sumienia z tą chwilą obłędu, kiedy wyrwała się z ramion Filipa, aby od niego odejść, obwarowana murem swej zranionej dumy i rozczarowania. A przecież czekała, marzyła o tych godzinach szczęścia, które przerwała! A wszystko dlatego, że Filip, zamiast zostać z nią, miał zamiar kontynuować swoje dotychczasowe życie, w całości poświęcone służbie władcy, odesławszy ją do swego burgundzkiego zamku. W tamtej chwili pomysł ten wydał jej się absurdalny, a kiedy wymówił słowo „posłuszeństwo”, zbuntowała się całym swoim jestestwem. Nie chciała takiego życia, jakie jej oferował. Czy to nie on, którego przewinienia wobec niej były tak wielkie, powinien wreszcie udowodnić, że kocha ją najbardziej na świecie i starać się uczynić ją szczęśliwą? Tak, tak właśnie myślała wtedy i w każdej następnej chwili, aż do tej straszliwej minuty, kiedy Mateusz de Prame opowiedział jej o tym, co zdarzyło się w Dijon pewnego lipcowego dnia, kiedy ona w tym samym pięknym ogrodzie przechadzała się szczęśliwa, nosząc jego dziecko i żywiąc nadzieję, że pewnego dnia go tu ujrzy.

Dręczące myśli wciąż krążyły w jej głowie. Gdyby zgodziła się na odwiezienie do Selongey, na sposób życia, który jej proponował, czy wszystko potoczyłoby się inaczej? Czy zostałyby z nią? Rozum podpowiadał jej, że znajdowałyby się teraz w tym samym punkcie, że w życiu Filipa wszystko odbyłoby się tak, jak wcześniej postanowił, że kontynuowałyby tę bezsensowną walkę o niepodległą Burgundie, która była już tylko ułudą, i że tak czy inaczej nie uniknąłby szafotu.

Szafot! Co za przekleństwo wlokła za sobą ta konstrukcja z kamienia i drewna, która nasyciwszy się krwią jej rodziców, wchłonęła teraz krew mężczyzny, którego kochała? Czy wszystko, co składało się na jej życie, musiało koniecznie potykać się o to straszne narzędzie sprawiedliwości? Może gdyby oplotła ramiona z całej siły wokół Filipa udałoby się jej utrzymać go przy sobie, powstrzymać go od wyruszenia w kierunku tego straszego losu i tak bezużytecznego poświęcenia!

Choć Dom w Barwinkach był położony z dala od zgiełku świata, to od czasu do czasu docierały do niego świeże wiadomości, które Petronela przynosiła z targu albo które Florent zasłyszał w mieście. W ten właśnie sposób dowiedziano się, że 18 sierpnia Maria Burgundzka poślubiła Maksymiliana. Pewnego dnia zostanie cesarzową Niemiec i nie potrzebuje już Burgundii, którą zresztą niebezpieczne postępowanie zmarłego księcia prawie od niej oderwało.

Filip zginął za nic, za nic, nawet nie dla idei. Nie walczy się historią, ale on nie chciał tego wiedzieć: chciał natomiast zachować dla „swojej” księżniczki spuściznę przodków, a Fiora nie wiedziała teraz sama, kogo bardziej nienawidzi: tej Marii, która powiodła Filipa do zguby, czy komendanta Dijon - jak on się nazywał? sire de Craon? - który podpisał rozkaz egzekucji.

Jedyne chwile spokoju, kiedy opuszczał Fiorę wir myśli, zdarzały się wtedy, kiedy spędzała czas z synkiem. Niemowlę było wspaniałe. Pokarm Marceliny zdawał się doskonale mu służyć i zapowiadało się na duże, silne i być może zadowolone z życia: dużo gaworzyło, płakało mało, a nawet wcale, bo kiedy wpadało w złość, jego oczy o nieokreślonym jeszcze kolorze pozostawały suche. Przy nim Fiora nie czuła nic poza uwielbieniem, a kiedy trzymała je w ramionach i gładziła opuszkami palców brązowy meszek na jego główce, tonęła w takim morzu miłości, że przez chwilę zapominała o cierpieniu. Pozostawała więc na moment przy kołysce, kruchej łódce, w którą, niby osoba, która tonie, wczepiała się, żeby nie oszaleć. Kiedy tylko od niej odchodziła, wracały gorzkie rozmyślenia.

Zbliżało się winobranie, kiedy nagle okolica się ożywiła. Zamek Le Plessis, który zdawał się drzemać pod nieobecność swego pana, obudził się. Rozpoczęto generalne porządki i uzupełniano zapasy w kuchni, a do zamku przybywali posłańcy z rozkazami i przyjeżdżały wozy z meblami: jednym słowem król Ludwik XI powracał.

To, że jest niedaleko, zapowiedział przyjazd wyposażenia jego kaplicy, z którym nigdy się nie rozstawał. Przebywał w Amboise z wizytą u królowej Szarloty, swej małżonki. Od siedziby w Plessis wołała ona znacznie bardziej swój piękny zamek wzniesiony na zboczu, u stóp którego płynęła Loara. Król jednak nigdy nie pozostawał tam dłużej i dwa dni po przybyciu kaplicy usłyszano dźwięk srebrnych trąbek zapowiadających jego powrót.

Tego dnia, po raz pierwszy od narodzin syna, Fiora przerwała milczenie i zamiast po kolacji wejść na górę do swojej sypialni, jak to miała ostatnio w zwyczaju, została w jadalni i poprosiła Leonardę, by dotrzymała jej towarzystwa. Wieczór był dosyć chłodny, więc Florent zapalił w kominku narecze żywicznych sosnowych gałęzi, które wesoło trzaskały i rozlewały swą woń w przestronnej, cichej komnacie. Młoda kobieta marzyła przez chwilę, patrząc w ogień, po czym przeniosła na Leonardę zmęczone spojrzenie.

- Moja droga Leonardo, już teraz proszę cię o wybaczenie tego, co zamierzam zrobić. Wierz mi, że zanim podjęłam decyzję, długo się zastanawiałam. Nieobecność króla dała mi czas, ale skoro wrócił, nie mogę tego dłużej odkładać.

- Nie mam pojęcia, o czym chcesz mi powiedzieć, Fioro, ale wiem, że jedyną rzeczą, jaka teraz się dla mnie liczy, jest to, żebyś ze mną w końcu porozmawiała. Ta długa cisza doprowadzała mnie do rozpaczki. Wydawało mi się... że nie liczę się już dla ciebie, ponieważ nie powierzasz mi już swych trosk i...

Głos załamał się i przeszedł w szloch, który stara panna dzielnie przełknęła, ale w jej niebieskich oczach, zdających się zachowywać wieczną młodość, błysnęła łza. Młoda kobieta położyła rękę na dłoni swej wiernej towarzyszki.

- Cóż mogłabym ci powiedzieć takiego, o czym już nie wiesz? Jestem ci natomiast wdzięczna, że pozostawiłaś mnie mojemu milczeniu. Nie mogłam słuchać żadnego głosu, poza głosem mojego bólu i wyrzutów sumienia.

Te słowa sprawiły, że Leonarda podskoczyła, a jej smutek zniknął w okamgnieniu.

- Wiedziałam, że o to chodzi! Wyrzuty sumienia? Dlaczego? Bo nie pozwoliłaś messire Filipowi zamknąć się w Selongey, gdzie zostałby tylko na krótko, bo tak mu się spieszyło do walki? Chcesz powiedzieć, że to zmieniłoby cokolwiek w okropnym następstwie wypadków i że byłabyś mniej nieszczęśliwa w jego zamku niż tutaj?

- Bez wątpienia nie, ale byłabym w Selongey, jak chciał, i to jest cała różnica. Leonardo, człowiek, który nakazał zgładzić mojego małżonka, jest komendantem Dijon „w imieniu króla”, a ja uważam, że nie mam prawa wychowywać jego syna w domu podarowanym przez króla.

- Słodki Jezu! - jęknęła stara panna, która zbladła jak ściana. - Nie mów, że chcesz znowu wyruszyć w pościg za tą nie wiadomo jaką bezsensowną zemstą? Nie mów, że zacznie się od początku to wszystko, co przeżyliśmy przez dwa straszne lata? Przysięgam przed Bogiem, który mnie słyszy, że nie mogłabym tego znieść. Nie, nie mogłabym!

Tym razem wybuchnęła płaczem i schowała twarz w drżących dłoniach. Niepocieszona z powodu tej rozpaczki, którą spowodowała, Fiora opadła przy niej na kolana, jak to robiła w dzieciństwie, kiedy coś przeskrobała i prosiła o wybaczenie. Potem otoczyła opiekunkę ramionami.

- Uspokój się, moja droga - powiedziała łagodnie. - Przysięgam na wszystko, co dla mnie najświętsze, że zamiar zemsty nawet nie przebiegł mi przez myśl i że całkiem go zarzuciłam. Wiem, co wycierpiałaś, i bardzo często miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Zresztą nie udało mi się zrealizować poprzedniego planu. Podobnie jak Demetriosowi! Młyny Pańskie miały powoli, ale sprawiedliwie, a ziarnka piasku, którymi jesteśmy, okazywały zbyt wielkie mniemanie o sobie! Nigdy więcej zemsty, moja Leonardo, nigdy!



- Naprawdę?

- Nie masz do mnie zaufania? Tylko dlatego poprosiłam cię przed chwilą o to, byś z góry przebaczyła mi to, co zamierzam uczynić, bo wiem, jak szczęśliwa się tu czujesz, jak jesteś przywiązana do tego domu, podobnie zresztą jak ja. Trudno będzie go porzucić, ale musisz mnie zrozumieć: choć nie chowam urazy do króla z powodu tego wyroku śmierci, o którym zapewne nawet nie został poinformowany, to ten sire de Craon wydał go w jego imieniu. Pozostanie tutaj byłoby milczącą zgodą na to, co uczyniono. Mój syn kiedyś czyniłby mi z tego powodu wyrzuty.

Fiora wstała i przechadzała się powoli wzdłuż kominka, z dłońmi ukrytymi w szerokich rękawach. Leonarda śledziła ją wzrokiem z pewnym przygnębieniem. Później przeniosła wzrok na wnętrze, w którym przebywały, i czując, jak żal ściska jej serce, zrozumiała, jak drogie stało się jej to miejsce, w którym miała nadzieję dożyć końca swych dni. Wreszcie się odezwała:

- Czy to oznacza, że zamierzasz wychować to dziecko w wyłącznej miłości do Burgundii i nienawiści do Francji?

- Nie, oczywiście, że nie, ale...

- Kiedy będzie miał dwadzieścia lat, Burgundia pewnie już od dawna będzie francuską prowincją. Król Ludwik może już odejść z tego świata, ale panować będzie jego syn, a twój będzie jednym z jego poddanych. Czy chcesz już teraz umieścić go w szeregach wrogiego obozu, który zresztą niemal nie istnieje, jako że w przypadku dawnych poddanych księcia Karola chodzi o wybór między Francją i Niemcami? Trzeba myśleć o jego przyszłości. Jaka będzie twoim zdaniem ta przyszłość, jeśli obrazisz króla, zwracając mu prezent, który ci dał?

- Król jest mądrym człowiekiem, na pewno to zrozumie. Bardziej naturalne będzie, jeśli zabiorę syna do Selongey.

- Czy jesteś chociaż pewna, że zamek w Selongey jeszcze istnieje?

Fiora zatrzymała się i wbiła w Leonardę zdumiony wzrok.

- A dlaczego miałby nie istnieć?

- Bo we wszystkich krajach na świecie, kiedy człowiek zostaje skazany z powodu rebelii, jego dobra zostają przejęte przez Koronę, a fortyfikacje zburzone. Niewykluczone, że zamek został zrównany z ziemią. A jeśli nasz mały Filip nie ma już nic poza tym kasztelek, który chcesz zwrócić?

- Zapominasz, że Agnolo Nardi pomnaża tę część majątku, którą odziedziczyłam? Będzie miał chociaż to!

- Niewiele jak na wielkiego pana, którym ma prawo być. Dlaczego jutro, zamiast rzucać królowi Ludwikowi pod nogi tytuł własności, nie złożysz raczej

skargi? Udowodnił, że możesz mieć do niego zaufanie i że żywi do ciebie szczerą przyjaźń. Poza tym, jak sama przed chwilą mówiłaś, to mądry człowiek... ale nie zapominaj, co powiedział messire de Commynes podczas swojej ostatniej wizyty: król się zmienił i robi teraz wrażenie, jakby ta wojna, której nienawidził, sprawiała mu przyjemność. Wygnał nawet swojego najrozsądniejszego doradcę...

- Do Poitiers? To żadne wielkie wygnanie.

- Niewątpliwie, ale sire d'Argenton myślał, że szybko z niego wróci, a wciąż go nie widzimy na dworze. Strzeż się, by nie urazić króla, Fiore! Głębia jego umysłu kryje być może niezgłębione otchłanie. Dokąd zamierzasz się udać po wyjeździe stąd, teraz, u progu zimy? Prosto do Selongey?

- Nie, nie od razu. Najpierw pojedę do Paryża, do naszych przyjaciół Nardich, którzy na pewno będą szczęśliwi mogąc nas gościć i którzy...

- .. i którzy będą może nie całkiem szczęśliwi, jeśli przybędziemy do nich jako osoby niepożądane, może jako banici? Dokąd wtedy pojedziemy z kilkumiesięcznym dzieckiem na rękach? Ten dom należy do ciebie, Fiore, i nie masz już innego! Pomyśl o tym jutro, kiedy pójdziesz do króla!

- Jesteś straszliwie logiczna, Leonardo, i możliwe, że masz rację, ale wydaje mi się, że Filip, tam gdzie jest, wygania mnie stąd, krzyczy, że miejsce moje i jego syna nie znajduje się przy królu, którego nienawidził.

- Tam, gdzie jest? Cóż możesz wiedzieć o życzeniach tych, którzy opuścili ten padół? Wydaje mi się, że przede wszystkim trzeba pomyśleć o otrzymaniu rozgrzeszenia i przebaczenia wszystkich popełnionych błędów. Rób, jak uważasz, mój aniołku, chodzi o twoje życie i życie twojego dziecka, a ja jestem zawsze gotowa ruszyć z wami, dokąd uznasz za stosowne, bo najważniejsze, bym mogła być przy tobie. Ale jest jeszcze ta poczciwa Petronela i jej mąż. Zdążyli się przywiązać do małego Filipa. Złamiesz im serce.

Fiora nie zmrużyła tej nocy oka. Rozważała bez końca słowa Leonardy, ale nie udało jej się znaleźć rozwiązania.

Oczywiście Leonarda miała rację w wielu punktach, ale do Fiory wracała ta sama obsesyjna myśl: pozostanie tutaj oznaczałoby zdradę pamięci Filipa, a ona czyniła sobie już zbyt wiele wyrzutów, żeby dokładać nowe. Jednakże, obiecała sobie, użyje wszystkich zdolności dyplomatycznych, żeby nie zmienić przyjaznego Ludwika XI w rozgniewanego wroga.

Postanowiła udać się do Plessis z samego rana, w okolicach godziny, o której król wychodził z mszy. Jednak w chwili, gdy zamierzała wyruszyć w drogę, usłyszała szczekanie psów i trąbki zapowiadające wyjazd na polowanie. Najwyraźniej, ledwie wróciwszy do zamku, władca natychmiast oddał się

swojej ulubionej rozrywce, która w jego przypadku była prawdziwą pasją. Lepiej było nie opóźniać jego odjazdu, to mogłoby go wprowadzić w zły humor.

Tak więc dopiero późnym popołudniem Fiora, w czarnej aksamitnej sukni i wysokim przybraniu głowy ze srebrzystej tkaniny podtrzymującym żałobny welon, dosiadła muła. Wraz z Florentem ubranym w najlepsze odzienie skierowała się do zamku i wjechała na drogę wyłożoną dużymi kamieniami, która łączyła miasto Tours z siedzibą władcy. Jeśli polowanie było owocne, miała duże szanse, że zostanie przyjęta uprzejmie. Tak czy inaczej było rzeczą naturalną, że przybywa pokłonić się królowi i pogratulować mu szczęśliwego powrotu. I Fiora wyruszyła, nie oglądając się za siebie, by nie widzieć patrzących na jej odjazd Leonardy i Petroneli z niemowlęciem na ręku. Zacerwienione oczy Petroneli, niewątpliwie poinformowanej przez Leonardę o wszystkim, budziły w niej bolesne uczucia i prześladowały ją do tego stopnia, że dotarwszy do pierwszego ogrodzenia Plessis-lez-Tours, omal nie zawróciła muła, zastanawiając się, jakim prawem zamierza sprawić tyle bólu tak poczciwym ludziom. Jednakże w jej naturze leżało realizowanie podjętych decyzji do końca, więc po krótkim postoju ruszyła w stronę bramy otoczonej z boków przez dwie ząbkowane wieże strzeżone przez łuczników z gwardii szkockiej.

Przyjaźń z dawna łącząca Fiorę z sierżantem Douglasem Mortimerem była wszystkim znana i żołnierze nie tylko nie zabronili jej wejścia, ale skłonili się z uśmiechem, który każdy normalny mężczyzna przeznaczają dla ładnej kobiety. Na podwórzu panowało zamieszanie związane z przeprowadzką. Z jednej strony znajdowały się kwatery gwardii, gdzie słudzy robili porządki, podczas gdy posługaczki zbierały bieliznę, by zanieść ją do pralni. Bardziej na zachód, w pobliżu malutkiej kapliczki poświęconej Notre-Dame de Clery, którą król najbardziej sobie upodobał, żołnierze odpowiedzialni za pilnowanie wielkiej czworobocznej wieży wznoszącej się z dala od murów, wygrzewali się w przedwieczornym słońcu lub grali w kości. Z drugiej strony znajdował się drugi kościół, poświęcony świętemu Maciejowi, służący jako parafia dla mieszkańców zamku i jako kaplica dla małego klasztoru zamkniętego w jego murach. Można by się tu poczuć jak na rynku małego miasteczka, ale miasteczko to kończyło się szerokimi i głębokimi fosami, nad którymi przerzucono wielki most zwodzony prowadzący do reprezentacyjnego dziedzińca, centralnego punktu właściwego zamku.

A sam zamek, widoczny na lewo od wejścia, składał się z części mieszkalnej ozdobionej krużgankiem o pięknie rzeźbionych arkadach podtrzymujących taras obstawiony posągami, na który wychodziły wysokie dwuskrzydłowe

okna. Eleganckie lukarny ozdobione ornamentami kwiatowymi ożywiały połąć krytego łupkiem dachu i wspaniale zwieńczały to królewskie mieszkanie, które w rzeczywistości nie miało nic wspólnego z posepnymi opisami czynionymi przez wrogów króla. Ośmioboczna wieża zwieńczona stożkowatym dachem kryła schody, a naprzeciwko apartamentów króla rozpościerały się ogrody i sady, zawsze wspaniale utrzymywane, gdyż doprowadzono do nich, podobnie jak do całego zamku, wodę dzięki sieci ołowianych lub ceramicznych rur połączonych ze źródłem Carre. Jednakże i w tej wieży, tak jak w poprzedniej, znajdowały się studnia i poidło\*.

\* Chciałabym w tym miejscu złożyć hołd Syłvainowi Livernet, którego wspaniałe dzieło *Tours au temps de Louis XI* było mi bardzo pomocne przy pisaniu tej części książki.

Miejsce to, w przeciwieństwie do poprzedniego, było spokojne, ciche i niemal bezлюдne. Król przebywając w Plessis, cenił sobie nade wszystko spokój niezbędny do rozmyślań. Tylko dwóch łuczników stało na posterunku u podnóża schodów i Fiora miała zamiar zapytać, czy wiedzą, gdzie jest Mortimer, gdy ujrzała Etienne'a Le Loup, który rozpoznawszy ją, podszedł i skłonił się z galanterią.

- Nasz sire wyruszył z samego rana na polowanie, donno Fioro. Nie zobaczysz się z nim tutaj.

- Wiem. Słyszałam, jak wyruszał, ale sądzę, że wkrótce powinien wrócić, więc przyszedłam poczekać na jego powrót, aby go powitać i zapytać o zdrowie.

- Jeśli weźmie się pod uwagę wyczerpujący tryb życia, jakie prowadził przez ostatnie miesiące, czuje się świetnie. Zresztą, jak widzisz, oddaje się polowaniu, choć dopiero co wrócił. Bardzo mu tego brakowało przez cały ten czas. Radziłbym jednak, byś wróciła do domu, gdyż króla dziś tu nie będzie.

- Czy pojechał tak daleko?

- Raczej tak. Poluje w lesie koło Loches. Spędzi więc najbliższą noc w zamku w tym mieście. Może nawet zostanie tam kilka dni, jeśli dojeżdżacze się dobrze spisali.

Loches! Nazwa ta posepnie zadźwięczała w pamięci Fiory. To do tej twierdzy wieziono kiedyś uwięzionego w klatce Mateusza de Prame. Może król, pod pozorem polowania, udawał się tam tylko po to, żeby go przesłuchać? Wiedziała, że przetrzymywani tam byli inni więźniowie, poczynając od brata Ignacio Ortegi, kastylijskiego mnicha, który prześladował ją swoją nienawiścią i któremu w ostatniej chwili przeszkodziła w Senlis w zabiciu Ludwika XI. Jego także wysłano do zamku w Loches, gdzie miał w zamknięciu odpokutować swoją zbrodnię. Był tam także pewien kardynał, którego

nazwisko Fiora zapomniała. Zdaje się, że król zrobił z Loches ulubione miejsce dokonywania aktów nieuchronnej sprawiedliwości. Ludzie byli tam traktowani jak dzikie zwierzęta, pewnie nawet gorzej, a Fiora wprawdzie nie rozczuła się zupełnie nad losem hiszpańskiego mnicha, ale serce ścisnęło jej się na wspomnienie młodego koniuszego, skutego łańcuchami i wynędzniałego, wśród śmiechów i obelg tłumu, którego świąteczne libacje uczyniły jeszcze bardziej okrutnym.

- Muszę rozmawiać z królem! - powiedziała wreszcie. - Może mogłabym też pojechać do Loches?

Zobaczyła, jak oczy szambelana robią się prawie okrągłe ze zdumienia. Wybełkotał:

- Chcesz jechać... do Loches?

Nie miał jednak czasu, by dokończyć, i zgiął się wpół w głębokim ukłonie, podczas gdy jakiś młody i łagodny głos kontynuował jego wypowiedź:

- To byłoby czyste szaleństwo, jeśli chcesz znać moje zdanie, pani. Król nigdy nikogo nie przyjmuje, kiedy tam jedzie, gdyż jest to miejsce pobytu więźniów politycznych i ktokolwiek ośmieli się narazić na szwank jego obronność, wystawia się na jego gniew. Czy pragniesz ujrzeć go zagniewanym?

Głos należał do dziewczynki, młodziutkiej paniąki mogącej mieć trzynaście lub czternaście lat, za którą stała wysoka kobieta ubrana jak dama dworu, z rękami splecionymi na brzuchu w postawie pełnej godności. Co do dziewczynki, Fiora z litością pomyślała, że nigdy nie widziała tak pozbawionej wdzięku nastolatki... ani tak pełnej godności. Pod fioletowoniebieskim aksamitem sukni haftowanej srebrną nicią w drobne kwiaty lilii ramiona wydawały się nierówne, a ciało zniekształcone. Twarz o zbyt dużym nosie, smutnych ustach i lekko wylupiastych oczach zdawała się znaleźć tam przez pomyłkę, jakby należała do ciała dużo starszej kobiety. Ale ile słodczy i światła znajdowało się w tych brązowych, pełnych bólu oczach! Nie wiedząc, co powiedzieć, tak wielkie wrażenie wywarła na niej ta dziewczynka, Fiora zastanawiała się, jak się zachować, kiedy towarzysząca dziewczynce dama pouczyła ją nie bez pewnej surowości:

- Skłoń się, pani! To madame Joanna de Valois, księżna Orleanu, czyni ci zaszczyt, zwracając się do ciebie!

Fiora, zmieszana, natychmiast skłoniła się głęboko. A więc ta dziewczynka była młodszą córką króla, tą, do której poślubienia w ubiegłym roku zmusił swego kuzyna, młodego księcia Orleanu, zwracając się cynicznie jednemu ze swych bliskich, że zależy mu na tym małżeństwie, gdyż dzieci młodych małżonków „nic ich nie będą kosztować”. Sposób tak samo dobry, jak każdy

inny, by skończyć z rywalizującym odgałęzieniem starego pnia kapetyńskiego. Petronela pewnego zimowego wieczoru opowiedziała tę historię z mnóstwem szczegółów i mnóstwem westchnień, a słuchając jej, trudno było stwierdzić, nad kim się bardziej użalała: nad młodym księciem Orleanu, o którym mówiono, że jest przystojny i zgrabny, zmuszonym do poślubienia takiego brzydactwa, czy nad tą biedaczką, której płynąca w jej żyłach królewska krew nie uchroniła przed największym poniżeniem: narzuceniem siłą chłopcu, którego ponoć kochała całym sercem. Dzieciństwo przeżyła w zamku Linieres, w Berry, gdzie nikt, nawet matka, jej nie odwiedzał, i gdzie wróciła po ślubie, zdana na tamtejszą służbę, która ją wychowała\*. Bardzo rzadko widywano ją w siedzibach królewskich, których zresztą nie lubiła, wiedziała bowiem, że jej obecność nie jest pożądana.

\* Młody książę zostanie królem Ludwikiem XII i odtrąci Joannę w trakcie rozdzierającego procesu rozwodowego, by poślubić Annę Bretońską. Joanna wstąpiła do klasztoru, utworzyła zakon Sióstr Anuncjatek. Papież Pius XII uczyni ją świętą Joanną de Valois.

- Madame - wyszeptała Fiora - błagam Waszą Wysokość o wybaczenie mojej ignorancji. Jeśli chodzi o gniew naszego pana, to wiedz, że obawiam się go tak samo jak każdy, pragnę jednak powiadomić go pilnie o bardzo ważnych faktach...

- Tak ważnych, że jesteś gotowa narazić się na każdy gniew tego świata, nawet jego? Powiesz mi, kim jesteś? Gdybym cię wcześniej spotkała, pamiętałabym, gdyż jesteś bardzo piękna. Jesteś może cudzoziemką?

- Tak, z Florencji, madame. Nazywałam się Fiora Beltrami i...

- Ach! Wiem, kim jesteś! Opowiadano mi o tobie! - zawołała Joanna z uroczym uśmiechem, który przywrócił jej właściwy wiek i rozświetlił nieładną twarz. - Król, mój ojciec, ma dla ciebie wiele szacunku i przyjaźni. Ale... jesteś w żałobie?

- Tak, po moim małżonku, hrabim Filipie de Selongeyu, straconym dwa miesiące temu w Dijon za rebelię. Był... zaprzyjaźniony ze zmarłym księciem Karolem.

- Och! Wybacz, jeśli cię zraniłam, musisz być bardzo nieszczęśliwa. To ty mieszkasz w dworze La Rabaudire?

- Tak. I chciałabym, żeby nasz pan pozwolił mi go zwrócić. Niedawno urodziłam syna i...

- Nie tłumacz. Sądzę, że zrozumiałam. Nie mam zbyt wielu możliwości, niestety, i nie mogę ci pomóc. Wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, to udzielić rady, jeśli zechcesz ją przyjąć.

- Z wdzięcznością, madame.

- Nie staraj się spotykać z moim ojcem w tej chwili! Jest jeszcze w stanie wzburzenia po trudnej walce o odzyskanie północnych terytoriów. Widzisz, że nie mógł usiedzieć na miejscu dłużej niż kilka godzin. Daj mu czas na odzyskanie spokoju, a przede wszystkim... mądrości. Za kilka dni wszystko się ułoży i będziesz mogła z nim porozmawiać. Błagam jednak, bądź bardzo ostrożna.

- Dlaczego?

- Bo z pewnością go urazisz. Zdarzyło mu się już odbierać prezent, jeśli ten, kto go otrzymał, rozczarował króla, ale sądzę, że nigdy nikt nie oddał mu prezentu sam z siebie. Możliwe, że to mu się nie spodoba. Nie przyspieszaj niczego i wykorzystaj tę wymuszoną zwłokę, żeby się jeszcze zastanowić!

- Długo się już zastanawiałam, madame.

- A zatem trzeba poradzić się Boga. Będę się za ciebie modlić.

Nie pozostawiając Fiorze czasu na podziękowanie, księżniczka odeszła, a jej nierówny chód wywołał u jej rozmówczynie głębokie współczucie. Ale nagle odwróciła się.

- Zamierzałam jutro wrócić do Linieres, jednak zostanę tu jeszcze kilka dni, jeśli obiecasz, że nic nie będziesz przyspieszać.

- Wasza Wysokość zgodziłaby się mi pomóc?

- Powiedziałam już: mam niewielkie możliwości, ale chciałabym zrobić dla ciebie tyle, ile mogę. Wróć do domu i nic nie rób, nie wychodź, dopóki po ciebie nie poślę. Obiecasz mi to?

- Obiecuję... ale nie wiem, jak wyrazić moją...

- Nie! Nie dziękuj mi, to raczej ja powinnam podziękować tobie.

Ponieważ Fiora najwidoczniej nie rozumiała jej słów, Joanna dodała z tym swoim pięknym uśmiechem, dzięki któremu zapominało się o jej brzydocie:

- Właśnie udowodniłaś, że można być jednocześnie piękną jak poranek i głęboko nieszczęśliwą. Kiedy będę miała ochotę się skarżyć, pomyślę o tobie!

Położyła na chwilę drobną dłoń, delikatną jak łapka ptaszka, na rękę Fiory, która niemal przyklęknęła w ukłonie, i wzięwszy pod ramię madame de Linieres, skierowała się w stronę dziedzińca, należycie uhonorowana przez strażę przy wyjściu. Fiora ujrzała, jak zmierza do kaplicy poświęconej Notre-Dame de Clery, do której weszła.

- Kiedy się myśli o księżniczce - powiedział Florent, śledzący ją wzrokiem - zawsze nasuwa się obraz wysokiej i pięknej damy, wspaniale przyodzianej i pełnej wdzięku. Nie wyobrażałem sobie, że król może mieć tak okropną córkę.

- Zamilcz! Nie wiesz, co mówisz! Okropną? Z tym świetlistym spojrzeniem, z tym uśmiechem, który zdaje się mieścić w sobie całą słodycz świata? Jestem pewna, że Bóg ma inne zdanie niż ty. Wracajmy!

Leonarda i Petronela wyczekiwały na jej powrót w tym samym miejscu, w którym asystowały przy jej odjeździe. Kiedy się dowiedziały, że Fiora nie mogła zobaczyć się z królem, obie z największym trudem ukryły uczucie ulgi. Kilka dni to niewiele, ale zawsze jakieś odroczenie. A jakże podnoszące na duchu było to spotkanie z młodą księżną Orleanu! Fiora obiecała odłożenie swoich zamiarów do chwili, aż ona wyrazi na to zgodę, da jej sygnał. Leonarda odzyskała nadzieję.

- Coś mi mówi, że nieprędko opuścimy ten drogi mi dom - zwierzyła się Petroneli. - Mam wielką nadzieję, że nasz pan będzie umiał przekonać Fiore, żeby nie wyjeżdżała, i że spędzimy razem najcudowniejszą zimę.

- Tak sądzisz?

- Tak, tak uważam. Najbardziej obawiałam się tego, że nasza młoda pani ściągnie na siebie gniew i urazę króla. Teraz myślę, że sprawy potoczą się po naszej myśli i że zostaniemy wszyscy razem.

Biedna Leonarda miała często myśleć o tych pełnych nadziei zdaniach podczas niekończących się bezsennych nocy, a te stały się jej przeznaczeniem jeszcze tej zimy; zimy, którą wyobrażała sobie jako tak cudowną.

\* \* \*

Fiora drzemała za zasłonami z kwiecistego brokatu spowijającymi jej łóżko. Po powrocie z Plessis opanowało ją wielkie zmęczenie. Przyjąwszy od Petroneli miseczkę wywaru z warzyw, popatrzyła przez chwilę na Marcelinę karmiącą piersią małego Filipa, po czym poszła do swojego pokoju, nie zgadzając się na pomoc przy rozbieraniu. Znowu zawładnęło nią to ogromne pragnienie samotności, które doprowadzało do rozpaczony Leonardę; sama myśl o mówieniu, słuchaniu czy odpowiadaniu była dla niej wprost nie do zniesienia. Wydawało jej się, że jest źdźbłem trawy albo korkiem unoszonym przez wzburzone wody przeznaczenia, a jej własna wola nie ma najmniejszej możliwości, by się wyrazić. Nie pozostawało jej nic innego, niż postarać się znaleźć choć trochę spokoju, więc - rzucając ubrania tam, gdzie stała, i nie zastanawiając się, gdzie upadają - rozebrała się i wsunęła pomiędzy świeże prześcieradła przyjemnie pachnące irysem. Pozwoliła swemu ciału na odprężenie aż do chwili, gdy noc, wciskająca się do wnętrza pomiędzy ramionami krzyża tworzonego przez ramy okienne, zatarła w szarości jaskrawe barwy dywanu ze Smyrny rozłożonego na posadzce i opanowała pokój, wpuszczając do niego chłód zapowiadający jesień.



Fiora nie pozwoliła na rozpalenie ognia, do czego były zawsze przygotowane wszystkie kominki w domu, ani na zapalenie świecy stojącej u wezłowania. Nie miała ochoty czytać, choć spoczywający w zasięgu ręki tom był jednym z dialogów Platona, które najbardziej lubiła w trakcie swego wypełnionego nauką dzieciństwa. Do czego mogła jej się przydać mądrość greckich filozofów w głębi kasztelu położonego na uboczu, między rzeką i lasem, kiedy jej serce i umysł dryfowały z prądem, utraciwszy świadomość kierunku, w którym należy się zwrócić? Żywa w tym pokoju była tylko wieczorna bryza wpadająca przez jeden z otwartych witraży okna i niosąca zapach mokrych liści, który niedawny deszcz rozpostarł nad ogrodem.

Znajome odgłosy domu stopniowo cichły. Fiora usłyszała Florenta nabierającego wodę ze studni, aby jej nie zabrakło Petroneli, kiedy z rana będzie podsycać ogień w kuchni; kroki Stefana, który robił ostatni obchód domu i gwizdał na psy, po czym poszedł spać do jednego z budynków dla służby położonych przy drodze wiodącej do domu; odgłos drzwi, które Leonarda kolejno zamykała, opuszczając rygle; lekkie trzeszczenie drewnianych schodów na drugim piętrze pod ciężarem idącej do swego pokoju Petroneli, później - nieco cichsze - kroki Florenta. Wreszcie skrzywienie jej własnych drzwi, kiedy Leonarda je uchyliła, by upewnić się, że Fiora śpi. W sąsiednim pokoju popłakiwało niemowlę i Marcelina zanuciła starą kołysankę, by je uspić. Potem Fiora usłyszała, jak zatrzeszczało łóżko pod ciężarem mamki. I to był koniec: dom zamarł, ustępując miejsca nocnym odgłosom dochodzącym z zewnątrz. Wszystko było uporządkowane, każdy z domowników zabrał ze sobą i odłożył do następnego dnia swój bagaż trosk i kłopotów. Tylko Fiora niczego nie odłożyła, choć próbowała ze wszystkich sił. Powinna zapomnieć o zgryzotach, obowiązkach, powinnościach związanych z wdowieństwem i honorem nazwiska, które nosiła, i być jedynie sobą: bardzo młodą kobietą niemającą jeszcze dwudziestu lat, o ciele stworzonym do miłości, które nie zazna już nigdy pieszczot i rozkoszy, o duszy zbyt wczesnie dojrzałej, która chciała żyć, choć brakowało jej odwagi. Czego oczekiwać od życia, jeśli nie będzie w nim śmiechu Filipa, dłoni Filipa, ust Filipa, ciała Filipa, którego władczy i słodki ciężar wciąż czuła, gdy zamknęła oczy...

Powróciła do niej myśl o śmierci, która od spotkania z Mateuszem często ją nawiedzała, a tego wieczora była bardziej przemożna niż kiedykolwiek. Gdyby Fiora znikła, ci, których kochała - te nieliczne istoty pozostawione jej przez los - mogliby nadal mieszkać w tym domu, gdzie tak dobrze się czuli. Pochowają ją na wyspie obok przeorstwa świętego Kośmy, by mogła spocząć w poświęconej ziemi, a Leonarda każdego ranka będzie ozdabiać jej grób

bukietami lilii, piwonii, róż i wiciokrzewu, goździków, pierwiosnków i przebiśniegów, w zależności od pory roku. Dzięki niej mały Filip będzie miał zapewnioną opiekę, właściwe wychowanie, a król z pewnością nie będzie mu szczędził względów. Tak, to byłoby najlepsze rozwiązanie, pod warunkiem, że śmierć nastąpi w sposób naturalny. Samobójstwo przyniosłoby hańbę tym, których kochała, chyba że śmierć wyglądałaby na wypadek? Okoliczni rybacy mówili, że Loara ma niebezpieczne wiry, gwałtowne prądy i groźne głębiny. Niejedna nieostrożna osoba straciła w niej życie w czasie kąpieli.

Rzecz jasna nie była to odpowiednia pora roku na kąpiele. Ranki były już chłodne i mgliste, choć zachody słońca przynosiły jeszcze trochę ciepła w swojej purpurze i złocistości. To byłoby takie proste, tak proste! Prawie przyjemne. Trzeba tylko trochę odwagi, by wykonać pierwsze kroki, a potem położyć się w chłodnej wodzie i pozwolić jej unieść ciało, porwać je aż do bram nieskończoności.

Fiora zamknęła oczy, aby głębiej rozkoszować się tym obrazem sposobu, w jaki pożegna się z życiem, i nawet nie zauważyła, kiedy tak wyobrażając sobie siebie w trakcie śmiertelnego unicestwienia, w końcu zasnęła...

Nagły strach wyrwał ją ze snu i sprawił, że usiadła na łóżku z bijącym sercem i czołem zroszonym potem. Pokój był ciemny, ale zerwał się wiatr i skrzydło okna uderzało o ścianę. Fiora odrzuciła prześcieradła, którymi była przykryta, i chciała wstać, żeby je zamknąć. Nie zdążyła nawet postawić nóg na podłodze: poczuła, że spada na nią i unieruchamia ją jakaś narzuta, czyjeś ramiona otaczają i usiłują przygnieść, a wokół rąk zaciska się lina. Szarpała się z dziką siłą, krzycząc:

- Na pomoc!... Ratunku!... Aaaaaa!

Znalazszy po omacku jej szyję, jakieś palce stłumiły jej wołanie. Usłyszała krzyki Marceliny, a także Leonardę, która błagała napastnika lub napastników o uwolnienie Fiory. Rozległy się także odgłosy zażartej walki, a po nich jęki bólu, po czym odezwał się pełen wściekłości głos:

- Stójcie spokojnie, bo inaczej zarżnę dzieciaka jak kure!

- Nie! - zawyła Leonarda. - Nie dziecko, nie dziecko... na miłość boską!

- Zostaw Boga w spokoju i powiedz temu człowiekowi, żeby zamknął psy, jeśli nie chce, żebyśmy im poderżnęli gardła. Ktoś go odprowadzi, żeby nie zabłądził...

Fiora usłyszała jeszcze przez grubą narzutę przenikliwy głos Petroneli, która wykrzykiwała słowa bez związku, a ponieważ zdawało jej się, że siła, która ją unieruchamia, nieco osłabła, spróbowała wydostać się spod przygniatającej ją materii.

Chciała znowu zacząć krzyczeć, ale już przy pierwszym dźwięku palce, które rozluźniły uchwyt na gardle, znowu je ścisnęły, dławiąc okrzyk. Straciła oddech, a oczy zasnuły jej się czerwoną mgłą. Z nagłą rozpaczą pomyślała, że umrze tutaj, zaraz, uduszona przez jakiegoś bandytę, choć głos, który usłyszała, o lekkim cudzoziemskim akcencie, nie był jej całkowicie nieznany. Cóż za bezsensowna śmierć! Znalazła jeszcze siłę na ostatni jęk i pogrzyżyła się w całkowitej nieświadomości.

\* \* \*

Zimna woda, którą polewano jej twarz, przywróciła Fiorze przytomność. Zakasłała i chciała dotknąć rękami szyi, która ją piekła, ale przeszkodziły jej w tym więzy przytrzymujące rozłożone teraz ramiona. Z trudem otwierając oczy, zobaczyła, że znajduje się w małym ciemnym pomieszczeniu w całości wykonanym z desek, co sprawiało, że wyglądało podobnie do skrzyni. Świeca ustawiona na jakiejś beczce ciekła i dymiła, wydzielając ostry zapach, a wycięty w jednej ze ścian niewielki otwór wpuszczał do środka nieco mgły. Leżała na sienniku, wciąż ubrana w koszulę nocną, w której spała, a całość okrywała narzuta - być może ta, którą ją obezwładniono.

Woda spływała jej wzdłuż policzków i szyi, mocząc nieprzyjemnie włosy. Odwróciła głowę, żeby zobaczyć, skąd ona się wzięła, i wydała okrzyk przerażenia, próbując odsunąć się jak najdalej w głąb pośłania, na którym leżała: to, co ujrzała, nie miało twarzy, lecz długi biały dziób i duże wyłupiaste oczy otoczone szerokimi czerwonymi pierścieniami.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

- Pogadać, moja śliczna, po prostu pogadać. Mamy przed sobą długą wspólną drogę. Będzie taka, jak postanowisz: względnie przyjemna... lub bardzo przykra. Tak czy inaczej, będziesz ściśle strzeżona i nie dam ci najmniejszej nawet szansy na ucieczkę.

- Jeszcze raz pytam, kim jesteś i dokąd mnie zabrałeś? Dobrze mi się wydaje, że jesteśmy na statku?

Rzeczywiście drewniana rama podtrzymująca siennik lekko się poruszała, a z zewnątrz dochodził leciutki szmer, który mógł być odgłosem wody uderzającej o kadłub.

- Zgadłaś! Jesteśmy rzeczywiście na barce, która spływa w dół Loary, porządnej kupieckiej barce, na której nikomu nie przyjdzie do głowy nas szukać, nawet gdybyśmy byli ścigani!

Sarkastyczny ton człowieka-ptaka podziałał na napięte nerwy Fiory jak tarka.

- A moi domownicy? Co z nimi zrobiłeś? Moje dziecko...

- Czy żyje? Za kogo mnie bierzesz? Jeśli chodzi o twoich domowników, jak ich nazywasz, z wyjątkiem jednego młodego narwańca z włosami jak strzecha, którego ranił jeden z moich ludzi, czują się na tyle dobrze, na ile to możliwe, kiedy jest się związanym jak salceson. Mam nadzieję, że rano ktoś ich znajdzie i uwolni.

- Florent jest ranny? Poważnie?

- Nie zadawaj zbyt wielu pytań! Nie mam pojęcia. I jeśli mogę ci udzielić rady, to sugeruję, żebyś zapomniała o nich wszystkich. Minie dużo czasu, zanim znów ich zobaczysz.. . jeżeli w ogóle jeszcze kiedyś ich zobaczysz!

Fiora wygięła się, próbując uwolnić jedną rękę, ale jedynym skutkiem był ból. Człowiek w masce - gdyż była to po prostu jedna z tych masek, których zakładaniem ośmieszają się lekarze w czasie epidemii dżumy - pochylił się nad nią.

- Jeśli obiecasz, że będziesz zachowywać się spokojnie, uwolnię ci rękę. Zresztą, jak powiedziałem, będziesz cały czas pilnowana.

- Po co zatem mnie przywiązałeś?

- Żebyś lepiej zrozumiała, co ci grozi!

Zdejmując jedną ręką narzutę okrywającą młodą kobietę, drugą wyjął sztylet i przeciął koszulę od góry do dołu. Jedwabisty materiał ześliznął się na boki, ukazując nagie ciało Fiory. Instynktownie zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki, żeby nic nie widzieć, co było infantylną reakcją. Nic nie widziała, to prawda, ale czuła... Poczowała twarde palce mężczyzny wokół piersi, później przesuwające się wzdłuż brzucha i jeszcze dalej, bezceremonialnie penetrujące. Wygięła się, próbując wyrwać się z tych dłoni, które ją posiadały, i zawyła:

- Zostaw mnie! Zabraniam ci mnie dotykać!

- Bądź cicho, bo cię zaknebluję! Jesteś piękna, dziewczyno, to już wiedziałem wcześniej. Ponieważ mam cię przekazać żywą i w jak najlepszym stanie, postanowiłem tak: albo okażesz się uległą, spokojna i będę cię po prostu trzymał! zamkniętą u siebie, albo będziesz stwarzać problemy i wtedy skończysz skuta na karace, która na nas czeka w Nantes, i co wieczór będę cię oddawał moim ludziom. Jest ich dziesięciu, w tym Tatar i Murzyn z Sudanu. Ale, rzecz jasna, ja będę mieć pierwszeństwo... i do wszystkich diabłów, zastanawiam się, dlaczego miałbym sobie tego odmówić! Należy mi się!

Zerwał maskę, która miała zapewne służyć do przestraszenia mieszkańców dworu. Fiora właściwie bez zaskoczenia, gdyż od kilku chwil spodziewała się tego, rozpoznała twarz cudzoziemca z dziedzińca kościoła Świętego Marcina, tego, którego Florent widział wałęsającego się wokół domu. Już w czasie pierwszego spotkania wydał jej się brzydki i odpychający, ale teraz jego twarz

rozpalona lubieżnością wydała jej się obliczem samego diabła. Zrozumiała, że mimo tego, co powiedział, zgwałci ją, dłużej nie zwlekając, i wydała przeraźliwy krzyk, który zapewne odbił się echem od obu brzegów rzeki. Wściekły mężczyzna brutalnie zmiażdżył jej usta dłonią, którą ugryzła. Teraz on zawył, a potem ze wszystkich sił wielokrotnie ją spoliczkował, tak wymierzając uderzenia, by wywoływały jak największy ból.

Głowa Fiory bezwładnie chwiała się na boki, a ona nie krzyczała już, lecz jęczała. Łzy bólu spływały jej po twarzy, która paliła żywym ogniem. Ale nagle coś się stało. Ktoś wszedł do kabiny i chwycił jej prześladowcę. Na wpeł ogłuszona początkowo ujrzała tylko cień, który widziany przez łzy wydał jej się ogromny. Po chwili z tego cienia wydobył się niesamowity głos, głęboki jak morze, gęsty i jedwabisty jak balsam.

- Pan powiedział: cała i zdrowa! Żadnych ran, śladów złego traktowania, inaczej nie zapłaci. Popatrz na nią! Krwawi!

- Ta dziwka mnie ugryzła! Wrzeszczała i wrzeszczała...

- Domingo słyszał. Pozwól mu działać i myśl o nagrodzie! Ta kobieta jest warta dużo złota. Precz!

Drzwi znowu zaskrzypiały, zegnając wychodzącego obcokrajowca. Fiora zobaczyła wówczas, że to, co wzięła za cień, było czarnym olbrzymem, którego twarz i ręce ledwie odróżniały się na tle ciemnych ubrań i turbanu zdobiącego jego głowę. Kiedy zbliżył się do łóżka, w świetle świecy błysnęły mleczone białka wielkich brązowych oczu i olśniewająca biel zębów widocznych między wargami podobnymi do wałeczków czerwonej skóry. Przez chwilę przyglądał się związanej młodej kobiecie leżącej na sienniku, jakby złożono ją w ofierze, i wzruszył ramionami. Oczy Fiory patrzyły na niego lękliwie i pytająco. Drżała z zimna i strachu, bo widok tej ciemnej twarzy wcale jej nie uspokoił, choć mężczyzna z wielką delikatnością zsunął dwie części koszuli i podniósłszy narzutę, okrył ją. Później wyjął zza szerokiego, udrapowanego na brzuchu pasa, długi sztylet o wygiętej rękojeści i przeciął więzy na jej nadgarstkach.

Fiora westchnęła z ulgą i roztarła obolałe ciało, po czym wsunęła ramiona pod ciepłe, wełniane okrycie.

- Dziękuję - wyszeptała. - Także za to, co zrobiłeś przed chwilą. Powiesz mi, kim jesteś i jaki...

- Nic nie mów! Spij!

- Jak mogłabym spać w sytuacji, w jakiej się znalazłam? Czy nie rozumiesz...

- Zaśniesz. Dzięki temu.

Wyciągnął z tuniki srebrne pudełeczko, z którego wyjął brązową pigułkę i włożył ją młodej kobiecie do ust. Później wziął stojący w kącie dzbanek z wodą i podał jej do popicia.

- Spij! - powtórzył. - Domingo tu zostanie.

Narkotyk musiał być silny, gdyż ledwie Fiora go połknęła, poczuła, jak się odprężyła i pogrążyła w całkiem przyjemnym odrętwieniu. Zanim zamknęła oczy, zdążyła zobaczyć, jak Murzyn siada po turecku przy wąskim otworze w ścianie, przez który wpadało świeże powietrze, i przesuwając palcami paciorki krótkiego różańca z bursztynu.

Kiedy otworzyła oczy po niemożliwym do oceny czasie, ciasne pomieszczenie oświetlał poziomy, czerwony promień słońca, zapowiadający zachód. Czarny mężczyzna zniknął i Fiora zobaczyła, że jest sama. Podnosząc się, ujrzała leżące w nogach ubrania i spieszenie się odziała. Była tam koszula i majtki z flandryjskiego płótna całkiem dobrej jakości, granatowa sukienka z grubo tkanej wełny z plecionym skórzonym paskiem i sznurowanymi rękawami, wreszcie pończochy i buty, w których rozpoznała te zdjęte poprzedniego dnia, gdy kładła się do łóżka. Daleko było temu strojowi do elegancji, ale Fiora, ubrawszy się, poczuła się lepiej, a przede wszystkim bezpieczniej. Welon na głowie i obszerna czarna peleryna z kapturem dopełniały stroju. Na razie odłożyła ją na bok i podeszła do otworu w ścianie, skąd dobywało się światło, aby odetchnąć ciepłym powietrzem, który już niósł zapach morza.

Barka nadal płynęła niesiona prądem rzeki i popychana długimi wiosłami, których regularny chlupot mogła dosłyszeć. Na wysokości jej wzroku powoli przesuwiał się brzeg porośnięty wysoką trawą i trzciną. Był zupełnie blisko i Fiorę ogarnęła nieodparta ochota, by go dotknąć, by na niego wyjść. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby opuścić łódź i uciec tym nieznanym wrogom, którzy uprowadzali ją Bóg wie dokąd. Może do Afryki? Ten mężczyzna wczoraj mówił o karace oczekującej w Nantes, a Domingo powiedział, że Fiora jest warta dużo złota. Czy to możliwe, że ci ludzie porwali ją, aby sprzedać jako niewolnicę jakiemuś Saraceniowi?

Aby ocenić swoje szanse, podeszła do drzwi. Były oczywiście zamknięte na klucz, ale nie wyglądały na szczególnie solidne. Robiły wrażenie nietrwałych, nieco chwiejnych, jakby wisiały na jednym zawiasie. Może dałaby radę nieco je unieść, wsuwając jakiś długi i cienki przedmiot między skrzydło a futrynę? I Fiora rozpoczęła szczegółowe oględziny swego więzienia w nadziei na znalezienie czegoś, czym mogłaby się posłużyć, gdy zapadnie noc.

Oczywiście nie wiedziała, dokąd prowadzą te drzwi i co za nimi znajdzie. Fałszywy kupiec mówił o dziesięciu ludziach, ale Fiora potrzebowała jakiegokolwiek działania, które pozwoliłoby mieć nadzieję na szybkie uwolnienie i uchroniło ją przed ponownym pogrążeniem się w rozpacz.

Ramę łóżka przytrzymywały płaskie żelazne zawiasy, z których jeden był obłuzowany. Fiora, klęcząc, usiłowała go oderwać, kiedy głęboki bas Dominga zerwał ją na równe nogi. Mimo swego wzrostu i wagi Murzyn wszedł do kabiny, nie robiąc więcej hałasu niż kot.

- Niszczysz sobie na darmo ręce, młoda damo! Nie masz najmniejszej szansy, by nam uciec. Lepiej zjedz to, co ci przynosi Domingo!

Trzymał miskę, z której wydobywał się zapach gorącego mięsa i korzeni, co przypomniało Fiorze, że jest głodna. Posłusznie usiadła na łóżku, przyjęła przyniesioną miseczkę i nie dając się prosić, pochłonęła zawarty w niej gulasz z mięsa i rzepy. Potem wypila duszkiem kubek wina, co do końca przywróciło jej siły i wolę walki, którą uważała za bezpowrotnie utraconą, gdy przytłaczał ją ból i wyrzuty sumienia. Spojrzała więc na czarnego olbrzyma, który jej się przyglądał:

- Czy mogłabym w końcu zadać kilka pytań? - powiedziała.

- Co chcesz wiedzieć?

- Po pierwsze, kim jesteś?

- Nikim. Nazywają mnie Domingo, to wszystko.

- To w istocie niewiele. Ten człowiek w nocy, ten, który nosił maskę białego ptaka i któremu przeszkodziłeś w... Jak się nazywa?

- Sam ci to powie, jeśli uzna za właściwe. Domingo może powiedzieć tylko, że to on jest szefem.

Przypominając sobie, w jaki sposób Domingo wyrzucił go z kabiny, Fiora pomyślała, że to jakiś dziwny szef, ale czując, że niczego więcej o tym się nie dowie, zmieniła temat.

- Dlaczego mnie porwaliście? Dokąd mnie wieziecie? Murzyn potrząsnął owiniętą turbanem głową, wzruszył ramionami w geście niemocy, ale nic nie odpowiedział. Zabrawszy naczynia, skierował się do drzwi. Dopiero, kiedy miał już wyjść, szepnął:

- Jeśli będzie ci to chciał powiedzieć, to powie. A teraz odpocznij!

- Dosyć odpoczywałam! - zawołała Fiora, która zaczynała tracić cierpliwość.

- Powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć!

- Nie radzę mówić: chcę!

Mijały godziny, które Fiorze niemającej żadnego sposobu, żeby je mierzyć, zdawały się ciągnąć bez końca. Zapadł wieczór, potem noc. Przyklejona do

wąskiego okna widziała, jak wybrzeże się oddala, pewnie dlatego, że rzeka stawała się coraz szersza. Woń szlamu górowała teraz nad zapachem wody. Od czasu do czasu słyhać było jakieś głosy, ale odzywały się w nieznanym języku. W końcu zmęczona Fiora wróciła na swoje posłanie, gdzie zwinęła się w kłębek i nakryła peleryną. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się to miasto Nantes, w którym czekał na nich statek pełnomorski. Przypuszczała jedynie - i słusznie! - że jest to port i że z tego powodu znajdzie się już nie na ziemiach króla Francji, lecz księcia Bretanii. To oznaczało, że pomoc stanie się coraz trudniejsza, jeśli nie wręcz niemożliwa.

Krótko przed świtem Domingo przyszedł ją obudzić. Barka przestała posuwać się do przodu, trochę dryfowała. W świetle świecy Fiora ujrzała, że otwór w jej więzieniu został zatkany drewnianym czopem tak przyciętym, by dokładnie się w niego wpasował.

- Jesteśmy w Nantes? - zapytała.

- Nie zadawaj pytań. Muszę ci zawiązać oczy, a potem cię przeniosę.

Nie było najmniejszego sposobu, by się przeciwstawić, jako że układ sił wypadał zdecydowanie na jej niekorzyść. Fiora pozwoliła sobie zawiązać oczy, a później poczuła się unoszona w górę i niesiona jak zwykła paczka. Przez materiał opaski dotarło do niej niewyraźne światło i ciepło pochodni. Usłyszała kilka głosów, nadal używających tego nieznanego języka, a wśród nich głos fałszywego kupca. Z intonacji wywnioskowała, że wydaje rozkazy.

Podróż trwała jakiś czas. Fiora poczuła, że położono ją w łodzi, której wiosła nieco skrzypiały. Potem Domingo znów ją podniósł, ale zamiast trzymać na rękach, co było względnie wygodne, zarzucił ją sobie na ramię jak worek ziarna i w ten sposób wszedł po drabinie, która musiała być przymocowana do burty statku. Do woni stęchlizny dołączył teraz zapach wilgotnego drewna i smoły. Rozległ się odgłos kroków na deskach pokładu, później na schodach, skrzypnięcie otwieranych drzwi i wreszcie Fiora została położona na jakimś materacu czy poduszkach, które wydały jej się dosyć miękkie w porównaniu z siennikiem, w którym przez płótno przebijały żdźbła słomy. Miała nadzieję, że Domingo zdejmie jej opaskę, ale zamiast tego starannie zawiązał jej ręce i nogi. Zaprotestowała:

- Dlaczego mnie wiążesz? Nie broniłam się przecież i nie krzyczałam!

- Rzeczywiście. Powiesz Domingowi, jeśli ściśnie za mocno, ale nie obawiaj się, to nie potrwa długo. Tylko tyle, żeby statek wystarczająco oddalił się od lądu. Domingo przyjdzie cię uwolnić i przyniesie ci coś do jedzenia.

- To może długo potrwać. Kiedy odpływamy?

- Wkrótce. Jest przypływ! Leż spokojnie. Domingo zostanie przed drzwiami.



Pozostawszy sama, Fiora mimo polecenia wielkiego Murzyna wygięła ciało, próbując się uwolnić. Nie było to łatwe, gdyż ręce miała związane za plecami i choć Domingo nie zacisnął więzów zbyt mocno, były one solidne i fachowe, i im bardziej Fiora ciągnęła, tym zdawały się ściślej. Jednak w trakcie tych prób opaska ześliznęła jej się z oczu i choć nie zostawiono jej światła, zobaczyła, że znajduje się, tak jak przypuszczała, w rufówce karaki.

Ten typ statku nie był nieznanym młodej kobiecie. Dwa żaglowce jej ojca, „Santa Maria del Fiore” i „Santa Magdalena”, były statkami tego samego typu, a ona zbyt często je odwiedzała, by nie poznać dokładnie ich konstrukcji. Wiedziała, że te statki, z których wiele budowanych było w Genui i Wenecji, posiadały dwa pokłady i dwie kabiny, na manierę okrętów starorzemych. Tylna, nieco tylko wyższa od przedniej, zawierała pomieszczenia kapitana i znacznie większych pasażerów. To właśnie na pokładzie takiego okrętu ją umieszczono, a ona wiedziała, jak otwiera się okienko o małych szybkach oprawionych w ołów, które wychodziło ponad sterem. Gdyby udało jej się uwolnić, mimo wysokości mogłaby rzucić się do wody i odpłynąć na tyle daleko w kierunku portu, by nie można jej było wyłowić. Reszta zależałaby od szczęścia...

Jej szczupłe ciało miało całą gibkość młodości, udało jej się więc, co prawda nie bez problemów, przełożyć tułów i nogi przez obręcz utworzoną z ramion, po czym, podniósłszy ręce na wysokość ust, zaatakowała więzy zębami. Wstawał dzień i rozjaśniał szarością okienko. Na pokładach słychać było tupot bosych stóp załogi szykującej się do manewrów. Rozległo się długie skrzywienie kabestanów. Statek kołysał się pod naciskiem przyływu i szarpał się na kotwicy jak pies na łańcuchu. Słychać było kolejne komendy, wyrzaskiwane na całe gardło po włosku. Fiora podwoiła wysiłki i musiała powstrzymać okrzyk radości, kiedy wreszcie więzy ustąpiły. Uwolnienie nóg było kwestią kilku chwil i zeskoczywszy z koi, podbiegła do okna, starając się podnieść haczyk, niestety nieco zardzewiały, którym było zamknięte. W dole zobaczyła szarą wodę, a dalej las masztów, za którymi wznosiły się spiczaste dachy domów, dzwonnice kościołów i wieże potężnego zamku.

Fiora denerwowała się. Bliskość wolności czyniła ją niezdarną. Statek, zdawała sobie z tego sprawę, był w trakcie opuszczania kotwicowiska. Trzeba było działać szybko. Zdzierała sobie skórę na chropowatej powierzchni metalu... aż nagle drzwi się otworzyły i pojawił się Domingo. Z zadziwiającą u człowieka jego postury szybkością dopadł młodej kobiety, obezwładnił ją i zaniósł z powrotem na kaję, w pośpiechu związując jej z powrotem ręce.

- Zwariowałaś! Szef tu idzie. Jakby cię przyłapał przed Domingiem...

Nie dokończył. Zrozumiała i przypomniał sobie groźby miotane przez mężczyźną, poddała się bez walki. Okazja przepadła. Lepiej było uzbroić się w cierpliwość, poczekać może na bardziej sprzyjające okoliczności. Cierpliwość! Ta cnota nad cnotami, którą Demetrios, jej stary przyjaciel, tak często wysławiał! Czowała się zmęczona jak po długim biegu, toteż kiedy podłoga zadźwięczała pod okutymi żelazem obcasami jej porywacza, była absolutnie spokojna i nieruchoma.

Stał przed nią, przybierając dumną pozę, z rozstawionymi nogami i rękami zaczepionym o szeroki skórzany pas, z aroganckim zadowoleniem drania, któremu udał się podstęp. Fiora zastanawiała się przez chwilę, czy znów będzie musiała odpierać jego atak, ale Domingo wydawał się zdecydowany nie opuszczać pomieszczenia i trwał u jej boku jak olbrzymi pies stróżujący. To do niego najpierw zwrócił się mężczyzna:

- Dobra robota. Dzięki tobie jesteśmy bezpieczni na tym statku, a nasza piękna więźniarka nie ma już najmniejszej szansy na ucieczkę. Możesz ją rozwiązać. A potem zostawisz nas samych.

Wielki Murzyn bez słowa oswoił Fiorę z więzów, ale ponownie stanął u wezłowania koi z miną tak zdecydowaną, że nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości co do jego determinacji. Drugi mężczyzna się skrzywił.

- No i? Nie słyszałeś? Powiedziałem, żebyś zostawił nas samych!

- Nie. Domingo został wysłany z tobą tylko po to, by czuwać nad więźniarką. Musi za nią odpowiadać. Domingo czuwa i będzie czuwać.

- Ale czy wreszcie - zbuntowała się Fiora, która odzyskawszy swobodę ruchów, czuła się dużo silniejsza - powiesz mi, dokąd mnie zabierasz? Ten człowiek powiedział wczoraj, że jestem warta dużo złota. Kto ma dać to złoto? Mam nadzieję, że nie masz zamiaru oddać mnie jakiemuś saraceńskiemu piratowi?

- Bądź spokojna! Ci ludzie nie są wystarczająco bogaci, a prawdą jest, że jesteś wiele warta.

- A więc kto? Dla kogo Domingo czuwa nade mną? Przed kim ma za mnie odpowiadać?

- Przed papieżem!

Fiora uznała, że to dowcip i wzruszyła ramionami:

- To nie jest zabawne! Odpowiedz mi poważnie. Co ryzykujesz?

- Ale przecież odpowiadam poważnie.

- W takim razie kłamiesz! Papież mieszka w Rzymie. Gdybyś tam mnie zabierał, to w tej chwili powinnam leżeć związana w jakiejś lektyce lub wozie w drodze do Marsylii czy innego portu na wybrzeżu śródziemnomorskim.

Tymczasem moja wiedza geograficzna jest wystarczająca, bym wiedziała, że płyniemy po oceanie.

- Do licha! Uczona jesteś. No więc, moja droga, jednak płyniemy do Rzymu. Podróż wokół Hiszpanii jest bez wątpienia dłuższa, ale bezpieczniejsza. Na tej karace nie musimy obawiać się straży króla Ludwika. Na lądzie ryzykowałibyśmy zostawienie śladów. Tu nie. Tak czy inaczej, Jego Świątobliwości się nie spieszy. Powiedział mi: „Gian-Battista, masz tyle czasu, ile chcesz, bylebyś dobrze wykonał swoją misję. Jeśli wrócisz przed końcem roku, będziemy zadowoleni”.

Oszołomiona Fiora nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Papież! - powtórzyła. - Ale czego papież może chcieć ode mnie? Jesteś pewien, że się nie mylisz?

- Całkowicie pewien. Przecież nazywasz się Fiora Beltrami? Twój przyjaciel, Nardi, którego odwiedziliśmy w Paryżu, zapewnił nas o tym z całą mocą, kiedy go... przekonaliśmy, by powiedział, gdzie się ukrywasz.

Fiora poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa spływa jej nieprzyjemna, lodowata strużka. Ten nędznik położył taki nacisk na słowo „przekonaliśmy”, że ją przeraził.

- Nie ukrywałam się, ale jednak jestem zdziwiona, że Agnolo Nardi wam się zwierzał.

- Wcale nie był do tego usposobiony. Pozwolił sobie nawet trochę przypiec podeszwy stóp. O, nie martw się! Wpadliśmy na znacznie lepszy pomysł, zagrożwszy, że to samo spotka jego żonę. Od razu zrobił się bardziej rozmowny! No i oczywiście pilnowaliśmy, żeby nikt cię nie zawiadomił. Dzięki temu miałem przyjemność poznać cię w Tours.

Fiora, napełniona grozą, wykrzywiona z przerażenia i wstrętu, jak pantera skoczyła nędznikowi z pazurami do gardła.

- Ośmieliłeś się zrobić coś takiego! W środku Paryża! Podniosłeś rękę na najlepszego z mężczyzn, na najśłodszą z kobiet! Co z nimi zrobiłeś? Odpowiadaj! Chcę wiedzieć!

Zaskoczony atakiem mężczyzna, dusząc się, ślamazarnie próbował się bronić. Wściekłość zwiększyła dziesięciokrotnie siły młodej kobiety i być może pokonałaby wroga, gdyby Domingo na czas go jej nie wyrwał. Mężczyzna osunął się na ziemię, masując obolałe gardło. Zachrypniętym głosem zasypał młodą kobietę lawiną włoskich przekleństw, na które brawurowo odpowiedziała. Przez chwilę kabina upodobniła się do włoskiego targu, na którym kłótnie są chlebem powszednim. Fiora, nieco zdziwiona tym obrazowym słownictwem, które samo przychodziło jej do głowy, poczuła się

florentynką do szpiku kości i Domingo miał dużo kłopotów, by przeszkodzić przeciwnikom w powtórny zwarciu.

- Słowo daję! - wrzasnął Gian-Battista. - Czy ktoś kiedyś widział podobną megierę? Nawet pantera nie byłaby tak wredna!

- Ośmielasz się mówić, że ja jestem wredna, ty parszywy sutenerze? Masz mi natychmiast powiedzieć, co się stało z moimi przyjaciółmi!

- Czują się równie dobrze, jak ty i ja, może nawet lepiej niż ja. Kiedy tylko dowiedziałem się tego, na czym mi zależało, przestali mnie interesować. Możesz być spokojna, będą mogli nadal okradać klientów. Zaś co do ciebie... ciesz się, że nie wysyłam cię na dno ładowni. Zostaniesz z nią, Domingo! Jeśli uda jej się uciec, bądź pewien, że rozwalę ci ten czarny łeb, nawet jeśli papież uważa go za cenny. A teraz mam was obojga dosyć.

Wyszedł, lekko się chwiejąc, ku wielkiej, choć przejściowej satysfakcji więźniarki, którą ponownie natychmiast opanował niepokój. Czego mógł od niej chcieć „wikariusz Chrystusa”? Niczego szczególnie dobrego, obawiała się. Obróciła wniwecz jego plany względem Florencji i odesłała w żelaznej klatce człowieka, któremu Sykstus IV zlecił zaszytowanie króla Francji. Z pewnością nie zadał sobie trudu porwania jej, by obsypać ją kwiatami. Może czas trwania tej podróży był równy temu, który pozostał jej do życia? Jakiej innej zemsty poza śmiercią mógłby dokonać papież?

Nagle Fiora poczuła silny atak mdłości. Ciężki statek, który wypłynął na pełne morze, kołysał się wzdłuż i toczył na wysokiej fali atlantyckiej. Młoda kobieta, nagle i niespodziewanie opanowana przez chorobę morską, ledwie znalazła siły, by podejść do koi i paść na posłanie.

Domingo, przekonany, że w takim stanie Fiora nie ruszy nawet palcem, wyszedł po wodę.

## Część druga

### Pułapki Rzymu

#### Rozdział piąty

##### Ludzie Watykanu

Jego Świątobliwość Sykstus VI nie był w dobrym nastroju. Paskudna pogoda, zimna i wilgotna, która panowała w Rzymie od wielu dni, sprawiała, że bardziej doskwierał mu reumatyzm, a nawet chwilami odzywała się uśpiona podagra, która dręczyła go tak często i tak okrutnie. Aby zapobiec kolejnemu atakowi, papież spożył bardzo skromny obiad złożony z warzyw i nabiału, bez jednej kropli wina Castelli Romani, które tak sobie upodobał. Toteż jego żołądek burczał z głodu, kiedy z dwoma depczącymi mu po piętach totumfackimi, korzystając z tego, że deszcz na chwilę ustał, przechodził przez dziedziniec Watykanu, aby dokonać inspekcji budowy swojej kaplicy.

Szedł wielkimi krokami, zawinięty w podbijaną lisami pelerynę, w obszytym futrem camauro wbitym aż na oczy dla ochrony przed zimnym powietrzem. Był dosyć wysoki i potężnie zbudowany, a jego twarz o zawziętych rysach, nosie w linii czoła, agresywnym podbródku, zaciśniętych ustach, inkwizytorskim spojrzeniu i siwiejących brwiach, była dokładnie ogolona. Pozbawiona elegancji sylwetka, sprawiająca zawsze wrażenie, jakby był zapakowany w ubrania, sprawiała również - i wiedział o tym - wrażenie siły niepozbawione majestatyczności.

Mimo bolących kolan Sykstus dosyć łatwo pokonał sterty zalegających na placu budowy materiałów. Roboty nie posuwały się tak szybko, jak by chciał. Minęły ponad cztery lata od rozpoczęcia budowy kaplicy, a nie było jeszcze nawet mowy o dachu. Biskup Rzymu udał się na miejsce z jednym tylko zamiarem - zrugania osób odpowiedzialnych za przebieg robót. Kiedy mu się coś nie podobało, trzeba było znacznie większej przeszkody, niż odwieczne bóle, by go powstrzymać od działania. Ponadto - wiedziały o tym osoby z jego otoczenia - nade wszystko lubił, wpadać w złość.

Tym razem miał rację. Rozpoczął budowę tej kaplicy, aby dać Watykanowi miejsce kultu godne tronu Piotrowego, obszerny budynek, w którym swobodnie mógłby zaprezentować papieski przepych, co było rzeczą niemożliwą w starej bazylice, gdzie spoczywało ciało księcia Apostołów. Był to zwykły, nadszarpnięty zębem czasu kościół, nieco tylko bardziej okazały niż kościół wiejskiego proboszcza, z przekrzywioną dzwonnica i spadzistym dachem

wieńczącym sklepienie o wysokości trzech pięter. Przeprowadzono pewne prace remontowe, jednak całość pozostawała przygnębiająca, a przede wszystkim pełna przeciągów. Nowa kaplica będzie dostojna, bardzo wysoka, by muzyka i śpiew mogły osiągnąć w niej swą pełnię, i wspaniale zdobiona, tak by przyszłe wieki zachowały w pamięci jej budowniczego. Sykstus, który postanowił nadać jej nazwę kaplicy Poczęcia, miał w głębi duszy nadzieję, że związane z nią będzie jego imię\*.

**\* Zostanie ona nazwana Kaplicą Sykstyńską.**

Widząc nadchodzącego papieża, robotnicy - pracujący, prawdę mówiąc, nieco niemrawo - zaczęli z zapalem machać kielniami, podczas gdy wielkie kamienie szybowwały na wciągnikach. Wszyscy kierowali się oczywistą nadzieją na uniknięcie burzy, która na nich czyhała i która jednak ich nie ominęła. Sykstus IV zaczął krzyczeć jak zwykły śmiertelnik, ujawniając we wściekłych inwektywach całą siłę swego nośnego, pięknego i potężnego głosu oraz swój dar wymowy. Architekt i pracownicy wkrótce znaleźli się na kolanach w kurzu, chyląc pokornie głowy w oczekiwaniu, aż zawierucha ustanie. Nawet papież musi od czasu do czasu nabrać tchu.

Korzystając z chwili ciszy, architekt Dolci poskarżył się na złą pogodę, będącą przyczyną wielu chorób dotykających robotników.

- Dosyć! - uciał Jego Świątobliwość. - Zawsze masz w zanadrzu jakieś wymówki, signor Dolci. Ale ja chcę mojej kaplicy i to szybko. Jestem zmęczony czekaniem!

- Niech Wasza Świątobliwość okaże jeszcze trochę cierpliwości. Okna są prawie skończone, jak widać, i miałem nadzieję, że Wasza Świątobliwość będzie z nich zadowolony. Czyż nie są dostojne i niezwykle piękne? Takie szerokie i wysokie.

Papież nagle zaczął się śmiać:

- To bardzo w twoim stylu! Ja robię ci uzasadnione zarzuty, a ty szukasz sposobu, żeby wyciągnąć ze mnie komplementy. Twoje okna są piękne, przyznaję, ale dach nad nimi sprawiłby mi znacznie większą przyjemność. Jestem zmęczony patrzeniem, jak do mojej kaplicy leje się deszcz.

Dwie osoby towarzyszące papieżowi zostały nieco z tyłu, ukryte w bramie. Jedną z nich był skarbnik Watykanu, przebiegły finansista nazwiskiem Meliaduce. Drugą był kardynał wicekanclerz, osoba na tyle znacząca, że warto się na niej przez chwilę zatrzymać. Był to prałat o pięknej prezencji i mocnej budowie, o bardzo śniadej twarzy pod koroną kruczoczarnych włosów, o wielkich, ciemnych szeroko rozstawionych oczach. Długi zagięty nos o wrażliwych nozdrzach oraz pięknie wykrojone, lecz wydatne i zmysłowe usta

zdradzały zamiłowanie do uciech życia, zaś nieco przesadny przepych purpury i gronostajów, silne brązowe dłonie i oliwkowa cera wskazywały na to, że jest cudzoziemcem. I rzeczywiście, kardynał Rodrigo Borgia urodził się w Hiszpanii, w Xativie, i pewnie by tam pozostał, gdyby jego wuj, arcybiskup Walencji, nie został był kilka lat wcześniej wyniesiony na stolicę Piotrowa pod imieniem Kaliksta III i nie zabrał ze sobą całej rodziny. Rodrigo, zręczny i zagadkowy, umiał posterować swoją łodzią lepiej niż pozostali i w wieku czterdziestu siedmiu lat był trzecim z największych dostojników Kościoła. Nie wspominając, że był drugim zaraz po francuskim kardynale Estouteville, najbogatszym członkiem Świętego Kolegium i posiadaczem licznych dóbr.

Scena między papieżem i architektem zdawała się go bawić. Pochylił się w kierunku swego sąsiada i powiedział mu na ucho:

- Czy wiesz, messer Meliaduce, jak to się skończy? Dolci będzie płakać, że kończą mu się pieniądze, że ceny trawertynu i marmuru ciągle idą w górę, że miedź jest niebotycznie droga i że, reasumując, nie może zrobić nic więcej, mając tyle, ile dostał. Ojciec Święty nieco pogrzmi, po czym cię wezwie i zażąda, abyś potrzęsnał kiesą.

- Ale ta kiesa jest prawie pusta! Skąd, zdaniem Waszej Wysokości, miałbym brać pieniądze? Wczoraj znowu siostrzeniec Jego Świątobliwości, hrabia Girolamo, kazał sobie dać trzy tysiące dukatów.

- Chyba nie zamierzasz mnie rozczulić tą swoją nędzą? Znajdziesz pieniądze, przyjacielu. Zresztą, zobacz! Wołają cię! Widzisz sam, że miałem rację.

Podczas gdy skarbnik, garbiąc się i powłócząc nogami, oddalił się w kierunku swego pana, kardynał ze znanstwem przyglądał się budowie. Miał upodobanie do przepychu i dzieląc zamiłowanie papieża do budownictwa, a probował liczne prace, które ten podejmował niemal w całym Rzymie, pragnąc przywrócić mu antyczną świetność.

Pozostawiając skarbnika zażarcie dyskutującego z architektem, papież wrócił do Borgii.

- Wracajmy już! Nogi coraz bardziej mnie boją.

- Wasza Świątobliwość powinien nieco odpocząć.

- Jestem zbyt stary, żeby odpoczywać. W moim wieku nie ma się już czasu do stracenia. Odprowadź mnie do biblioteki! Nie ma nic lepszego na poprawę nastroju niż godzinka lektury.

Sykstus, mocno podtrzymywany przez swego wicekanclerza, ruszył powoli w stronę budynku, w którym ulokował Bibliotekę Watykańską, swe najcenniejsze jak dotąd dzieło, i w miarę, jak się do niego zbliżał, humor mu się



poprawiał. Ten był franciszkanin, ubogi i mizernego pochodzenia, urodzony jako Francesco della Rovere, niczego nie upodobał sobie tak, jak literatury i nauki, wyjąwszy, rzecz jasna, zamiłowanie do złota i władzy. Niegdyś wykładał kolejno na uniwersytetach w Padwie, Florencji, Bolonii i Sienie; zachował z tych czasów wielką erudycję i wielki głód wiedzy ukierunkowany przede wszystkim na badanie gwiazd. Najlepsze chwile dnia spędzał pośród zgromadzonych skarbów w towarzystwie uczonego i humanisty Platiny, którego mianował ich strażnikiem.

Kiedy wartownicy otworzyli przed papieżem i kardynałem drzwi do długiej galerii o ścianach całkowicie pokrytych malowanymi i złotymi szafami oraz wyposażonej w duże stoły, na których leżały stosy manuskryptów i narzędzia optyczne, Platina wyszedł im na spotkanie wspierając chromą nogę na lasce\*.

**\* Został poddany torturom za czasów Pawia II, papieża niełubiącego ksiązek, a zwłaszcza tych, którzy je pisali.**

Chciał przykleknąć, aby ucałować pierścień Rybaka, lecz Sykstus powstrzymał jego zamiar, wiedząc, że zginanie kolan sprawia mu cierpienie, i wzięwszy go poufale pod ramię, poprowadził do jednego z pulpity. Leżała na nim gruba księga oprawiona w karmazynowy aksamit, ze srebrnymi okuciami, którą uwolniono od łańcucha łączącego ją z jedną z szaf.

- Widzę, że wyjąłeś Świętego Augustyna. Pokaż mi szybko te fragmenty, które wydały ci się tak zadziwiające!

Bezceremonialnym gestem odprawił kardynała Borgię, lecz widać niepisane było papieżowi tego dnia prawo do ulubionego zajęcia. Dokładnie w chwili, gdy Borgia miał przekroczyć drzwi, pojawiła się w nich nowa postać: ceremoniarz dworu papieskiego, Agostino Patrizi, którego blada twarz zdawała się wyrażać ustawiczną urazę. Przesiąknięty zasadami surowej etykiety, w którą wierzył bardziej niż w prawo boskie, Patrizi posiadał wyjątkową umiejętność przeszkadzania papieżowi w najmniej stosownym momencie, był mu jednak tak ślepo oddany, że ten wiele mu wybaczał i tylko kiedy Patrizi przekraczał wszelkie granice, czynił go obiektem jednego ze swych słynnych napadów wściekłości. Tak miało się stać tego dnia.

- Czego znowu chcesz! - rzucił papież już na sam jego widok.

Tamten padł na kolana.

- Ojciec Święty - wyjąkał - kilka tygodni temu powiedziałeś, bym cię powiadomił, gdziekolwiek będziesz przebywał, o przyjeździe Gian-Battisty de Monteseco do pałacu.

Sykstus natychmiast odwrócił się tyłem do księgi świętego Augustyna: - Jest tutaj?



- Tak, Wasza Świątobliwość! - Sam?
- Nie. Jest z nim twój nubijski niewolnik Domingo... i jakaś kobieta.
- Jak wygląda ta kobieta? Nie rób takiej miny! Opisz mi ją!

W istocie uraza na twarzy Patriziego była bardziej widoczna niż zazwyczaj. Wzniósł oczy ku niebu i westchnął:

- Młoda, ciemnowłosa... sędzę, że można by powiedzieć, że jest bardzo piękna, gdyby nie wyglądała na tak zmęczoną.

- Coś podobnego - szepnął Borgia, nie poruszając wargami. - Bawisz się teraz w stręczyciela, monsignore? Gdzie znalazłeś tę kobietę?

Nie racząc odpowiedzieć, Patrizi wykonał gest, jakby opędzał się od uprzykrzonej muchy i wyruszył naprzeciw papieżowi, który kuśtykał w jego stronę.

- Niech czekają w Sali Papugi, której drzwi każ dokładnie zamknąć. Aha, byłbym zapomniał! Powiadom kardynała kamerlinga\*, ale niech przyjdzie sam! Podaj mi ramię, Rodrigo!

\* **Kardynał na dworze papieskim, który zarządza sądownictwem i Skarbem, przewodniczy Kamerze Apostolskiej oraz rządzi Kościołem, kiedy w Watykanie jest wakat.**

Borgii nie trzeba było prosić, tym bardziej że wstęp wydał mu się smakowity i zżerała go ciekawość. Za każdym razem, gdy była mowa o kobiecie, a zwłaszcza nieznanym, ujawniał się przysłowiowy apetyt przystojnego kardynała. Zawsze „cudownie usposobiony do miłości” utrzymywał, poza oficjalną metresą, z którą miał dwoje dzieci, liczne kurtyzany przyczyniające się do uatrakcyjnienia jego wspaniałego pałacu położonego w la Zecca. Wyczuwając ponadto woń tajemnicy, gdyż Montesecco, człowiek papieża do specjalnych połączzeń, zniknął z Watykanu przed wieloma miesiącami, Borgia zaniósłby Jego Świątobliwość na rękach, gdyby ten tylko wyraził takie pragnienie.

Niestety, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, zaraz po przybyciu do swych apartamentów Sykstus IV podziękował mu łaskawie za pomoc, po czym udzielił błogosławieństwa i wyznaczył spotkanie na dzień następny.

\* \* \*

Stwierdzenie, że Fiora była zmęczona, zakrawało na eufemizm. Nigdy w życiu nie czuła podobnego wyczerpania, nawet po urodzeniu dziecka, o którym teraz nie śmiała nawet myśleć, by nie wpaść w rozpacz. Nie była tak wyczerpana nawet w minionym roku, kiedy prowadziła wyczerpujący tryb życia, jadąc śladami Zuchwałego.

Przez całe tygodnie karaka zmierzała trudnym szlakiem wzdłuż wybrzeży Francji, Hiszpanii i Portugalii, miotana burzami równonocy, w czasie których uprowadzona kobieta sto razy żegnała się z życiem. Mijając starożytne słupy Herkulesa, tylko mgłę zawdzięczali ucieczkę przed mauretańskim piratem i dopiero po wpłynięciu na Morze Śródziemne dzielny statek zaznał nieco spokoju. Panowała jednak jesień i musiał jeszcze pokonać dziki szkwał, który zerwał się u wybrzeży Korsyki i rzucił nim o wybrzeże, na szczęście na tyle blisko Civita Vecchia, by mógł wejść do portu, unikając zatonięcia.

Przez cały ten czas Fiora tkwiła zamknięta w swojej kabinie, nie widując nikogo poza Domingiem, czuwającym nad nią z wytrwałością, która w końcu zaczęła ją wzruszać. Przynosił jej jedzenie, prał odzież, a nawet opowiadał o wszystkim, co działo się na statku. Rzecz jasna, pielęgnował ją w czasie choroby morskiej, która sprawiła, że bez sił zleżała w koi, pragnąc nieprzytomnie, żeby ten diabelski statek poszedł na dno ze wszystkim, co niósł na pokładzie, kładąc kres jej męczarniom. Ale po jakichś dwóch tygodniach mdłości ustąpiły i Fiora, która w tym czasie dawała radę przełknąć jedynie zimną herbatę miętową z cukrem, mogła zacząć nieco lepiej się odżywiać. Papki z kaszy i suszone mięso nie bardzo mogły pobudzić apetyt, ale trzeba było żyć. Krótkie zawinięcie do portu w Kadyksie umożliwiło załadunek świeżej żywności, jajek i pomarańczy, i kontynuowanie podróży bez większych problemów. Fiora nie była zresztą jedyną ofiarą choroby morskiej. Montesecco ciężko ją przechodził i z tego powodu odwiedził więźniarkę tylko dwa razy, co jej zresztą specjalnie nie zmartwiło.

Mając codzienny kontakt z wielkim Nubijczykiem, Fiora stopniowo dowiedziała się paru rzeczy. Przede wszystkim tego, że choć cieszył się on zaufaniem papieża, to był jego osobistym niewolnikiem. Ojciec Święty cenił jego siłę, mądrość i upodobanie do milczenia. Wysłał go z Monteseckiem, aby mieć całkowitą pewność, że więźniarka będzie mogła dotrzeć do miejsca przeznaczenia, nie będąc zbyt molestowana.

- To dziwne - odpowiedziała na to młoda kobieta. - Kiedy uratowałeś mnie przed nim na barce, groził mi, że jeśli nie będę mu we wszystkim powolna, przywiąże mnie na dnie ładowni i odda na pastwę swoim ludziom, których jest dziesięciu, w tym Tatar i Murzyn. Jest tu inny Murzyn poza tobą?

- Nie. Jestem jedynym i to były czyste przechwałki. Chciał cię przerazić już na wstępie.

- Dlaczego więc pozwala ci się samemu mną opiekować? Nie obawia się, że...

Po raz pierwszy młoda kobieta usłyszała śmiech Dominga. Śmiech godny jego wzrostu, śmiech, od którego zadrżały szybki w oknie.

- Nie wstydzę się do tego przyznać - powiedział, - Minęło dziesięć lat, odkąd Turcy pozbawili mnie męskości. Wtedy było to strasznym przeżyciem, ale w zamian wiele zyskałem, na przykład to, że zostałem podarowany papieżowi przez pana Ramona Zacostę, wielkiego mistrza kawalerów Świętego Jana z Jerozolimy. To on ochrzcił mnie imieniem Domingo po powieszeniu na Rodos tureckiego admirała, który więził mnie na swojej galerze wraz z innymi niewolnikami. Mój nowy pan nie był wtedy jeszcze biskupem rzymskim, ale dobrze mnie traktował, bo umiem czytać. Jestem mu oddany całą duszą.

- Czy wiesz zatem, dlaczego kazał mnie porwać? Czy jestem aż tak ważna, żeby musiał wysłać do Francji bandę obwiesiów, a przede wszystkim zrezygnować z tak cennego sługi, jak ty?

- Nie wiem nic oprócz tego, że obiecał sporo złota, jeśli sprowadzimy cię do Rzymu. Jednak jego polecenia były jasne: nie wolno było cię skrzywdzić, i powtarzam, że Montesecco chciał cię przestraszyć. Jesteś piękna, miał więc nadzieję, że czyniąc z ciebie swą kochankę, upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Bardzo często w czasie niekończącej się podróży Fiora roztrząsała swoją sytuację, nie potrafiąc zrozumieć, o co w niej chodzi, aż w końcu zrezygnowała z tych rozważań. Przymusowe zamknięcie odbiło się na jej zdrowiu, choć Domingo otwierał okno w kabinie rano, wieczorem i tak często, jak pozwalała na to pogoda, aby wpuścić trochę świeżego, morskiego powietrza. Monotonne pożywienie i brak ruchu połączone z nieustającą tęsknotą za tymi, których musiała opuścić, robiły resztę i kiedy wreszcie mogła opuścić statek, Domingo poprosił, by zostali dwa lub trzy dni w papieskim zamku w Civita Vecchia, aby więźniarka nieco doszła do siebie po morskiej przeprawie: wyglądała okropnie i papież nie byłby zadowolony.

Bez trudu uzyskał zgodę, gdyż Montesecco i jego banda nie byli wcale w wiele lepszej formie. I dopiero dwa dni później Nubijczyk umieścił Fiorę w lektyce z herbem papieskim, która w końcu miała zawieźć ją do Rzymu.

Pomimo swej dramatycznej sytuacji młoda kobieta poczuła jakby dreszcz radości, stawiając znowu stopę na włoskiej ziemi. Przez całe dwadzieścia mil, które dzieliły starożytne miasto cesarzy od morza, pomimo strug deszczu, w których skapane były pola, z jakąś zachłannością wdychała powietrze niesione znad Apeninów. Te unoszące się nisko chmury przepłynęły być może nad Florencją, jej na zawsze niezapomnianą Florencją, której nigdy się nie wyparła i od której dzieliło ją jedynie siedemdziesiąt mil, choć przemierzana przez nich

płaska okolica w niczym nie przypominała łagodnych toskańskich pagórków. Widać było tylko spokojne stawy, które pod szarym niebem wydawały się jeziorkami rtęci, rzadkie zagajniki i, od czasu do czasu, olbrzymią, czarną sylwetkę pinii. Była to kraina powracającej każdego lata gorączki i Fiora pomyślała, że nawet w promieniach słońca krajobraz ten musiał budzić głęboką melancholię. Toteż poczuła pewną ulgę, ujrawszy rysujące się w oddali łagodne kształty Wzgórz Albańskich. Rzym, który zapowiadały liczne antyczne ruiny, był już niedaleko.

Teraz siedząc na aksamitnym taborecie przy oknie niewielkiego antyszambru o ścianach pokrytych freskami i marmurowej podłodze częściowo przykrytej dywanem z Chorasanu, patrzyła bez zbytniego zainteresowania w dół na dziedziniec, który przed chwilą przekroczyła, na chodzących tam i z powrotem żołnierzy uzbrojonych w długie halabardy i na ekwipaże, z których wychodziły osoby w purpurowych lub fioletowych symarach, a nawet w skromniejszych sukniach. Jej umysł opanowało głębokie poczucie absurdu. Co robiła w tym pałacu, którego wspaniałość dedykowana być miała Bogu, ale skierowana była przede wszystkim do człowieka, którego władza - to prawda - sięgała aż do granic chrześcijańskiego świata. Jej los zależeć miał od tego człowieka, który ją więził. Nie wiedziała nawet, dlaczego wieziono ją tu przez co najmniej jedną trzecią obwodu Europy.

Montesecco chodził przed nią tam i z powrotem, ze zniecierpliwieniem wbijając obcasy w wełniany dywan. Odzyskawszy siły, pragnął jak najszybciej odebrać nagrodę za swój wyczyn, ale tryumfujące spojrzenia, które od czasu do czasu posyłał porwanej kobiecie, nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Ten łajdak jej nie interesował, bo nie interesował jej tak naprawdę własny los. Chciała tylko spać, spać bez końca, choćby na dnie grobu, a gdyby papież rozkazał ją porwać, aby skazać na śmierć, oddałby jej tylko przysługę, pozwalając przynajmniej dołączyć do dwóch mężczyzn, których kochała: ojca i Filipa.

Wysoki, blady ceremoniarz, który zdawał się poruszać jak alga płynąca w wodzie, położył kres oczekiwaniu. Papież miał ich przyjąć. Prowadząc ich w stronę drzwi pokrytych płytkami z cyzelowanego srebra, przy których czuwały straże, Patrizi obrzucił Fiorę niezadowolonym spojrzeniem.

- Nie jesteś przygotowana na przedstawienie Ojcu Świętemu! - powiedział, ściągając wargi. - Nie mogłaś się trochę ogarnąć przed przyjściem?

- Wygląda, jak wygląda - uciał Montesecco. - Miałem polecenie przyprowadzić ją zaraz po przyjeździe. Możesz być pewien, że Jego Świątobliwość nie spodziewa się ujrzeć jej w aksamitach i brokatach.

Kiedy drzwi się otworzyły, Fiora pomyślała, że od czasu wielkiego namiotu Zuchwałego nie widziała nic urządzonego z takim przepychem, jak sala, do której ją wprowadzono. Wystrój, poza freskami na ścianach, złożonymi kasetonami na suficie, stiukami i marmurami, obejmował jedwabne, przetykane złotem tkaniny umieszczone pod malowidłami oraz liczne orientalne dywany na śnieżnobiałej marmurowej posadzce. Starannie ustawione w rzędach taborety, fotele i poduszki rozmieszczono wokół czegoś w rodzaju tronu, na którym siedział biskup Rzymu. Jednak z chwilą, gdy młoda kobieta spojrzała na niego, przestała dostrzegać całą resztę. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zrozumiała, że nie może spodziewać się po nim najmniejszej łaskawości. Siedząc głęboko w wysokim fotelu z czerwonego aksamitu, ozdobionym złotymi gwoździami i dużymi pomponami, w szkarłatnej mozaice odcinającej się od bieli stroju, z agresywnie zmarszczonymi brwiami i jadowitym spojrzeniem, przypominał wrednego płaza wyjętego z fantastycznej powiastki. Pod prostą linią siwych brwi oczy lśniły jak uśpione wody Maremmy, nieustannej wylęgarni odrażających bestii.

- Przyklęknij przed ostatnim stopniem tronu! - podpowiedział jej Patrizi. - A potem padnij na twarz.

- Czy ten, którego tu widzę, jest biskupem Rzymu, czy jakimś barbarzyńskim bożyszczem? - powiedziała młoda kobieta półgłosem. - Uklęknę, bo wymaga tego protokół, ale nie żądam niczego więcej.

Krokiem, który jakby cudem stał się niespotykane pewny, ruszyła w kierunku tronu Piotrowego. Spizowy głos, który brzmiał jak śpiew kościelny, dosięgnął ją w połowie drogi:

- Cóżo bezceństwa! Jak śmiesz podchodzić do Nas tym pewnym siebie krokiem, podczas gdy powinnaś czołgać się w prochu, aby starać się uniknąć Naszego słusznego gniewu?

Słyszając to, Fiora zatrzymała się tam, gdzie była.

- Nie nauczono mnie czołgania się, Ojczy Święty, chociaż zdarzało mi się znaleźć przed tronem najpotężniejszych książąt naszych czasów. Wiem, co jestem winna wikariuszowi Chrystusa, ale jestem szlachetnie urodzoną damą, a nie niewolnicą w kajdanach, mimo tego, jak mnie traktowano przez ostatnie dwa miesiące: z pogardą dla praw człowieka i faktu, że znajdowałam się na osobistych ziemiach króla Francji. A zatem pod jego ochroną.

W najmniejszym stopniu nie przyspieszając kroku, kontynuowała drogę przez różnobarwny archipelag kobierców. Dotarwszy do stóp tronu, wzięła z najniższego stopnia brokatową poduszkę, którą umieściła pod kolanami, po czym osunęła się na nią.

- Czy mogłabym się dowiedzieć - wyrzekła spokojnie - czemu zawdzięczam dostąpienie zaszczytu znalezienia się tutaj, o tej godzinie, na kolanach przed Waszą Świątobliwością?

Tyle spokojnej odwagi, a także śmiałości, zdawało się na chwilę rozbroić gniew Sykstusa, gniew zresztą całkowicie udawany, pod którym starał się ukryć radość, jaką czuł, widząc zdaną na jego łaskę tę kobietę, w której widział swego nieustępliwego wroga. Przez moment przyglądał się jej, niezadowolony na widok takiej nieugiętości w szczupłej kobiecej sylwetce, tak wyraźnie doświadczonych trudami długiej podróży. Pod zgrzebnym odzieniem jej ciało zdawało się przezroczyście, a twarz miała bladość kości słoniowej, ale zachowanie było iście książęce i papież musiał przyznać sam przed sobą, że niewiele księżniczek zachowywało w jego obecności tak dumną pewnością siebie.

- Bardzo podniośle przemawiasz, jak na dziewczynę urodzoną na zgniłej słomie w więzieniu!

Spoliczkowana tym przypomnieniem nieszczęść związanych z jej narodzinami, Fiora poczuła, jak się czerwieni, ale nie ugięła się.

- Jestem zaskoczona - powiedziała - że biskup Rzymu jest do tego stopnia wtajemniczony w historię kobiety, która nie powinna interesować następcy świętego Piotra. Urodzonej w więzieniu, to prawda, ale jednak szlachetnego stanu, bo wychowywał mnie jeden z najznakomitszych obywateli Florencji... A poza tym...

- Dosyć! Wiem, kim jesteś, kobieto! Z twojego powodu jeden z naszych najlepszych sług, człowiek święty, cierpi najgorszą niewolę w nieludzkich warunkach...

- Jeśli to brata Ignacio Ortegę Wasza Świątobliwość niniejszym kanonizuje, nieco pochośnie, to raj musi być znacznie łatwiej dostępny, niż mi mówiono. Wystarczy zatem zabić jakiegoś króla, by bez przeszkód przekroczyć jego bramy? Brat Ignacio próbował zamordować króla Francji, Ludwika, a skoro zdołałam mu w tym przeszkodzić, powinienes, Ojczy Świąty, podziękować mi za to: królewska krew splamiłaby na zawsze biel Baranka, którego jesteś namiestnikiem...

- Co to za historia? - zawołał Sykstus, którego grube, nerwowe palce szarpały pompony podłokietników. - Brat Ignacio miał za zadanie uzyskanie zwolnienia Księcia Kościoła przetrzymywanego przez króla Ludwika w surowym więzieniu, z pogardą dla jakiegokolwiek prawa. Nie jest naszym sługą, lecz poddanym królowej Izabeli Kastyljskiej, która żąda jego uwolnienia. Poza tym nie pierwszy raz widzimy, jak stajesz na drodze

prawdziwej wiary i czci dla Chrystusa Króla! Już we Florencji, dwa lata temu, wywoływałaś wstręt i skandal swoimi bezeceństwami.

- Czy bezeceństwem jest pragnienie obrony pamięci zamordowanego ojca? Nawet jeśli był skandal, to byłam za niego zdecydowanie mniej odpowiedzialna niż ci, którzy na bezbronne dziecko, którym wówczas byłam, zastawiali kolejne pułapki i zasadzki. Czy to dla chwały królowej Izabeli brat Ignacio, spokrewniony z Pazzimi, spiskował nad zgubą Medyceuszy?

Odgłos uderzających o posadzkę halabard przerwał filipikę, w którą wdała się Fiora, straciwszy panowanie nad sobą i postanowiwszy postawić wszystko na jedną kartę. Do sali wkroczyła nowa postać, tak niezwykle majestatyczna, że kobieta śledziła jej przejście z rodzajem zachwyty. Jeśli był ktoś zasługujący na tytuł Księcia Kościoła, to był nim z pewnością mężczyzna, który właśnie wszedł i który przesuwiał się z jednego kobierca na drugi, ciągnąc za sobą, z szelestem suchych liści, wspaniałe szaty z purpurowej mory.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że jest stary, lecz w wieku siedemdziesięciu pięciu lat Guillaume d'Estouteville, kardynał kamerling i arcybiskup Rouen, zachowywał młodość ruchów, której wielu mu zazdrościło, z papieżem na czele. Wysoki, szczupły, rasowy aż po końce dłoni, zachwycających, prawdziwych dłoni prałata, był najbogatszym kardynałem Świętego Kolegium i najbardziej lubiącym przepych. Rzym zawdzięczał mu podniesienie z ruin niektórych kościołów i wspomaganie wielu żyjących w nędzy rodzin, gdyż był to także zacny człowiek. Papież zaś szanował w tym byłym benedyktynie pochodzącym z możnej rodziny normandzkiej spokrewnionej z francuską rodziną królewską - babka kardynała ze strony matki była siostrą Karola V - wszechstronne wykształcenie i swobodny umysł dyplomaty. Obdarzony między innymi wielką elokwencją i poglądami znacznie wyprzedzającymi jego czasy, d'Estouteville pełniąc funkcję legata we Francji głęboko zreformował Sorbonę i otworzył proces rehabilitacyjny Joanny d'Arc. Jego pozycja w Rzymie była na tyle wyjątkowa, że papieżowi zdarzało się mu jej zazdrościć.

Mimo zaawansowanego wieku nogi wydawały się nie sprawiać mu najmniejszego problemu, gdyż z wielką swobodą przykleknął, aby ucałować pierścień, lecz podnosząc się, spojrzał pytająco na Fiorę oczami o niewinnym kolorze kwitnącego lnu. Sykstus zakrakał ze swego czerwonego fotela:

- Spójrz na tę kobietę, bracie! To z jej powodu poprosiliśmy cię o przybycie tutaj. Znasz ją?

- Bynajmniej! - powiedział kardynał i dodał z półuśmiechem: - Jeślibym ją kiedyś widział, to sądzę, że zapamiętałbym. Powiesz mi, Ojczy Święty, kim jest?

- Stworzeniem tyleż szkodliwym, co niebezpiecznym. To ta Fiora Beltrami, która była kochanką ostatniego księcia Burgundii, a teraz jest kochanką waszego króla, Ludwika!

Ośłupienie i oburzenie sprawiły, że w jednej chwili Fiora zapomniała o jakiegokolwiek ostrożności czy szacunku należnym tak wysokim osobistościom.

- Co to za bujda? - zawołała. - Nigdy nie byłam kochanką Zuchwałego, a tym bardziej króla Francji!

- Raporty naszych szpiegów są w tej sprawie jednoznaczne - zagrział Sykstus IV. - Czy towarzyszyłaś, wraz z najbliższymi mu osobami, nieżyjącemu księciu w czasie pierwszego oblężenia Nancy aż do jego śmierci?

- Rzeczywiście. Ale byłam jego zakładniczką, gdyż mimo iż poślubiłam jednego z jego dowódców, uważał mnie za szpiega króla Francji.

- Ciekawe! Zakładniczką, naprawdę? Tymczasem słyszeliśmy, że z tą zakładniczką przed ostatnią bitwą żegnał się czule i oferował w prezencie swoje ulubione cacko?

- Zechciej wybaczyć, że przerwę, Ojczy Święty - powiedział francuski kardynał. - Czy ta kobieta nie powiedziała przed chwilą, że jest żoną burgundzkiego dowódcy?

- Na początku przyszłego roku miną trzy lata od dnia, kiedy poślubiłam we Florencji hrabiego Filipa de Selongeya, który przybył jako poseł do monsignore Lorenza. Ślub odbył się w tajemnicy, ale później został oficjalnie ogłoszony.

- Gdzie jest w takim razie twój małżonek?

- Nie żyje, Wasza Eminencjo! Został stracony w Dijon w lipcu ubiegłego roku na rozkaz króla. I to bycie przyjaciółką tego króla ośmiela się mi tu zarzucać.

Na ustach papieża pojawił się uśmiech zaprawiony jadem, a w jego twardym spojrzeniu zapaliła się błyskawica.

- Ileż nieprawdopodobieństw! Osądź sam, d'Estouteville. Moi ludzie znaleźli tę rzekomą burgundzką damę w małej posiadłości w pobliżu Plessis-lez-Tours, posiadłości ofiarowanej jej przez króla.

- To prawda - powiedziała Fiora podnosząc głos. - Król Ludwik dał mi ten kasztel, w którym nadal przebywają mój niedawno narodzony syn, moja gospodyni i służba, w podziękowaniu za przysługę, którą mu wyświadczyłam.

- Wielką przysługę, w istocie! - zazgrzytał papież. - Z powodu tej plugawej kreatury mój legat gnije w nieludzkich warunkach w jednej z tych tak



cenionych przez króla Ludwika żelaznych klatek. Przebywa tam w towarzystwie naszego nieszczęsnego brata, kardynała Balue.

- Rzeczywiście przeszkodziłam twojemu tak zwanemu legatowi w zamordowaniu króla. Co zaś się tyczy tego Balue, to nie wiem o nim nic poza tym, że jest zdrajcą.

- Tyle szumu o kilka oznak przyjaźni względem Burgundii! Książę nie żyje. Nie ma więc już powodu, by przetrzymywać naszego brata w więzieniu, dlatego kazałem cię pojmać, córo nieprawości. Jeśli Ludwik XI chce cię jeszcze ujrzeć żywą, musi uwolnić Balue'a, a przede wszystkim brata Ignacia Ortegę. Poza tym będzie musiał udzielić nam gwarancji w kwestii swojej polityki względem Florencji, której władca myśli tylko o tym, jak się zbuntować przeciwko nam.

- Florencja nigdy nie uznawała innej władzy niż rządy swoich priorów i tych, którzy umieli zapewnić jej bogactwo, sławę i wolność: Medyceuszy.

- Posłuchaj jej, tylko jej posłuchaj! - zagrział papież, wstając na obolałe nogi, co wzmogło jego gniew. - Ta dziewczyna to istna księżniczka! Ośmiela się mówić o prawach, wolności i dyskutować z nami o polityce? Kardynale, zechciej jak najszybciej wysłać emisariusza do Francji, aby przekazać informację o naszych warunkach. Ta kobieta poczeka na odpowiedź w więzieniu.

- No to równie dobrze możesz mnie od razu kazać stracić - powiedziała Fiora z goryczą. - Król nigdy nie zaakceptuje takich warunków, Ojczy Świąty! Zresztą nie wykluczam, że w chwili obecnej nie darzy mnie już przyjaźnią: dałam mu bowiem do zrozumienia, że zamierzam zwrócić mu jego kasztel, gdyż nie mogę wychowywać syna na ziemiach osoby, która skazała na śmierć jego ojca.

- Chcesz powiedzieć, że król nie kiwnie palcem, aby cię uratować?

- Dokładnie, Wasza Świątobliwość. Porywając mnie, zrobiłeś bardzo zły interes.

W tej samej chwili drzwi sali otworzyły się i zanim monsignore Patrizi zdążył ją zapowiedzieć, weszła szybkim krokiem młoda kobieta, która zuchwale ruszyła w kierunku tronu. Bardzo młoda i zachwycająca, o miodowych włosach i oczach koloru awanturynu, ubrana z przepychem, który wzbudził w Fiorze mimowolny podziw. Nie widziała nic bardziej eleganckiego, niż ta suknia z czarnej satyny ukazująca w rozcięciu karminowy spód. Ogromne ciemnoczerwone rubiny lśniły na piersiach, przy stanie sukni, przy zapinkach obszernych rękawów, na złotej siatce przytrzymującej ciężką masę włosów. Na ramionach miała szerokie okrycie z trawiastozielonego aksamitu

podbijane czarnymi gronostajami. Kolejne rubiny lśniły na jej dłoniach i w uszach.

Wyraz gniewu zniknął z twarzy papieża jak za sprawą czarów i zmienił się w miły uśmiech, kiedy piękna dziewczyna ucałowała jego dłoń, a potem usiadła ze swobodą na jednej z poduszek rozłożonych na stopniach podwyższenia, a migotliwa fala jej sukni rozpostarła się wokół.

- Droga siostrzenico - dobrotliwie zarzucił jej papież - kiedy wreszcie pozbędziesz się tego zwyczaju wpadania tu jak trąba powietrzna, bez dbałości o wymogi protokołu?

- Chyba nigdy! Gdyby ci się to nie podobało, to nie miałbyś tego ożywionego spojrzenia i ciepłego uśmiechu, które tak u ciebie lubię - oświadczyła z promiennym uśmiechem, którego końcówkę przesłała kardynałowi d'Estouteville, podając mu bezceremonialnie rękę.

- Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek, madonna - powiedział kardynał z galanterią.

- Prawda, że tak? - powiedziała z dziecinną satysfakcją. - Nikt by nie pomyślał, że oczekuję narodzin dziecka tej wiosny!

Mówiąc to, utkwiała wzrok w Fiorze. Przez chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się, stopiły ze sobą. W oczach siostrzenicy papieża nie było wzgardy, a Fiorze nawet wydało się, że odczytuje z nich jakby sympatię.

- Mam inną wadę - dodała spokojnie nowo przybyła. - Mam zdecydowanie zbyt czułe uszy i często słyszę rzeczy, które niekoniecznie są dla mnie przeznaczone. Poza tym jestem, niestety, bardzo ciekawska i tak się składa, że te same rzeczy zawsze interesują mnie bardziej niż inne.

- To znaczy?

- Ze chciałabym na przykład wiedzieć, dlaczego Wasza Świątobliwość kazał porwać tę młodą damę. Gdzie ją znalazł? I dlaczego to stanowi ona tak zły interes? Czy ten król, o którym mowa, to nie twój władca, monseigneur d'Estouteville?

- Możliwe, że masz rację, madonna - powiedział prałat z lekkim zakłopotaniem - ale chodzi tu o sprawy wagi państwowej i choć Jego Świątobliwość ma dla twej osoby wielki afekt...

- Nie owijaj w bawełnę, mój bracie! - uciał papież, którego znów ogarniała irytacja. - To zupełnie nie jej sprawa. Catarino, wiesz, jak droga jesteś naszemu ojcowskiemu sercu, ale chcielibyśmy, żebyś trzymała się z dala od tej historii, która dotyczy wyłącznie naszej polityki.

- Polityka jest jedną rzeczą, a miłosierdzie drugą - powiedziała śmiało młoda kobieta. - Widzę tu, przed tobą, młodą damę, z całą pewnością szlachetnie

urodzoną mimo zgrzebnej odzieży, którą ma na sobie, i bez wątpienia znajdującą się u kresu sił.

- Niech więc uklęknie, zamiast stać tu przed nami, jakby rzucała wyzwanie! Nic o niej nie wiesz, Catarino: to Florentynka, zaprzysięgła nieprzyjaciółka Pazzich, którzy są nam bliscy, jak wiesz. Dwukrotnie pokrzyżowała nasze plany i powinna zostać skazana na śmierć. Ale...

Błyskawica załśniła w oczach Catariny na dźwięk nazwiska Pazzich. Fiora przysięgłaby, że tak było. Wróciły wspomnienia i teraz wiedziała, kogo miała przed sobą: była to Catarina Sforza, w istocie siostrzenica papieża, ale poprzez związek małżeński, nieślubna córka księcia Mediolanu, w wieku jedenastu lat poślubiona Girolamowi Riario, ulubionemu siostrzeńcowi papieża - może nawet jego synowi! - gburowi, o którym mówiono, że był sklepikarzem czy celnikiem, i w którego chciwe ręce Sykstus chciał przekazać Księstwo Toskanii.

- Ale - podjęła młoda kobieta śmiało - Wasza Świątobliwość nie jest jeszcze pewny, że interes jest tak całkiem zły?

- W istocie. W zależności od odpowiedzi, którą Monsignore d'Estouteville otrzyma z Francji, zadecydujemy o jej losie. Na razie zostanie przeniesiona do Zamku Świętego Anioła i tam uwięziona na tak długo, na ile to uznam za stosowne.

- Jeśli uważasz ją za zakładniczkę, nie trzymaj jej w więzieniu na gnijącej słomie! Powierz ją mnie. Będę umiała strzec jej tak pilnie, jak to konieczne, ale przynajmniej będzie dobrze traktowana, za co król Francji będzie ci wdzięczny, jeśli zdecyduje się na układ z tobą.

Tego już Jego Świątobliwość nie mógł znieść, nawet ze strony młodej kobiety, dla której, najwyraźniej, żywił szczególną czułość. Ponownie wstając i prostując swą wysoką sylwetkę, papież rozkazał:

- Jeszcze raz, droga siostrzenico, żądam, byś przestała się mieszać do tej sprawy! Będzie tak, jak powiedziałem: pójdzie do więzienia... a ty zjesz z nami kolację.

Straże zbliżyły się. Wtedy, ku wielkiemu zaskoczeniu Fiory, kardynał wkroczył do akcji:

- Jeszcze chwilę, Ojciec Święty, proszę! Czy zamknąłbyś ją w Zamku Świętego Anioła, gdyby stanowiła walutę wymienną, jak na to liczyłeś?

- Nie. Posłałbym ją do klasztoru San Sisto.

- A więc dlaczego zmieniłeś plany? Dobrze znam króla Ludwika i jego wielką inteligencję. Nie należy do tych, którzy obdarzają przyjaźnią w sposób przypadkowy. Zwłaszcza jeśli ta przyjaźń posuwa się aż do oferowania w

prezencie posiadłości w jego bezpośrednim sąsiedztwie. Chyba że Wasza Świątobliwość zamierza wypowiedzieć wojnę mojemu krajowi, co rozdarłoby mi serce...

- Wojnę Francji? Zwariowałeś, mój bracie! Wielki Pająk posiada najlepszą armię na świecie.

- A więc niczego nie zmieniaj w swoim pierwotnym planie. Każ zawieźć donnę... Fiorę? Dobrze zapamiętałem?

- Jakie ładne imię! - zawołała Catarina, która zdecydowanie nie lubiła zbyt długo milczeć. - A dalej?

- Beltrami, madonna - odpowiedziała Fiora, ofiarowując młodej kobiecie ukłon i cień uśmiechu. - Możesz dodać: hrabina de Selongey.

- Dostyc tych światowych grzeczności! - zawołał Sykstus, którego ogorzała twarz znów stawała się ciemnopurpurowa. - Może masz rację, d'Estouteville. Wyślijmy ją do San Sisto! Będą jej tam dobrze pilnować, a żeby uciąć jej głowę albo powiesić, zawsze będzie czas, jeśli jej władca nie odpowie właściwie na nasze oczekiwania. Niech ją zabiorą i powiedzą dowódcy straży, by ją tam natychmiast zawieziono. Przeorysza jej oczekuje.

Fiora musiała wykazać się wielkim opanowaniem, aby ukłonić się temu papieżowi, który miał niewiele wspólnego z wyobrażeniem, jakie miała o wikarym Chrystusa. Ale niemal uklękła u stóp kardynała d'Estouteville.

- Przyjmij podziękowania za twe miłosierdzie, Eminencjo, i racz modlić się za mnie i za dziecko, z którym mnie rozdzielono. Przysięgam, że jestem godna twojego wstawiennictwa.

Biała dłoń, na której lśnił ciężki szafir, nakreśliła na jej pochylonej głowie znak błogosławieństwa, a spojrzenie niebieskich oczu śledziło ją, gdy zwróciła się do donny Catariny:

- Dziękuję ci, madonna. Nie zapomnę.

Wreszcie dobrowolnie stanęła pomiędzy żołnierzami i przeszła przez salon pod ich eskortą. Dotarłszy do progu, zauważyła grupę mężczyzn, w większości młodych i kosztownie ubranych, którzy tłoczyli się w antyszambrze. Pośród nich perorował osobnik około trzydziestoletni, ale już otyły, besztający strażę, które odmawiały mu wstępu, oraz ceremoniarza:

- Wpuściliście moją żonę! Chcę do niej dołączyć. Zresztą Ojciec Święty czeka na mnie!

- Chwilkę, messer Girolamo, tylko chwileczkę! - bronił się Patrizi. - Ojciec Święty kategorycznie oświadczył, że nie życzy sobie, by ktokolwiek mu przeszkadzał.

- Wygląda na to, że hrabina Riario nie jest kimkolwiek?

- Nic nie zdołaloby jej zatrzymać, Wasza Wysokość. Jej urok otwiera wszystkie drzwi.

Fiora straciła zainteresowanie dysputą i przeszła dalej. Przez chwilę widziała Riaria, jego pospolitą twarz o grubo ciosanych rysach, sztywne włosy, niezdolną wulgarność zachowania, którą przetykana złotem odzież tylko uwydatniała. To, że uroczą Catarina była żoną tego prostaka, stanowiło jedną z niedorzeczności, które zdawały się nieodłączną częścią tego iście królewskiego pałacu.

Przeznaczenie sprawiło, że znalazła się w świecie, o którym nie miała najmniejszego pojęcia, nawet kiedy mieszkała we Florencji. Papież pozbawiony indywidualności, zajęty wyłącznie politycznymi knowaniami i dobrami doczesnymi, budzący wątpliwości co do charakteru modlitw, które kierował do Boga - jeśli w ogóle się modlił - ten dwór zaludniony najemnikami i niewolnikami, a skończywszy na urodziwej Catarina, która zwykła siadywać na stopniach tronu papieskiego, wszystko to potwierdzało to, co jej stosunki z Ignacem Ortegą i pobyt w klasztorze Santa Lucia we Florencji, pozwoliły jej przeczuwać: czy Rzym, do którego ciągnęło tylu pielgrzymów, tylu biedaków niesionych wyłącznie cierpliwym pragnieniem modlitwy przy grobie Apostoła i otrzymania błogosławieństwa papieża, czy ten Rzym nie stawał się punktem orientacyjnym dla złodziei?

Fiora miała się wkrótce przekonać, jak wygląda rzymski klasztor. Mimo wszystko odczuwała pewną ulgę, myśląc, że znajdzie tam przynajmniej ład życia zakonnego, ciszę i spokój, czyli wszystko, czego domagały się jej wyczerpane ciało i obolała dusza. Nawet w Santa Lucia udawało jej się spać, a to odpoczynku potrzebowała najbardziej po tym, co przeszła. Później zaczęła znowu myśleć i szukać sposobu, by jak najkrócej korzystać z papieskiej gościnności.

Wielki Domingo znikł, nad czym ubolewała. Stanowił dla niej podpórę, której będzie jej brakować. Na dziedzińcu Watykanu posadzono ją na mule, którego natychmiast otoczył oddział żołnierzy. Ich dowódca był trochę podobny do Montesecca, z którym zresztą, jak widziała, przez chwilę rozmawiał. Później miała się dowiedzieć, że mężczyźni byli braćmi.

Nadeszła noc. Noc wilgotna i zimna, która zmieniała wygląd otoczenia i strzępiła płomienie pochodni w dłoniach służących. Po przekroczeniu głównej bramy pograżyli się w ciemnościach, ale oczy Fiory szybko do nich przywykły i spostrzegła, że noc nie była tak ciemna, jak jej się wydawało. Jedyne jeszcze widoczne światła rozjaśniały tabardy z herbem papieża na zbrojach eskorty.

Starła się jak najdokładniej zapamiętać drogę, którą ją prowadzono, co było koniecznością na wypadek ewentualnej ucieczki.

Po przebyciu placu Świętego Piotra, nie większego niż dziedzińce przed wiejskimi kościołami, przejechali obok budynków, przy których drzwiach w naczyniach umieszczonych w żelaznych klatkach płonął ogień, a potem przed fortecą składającą się głównie z ogromnej cylindrycznej wieży, na której szczycie dojrzeć można było gigantyczną sylwetkę anioła z rozłożonymi skrzydłami. Naprzeciwko niej widniał most zabudowany sklepikami o zamkniętych okiennicach, łączący brzegi Tybru, którego czarne wody były prawie niewidoczne. Później zagłębili się w ciemny labirynt, robiący wrażenie wielkiego placu budowy poprzecinanego pustymi przestrzeniami.

Rzym cesarzy, przez długi czas porzucony przez papieży na rzecz Awinionu, oraz jego niesamowite zabytki bez wątpienia stopniowo by się rozsypały aż do całkowitego zniknięcia z powierzchni ziemi, gdyby niektórzy papieże, tacy jak Mikołaj V, a w szczególności Sykstus IV nie wzięli ich losu w swoje energiczne dłonie, zmuszając architektów rekonstruujących kościoły do sprowadzania kamienia spoza miasta, zamiast czerpać go z pobliskich antycznych budowli, które stawały się w ten sposób łatwo dostępnymi kamieniołomami.

Rzecz jasna, wraz z powrotem papieży, do Rzymu ponownie napłynęło bogactwo. Zwierzchnicy Kościoła stawiali na wzgórzu watykańskim budowlę mające zastąpić dawną siedzibę, pałac laterański, zniszczony w pożarze, a wokół nich kardynałowie i wysocy urzędnicy pospiesznie budowali swe pałace, większe, a przede wszystkim bardziej wystawne, niż domostwa starych rodzin pozostałych na miejscu. Jednakże wszystkie te budowy prowadzone były w sposób nieuporządkowany. Rzym posiadał wtedy zaledwie kilka placów i, poza krętymi uliczkami, jedną czy dwie szersze i bardziej reprezentacyjne ulice, takie jak Corso, nazwane tak, gdyż niegdyś odbywały się tu gonitwy koni, osłów i... Żydów. Sykstus IV, który postanowił uczynić z tej ogromnej, niszczonej, zdominowanej przez ruiny mordowni cywilizowane, uporządkowane miasto, o ulicach wybrukowanych czymś lepszym, niż nieociosane kamienie rzeczne, miał przed sobą ogromne zadanie, jeśli pragnął wznieść stolicę na miarę swych ambicji. Zbudowawszy most na Tybrze, wzniosłszy szpital San Spirito, kościoły i klasztory, pokrywał Rzym placami budowy na miejscu wyburzanych ruder, odsłaniających starożytnie zabytki, na których panoszyły się bluszcz i chwasty.

O tej wieczornej porze nowe konstrukcje i stare zabudowania po bratersku stapały się ze sobą w tym samym mroku i mgle, która zacierała wszystko

wokół, i Fiora w końcu zrezygnowała z zapamiętywania jakiegokolwiek drogi w labiryncie, w który się zagłębiali. Nie wiedziała, że jadą w kierunku Circus Maximus, że mijają ruiny pałacu Septymiusza Sewera, by dotrzeć do term Karakalli, których okaleczony fragment wznosił się ku czarnemu niebu. Majestat tego widma czasów starożytnych obudził jednak jej zainteresowanie, zapytała więc dowódcę, co to takiego. Odpowiedział, dodając:

- Będiesz miała dużo czasu na ich podziwianie. Klasztor San Sisto, do którego cię prowadzę, jest dokładnie naprzeciwko.

W istocie nieco poniżej drogi, której powierzchnię nadal pokrywały wielkie starożytne płyty, wznosiły się brudnoczerwone mury otaczające gmatwaninę roślinności, niskie, lecz proporcjonalne zabudowania i czworokątną kampanilę kościoła. Kiedy oddział się zatrzymał, można było usłyszeć dźwięk śpiewu religijnego, stłumiony przez grube mury, oraz rechot żab na pobliskim bagnie.

Pięścią w skórzanej rękawicy jeden z żołnierzy zastukał w furkę, w której widniało wąskie okienko. Uderzał wiele razy, aż za kratką pojawiła się szczupła twarz otoczona białym barbetem.

- Na rozkaz Jego Świątobliwości Papieża, otwierać! - zawołał dowódca, który stał obok Fiory. - Przeprowadziłem zapowiadaną osobę.

Okienko zostało zamknięte, a furta otworzyła się powoli, bezdźwięcznie, ukazując białą sylwetkę siostry furtianki.

- Niech Pan zechce mieć w Swej opiece naszego Ojca Świętego! - wyszeptała, zegnając się. - Wejdz, siostro! To prawda, że czekałyśmy na ciebie.

Fiora zeszła z muła i podeszła do furty, podczas gdy jej eskorta się wycofała, jako że mężczyźni niebędący księżmi nie mieli prawa przekroczyć murów klasztoru. Głos zakonnic był łagodny, a dobiegające ich uszu śpiewy bardzo piękne. Fiora ujrzała bladą dłoń wyciągniętą w jej stronę i w sposób całkiem naturalny umieściła w niej swoją rękę z uczuciem, że wyciszają się władające nią lęki, podejrzenia i obawy. Czy to możliwe, że ten klasztor rzeczywiście był oazą spokoju?

## Rozdział szósty

### Ogród San Sisto

Klasztor dominikanek z San Sisto, które cieszyły się szczególnymi względami papieża,

był ulubionym azylem szlachetnie urodzonych młodych panien pragnących schronić się przed światem, ale zdarzało się, że przystań mogła tam znaleźć młoda wdowa lub kobieta wystarczająco wpływowa, by ją tam przyjęto. Przybywając prosto z Watykanu, Fiora została przyjęta z kurtuazją przez matkę Girolamę, kobietę w średnim wieku, która kiedyś musiała być bardzo piękna i najwyraźniej przyzwyczajona była do wydawania poleceń. Miała jasne oczy o otwartym spojrzeniu, dźwięczny i melodyjny głos i ciepły, choć pojawiający się nieczęsto uśmiech, czym od razu zdobyła zaufanie Fiory. Po tym, jak najpierw groziło jej wydanie katu, a potem męczarnie w jakimś lochu, dobrze było oddać się w ręce matki Girolamy.

- Jesteś w opłakanym stanie - stwierdziła matka przełożona, patrząc na nową pensjonariuszkę ze współczuciem. - Jesteś chora?

- Nie, matko, nie sędzę. Ale przez dwa długie miesiące podróżowałam po morzu i wiele wycierpiałam. Marne jedzenie dokonało reszty.

- Rozumiem. Zaprowadzę cię teraz do twojego pokoju, gdzie zostanie ci przyniesiony posiłek.

- Czy nie mogłabym dostać trochę wody do mycia? Od tygodni nie miałam możliwości prawdziwej toalety.

- Nie śmiałam ci tego proponować - powiedziała przeorysza z półuśmiechem. - Zdarzało mi się mieć podopieczne, które pogardały higieną osobistą, i przyznaję, że wcale mi się to nie podobało. Otrzymasz wodę, bieliznę i ubrania, lecz jedyne, jakie mogę ci oferować, to habity nowicjuszki.

- Będę szczęśliwa, mogąc je nosić. Jeśli zaś chodzi o moją suknię...

- Wypierzemy ją i jeśli już jej nie chcesz, damy ją biednym. Tak długo, jak będziesz u nas, nie będziesz jej potrzebować. A teraz chodź ze mną! Myślę, że naprawdę przede wszystkim powinnaś wypocząć.

Cela, w której ją ulokowano, otwierała się na krużganek z kolumienkami wychodzący bezpośrednio na ogród. Wąskie łóżko z białymi zasłonkami i proste umeblowanie bardzo przypomniało Fiorze celę, którą zajmowała w klasztorze Santa Lucia we Florencji w czasach katastrofy, która zrujnowała jej życie. Przybyła wkrótce siostra służebna, która rozpałała ogień w małym piecyku, aby przegnać zimną wilgoć i umożliwić Fiorze umycie się bez



szczękania zębami, postawiła późną różę w zielonym, majolikowym wazoniku i wesoło gawędząc, rozścieliła świeże prześcieradła i wytrzepała narzutę.

W ten to sposób Fiora dowiedziała się, że nazywała się ona Cherubina, co było dosyć rzadkim imieniem, ale usprawiedliwionym przez jej wygląd - pyzată różową twarz i jasnoblękitne oczy. Była córką chłopca z okolic Spoleto, którego pan posłał ją do klasztoru razem ze swą młodszą córką, Priscą, mleczną siostrą małej wieśniaczki, która była do niej bardzo przywiązana. Minęło pięć lat, odkąd była w San Sisto, i czułaby się tu w pełni szczęśliwa - gdyż nie wyobrażała sobie piękniejszego miejsca na świecie - gdyby nie to, że siostra Prisca zmarła ubiegłego lata na chorobę, na którą lekarstwa nie zdołano znaleźć.

- Nic nie można było zrobić - zakończyła z żalem, rozkładając ręce. - To przez bagno obok klasztoru. Latem pełno tam komarów, a one roznoszą malarię.

San Sisto było może najpiękniejszym miejscem na świecie, ale zapewne jednym z najbardziej niezdrowych. Na szczęście lato dawno się skończyło, a Fiora miała nadzieję, że kiedy wróci, ona już od dawna będzie gdzie indziej. Ale tego wieczoru, wyciągając się w pościeli pachnącej bergamotką, po zjedzeniu na kolację makaronu z bazylią i wyśmienitej sałatki owocowej, młoda kobieta pomyślała, że z komarami czy bez nich, ten klasztor jest na swój sposób jednym z tych uprzywilejowanych miejsc, gdzie ból ustępuje i gdzie można jeszcze wierzyć w miłosierdzie boskie. Siostra Cherubina była nieco rozczarowana, że nie usłyszała żadnych zwierzeń w zamian za swoją historię, Fiora jednak usprawiedliwiła się najzupełniej prawdziwą sennością i obiecała, że w przyszłości będzie bardziej rozmowna.

Cudowne wrażenie, że znalazła schronienie przed ludzką niegodziwością i że odzyskuje pełnię władzy nad sobą, trwało przez następne dni. Pod wyrozumiałymi, lecz zdecydowanymi rządami matki Girolamy klasztor zdawał się tworzyć jedną dużą rodzinę, której każdy członek był zadowolony ze swego losu. Pogodne i wyciszone dominikanki znajdowały w pracy, muzyce, medytacji i modlitwie ten spokój serca i tę otuchę dla duszy, które może przynieść ład duchowy. O mury klasztoru San Sisto rozbijały się odgłosy świata zewnętrznego, poszept intryg i krzyki cierpienia ofiar, które każdej nocy pozostawiała na uliczkach i w zaułkach wieczna, nieustanna wojna dwóch możliwych rodów dzielących wpływy w Rzymie: Orsinich i Colonna. Życie tutaj upływało na głoszeniu śpiewem uwielbienia Boga i na trudzeniu się dla Jego większej chwały. Toteż sprawowane w klasztorze obrzędy były bardzo piękne.

Fiora lubiła w nich uczestniczyć i łączyć swój głos z głosami zakonnice, które przyjęły ją po prostu miło, bez zbędnych pytań.

Oczywiście wiedziały, że pochodzi z Florencji, jako jedyna w klasztorze, i wkrótce dowiedziały się, że jest wdową po jednym z najlepszych dowódców Zuchwałego. Jednak mniszki nigdy nie słyszały o zmarłym księciu Burgundii, z wyjątkiem jednej, która po dłuższych wahaniach pewnego poranka podeszła do Fiory w ogrodzie.

Młoda kobieta uczyniła z tego ogrodu swoje ulubione miejsce i jeżeli tylko pozwalała na to pogoda przesiadywała tam z robótką lub powoli przemierzała starannie wytyczone alejki. Nie był w niczym podobny do ogrodu otaczającego Dom w Barwinkach ani nawet do tego w willi Beltramiego we Fiesole, który Fiora tak bardzo lubiła. Tutejszy ogród, mimo zbliżającej się zimy, która pozbawiała go znacznej części kwiatów, gromadził wokół wielkiej pinii kępy drzew cytrynowych, granatów i oleandrów. Wśród ścieżek pokrytych płytkami marmuru, dochodzących do zbiorników, w których śpiewały fontanny, rosła gmatwanina najbardziej wonnych roślin śródziemnomorskich, spośród których wytryskiwały czasem w górę krzaki róż lub długie pióra janowca hiszpańskiego. Oczywiście był tu mądrze zagospodarowany warzywnik, obsadzony z wielką starannością, osłaniany od wiatru przez cyprysowe żywopłoty, ale cała reszta zdawała się dziełem genialnego i zarazem szalonego ogrodnika.

Siedząc na ławce, którą upodobała sobie od pierwszego dnia, trzymając w rękach obrus, na ołtarz, który postanowiła wyhaftować, choć jej dłonie spoczywały beczynnie, Fiora ujrzała zbliżającą się młodą zakonnice. Zwróciła już na nią wcześniej uwagę w kaplicy z powodu jej anielskiego głosu i twarzy, która wydawała jej się mgliście znajoma. Uśmiechnęła się dla dodania jej odwagi, gdyż dziewczyna była najwyraźniej nieśmiała.

- Chciałaś mi coś powiedzieć, siostrze? - zapytała.

- Przeszkodziłam ci, proszę o wybaczenie - odrzekła młoda mniszka, mocno się czerwieniąc.

Nie mogła być w klasztorze od dawna, gdyż podobnie jak Fiora nosiła biały habit nowicjuszek.

- Powiedz raczej, że zaskoczyłaś mnie w chwili lenistwa, bo, jak widzisz, oddawałam się wyłącznie marzeniom. Usiądź przy mnie na ławce!

- Dziękuję. Już od wielu dni chcę z tobą porozmawiać, ale musiałam zebrać się na odwagę. Powiedziano nam tylko, że jesteś panną z Florencji poślubioną wielkiemu panu burgundzkiemu. Chciałabym zapytać... Czy jesteś hrabiną de Selongey?

- Owszem - odpowiedziała Fiora ze zdziwieniem. - W jaki sposób na to wpadłaś?

- Proszę, nie sądź, że kieruje mną pospolita ciekawość. Zrozumiesz lepiej, kiedy powiem ci, kim jestem.

- Jesteś siostrą Serafiną. Tak lubię słuchać twojego śpiewu, że zasięgnęłam informacji.

- Tak, tutaj jestem Serafiną, ale dla świata byłam Antonią Cołonna.

Fiora nagle doznała olśnienia, a w jej sercu wybuchła radość.

- Battista! - zawołała. - No jasne, to on mi przychodził do głowy, kiedy na ciebie patrzę. Jesteś jego krewną?

- Nasze matki są siostrami i jesteśmy w tym samym wieku. Nawet jako bliźnięta nie moglibyśmy być sobie bliżsi. Po wyjeździe często do mnie pisał... i czasem opowiadał o tobie. Byliście przyjaciółmi, prawda?

- Więcej niż przyjaciółmi! Mówisz, że jest dla ciebie jak brat. Właśnie trochę kimś takim był i dla mnie: młodszym bratem pełnym uwagi i troski. Byłam wówczas zakładniczką księcia Burgundii i to dzięki Battistie nie pogrążyłam się w rozpacz w pewnych okolicznościach. Ale po pogrzebie księcia Karola zniknął i nie miałam o nim żadnych wieści. Możesz mi powiedzieć, co u niego teraz słychać? - dodała z ożywieniem. - Zapewnie wrócił do Rzymu?

- Nie, został tam!

Siostra Serafina odwróciła wzrok, by jej towarzyszka nie zobaczyła łez, a w sercu Fiory radość ustąpiła miejsca niepokojowi.

- Został w Nancy? Ale dlaczego? Nie został ranny w ostatniej bitwie, która kosztowała życie księcia, i słyszałam, że ze względu na wiek nie będzie przetrzymywany w więzieniu?

- W istocie, mógł wrócić. Pozostał tam, bo sam tego chciał. Wystąpił z prośbą o przyjęcie do grona mnichów, których misją jest czuwanie przy grobowcu tego, którego nazywał Wielkim Księciem Zachodu. Nigdy nie wróci!

Tym razem Serafina rozplakała się, nie starając się już tego ukryć. Fiora, zasmucona, nie wiedziała, jak ukoić lub choćby złagodzić ten ból. Jednocześnie robiła sobie gwałtowne wyrzuty: pochłonięta odzyskaną miłością, przestała troszczyć się o pazia i opuściła Nancy, nawet nie starając się z nim zobaczyć. Niemniej zachowanie Battisty wydawało się zupełnie niezrozumiałe. Czyżby do tego stopnia kochał księcia, by chcieć zostać jego sługą na wieczność? Do tego stopnia, by pogrzebać wraz z nim wszystkie nadzieje, które miał prawo wcielić w życie? By chcieć zostać przy jego grobowcu? Co za absurd! Co się mogło zatem stać przy stawie Świętego Jana, gdzie Battista zaprowadził tych, którzy szukali ciała zwyciężonego? Jaki wstrząs widok na wpół pożartych

przez wilki zwłok spowodował w duszy tego chłopca, który marzył o chwale, który kochał życie i który, będąc młodym, przystojnym, bogatym księciem, nie mógł pragnąć niczego więcej? Chyba że miłości, miłości, która czekała tylko na niego i nigdy nie ośmieliła się wymówić jego imienia. Serafina tymczasem podjęła przerwana opowieść:

- Nikt u nas nie rozumiał tej decyzji, a najmniej nasz wuj, hrabia de Celano, z którym Battista wyruszył, by dołączyć do wojsk burgundzkich. Próbował wszystkiego, by sprowadzić go z powrotem, ale natrafił na stanowczą, nieodwołalną decyzję. Battista chciał zostać mnichem.

- To niedorzeczne! Bo czy można wybrać życie zakonne bez zezwolenia głowy rodziny? Czy ojciec mu na to pozwolił?

- W żadnym razie. Wiązał z Battistą wielkie nadzieje.

- Dlaczego zatem nie odwołał się do papieża? Wiem, że jesteście jedną z dwóch najpotężniejszych rodzin w Rzymie.

- Byliśmy, ale już nie jesteśmy. Orsini są w tej chwili górami, ponieważ księżę Virginio jest bliskim przyjacielem hrabiego Girolamo Riario, ulubionego spośród piętnastu siostrzeńców Ojca Świętego. Oczywiście nie zrezygnowaliśmy z wojny z tą rodziną wyrzutków, ale teraz robimy to na własne ryzyko.

- Piętnastu siostrzeńców? Co za rodzina! Sami mężczyźni?

- Nie, są także dziewczęta, które dobrze się wydaje za mąż. Co do chłopców, to jeśli nie są kardynałami, uczy się ich dobrych manier i robi z nich prawdziwie wielkich panów. Hrabia Girolamo, który poślubił ulubioną nieślubną córkę księcia Mediolanu, dostał Romane i ostrzy sobie zęby na Florencję. Inny jest prefektem Rzymu, kardynał Giuliano della Rovere\* jest biskupem Lozanny, Awinionu, Konstancji, Mendę, Savony, Viviers i Vercelli. W pełnym rzadkich przedmiotów pałacu del Vaso, który nam odebrano, gości artystów, erudyków i poetów, gdyż znacznie bardziej interesuje go myśl grecka lub rzymska niż Ewangelia. Inny, upośledzony fizycznie, poślubił naturalną córkę króla Neapolu, która została do tego ślubu zmuszona, podobnie jak Catarina Sforza. Nie mogę ci powiedzieć wszystkiego, ale już niedługo młody Rafaele Riario, który ma siedemnaście lat i studiuje w Paryżu, otrzyma kapelusz kardynalski wraz z San Giorgio in Velabro\*\* i nie jest to z pewnością ostatnie dobrodzieństwo, którym papież obdarzy swoją rodzinę.

\* Przyszły papież Juliusz II, który zlecił Michałowi Aniołowi ozdobienie freskami Kaplicy Sykstyńskiej.

\*\* Każdy kardynał był jakby proboszczem jednej z rzymskich parafii. Rzym, a nawet całe Włochy, są dla niego jedynie ogromnym ogrodem, z którego

kradnie najbardziej smakowite owoce, aby podarować je swoim krewnym, gotów obrabować tych, którzy mu się nie podobają.

- A wasza rodzina mu się nie podoba?

- Oczywiście. Na szczęście mamy nadal wielu przyjaciół i stronników. Pozwala nam to czynić tym ludziom tyle zła, ile zdołamy.

Fiora z trudem wierzyła własnym uszom. Ta młodziutka mniszka, z założenia oddana bez reszty modlitwie, wybaczeniu zniewag, wyrzeczeniom i umiłowaniu Boga, właśnie zrzuciła gładką skórę łagodności i ukazała głębię duszy wypełnionej goryczą, a może nienawiścią. Aprobowała morderstwa, które zdarzały się każdej rzymskiej nocy. Całkiem więc naturalnie nasunęło jej się pytanie:

- Czy wstąpiłaś do tego klasztoru z własnej woli, siostrze Serafino?

- Kiedy jesteśmy same, nazywaj mnie Antonią, tak wolę.

Zamilkła na chwilę, zastanawiając się, czy odsłaniać się bardziej, ale zdecydowała się na to, myśląc prawdopodobnie, że już i tak za dużo powiedziała.

- Jeśli chodzi o twoje pytanie, to ja sama chciałam zostać zakonnica, aby nie musieć poślubić Leonardo delia Rovere, tego, którego ożeniono z Neapolitanką. Mój ojciec uniknął poważniejszych kłopotów, odstępując temu wyskrobkowi większą część mojego posagu. Przyznaję, byłam zbuntowana, kiedy tu przybyłam, ale teraz nie mam już ochoty stąd odejść. Co by to miało zmienić, skoro Battista już nie wróci?

W wielkich, czarnych oczach, tak niesamowicie podobnych do oczu Battisty, że przyprawilo ją to niemal o zawrót głowy, Fiora wyczytała tak przejmującą rozpacz, że miała ochotę przytulić tę dziewczynę jak młodszą, nieszczęśliwą siostrę. Jednakże wszystko w postawie Antonii wskazywało, że odrzuciłaby jej litość.

- Aż tak bardzo go kochałaś?

- Wciąż go kocham i będę kochać, póki będę żyła. Zostawmy teraz z boku moje nieszczęścia. Chciałabym, żebyś mi opowiedziała o nim, gdyż długo żyliście obok siebie...

- Ponad rok: od pierwszego do drugiego oblężenia Nancy.

- Rok! Oddałabym życie dla tych kilku miesięcy i teraz mogę wyjawić, że byłam zazdrosna, nienawidziłam cię. Mówił, że jesteś taka piękna... i miał rację.

- Ale ty się myliłaś. Każdy, kto znał nas w ubiegłym roku, mógłby ci powiedzieć jedno: połączyło nas w pewnym sensie braterstwo broni, gdyż Battista także był zakładnikiem. Odpowiadał za mnie głową, gdybym

próbowała uciec. Książę Karol umiał użyć wszelkich środków, by otrzymać to, czego chciał. Mam do siebie pretensję o to, że nie starałam się zobaczyć z Battista przed wyjazdem z Nancy, i obiecuję, że jeśli uda mi się wrócić do domu, na co mam nadzieję, pojedę tam i Battista będzie musiał mi powiedzieć, co mu przyszło do głowy, by tak postąpić.

- Tak czy inaczej, nawet gdyby teraz wrócił, jestem już tylko siostrą Serafiną...

- Jesteś dopiero w nowicjacie, pewnie tak jak on. Postaraj się nie składać za szybko ślubów i módl się, żeby udało mi się uciec!

Z dziecięcą spontanicznością Antonia rzuciła się jej na szyję i złożyła na policzkach dwa głośne całusy. Chmury, które chwilę wcześniej zasnuwały jej wielkie czarne oczy ustąpiły miejsca nocnemu rozgwieżdżonemu niebu.

- Zrobię wszystko, żeby ci pomóc - obiecała.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Zobaczyły biegnącą w ich stronę siostrę Cherubinę, trzymającą oburącz spódnicę, aby poruszać się szybciej, i odwracającą się od czasu za siebie, by sprawdzić, czy ktoś jej nie goni.

- Uciekaj, siostró Serafino! - zawołała. - Matka przełożona idzie tu z jego ekscelencją kardynałem wicekanclerzem, który wyraził pragnienie zobaczenia się z tobą, donno Fioro!

- Wicekanclerz? A kto to taki? - zapytała młoda kobieta. - Trochę mi się mylą ci wszyscy kardynałowie.

Ale siostra Serafina uciekła, jakby się paliło, i znikła w kępie drzew cytrynowych. Toteż to siostra Cherubina podjęła się odpowiedzi:

- Jego Eminencja kardynał Borgia, Hiszpan i bardzo przystojny mężczyzna. Ma oczy... jak rozżarzone węgle!

Chwilę później, kiedy przyklękała, by ucałować pierścień prałata, Fiora pomyślała, że siostra Cherubina, która zresztą oddaliła się równie spiesźnie, jak przybyła, wyraziła w swej naiwnej prostoduszności bardzo słuszną ocenę: pod czarnymi brwiami źrenice Rodriga Borgii dosłownie się żarzyły, lecz jakże miły był jego ukazujący piękne, białe zęby uśmiech, którym podziękował matce Girolamie za zadanie sobie trudu osobistego doprowadzenia go do swojej podopiecznej. Jej twarz obramowana surowym białym płótnem przybrała barwę dojrzałych wiśni, z których Petronela robiła takie pyszne konfitury. A kiedy się oddalała, Fiora zauważyła, że jej krok zyskał zupełnie nową lekkość.

Kardynał, nieruchomy we wspaniałości swych śnieżnobiałych gronostajów i purpurowych aksamitów, poczekał, aż zakonnica zniknie, po czym odwrócił się

ku Fiorze, która się podniosła. Następnie przeszukał wzrokiem bujną roślinność wokół ławki. Zapewne niezbyt zadowolony z tej inspekcji powiedział nagle:

- Przejdźmy się trochę, dobrze? Możemy podejść do tego zbiornika, który tam dostrzegam. Zawsze lubiłem fontanny. To one i dzwony wydają najbardziej harmonijne dźwięki, jakie ziemia może ofiarować Panu. I jest tam ławka, na której będzie nam się wspaniale rozmawiać...

Fiora wywnioskowała z tego, że przystojny kardynał nie lubi muzyki, a przede wszystkim nie chce, by ktokolwiek usłyszał to, co ma do powiedzenia. I to ją zdziwiło: nigdy dotąd go nie widziała i jeśli został wysłany przez papieża, a wszystko na to wskazywało, nie bardzo wiedziała, co mógłby mieć tak poufnego do przekazania.

Postępując skromnie w lekkim oddaleniu od majestatycznego gościa, nie mogła się powstrzymać od zwrócenia uwagi, że pierścień kardynalski nie jest jedynym klejnotem na czerwonych rękawicach, że sąsiaduje z ciężkimi pierścieniami zdobnymi w kamienie szlachetne, że capa magna pokryta jest złotymi haftami, że na gronostajowej mozecie widnieje złoty krzyż wielkości męskiej dłoni wysadzany dużymi rubinami i że czerwony kapelusz o szerokim rondzie, oznaka godności kardynalskiej, ocieniający cesarski profil Borgii, ma złote chwosty i kosztowną zapinkę. Nawet kardynał d'Estouteville, który zrobił tak duże wrażenie na Fiorze, nie był ubrany z takim przepychem. Nawet sam papież musiał całkiem ginać wobec wspaniałości swego „brata w Chrystusie”.

Dotarłszy do wskazanej ławki, kardynał usiadł, rozpościerając wokół siebie taką obfitość mory i aksamitu, że nie pozostawił najmniejszego miejsca dla Fiory, której zresztą nie poprosił, by usiadła. Stała więc przed nim, nie śmiejąc pierwsza przerwać ciszy, w której przedłużaniu gość najwyraźniej znajdował przyjemność. Jego błyszczące oczy spoglądały badawczo na młodą kobietę z natarczywością, od której lekko zaczerwieniły jej się policzki, a jego widoczna przyjemność wyraziła się w życzliwym uśmiechu. Wreszcie zdecydował się przemówić:

- Mimo tego, co się mówi, pobyt w San Sisto zdaje się wywierać korzystny wpływ na twoje zdrowie, donno Fioro. Byłaś w oplakany stan po przyjeździe, ale nie pozostał po tym ślad i odzyskałaś cały swój blask.

Fiora wprawdzie była mu wdzięczna, że oszczędził jej tych różnych „moja córko” czy „moje dziecko” stosowanych przez ludzi Kościoła, kiedy zwracali się do zwykłych śmiertelników, ale zaskoczyło ją tak dziwne zagajenie. Pasowało niewątpliwie do salonowca, ale księża na ogół rzadko prawili komplementy.

- Dziękuję Waszej Ekszelencji za troskę, która mnie wzrusza - powiedziała ostrożnie - ale nie rozumiem, w jaki sposób może dokonać porównania. Nie przypominam sobie, bym widziała Waszą Ekszelencję, kiedy przybyłam do Watykanu.

- A ja cię wydziałem: nie w chwili przybycia, ale kiedy opuszczałaś pałac. Należysz do osób budzących zainteresowanie i chciałem więcej się o tobie dowiedzieć. Było to względnie łatwe. Utrzymuję doskonałe stosunki z kardynałem d'Estouteville, dla którego twoja obecność w Rzymie jest bardzo kłopotliwa.

- Nie rozumiem dlaczego. Jego rola ogranicza się, jeśli dobrze zrozumiałam, do przekazania królowi Francji wiadomości, że na rozkaz papieża zostałam porwana kilka kroków od jego rezydencji, uwięziona na statku i doprowadzona tutaj po podróży, która trwała dwa razy dłużej, niż powinna trwać normalnie.

Rodrigo Borgia wybuchnął śmiechem. Lubił się śmiać, to umożliwiała mu pokazanie pięknych białych zębów i dodawało atrakcyjności w oczach kobiet.

- I uważasz, że to łatwa rola? Nie mam zaszczytu znać króla Ludwika, i ubolewam nad tym, ale zgodnie z tym, co mi mówiono, ten rodzaj wiadomości ma niewielkie szanse, by mu się spodobać, szczególnie w połączeniu z warunkami, których, moim zdaniem, nie może zaakceptować żaden władca. Ignacio Ortega, którego dobrze znam, jest tylko niebezpiecznym fanatykiem i powinien dziękować Bogu, że nie został stracony. Ja bym mu nie darował życia. Co do kardynała Balue, to jest wygodnym pretekstem pozwalającym Jego Świątobliwości na mieszanie się w sprawy Francji. Czy mogę zapytać, jakie są właściwie uczucia króla Francji względem ciebie?

Fiora zaczynała być zdania, że rozmowa przybiera dziwny obrót. Jeśli ta wizyta nie była pułapką, to zdaje się, że papież nie był jej inspiratorem.

- Poznanie uczuć króla zawsze było najtrudniejszym z przedsięwzięć, Ekszelencjo, gdyż jest on mistrzem w ich ukrywaniu. Sądzę jednak, że żywi dla mnie przyjaźń gdyż tego dowiódł.

- Ale nie miłość?

- Nigdy nie zrozumiem, skąd się wzięła ta bajka. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie słyszałam, żeby król miał kochanki.

- Miał je niegdyś, kiedy był młodszy, i nawet dały mu one dzieci, ale w jego wieku i przy jego zdrowiu, o którym mówią, że nie jest dobre...

- To, czy je ma, czy nie ma, nie jest moją sprawą, Ekszelencjo. Jeśli zechcesz mi towarzyszyć do kaplicy, gotowa jestem przysiąc na świętą ewangelię, że nie jestem i nigdy nie byłam jego kochanką. Dlatego też



powiedziałam wtedy, że papież zrobił marny interes: Ludwik nie pójdzie na żadne ustępstwa, żeby mnie odzyskać.

- A przede wszystkim nie odda Florencji, a taki jest zasadniczy cel Ojca Świętego. To dlatego chciałem się z tobą zobaczyć.

- Czego się po mnie spodziewasz? Że pomogę papieżowi w pozbyciu się Medyceuszy? Nie licz na to. Jestem przede wszystkim florentynką i Medyceusze są mi nadal drodzy. Nie zrobię niczego przeciwko nim, choćbym miała narazić życie.

- Taki pomysł nawet nie przyszedł mi do głowy! Nie żywię szczególnej sympatii dla Lorenza i jego brata, ale nieznośna wydaje mi się myśl, że Riario miałby zostać władcą Florencji. Toteż nie przyszedłem, by rozmawiać z tobą o polityce, ale po prostu, by ci powiedzieć, że pałac kardynała, a w szczególności wicekanclerza Kościoła, jest nienaruszalnym miejscem azylu, na progu którego zatrzymuje się wola papieża.

Zamilkł, może po to, by jego słowa osiągnęły całą pełnię znaczenia. Słysząc było tylko szum wody, która wytryskiwała i opadała w formie migotliwego deszczu do białego, marmurowego basenu fontanny. Fiora, jakby potrzebowała odzyskania kontaktu z czymś rzeczywistym, podeszła do niej i zanurzyła palce, pozwalając, by przejrzysta woda spływała po nich i chłodziła.

- Czy zatem klasztor, w którym przebywam, nie jest miejscem azylu?

- Nie całkiem. Tak, jak cię tu umieszczono, tak samo można cię stąd zabrać, czy tego zechcesz, czy nie. U mnie tak nie będzie.

- Rozumiem, ale w takim razie, z jakiego powodu proponujesz mi schronienie? Jesteś jednym z najwyższych dygnitarzy na dworze papieskim i...

- Przed chwilą ci to powiedziałem: nie przeszedłem tu rozmawiać o polityce. Wiedz tylko, że nie zawsze pochwalam politykę Watykanu. Poza tym może chcę zorganizować sobie przyszłość, wyświadczając przysługę królowi Francji. No i byłbym niepokieszony, gdyby przytrafiło ci się jakieś nieszczęście, gdyż jako prawdziwy hidalgo, lubię poświęcać się służbie dam, tak jak cenię dzieła sztuki. Jesteś jednym i drugim.

Fiora otrząsnęła dłonie, wytarła je połą welonu okrywającego jej głowę i podeszła z powrotem do Borgii, który wstał z ławki.

- Rozmawiajmy otwarcie, Ekscelencjo! Czy coś mi tu grozi?

- Nie w najbliższym czasie może, ale wcześniej czy później tak. Słyszałem pogłoski, które chcę uściślić. Oczywiście domyślam się, że po tym, co przeszłaś, trudno ci obdarzyć kogoś zaufaniem, ale posłuchaj mnie: w razie gdyby zaniepokoiło cię jakiekolwiek wydarzenie, wiedz, że począwszy od jutra, mój człowiek będzie łowił ryby w pobliskim stawie. Gdybyś

potrzebowała pomocy, przerzucić welon, taki jak ten, obciążony kamieniem, przez ten mur, który tam widzisz. Po zapadnięciu zmroku sama przejdiesz przez ten mur. Ktoś będzie na ciebie czekać.

Było to tak zaskakujące, że Fiora nie odpowiedziała od razu, próbując się zastanowić. Jednakże wyszeptała:

- Jestem zmieszana twoją dobrocią, Ekscelencjo, ale czy jadąc do ciebie, nie zmienię po prostu więzienia? Jeśli chcesz mnie chronić, pomóż mi wrócić do Francji.

- Wszystko w swoim czasie! Nie możesz opuścić Rzymu bez przygotowania. Twoja ucieczka spowoduje poruszenie, któremu trzeba będzie pozwolić ucichnąć. Czy tak ci spieszno do powrotu?

- Mam trzymiesięcznego synka. Jego ojciec nie żyje i tylko ja mu zostałam.

- Nie trać nadziei i obdarz mnie zaufaniem. Najważniejsze to umieścić cię w bezpiecznym miejscu. Potem zobaczymy, jak umożliwić ci wyjazd.

Rozmowa była skończona. Kardynał podnosił już iskrzącą się od klejnotów dłoń w geście błogosławieństwa, przed którym Fiora musiała oczywiście się skłonić, ale nie było w tym ani odrobiny szacunku, a tylko troska o zachowanie pozorów, bo właśnie się zaczęła zastanawiać, czy ten mężczyzna o przymilnym spojrzeniu był naprawdę księciem Kościoła. Gdyby przyszedł sam, a nie w towarzystwie matki Girolamy, Fiora mocno by w to wątpiła.

- Zastanów się - wyszeptał jeszcze raz, nie poruszając ustami - zastanów się szybko! Może się okazać, że nie ma zbyt wiele czasu.

Purpurowa symara przesunęła się po białych płytkach ścieżki z cichym szelestem gniecionej jedwabiu. Fiora patrzyła na masywną sylwetkę prałata znikającą w kępach zieleni. Niezaprzeczalnie z tego nieznanego emanował pewien urok, ale problemy ostatnich dwóch lat sprawiły, że stała się nieufna. To, że przystojny kardynał chce pozyskać sobie względy króla Francji, nie miało w sobie w końcu nic nadzwyczajnego. Znacznie młodszy od papieża mógł pożądliwie patrzeć na tiarę\*, a wtedy przyjaźń Francji bardzo by się liczyła, ale czy ten ewentualny profit wart był niewątpliwego ryzyka, na które się narażał, udzielając schronienia uciekinierce?

**\* Papieska korona składająca się z trzech diademów.**

Czas minął szybciej, niż Fiora sądziła, i słońce zachodziło już wśród lśnień i długich czerwonych smug zapowiadających wiatr na następny dzień. Na tym krwawym tle czerniły się sylwetki drzew. Młoda kobieta poczuła chłód. Podeszła do ławki, na której zostawiła swoją robótkę, włożyła ją do płóciennej torby i ruszyła z powrotem w stronę klasztoru, którego freski traciły barwy w purpurowym świetle zachodu. Szła wolnym krokiem, nagle przygnieciona

uczuciem samotności, opanowana rozpacziwą myślą, że już na zawsze pozostanie zagubiona w tym obcym i wrogim świecie, najeżonym zasadzkami, tym podstępniejszymi, że ukryte były za kuszącą fasadą.

Potrzeba zobaczenia dziecka, drogiej Leonardy, Petroneli, mrukliwego Stefana, Florenta, który tak ją kochał, i Domu w Barwinkach odezwała się tak gwałtownie, że Fiore objęła ramionami jeszcze ciepłą od słońca kolumnkę i oparła się o nią, jakby w poszukiwaniu czegokolwiek trwałego. Zamknęła oczy i pozwoliła łzom płynąć swobodnie.

- Nie płacz! - szepnął jakiś cichy głos, a jednocześnie na jej ręce spoczęła ciepła mała dłoń. - Przyszłam, by zaprowadzić cię do kaplicy. Pora na nabożeństwo. Będę śpiewać dla Pana, ale także dla ciebie!

Fiorze wydało się, że przez mgłę łez widzi Battistę, który mówi: „Jutro Boże Narodzenie, a my oboje jesteśmy wygnańcami. Jeśli chcesz, spędzę dzień przy tobie i będę śpiewał ci piosenki z naszych stron”. Minęło tyle czasu, a oni wciąż byli wygnańcami: on w śniegach Lotaryngii, w których postanowił się schować na zawsze, ona pod rzymskim słońcem, niepodobnym do żadnego innego.

W nagłym porywie rzuciła się na szyję siostry Serafiny i uścisnęła ją.

- Wybacz mi tę chwilę słabości, której nie umiałam opanować - wyszeptała.  
- Pomyślałam o domu, o moim synku...

- Mam nadzieję, że kardynał Borgia nie przyniósł ci złych wiadomości?

- Właściwie nie, ale przyznam, że nie wiem, co myśleć. Jeśli chcesz, opowiem ci o tym. A teraz dziękuję ci, bardzo dziękuję, za twoją przyjaźń...

Uśmiechnęły się do siebie, a potem, trzymając się za ręce jak małe dziewczynki, dołączyły do podwójnego czarno-białego sznura dominikanek udających się do kaplicy.

Jako siostra Serafina kuzynka Battisty myślała jak najlepiej o kardynale wicekanclerzu, który cieszył się opinią szczodrego jałmużnika, pełnego miłosierdzia dla grzechów bliźniego, ale jako Antonia Colonna miała dziwnie odmienną opinię. Była wystarczająco mądra, by oddzielać pewne sprawy. Rzymska szlachta nie żywiła najmniejszej sympatii dla tej bandy Hiszpanów przybyłych z Walencji wraz z bagażami wuja Kaliksta III. Wszystko wówczas różniło ich od rzymian: usposobienie, obyczaje, a nawet poziom cywilizacji, jako że Hiszpanie byli przedstawicielami narodu, w którym panowały wciąż jeszcze feudalne stosunki. Wszystko to przyczyniało się do braku porozumienia, a dołączała się do tego silna ksenofobia Włochów, którzy będąc krańcowymi indywidualistami, zaczęli odczuwać upodobanie do dawnych kultur i nasiąkać nimi. Z początku uznali nowo przybyłych za prostaków i ludzi

z niższych sfer, naznaczonych jeszcze szaleństwem odwiecznej walki z Maurami, ale przybysze mieli wielkie ambicje i zamiłowanie do przepychu. Bardzo szybko się zasymilowali i pod osłoną pastorału Rodriga zaznaczyli swoją obecność, schlebując zamiłowaniu rzymian do świętowania, a przed wszystkim przyjmując ich dość szczególne zasady moralne, według których zbrodnia może mieć w sobie pierwiastek wielkości, a człowiek wyzwolony z dawnych ograniczeń jest właściwie jedynym sędzią swojego zachowania.

Jeśli chodzi o wicekanclerza, to jego reputacja była od dawna ustalona: nabożeństwa nie były jego głównym zajęciem, a jego kochanek nie sposób było zliczyć. Faworytą była niejaka Vanozza, żona jednego z urzędników, która dała kardynałowi dwóch synów, Juana i Cesara, uznanych przez męża-figuranta, ale wicekanclerz nie zamierzał nawet ukrywać, że jest ich biologicznym ojcem i że ich uwielbia. Jednakże Vanozza, opływająca w luksusy w pięknym domu na placu Pizzo di Merlo i posiadająca winnicę na Eskwilinie, nie mogła pretendować do wyłączności do tego mężczyzny, o którym mówiono - siostra Serafina oblała się rumieńcem, wymawiając te nieczyste słowa - że trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej zmysłowego.

- Uważam - powiedziała, konkludując - że zanim oddasz się pod jego protekcję, musisz rozważyć, co ryzykujesz. Nic ci nie powiedział o tym niebezpieczeństwie, które przeczuwa?

- Nic. Nie ma pewności i chce sprawdzić pewne rzeczy.

- Może to być także niebezpieczeństwo całkiem wyimaginowane, mające sprawić, byś wpadła w jego ręce. Jesteś bardzo piękna i to z pewnością główny powód jego tak wielkiego zainteresowania twoją osobą, że przybył spotkać się z tobą bez zezwolenia papieża.

- Co więc powinnam zrobić? Powiedział także, że pozwoli mi wrócić do Francji.

- I oczywiście gotowa jesteś narażać się na wszelkie niebezpieczeństwa, byle tylko wrócić do domu?

- I móc zadać kilka pytań naszemu Battiście, nie zapominaj !

- Nie zapominam i chciałabym ci pomóc, jak tylko będę mogła, ale wierz mi: niczego nie przyspieszaj! Wyprawię posłańca z listem do mojego wuja, pronotariusza Colonna, prosząc, aby przybył tu i ze mną porozmawiał. Papież go nie lubi, ale to bystry i przebiegły człowiek, któremu zawsze udaje się zdobyć potrzebne wiadomości. Pomógł już nam nieraz wygrzebać się z różnych tarapatów.

Obietnica ta podniosła Fiozę na duchu. W położeniu, w jakim się znajdowała, potrzebowała życzliwych ludzi. Bez nich nigdy już nie zobaczy słodkiej Lotaryngii.

Postanowiła więc zastosować się do rady swej młodej towarzyszki, by uzbroić się w cnotę cierpliwości, którą Demetrios uważał za najważniejszą ze wszystkich. Może dlatego, że najtrudniej było się nią wykazać. W każdym razie nie była już sama i słuchając kryształowego głosu nowej przyjaciółki śpiewającej pod białym sklepieniem kaplicy na chwałę Matki Bożej, pomyślała, że być może modlitwy, którymi Leonarda niewątpliwie od dnia jej wyjazdu zasypywała Boga w Trójcy jedynego, Najświętszej Marii Panny i wszystkich świętych cieszących się jej zaufaniem, sprawiły, że spotkała na swej drodze anioła.

Nie był to jeszcze koniec spraw związanych z wizytą kardynała Borgii, gdyż po wyjściu z refektarza matka Girolama powiodła ją na przechadzkę pod arkadami klasztoru, oświetlonymi grubymi, żółtymi woskowymi świecami.

- Mam nadzieję - zaczęła, patrząc uparcie pod nogi - że Jego Eminencja nie przyniósł ci żadnych niepokojących wiadomości. Rzadko nasz skromny przybytek spotyka taki zaszczyt.

Fiora pomyślała bez należytego szacunku, że matka Girolama płonie z ciekawości jak pospolita siostra służebna, i ukryła uśmiech za zasłoną białego welonu.

- Sama byłam tym zaskoczona, matko, ale okazało się, że Jego Eminencja przybył, by nakłonić mnie do cierpliwości i posłuszeństwa. Zaniepokoiło go moje zachowanie, może nieco zbyt bezpośrednio, względem Ojca Świętego w dniu mojego przyjazdu. Wie, że należę do otoczenia króla Francji, i dał mi do zrozumienia, że dla dobra wszystkich lepiej byłoby, bym podporządkowała się woli, wobec której jestem w istocie bezsilna.

Za żadne skarby nie umiałaby powiedzieć, skąd wzięła inspirację do tego arcydzieła hipokryzji, ale widząc, jak jej towarzyszka z przejętą miną w milczeniu kiwa potakująco głową, poczuła się niemal zawstydzona z powodu takiego nabierania tej świętej kobiety, która ją tak wspaniałomyślnie przyjęła.

- Święte posłuszeństwo, moja córko! - westchnęła matka Girolama. - To najważniejszy obowiązek nas wszystkich i wdzięczna jestem kardynałowi, że przybył, by ci o tym przypomnieć, tym bardziej że twe zachowanie może mieć znaczenie dla polityki Jego Świątobliwości. Słabo znam kardynała, ale wiem, że to wytrawny dyplomata, bardzo zaangażowany w swoją służbę. Jeśli chodzi o te sprawy, to najlepiej stosować się do jego rad. Gorąco cię do tego zachęcam.

Nie mając bladego pojęcia, jakiego rodzaju rad udzielił wicekanclerz jej pensjonariuszce, matka Girolama, jak każdego wieczoru przed położeniem się do łóżka, udała się na medytację na temat życia wiecznego i najlepszych sposobów skierowania na tę drogę młodych duszyczek powierzonych jej pieczy. Fiora zaś, czując się nieco nieswojo, postanowiła pograć się w kojącej ciemności kaplicy, by spędzić chwilę przed palącym się stale przy tabernakulum czerwonym światełkiem. Mimo niezbyt żarliwej pobożności rozumiała czasem Leonardę, która przy najmniejszym kłopotcie szła wypłakiwać swe zmartwienie u stóp ołtarza. Może i jej dane będzie doznać płynącego z góry oświecenia?

Nic takiego jednak nie nastąpiło ani tego wieczora, ani następnych, i minęło pięć dni bez żadnych wieści mogących ożywić monotonne życie Fiory w klasztorze. Nawet jeśli siostra Serafina przesłała za pośrednictwem siostry Cherubiny bilecik do pałacu kardynała Colony, nie spowodowało to jego wizyty w San Sisto.

Fiorę ogarniała niecierpliwość, gdyż nie ma nic bardziej denerwującego niż obawa przed czymś, czego nawet nie można określić. Tuż przed Bożym Narodzeniem pogoda zmieniła się na jeszcze gorszą, niż panowała w czasie, gdy tu przybyła. Nad Morzem Śródziemnym rozszalała się nawałnica i porywy zachodniego wiatru smagały wybrzeże tyrreńskie, porywając czasem wątle domy rybaków. W mieście wiatr zrywał z dachów rzymskie dachówki, wykręcał gałęzie drzew i sprawiał, że coraz mniej wyniosłe ruiny antycznych cesarskich pałaców rozpadały się jeszcze bardziej. Wciskał się w każde uchylone drzwi, gasił świece w kaplicy i unosił w powietrzu popiół z koszy żarowych. Przeciągi dokończyły dzieła dokonanego przez malarię i siostra Prisca zmarła pierwszej zimowej nocy w ramionach biednej Cherubiny, której pocziwa twarz, tak zazwyczaj wesoła, była spuchnięta od płaczu.

Kiedy składano ją w ziemi, w prostym odzieniu zakonnicy i bosą, Fiora wraz z innymi brała udział w nabożeństwie żałobnym i pochówku, ale obecne w czasie tych obrządków było tylko jej ciało. Słuchała wycia wiatru, który szarpał habitami mniszek jak chorągwiami na drzewcach, a jej umysł błądził po ogrodzie od strony muru wychodzącego na staw. Czy wysłannik kardynała Borgii był na stanowisku mimo tej okropnej pogody? Wydawało jej się to prawie niemożliwe.

Jednakże po zakończeniu nabożeństwa, wzięła czarną narzutkę i chciała zejść do ogrodu, żeby się upewnić. Odnalazła to miejsce w murze, w którym należało przerzucić welon jako sygnał, a potem po zmroku przejść na drugą stronę. Był tam tylko stary pień karanaka, mocno wczepionego w kamienny

mur szarymi i sękatymi ze starości gałęziami. Dzięki niemu wydawało się, że pokonanie przeszkody nie powinno stanowić większej trudności. Jednak w chwili, gdy kierowała się w stronę klombów, podeszła do niej matka Girolama.

- Naprawdę masz zamiar zejść do ogrodu w taką pogodę?

- Dlaczego nie, matko? To tylko burza. Chciałabym zaczerpnąć świeżego powietrza, a nie oddychać wciąż tylko dymem świec.

- Czy nie dosyć ci było powietrza na cmentarzu, skąd wracamy? Jeśli o mnie chodzi, to z trudem stałam na nogach! Zresztą to nie tylko to. Jesteś oczekiwana w rozmównicy.

- Ja? Czy to znowu... kardynał Borgia?

- Kardynał nie czekałby w rozmównicy. Ma pełne prawo wejść na teren klauzury. To jakaś dama, która pokazała pozwolenie na spotkanie z tobą opatrzone prywatną pieczęcią Jego Świątobliwości.

- Nikogo tu nie znam. Kto to jest?

- Podała nazwisko Boscoli i nic więcej nie umiem ci powiedzieć, prócz tego, że jest w głębokiej żałobie. Prawdopodobnie to wdowa.

- Boscoli? - powiedziała Fiora, głośno myśląc. - Nazwisko nic mi nie mówi. Czy wiesz coś więcej o tej damie, matko?

- Niestety nie, donno Fioro. Tak czy inaczej niczego nie ryzykujesz, spotykając się z nią. Chcesz, bym ci towarzyszyła?

- Miło, że mi to proponujesz, ale może lepiej będzie, jeśli pójdę sama.

- Pamiętaj zatem przede wszystkim o tych słusznych postanowieniach, które uzyskał od ciebie jego Eminencja wicekanclerz i miej w pamięci, że dama ta jest w jakimś stopniu wysłanniczką Ojca Świętego!

- Postaram się o tym pamiętać, wielebna matko.

Pomyślała, że wszystko zależeć będzie od tego, co miała jej do powiedzenia owa dama, jednak fakt, że była wysłanniczką Sykstusa IV, mógł tylko obudzić jej nieufność. Nie zadając sobie trudu zdjęcia czarnej narzutki, Fiora skierowała swe kroki do rozmównicy klasztoru.

Było to duże pomieszczenie półkoliście sklepienie i pobielone mlekiem wapiennym, przedzielone pośrodku kratą z grubych żelaznych prętów. Od strony klauzury jego jedyną ozdobą był krucyfiks z brązu, ale od strony odwiedzających ściany zdobiły barwne freski ukazujące męczeńską drogę błogosławionego papieża Sykstusa II, ściętego w roku 258 wraz z czterema diakonami w katakumbach Kaliksta. Artysta przedstawił świętego jako wyższego od pozostałych, by ukazać, do jakiego stopnia nad nimi górował.

Otwierając drzwi, które na szczęście nie zaskrzypiały, Fiora zobaczyła tylko czarną postać o niewyraźnych konturach zwróconą do niej tyłem.

Odwiedzająca kontemplowała scenę, w której muskularny kat ścinał ozdobioną złotą aureolą głowę męczennika. Fiora po raz pierwszy błogosławiła w myślach okropne sznurkowe sandały noszone w klasztorze, w których wciąż było jej zimno w stopy, a które pozwoliły jej podejść do kraty, nie czyniąc więcej hałasu niż kot. Pragnęła przyjrzeć się swojemu gościowi, ale nie zobaczyła wiele ponad obszerny płaszcz z pięknej czarnej tkaniny w srebrne gałązki, z kapturem wykończonym ciemnym lisem. A ponieważ nie mogła dojrzeć nic więcej, podjęła decyzję.

- Czy mogę wiedzieć, madonna, czemu zawdzięczam zaszczyt twojej wizyty? - powiedziała głośno i wyraźnie.

Kobieta nie spieszyła się z odwróceniem w jej stronę, ale kiedy to wreszcie zrobiła, Fiora musiała opanować się ze wszystkich sił, by nie wydać krzyku, którego tamta się być może spodziewała. Kobieta patrzącą na nią ze złośliwym uśmiechem i oczami błyszczącymi z niedobrej radości była Hieronima...



## Rozdział siódmy

### Republikański skryba

Mimo ochrony, jaką stanowiła krata, Fiora instynktownie cofnęła się o krok, jakby zobaczyła węża leżącego na swej drodze, ale jej twarz zachowała doskonałą obojętność. Hieronima natomiast podeszła do kraty i dotknęła prętów dłonią obleczoną w czarną rękawiczkę.

- Dzień dobry, kuzynko! - powiedziała syczącym głosem, którego Fiora u niej wcześniej nie słyszała, a który bez wątpienia wynikał z braku dwóch zębów w górnej szczęce. - Sporo czasu zajęło mi doprowadzenie do tego spotkania, ale mam nadzieję, że doceniasz okoliczności, w jakich do niego w końcu doszło?

- Zapowiedziano mi przybycie niejakiej pani Boscoli. Co to za komedia?

- Komedia? W żadnym wypadku: takie noszę nazwisko. Nieco ponad rok temu poślubiłam tutaj pana Bernarda Boscoli, prawnika na dworze papieskim. Niestety, straciłam go latem... dzuma!

Koniuszkami palców otarła nieistniejące łzy, podczas gdy Fiora pozwoliła sobie na pełen pogardy uśmiech.

- Niezbyt ci to pochlebia: po kilku miesiącach małżeństwa wolał dzumę! Jestem jednak w stanie zrozumieć taką postawę. A teraz powiedz mi, co tu robisz, i idź precz!

Hieronima, której twarz nie utraciła jeszcze blasku rozkwitłej dojrzałości, najpierw poczerwieniała pod wpływem gwałtownej złości, od której rozbłysły jej czarne oczy, a po chwili nagle pożółkła, jakby żółć wypełniająca duszę napłynęła pod jasną skórę. Utyła przez te dwa lata, ale zyskała pewien perwersyjny majestat, z którym było jej do twarzy i Fiora pomyślała, że legendarna Gorgona musiała być do niej podobna. Odzyskując oddech, utracony na chwilę z powodu zuchwałości przeciwniczki, wydawała się jeszcze bardziej nadęta.

- Nie tym tonem, moja córko! Twoje położenie nie daje ci możliwości wydawania poleceń - wysyczała. - Właściwie jesteś nikim i wystarczyłoby kiwnięcie palcem, by cię odesłać tam, skąd pochodzisz. Na więzienną słomę, na szafot.

Fiora poczuła napływający do ust gorzki smak nienawiści. Ta nędzna kobieta, która zamordowała jej ojca, zniszczyła życie, która śmiała prostytuować swoje ciało w służbie szatanowi i która cudem wymknęła się sprawiedliwości Medyce - uszy, miała czelność drwić z niej i obrażać. Gdyby

nie krata, rzuciłaby się może na nią i udusiła własnymi rękami, by uwolnić wreszcie ziemię od tej plugawej kreatury. Najwyższym wysiłkiem woli zdołała opanować gniew, którego okazanie co najwyżej sprawiłoby przyjemność Hieronimie. Wyprostowawszy się jeszcze, zmierzyła ją wzrokiem i rzuciła:

- Jestem nieskończenie więcej warta, niż ty kiedykolwiek będziesz, diabelski pomiole. I mam dosyć tej rozmowy!

Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła ze spokojem do drzwi rozmównicy. Zatrzymał ją krzyk Hieronimy:

- Czekaj! Jeszcze nie powiedziałam wszystkiego!

- Nie interesuje mnie to, co masz do powiedzenia.

- Naprawdę? Ty, która nie chciałaś być moją synową, z przyjemnością dowiesz się zapewne, że będziesz moją siostrzenicą?

- Co takiego?

Okrzyk Fiory rozbrzmiał echem w ciszy. Schowawszy ręce w podbitych lisem rękawach, Hieronima patrzyła na przeciwniczkę z góry, jakby szukała wrażliwych punktów, w które mogłaby uderzyć, i nerwowo przygryzała górną wargę. Przyczajona w swoich futrach jak dzikie zwierzę w kryjówce, najwyraźniej rozkoszowała się widokiem bladości na pięknej twarzy młodej kobiety. Fiora w końcu wzruszyła ramionami.

- Jesteś wariatką! - rzuciła z pogardą.

- Bynajmniej! Ojciec Święty, który jest wielkim przyjacielem naszej rodziny i którego bankierem został Francesco Pazzi, mój szwagier, po długim zastanowieniu nad twoim przyszłym losem, zechciał zdać się na nasze zdanie. Zabicie cię byłoby rozwiązaniem zbyt prostym, nawet jeśli dałoby się sprawę nieco urozmaicić, a przede wszystkim niczemu by nie służyło. Podczas gdy poślubiona Carlo Pazziemu, mojemu siostrzeńcowi, będziesz jeszcze pożyteczna dla naszego rodu.

- Jestem już mężatką.

- Wiem. Przy okazji gratuluje! Hrabia de Selongey, czarujący ambasador księcia Burgundii we Florencji! Nieźle ci się trafiło! Niestety, on też nie żyje, a ty jesteś wdową... jak ja.

- I zamierzam nią pozostać! Tak więc po tym, jak ogłosiłaś całej Florencji, że jestem niegodna najnędzniejszego z mężczyzn, jak chciałaś mnie sprowadzić do rangi dziewczki ulicznej, masz czelność oddawać mnie za żonę swemu siostrzeńcowi? Co ci strzeliło do głowy? Zapomniałaś, że mnie zrujnowałaś?

- Zrujnowałaś? Tak sądzisz? Wydaje mi się, że nie jest tak źle, jak utrzymujesz. Medyceusze o to zadbali. Agnolo Nardi gromadzi dla ciebie w Paryżu ładny mająteczek, nie licząc tego, co Medyceusze wzięli w zarząd, na

przykład willi w Fiesole, a co mogłabyś odzyskać, nie licząc prezentu od króla Francji, nie licząc...

- Za dużo liczysz! - warknęła Fiora, której zbierało się na mdłości. - Wstyd mi, że jako panna nosiłaś nazwisko Beltrami, i żałuję, że porzuciłaś nazwisko Pazzich, które doskonale do ciebie pasowało, gdyż jest to rodzina łajdaków. Nigdy nie skażę mojego syna na hańbę posiadania matki noszącej to nazwisko! Daremne mrzonki!

- Być może będziesz zmuszona pogodzić się z tym, że moje mrzonki to po prostu rzeczywistość. Oferowany ci wybór jest ograniczony: albo poślubisz Carla, albo zostaniesz skazana na śmierć.

- Nie czekając na odpowiedź króla Francji? Byłabym zdziwiona.

- Biedne niewiniątko! Decyzja o twojej śmierci już zapadła. Jeśli król uzna żądania Ojca Świętego, otrzyma w odpowiedzi wyrazy głębokiego ubolewania Watykanu. Klimat Rzymu jest niezdrowy, wszyscy o tym wiedzą. Zostaniesz uznana za ofiarę gorączki bagiennej. Jedyna nadzieja na to, byś mogła żyć, to przyjęcie mojej propozycji, oczywiście za zgodą papieża.

- Nigdy! Wolę umrzeć.

- A życie twojego syna też cię nie obchodzi? Wiemy, gdzie jest. Jakże łatwo byłoby się go pozbyć. Zastanów się, kuzynko, ale niezbyt długo! Jutro ktoś po ciebie przyjdzie.

Gdyby spojrzenie Fiory mogło zabijać, Hieronima padłaby trupem na miejscu. Wściekłość, która opanowała młodą kobietę, była tak gwałtowna, że unicestwiła trwogę i rozpacz, i utrzymała ją na nogach, wyprostowaną i dumną naprzeciwko tej demonicznej kreatury, która z kobiety miała jedynie zewnętrzne atrybuty. Fiora domyślała się, że za żadną cenę nie może okazać, że te groźby ją poruszyły, gdyż wtedy przeciwniczka nie przestałaby wykorzystywać władzy, którą, jak sądziła, nad nią uzyskała. Przyszła jej do głowy myśl, że Hieronima wyolbrzymia swoje możliwości, zwłaszcza jeśli chodzi o małego Filipa. Osoby z jego otoczenia musiały go dobrze strzec, zresztą Leonarda na pewno, gdy tylko się oswobodziła z więzów, pobiegła do Plessis na skargę. Dziecko z pewnością było dobrze pilnowane. Jeszcze raz odwróciła się bez słowa i przekroczyła próg rozmównicy. Ścigał ją pełen nienawiści głos Hieronimy:

- Nie licz na to, że uda ci się uciec! Bramy klasztoru będą tej nocy strzeżone.

Zamykające się ciężkie skrzydło drzwi ucięło ten ostatni wybuch złości. Wyczerpana opanowaniem, które sobie narzuciła, Fiora oparła się o drzwi i zamknęła oczy, czekając, aż jej serce odzyska normalny rytm. Otworzyła je, czując, że ktoś kładzie jej dłoń na ramieniu.

- Nie ma chwili do stracenia - usłyszała łagodny głos siostry Serafiny. - Trzeba przygotować się do ucieczki. Ta kobieta jest wstrętna.

- Słyszałaś?

- Nie mogłam powściągnąć ciekawości, proszę o wybaczenie. Wiem, mury są grube i drzwi także, ale jeśli je uchylić... Nie można dopuścić, byś wpadła w ręce tej kreatury.

- Znasz ją?

- Moja matka ją zna i powiedzieć mogę, że ta pani nie cieszy się dobrą opinią. Mieszka w pałacu w Borgo, który papież dał Francesco Pazziemu, i mówią, że to ona wszystkim rządzi. Ale nie traćmy czasu! Idę do ogrodu przerzucić biały welon przez mur. Lepiej, żebyś sama tam nie szła.

Już miała wybiec, gdy Fiora zatrzymała ją, chwytając za rękaw.

- Chwileczkę! Jestem ci ogromnie wdzięczna, ale widziałas, jaka jest pogoda? Na pewno niewłaściwa na łowienie ryb i z pewnością nikt nie czeka na nasz sygnał.

- Tak samo brzydko było wczoraj. I przedwczoraj, a jednak wysłannik kardynała był na posterunku. Tam na końcu, między murami miasta i stawem, jest taka ruina, przy której się usadowił.

- Byłaś tam?

- A jak sądzisz, gdzie podałam habit przedwczoraj?

Siostra Serafina istotnie dostała tego dnia upomnienie od przełożonej nowicjuszek z powodu poważnego rozdarcia swojej sukni. Utrzymywała, że zaczepiła nią o ławkę w refektarzu, ale na brzegach rozdarcia widoczne były zielonobrazowe smugi, które trudno byłoby uznać za ślady pozostawione przez mebel, nawet świeżo woskowany. Sprawa została zamknięta wyznaczeniem kary leżenia krzyżem w kaplicy i odmówienia serii „Zdrowaś Maria”, z której to próby nowicjuszka wyszła dosyć wyczerpana, co teraz wzbudziło u Fiory wyrzuty sumienia.

- Sama pójdę - postanowiła. - Nie chcę, żebyś znowu została ukarana.

- Tym razem możesz się nie obawiać: znam na pamięć możliwe pułapki. Lepiej też, by nie widziano cię dziś w ogrodzie.

- Tak czy inaczej, to na nic. Słyszałaś: klasztor będzie tej nocy pilnowany.

- Na pewno nie od strony bagna. To zbyt duża przestrzeń. Poza tym każdy, kto by się tam zapuścił bez pomocy, niechybnie by się pogrążył i skonał straszną śmiercią. Nawet tak przewidująca osoba, jak signora Boscoli, nie umiałaby sobie wszystkiego wyobrazić.

Chwilę później Antonia wróciła, by poinformować przyjaciółkę, że przekazała sygnał i że wysłannik Borgii nadal jest na posterunku.

- Tej nocy - wyszeptała - odprowadzę cię do muru, żeby pokazać ci miejsce, w którym przerzuciłam welon. Odwagi! Tym bardziej że przestało padać...

Była to tylko przejściowa poprawa. Podczas wieczornego posiłku, który zakonnice spożywały, zawsze słuchając pobożnej lektury, burza rozpętała się na nowo i Fiora, niezdolna do zainteresowania się Miastem Boga świętego Augustyna, z pewnym niepokojem słuchała uderzeń deszczu o szyby i gwizdania wiatru pod drzwiami refektarza. Od czasu do czasu szukała wzrokiem siostry Serafiny, lecz twarz młodej zakonnicy była tak pogodna, że Fiora się w końcu uspokoiła. Właściwie ucieczka miała większe szanse udać się w czasie takiej pogody, że psa byś z domu nie wyrzucił, niż w trakcie pięknej ciepłej nocy, jasnej i rozświetlonej niedyskretnymi gwiazdami.

Po ostatnim nabożeństwie i skłonieniu się matce przełożonej Fiora wróciła do swojej celi, by czekać tam, aż przyjaciółka po nią przyjdzie. Nie rozebrała się, a tylko wyciągnęła na posłaniu, zdmuchnąwszy uprzednio świecę. Ponieważ było zimno, bowiem pogrążona w smutku Cherubina zapomniała rozpaść w koszu żarowym, przykryła się peleryną. Nagle usłyszała dźwięk, który zmroził ją do szpiku kości: ktoś próbował od zewnątrz przekręcić klucz w zamku jej drzwi.

Rozczarowanie było tak gwałtowne, że omal nie krzyknęła. Wszystkie nadzieje rozwiały się w jednej chwili - będzie musiała dokonać wyboru między dwoma okropnymi rozwiązaniami przedstawionymi jej przez Hieronimę: poślubić tego nieznanego Carla, który już teraz był jej wstrętny, lub pozwolić się poprowadzić na śmierć - ołtarz albo szafot!

- Filipie! - jęknęła z głębi zrozpaczonego serca. - Dlaczego mnie opuściłeś? Gdyby nie twoje zamiłowanie do wojen, bylibyśmy teraz szczęśliwi.

Jak długo tak leżała z szeroko otwartymi oczami wbitymi w ciemności pokoju, słuchając, jak wiatr wyje na galerii i łamie gałęzie drzew? Nie sposób było to ocenić, ale tak czy inaczej nie zmrużyłaby oka przed nastaniem dnia... Aż nagle rozległ się cichy odgłos otwieranych drzwi i jakaś czarna sylwetka, odcinająca się nawet na tle panujących w celi ciemności, podeszła do łóżka.

- Jesteś gotowa? - wyszeptała siostra Serafina. W jednej chwili Fiora znalazła się na nogach.

- Jak ci się udało wejść? Ktoś zamknął drzwi, słyszałam przekręcany w zamku klucz.

- Pewnie matka Girolama. Signora Boscoli wołała zachować środki ostrożności, ale na szczęście klucz został w zamku. Chodź już, ale najpierw owiń się w pelerynę. Musisz być jak najmniej widoczna.

Ona sama całkowicie stąpiła się z nocą i gdyby nie pokrzepiający uścisk jej dłoni, Fiora mogłaby pomyśleć, że rozmawia z duchem. Jedną za drugą wyszły na kryty dziedziniec będący miejscem spacerów, a potem zanurzyły się w deszczu. Fiora miała wrażenie, że pogrąża się w podwodnym lesie. Nie było ani jednej gałązki, ani jednego liścia, który pozostawałby nieruchomy i nie strząsnął na nią pokrywającej go wody.

- Nic nie widzę! - szepnęła oślepiąca uderzeniem mokrej gałęzi prosto w twarz.

- Nie obawiaj się, znam drogę na pamięć. Mogłabym cię doprowadzić do muru z zamkniętymi oczami.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie ma różnicy, czy są zamknięte, czy otwarte. Co za noc!

- Ciesz się z tego! Strażnicy pilnujący klasztoru pochowali się, gdzie mogli, a na bagnach nie powinno być żywego ducha. Jesteśmy na miejscu!

Wzrok stopniowo się przyzwyczajał i Fiora zobaczyła na wprost przed sobą jeszcze ciemniejszy obiekt, którym był pokryty roślinnością mur. Siostra Serafina poprowadziła jej dłoń tak, by schwyciła grubą gałąź.

- To kokornak. Wdrap się! Jak będziesz na górze, zagwiżdż! Albo się głęboko myślę, albo ten, kto na ciebie czeka, jest przy samym murze. Niech cię Bóg ma w swej opiece!

Fiora po omacku odszukała nowicjuszkę i uścisnęła ją.

- Dlaczego nie chcesz iść ze mną? Boję się, że możesz być w niebezpieczeństwie, kiedy moja ucieczka wyjdzie na jaw.

- Nie obawiaj się. Nawet gdyby matka Girolama coś podejrzewała, to słowem nie piśnie. Bardzo mnie lubi, a nienawidzi papieża, jego popleczników i przyjaciół. Jestem pewna, że w głębi duszy będzie się cieszyć z ich niepowodzenia.

- Ale przecież zamknęła mnie w pokoju?

- Zrobiła to po prostu dla spokoju sumienia. Zostawiła klucz w drzwiach. Jeśli spotkasz się z Battistą, uściskaj go od kuzynki Antonii i powiedz mu...

- Pozostaw to mnie. Doskonale wiem, co mu powiem.

Fiora chwyciła zdecydowanym ruchem pęk ociekających wodą pędów i zaczęła się wspinać na szczyt muru. Udało jej się to zrobić bez większego trudu, ale musiała mocno się trzymać, żeby nie porwał jej wściekle chłuszczący wichur. Nagle dosłyszała dochodzący z dołu głos:

- Nie gwiżdż! Jestem tu! Słyszałem, jak nadchodzisz. Zejdź teraz powoli, żeby nie zachwiać równowagi łodzi.

Odwróciła się na murze i szukała na oślep oparcia dla stóp. Zdawało jej się, że to zejście trwa wieczność. Nagle ktoś chwycił ją mocno za nogę, potem za obie.

- Trzymam cię. Możesz puścić mur!

Ześlizgnęła się, ale ten ktoś schwycił ją już w talii i znalazła się na chybotałej podłodze, która musiała być dnem łodzi. Mężczyzna mocno przyciskał ją do siebie i, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, poczuła delikatny zapach ambry. A przecież czuła dotyk szorstkiej materii, byle jakiej burki i wysoka sylwetka, którą dostrzegała w ciemnościach, była sylwetką mnicha.

- Proszę cię o wybaczenie tych dni oczekiwania - powiedziała cicho. - Ta obrzydliwa pogoda...

- Ciii! Porozmawiamy później. Siadaj tu i nie ruszaj się!

Ulokował ją w łódce, po czym chwycił długą żerdź i odpychając się od mulistego dna skierował się w stronę brzegu. Jednak ostatnie słowa wymówił prawie normalnie i Fiora rozpoznała jednocześnie głos i zapach. Oba należały do kardynała Borgii. Nie umiała zachować tego odkrycia dla siebie.

- Wasza Eminencja przybył osobiście? I czekał przez te wszystkie dni?

Usłyszała cichy śmiech.

- Nie, bez przesady. Moja nieobecność w Watykanie za bardzo zwracałaby uwagę. Po prostu mój sługa miał rozkaz uprzedzić mnie, jak tylko dasz znak. A teraz cicho! To bagno uchodzi za nawiedzone, ale chyba trudno byłoby zrozumieć, że duchy gawędzą tu sobie tak przyjemnie, jak na salonach.

Fiora milczała, a jej towarzysz całą uwagę poświęcał żegludze, której wiatr nie ułatwiał i która stała się jeszcze trudniejsza, kiedy wypłynęli z osłony muru. Łódź sunęła powoli po powierzchni szlamowatej wody, a czasem przedzierała się przez kępy trzciny, gniotąc je z szelestem. Mimo zimna smród zgnilizny i zbutwiałych roślin był trudny do zniesienia i Fiora w swym mokrym okryciu drżała. Nie tylko dlatego, że była przemoczona do suchej nitki. Czuła się nieswojo, będąc tak całkowicie skazana na łaskę i niełaskę tego mężczyzny, któremu nie umiała w pełni zaufać. To, że przybył po nią osobiście, było zdumiewające i nie dawało się racjonalnie wyjaśnić. Chyba że oczekiwał zapłaty, której młoda kobieta nie była skłonna mu dać...

Łódź po raz ostatni wpłynęła w trzciny, uderzyła o coś twardego i znieruchomiała.

- Udało się Waszej Wysokości? - zapytał ktoś po hiszpańsku.

- Tak. Idź po konie, a potem, jak odjedziemy, zatopisz łódź.

Konie były ukryte w zrujnowanym domu, o którym mówiła Fiorze siostra Serafina. Borgia chwycił Fiorę w pól i wsadził na jednego z rumaków, gdyż

była zbyt zdrętwiała z zimna, by dosiąść go samodzielnie. Sam wskoczył na swojego z lekkością zdradzającą dużą wprawę. Pochylił się i wziął wodze Fiory.

- Będę cię prowadzić. Mamy przed sobą kawałek drogi, a niestety nie możemy jechać szybko, gdyż musimy przebyć ulice, które są istnymi trzęsawiskami. Trzymaj się mocno... i postaraj za bardzo nie dzwonić zębami! Aż tak ci zimno?

- Jestem skostniała!

- Nie myśl o tym! Gdy dotrzemy na miejsce, znajdziesz wszystko, żeby się wzmocnić. Skoncentruj się na tej myśli! Wszystko jest lepsze od poślubienia Carla Pazziego!

Z tej podróży, w czasie której przecięli z południa na północ pogrążony w mroku nocy i smagany strugami ulewnego deszczu Rzym, Fiora zachować miała wspomnienie jakiegoś koszmaru. Borgia wiódł ją w głąb czarnego i niekończącego się tunelu, z którego wyłaniały się miejscami białawe słupy kolumn, walące się mury, czerwone ogarki huśtające się przy wejściu do tawern oraz czasem ogromny szary gmach jakiegoś pałacu, przy bramie którego metalowe kosze zawierały już tylko wystygły popiół. Zdarzało się, że odgłos zabawy oraz dźwięk lutni i tamburynów przebijał te mury albo że w pobliżu którejś gospody rozlegały się wrzaski lub pijackie piosenki, ale najczęściej jechali przez miasto ciche jak cmentarz. A Fiorze było coraz bardziej zimno.

Atak nastąpił, kiedy osiągnęli Corso. Kilku ludzi, wyłoniwszy się z gęstego mroku pałacu San Marco zbudowanego niegdyś przez kardynała Barbo\*, skoczyło do pysków koni, zatrzymało je i zrzuciło jeźdźców na ziemię.

\* **Późniejszego papieża Pawia II. Jest to obecnie Pałac Wenecki, który rozstawił Mussolini.**

Stało się to tak nagle, że Fiora, na wpół ogłuszona, nie miała czasu się przestraszyć, ale Borgia natychmiast się poderwał ze zwinnością nieoczekiwaną u człowieka jego budowy, i miotając przekleństwa tak soczyste, że przynosiły zaszczyt słownictwu księcia Kościoła, pochwyił najbliższego z napastników. W jego ręce błysnęło ostrze i rozległ się okrzyk bólu. Jednak dwaj pozostali bandyci zajęci przytrzymywaniem koni rzucili się na niego. Fiora dzielnie podniosła się, próbując udzielić wsparcia swemu towarzyszowi i rzucić się na plecy jednego z napastników, lecz nagle rozległ się ostry jak wystrzał głos:

- Dosyć albo spuszczam psy!



Wściekłe szczekanie podkreśliło te słowa, a w świetle latarni, którą trzymał w jednej ręce, widać było mężczyznę mogącego mieć lat trzydzieści pięć, w całości odzianego w czerń, w obszernym kapturze bez ozdób spuszczonej na twarz. Na końcu podwójnej smyczy owiniętej wokół lewej dłoni warczały dwa potężne psy, równie czarne jak ich pan, ukazując robiące wrażenie kły. Rabusie w jednej chwili wskoczyli na konie i uciekli, nie oglądając się za siebie, bez wahania porzucając kompana rzeżącego w błotnistej kałuży.

Nowo przybyły podszedł do niego i stopą odwrócił na plecy.

- Niewiele mu zostało - stwierdził. - Zresztą ludzie Soldana\* wkrótce będą tędy przechodzić. Zajmą się nim.

**\* Urzędnik odpowiedzialny za policję.**

Światło, które unosił, by przyjrzeć się umierającemu, ukazało ostry profil drapieżnego ptaka, głęboko osadzone oczy pod grubym łukiem brwi, wąskie, sarkastycznie wygięte usta. Wyprostowawszy się, przywiązał psy do żelaznego pierścienia umieszczonego w ścianie pobliskiego domu, a potem podszedł do tych, których uratował, i podniósł latarnię, by im się lepiej przyjrzeć. Z ciemności wyłoniła się najpierw biała suknia Fiory, ewidentnie zakonna, a potem brązowy habit, w który ubrany był jej towarzysz. Pogardliwy wyraz ust nieznajomego jeszcze się nasilił.

- Zakonnica... i mnich! Cóż to się robi o tej porze na ulicach Rzymu, drodzy przyjaciele? Uciekło się z klasztoru, gdzie życie nie jest zapewne zbyt radosne, żeby sobie spokojnie pofiglować?

- Uratowałeś nas, przyjmij podziękowania - powiedział Borgia władczo. - Nie pomniejszaj swojej zasługi, ubliżając nam! Weź to!

Nagły błysk złota w wyciągniętej dłoni wywołał uśmiezek na twarzy nowo przybyłego i skłonił go do uniesienia w górę latarni i oświetlenia twarzy, którą musiał rozpoznać.

- Ach! Zdaje się, że się pomyliłem: mamy do czynienia z kardynałem! Zachowaj swoje złoto, Eminencjo. Czuję się w pełni nagrodzony satysfakcją z udzielenia pomocy bliźniemu.

- Kim jesteś? Zdaje mi się, że już cię gdzieś widziałem. Mężczyzna wyprostował się, przez co wydał się jeszcze wyższy, i z dumą rzucił:

- Nazywam się Stefano Infessura, jurysta, skryba, republikanin i wolny człowiek!

- Infessura! Znam cię! Wróg Kościoła, papieża i wszelkiej władzy.

- Nie całkiem, gdyż jestem wrogiem nieporządku, a przyjacielem wolności, choć nie tej, jaką mamy obecnie: swobody zabijania, uciskania, podrzynania gardła na każdym rogu ulicy, swobody przekształcania Rzymu w jedną wielką

mordownię, wolności twojej i tobie podobnych. Moja wolność nie jest taką, która pozwala tobie, księciu Kościoła, porywać w nocy zakonnicę. Jakżeby inaczej: piękną zakonnicę!

- Nie jestem zakonnicą - zaprotestowała Fiora, której twarz w tej właśnie chwili oświetlała latarnia. - Uciekłam z więzienia. A teraz pozwól nam kontynuować drogę, gdyż jeśli zostanę schwytana, grozi mi śmierć!

Nie opuszczając latarni, mężczyzna wpatrywał się, jakby próbował je przeniknąć, w wielkie szare oczy, które spoglądały nań surowo. Ich spojrzenie pozostało niewzruszone.

- Kto ci zagraża?

Ciekawość nieznanego nie zaskoczyła Fiory. Coś jej mówiło, że może mu zaufać i, mimo że Borgia położył jej dłoń na ramieniu, nakłaniając do ostrożności, odpowiedziała:

- Papież i pewne osoby z jego otoczenia, przed którymi próbuje mnie chronić kardynał Borgia. Słuchaj! Straciliśmy już za dużo czasu...

Odgłos okutych butów maszerującego oddziału rozbrzmiał echem w ciszy nocy. Milicja Soldana - rzymska straż - nie na wiele się zdawała, jeśli wziąć pod uwagę liczbę dokonywanych codziennie mordów, jednak napotkawszy ją, trzeba było się z nią liczyć, jeśli nie chciało się obejrzeć z bliska lochów w Torre di Nona, które były pod jej jurysdykcją.

- Są niedaleko - powiedział Borgia - a my nie mamy już koni. Trzeba stąd iść, i to szybko.

- Odprowadzę was - oświadczył Infessura, odwiązując psy. - Jest jeszcze jedno nieprzyjemne miejsce przy ruinach kolumny Marka Aureliusza. Zeus i Hera mogą się wam przydać.

Republikański skryba z latarnią i brytanami ruszył przodem. Fiora, mocno podtrzymywana pod ramię przez kardynała, starała się za nim nadążyć, co nie było łatwe, bo choć Corso było największą ulicą w Rzymie, to jej powierzchnia, pokryta na zmianę antycznymi płytami i grubym brukiem, stanowiła istny tor przeszkód dla idących nocą. Deszcz nagle ustał, jakby za sprawą czarów, ale rynny z powodzeniem go zastępowały. Bez przeszkód minęli wymagające ostrożności miejsce, a ponieważ ulica jeszcze bardziej się rozszerzyła, mogli iść obok siebie.

- Czy będę niedyskretny - powiedział Borgia do ich towarzysza - jeśli zapytam, co robisz na ulicy w nocy i przy takiej pogodzie?

- Nie. Są trzy tego przyczyny: lubię Rzym, lubię wiedzieć, co się dzieje, kiedy ludzie powinni spać, i lubię noc. Mało śpiam, a dzień wykorzystuję do studiowania i do spisywania tego, czego się dowiedziałem.

- Czy to znaczy, że opiszesz w swoim diario nasze spotkanie?

- Piszę dla tych, którzy przyjdą po nas, nie dla zbirów z Watykanu. Nie wspomnę twojego nazwiska... i nie wiem, jak nazywa się ta młoda dama. Chcę wiedzieć tylko jedno: jest ofiarą i jako taka ma wszelkie prawo do mojej pomocy. A jeśli mnie okłamaliście, to już sprawa między wami i waszym Bogiem.

- Nie mamy żadnego powodu, by kłamać - ucięła Fiora. - Żałuję tylko, że nie mogę ci się odwdziżyć.

- Uśmiechnij się do mnie raz jeden i poczuję się nagrodzony!

Docierali do miejsca przeznaczenia, czyli do najmniej konwencjonalnego z rzymskich pałaców. Kilka lat wcześniej kardynał Borgia nabył, za dwa tysiące złotych florenów, szereg starych domów służących kiedyś Mennicy, które w związku z tym nazywano Zecca. Domy te miały w jego oczach jedną ważną zaletę: leżały z dala od Watykanu, usytuowane bowiem były przy ulicy, która po drugiej stronie Tybru łączyła zamek Świętego Anioła z głównym placem dzielnicy cudzoziemców\*.

**\* Dzisiejszy plac Hiszpański.**

Z tej nieco niejednorodnej całości wicekanclerz uczynił rezydencję o wielkim bogactwie ornamentalnym, podziwianą przez ludność Rzymu nieprzerwanie od jej odkrycia, w roku 1462, w trakcie uroczystej procesji odprowadzającej do kościoła Świętego Piotra relikwiarz zawierający czaszkę świętego Andrzeja przywieziony z Grecji przez despotę Morei. Nie był to zachwył zupełnie bezinteresowny, gdyż wynikał z nadziei, że wcześniej czy później kardynał Borgia zostanie papieżem, a wtedy pałac wybrańca zostanie, zgodnie ze zwyczajem, wydany tłumowi, który z rozkoszą odda się radosnemu plądrowaniu.

Borgia zapukał w umówiony sposób do małych drzwiczek umieszczonych w pewnej odległości od głównego wejścia, które natychmiast się otworzyły, uwalniając strumień światła rozlewający się po błotnistej ulicy. Chciał wprowadzić Fiorę do środka, ale ona nie skończyła jeszcze rozmowy z ich wybawcą.

- Nie zapomnę twojego nazwiska - powiedziała serdecznie - i mam nadzieję, że pewnego dnia znów cię zobaczę.

- Może kiedyś mnie odwiedzisz? - zaproponował Borgia. - Nie jesteś takim dzikusiem, za jakiego się podajesz. Wiem, że bywasz w niektórych domach.

- A więc zapomnij o nich, gdyż są to domy osób, które miały, mają lub będą miały na pieńku z Watykanem. Infessura u wicekanclerza Kościoła? Stałbyś się

być może podejrzany, a ja byłbym podejrzany na pewno, przynajmniej we własnych oczach.

- Zachowaj jednak w pamięci, wolny człowieku, iż domostwo to jest miejscem azylu. Kiedyś może ci się to przydać.

- Ty także zachowaj to w pamięci, Eminencjo! Mam nadzieję, że twój dom będzie prawdziwie bezpiecznym miejscem dla twojej młodej towarzyszki... i niczym więcej! Co zaś do mnie, to jeśli papież pewnego dnia postanowi się mnie pozbyć, nie będę na niego czekać i umrę jak rzymianin. Śmierć Petroniusza zawsze wydawała mi się nęcąca, choć nie miał w sobie nic z republikanina! Niech bogowie nad tobą czuwają, młoda kobieto!

- Chciałbyś może poznać moje imię? - powiedziała z ożywieniem. - Nazywam się Fiora.

- Dziękuję ci za zaufanie, ale za kilka godzin będę o tobie wiedział wszystko. Niezależnie od miejsca, z którego uciekłaś, ulica będzie o tym mówić...

Rozpłynął się w mroku wraz ze swoimi psami, a Fiora pozwoliła się wprowadzić do wnętrza pałacu, nie bez pewnego żalu. Ten „wolny człowiek” był niepodobny do nikogo innego...

Domostwo Rodriga Borgii także było niepodobne do żadnego innego. Fiorze zdało się, że wchodzi do jednego z tych bajecznych pałaców Orientu opisywanych niegdyś przez weneckiego podróżnika Marco Polo i innych bardziej współczesnych gawędziarzy, mających okazję zobaczyć z bliska przepych na dworze sułtana, których opowieści słuchała w domu ojca. Ze swej ojczyznej Hiszpanii naznaczonej przez świetność mauretańskich władców, kardynał wyniósł upodobanie do kunsztownych posadzek, sufitów złożonych i malowanych na jaskrawe kolory, jak ewangeliarze. Jego herb - żółty byk na czerwonym polu - zwieńczony kapeluszem kardynalskim, był wybity nad każdymi drzwiami i na skórze krzesel. Wszędzie widać było kosztowne kobierce, ogromne poduchy, brokatowe obicia i łoża obleczone w najzwyklejsze materie, zastawę złotą, srebrną lub z połączanego srebra, a pod dzbanami i kielichami zdobionymi drogimi kamieniami ugięły się serwantki i kredensy. Fiora, która miała okazję podziwiać wojenny pawilon Zuchwałego i jego pełen dostojęstwa przepych, uznała, że ten pałac, tak odległy od florenckiej elegancji, robi wrażenie nieco nowobogackiego.

Prawdę mówiąc, w chwili przybycia niewiele dostrzegła ze wszystkich tych wspaniałości. Mignął jej tylko purpurowożłoty świat, w którym było cudownie ciepło i gdzie wysoka kobieta o żółtawej cerze rozebrała ją z mokrej, poplamionej błotem odzieży, zawinęła w nieco szorstkie płótno i nacierała nim

tak długo, aż Fiora przestała dzwonić zębami. Później, unosząc ją w ramionach z taką łatwością, jakby była dzieckiem, zniosła do łóżka tak miękkiego, że miała wrażenie, iż zanurza się w puchu, gdzie nakryła ją jedwabnymi prześcieradłami, napełniła naparem z ziół stojącym w ciepłe przy kominku, zapaliła nocną lampkę przy wezglowiu, zdmuchnęła świecę i wyszła z pokoju, nie robiąc najmniejszego hałasu. Fiora zdążyła już zasnąć i szybowwała do tego ostatniego schronienia ludzi nieszczęśliwych: do krainy marzeń sennych.

Kiedy z niej wróciła, około południa, w pełni objawiła jej się gorycz rzeczywistości, czuła się bowiem znacznie gorzej: jej ciało przebiegały dreszcze, bolało ją gardło i zaczęła kichać seriami, co przyciągnęło kobietę, którą widziała poprzedniego dnia, lecz ostatecznie uznała za część swoich snów. Poza tym miała migrenę.

Poczuła dotyk chłodnej dłoni na czole i usłyszała niezadowolony głos kobiety:

- Właśnie tego się obawiałam! Przeziębilas się mimo moich starań i masz gorączkę. Rodrigo nie będzie zadowolony!

- Jak on się czuje? - zapytała Fiora, kończąc to zdanie kolejnym kichnięciem.

- Czuje się wspaniale, jak zawsze. Kilka kropel wody nie mogłoby nadwyrężyć jego wyśmienitego zdrowia. Ma siłę jak byk z naszego herbu! - dodała kobieta z nagłą egzaltacją, która zaskoczyła Fiorę.

Osoba ta zresztą była wystarczająco zaskakująca sama w sobie, by Fiora zainteresowała się nią mimo swego nieco niewyraźnego stanu. Wysoka i być może równie silna jak Borgia, ale koścista, miała podłużną oliwkową twarz, której uroku nie dodawał bynajmniej czarny strój hiszpańskiej duenii lekko tylko ozdobiony wąską białą riuszką wykańczającą wysoki, stojący kołnierz przytrzymany piękną złotą zapinką z perłami. Do uczesanych w wysoki kok włosów przypięty był czarny welon. Przy skórzanym pasku wisiał pęk kluczy.

- Chciałabym mu podziękować - kontynuowała Fiora. - Myślisz, że będę dziś miała ku temu okazję?

- Zapowiedział, że przyjdzie się z tobą zobaczyć dziś wieczorem - odrzekła kobieta z niezadowoleniem. - Rozkazał nawet, by nakryto do kolacji w tym pokoju, i będzie bardzo rozczarowany, widząc cię w takim stanie.

- Po takiej nocy nie ma w tym nic dziwnego. Poza tym nie jestem „w takim stanie”. Mam solidny katar, po którym, mam nadzieję, za dwa czy trzy dni nie będzie śladu.

- Nie znasz go. Nie cierpi chorób i chorych. Spójrz tylko na siebie! - dodała, podając jej ręczne lustro. - Masz czerwony nos, rozpaloną twarz... Nie nadajesz się do pokazywania ludziom.

- No to mnie nie pokazuj! - mruknęła z niezadowoleniem Fiora, którą ta kobieta zaczynała drażnić. - Powiedz jego eminencji, jak sprawy stoją, i poproś, by dał mi kilka dni na... doprowadzenie się do porządku.

- Zobaczymy! Na razie trzeba zrobić wszystko, co możliwe, żeby cię wyleczyć.

Natychmiast zabrała się do dzieła i przystąpiła do intensywnego pojenia chorej naparami, miodem i mlekiem z żółtkami, kazała połknąć mnóstwo pigułek, zmusiła do poddania się dwóm okadzeniom, po których nieszczęsnica była jeszcze bardziej czerwona niż przedtem, chciała nawet zrobić jej lewatywę, ale Fiora przeciwstawiła się temu ostatkiem sił. Nie miała pojęcia, jak to wpłynęło na jej gorączkę, ale czuła się po tym wszystkim kompletnie otumaniona, a ponadto było jej niedobrze.

- Zostaw mnie w spokoju! - zawołała. - Wykończysz mnie tymi lekarstwami! Wiedz, że ja nigdy nie biorę leków!

- Kiedy się jest chorym, trzeba się leczyć! - zaskrzeczała kobieta. - Musisz jeszcze wypić ten syrop, który pomaga na ból gardła, i...

- Nic nie wypiję! Potrzebuję tylko jednej rzeczy: żeby pozwolono mi się spokojnie wyspać!

Naciągając na siebie prześcieradła i kołdry, zamierzała się pod nimi schować, kiedy wejście kardynała zakończyło scenę. Fiora nie od razu go rozpoznała. Miał bowiem na sobie elegancki kaftan z czarnego aksamitu haftowanego złotem, oraz pludry pozwalające stwierdzić, że ma bardzo zgrabne nogi, a przede wszystkim był z gołą głową, co umożliwiała konstatację, że zaczyna tracić włosy.

Dostrzegając obie kobiety mierzące się wzrokiem jak rozzłoszczone kwoki, jedną czerwoną, rozczochną i owiniętą w prześcieradła, drugą wymachującą butelką i łyżką, wybuchnął śmiechem.

- Nie możecie ciszej krzyczeć? - powiedział, łapiąc oddech. - Słyszać was aż na końcu galerii. Chciałbym, żeby chociaż przez kilka dni obecność donny Fiory w tym domu pozostała tajemnicą dla większości służby.

Wciąż wymachując butelką i łyżką, duenia rzuciła się w jego stronę, jakby chciała go rozłupać na pół.

- Ta dziewczyna jest chora, Rodrigo. Nie możesz przecież jeść kolacji z czymś takim! Spójrz na nią! Wygląda jak straszdyło! Zrobiłam wszystko, co można, by ją wyleczyć, ale ona chce mi w tym przeszkodzić.

- Chcę przede wszystkim, żeby ta kobieta przestała mnie truć swoimi wątpliwej jakości lekami. Ale ona w kółko powtarza, że będziesz z pewnością wściekły, dowiadując się, że...

- Ze przeziębiałaś się w nocy? Nie jestem tym zaskoczony. .. wściekły zresztą też nie.

- Ale powiedziałaś, że zjesz z nią kolację - powiedziała duenia, która wydawała się bliska płaczu.

- Nie widzę, na czym polega trudność, Juano. Postawimy stół przy łóżku i każesz podać lekki posiłek. A teraz uspokójcie się obie! Problem wynika z tego, że w nocy nie przedstawiłem was sobie. Potrzebowałem wypoczynku i myślałem, że zrobię to jak tylko się obudzisz, droga przyjaciółko.

Wyjaśnił Fiorze, że duenia Juana de Lano jest daleką kuzynką, której rodzinę spotkało wiele nieszczęść i że sprowadził ją z Walencji, kiedy pięć lat wcześniej papież wysłał go do ojczystego kraju jako ambasadora. Czuwa nad „spizarnią i służbą domową” i cieszy się jego pełnym zaufaniem, a dodatkowo sympatią i przywiązaniem.

Juanie, słuchającej go ze łzami rozczulenia, wyjaśnił, że jego gość nie jest „tą dziewczyną”, lecz „szlachetnie urodzoną damą pochodzącą z Francji”, która miała nieszczęście nie spodobać się Jego Świątobliwości i której należało zaoferować godziwą gościnę.

Wypowiedź ta, choć pozornie bardzo naturalna, obudziła jednak nieufność Fiory. Dlaczego Borgia czekał, aż znajdzie się u niego, dlaczego nie uprzedził Juany? Tym bardziej że ostatniej nocy najwyraźniej czekała na nich i nie zadała żadnego pytania ani nawet nie mrugnęła okiem, odkrywszy, że nowo przybyła nosi habit nowicjuszeki.

Kojarząc to dziwne zachowanie ze zwierzeniami Antonii Colony dotyczącymi „najbardziej zmysłowego z mężczyzn”, Fiora zaczęła się zastanawiać, czy nie miał zwyczaju przemierzać nocą ulic Rzymu w poszukiwaniu dziewcząt, a nawet - bo niby dlaczego nie? - sprowadzać od czasu do czasu na złą drogę mniszek z pobliskich klasztorów. Na pewno nie zatrzymywał ich u siebie zbyt długo i stąd wzięło się szaleńcze zdenerwowanie duenii, gdy skonstatowała, że najnowsza zdobycz uznała za stosowne rozchorować się. Jej podejrzenia się potwierdziły, gdy usłyszała burczenie Juany:

- Trzeba było mnie uprzedzić, że to nie tak, jak zwyk...

Władczy gest przerwał jej wypowiedź, a kobieta zdawała się kurczyć pod ciskającym błyskawice spojrzeniem. Fiora pomyślała, że powinna coś powiedzieć, jeśli nie chciała mieć w tej kobiecie, wyraźnie głupiej, śmiertelnego wroga.

- Duenia Juana zadała sobie wiele trudu dla mnie, Eminencjo, a ja, obawiam się, bardzo źle się jej za to odwdzięczyłam. Przyznam ci się, że na samą myśl o kolacji robi mi się niedobrze. Nawet zapach potraw...

- Jest nie do zniesienia? - powiedział Borgia z uśmiechem. - W takim razie, moja droga, kuruj się, ja pójdę na kolację do przyjaciółki. Ale może moglibyśmy chwilkę porozmawiać?

- Oczywiście - zgodziła się Fiora, zachwycona, że tak łatwo udało jej się postawić na swoim. - Będę szczęśliwa, mogąc poznać najnowsze wiadomości.

- Tak myślałem. Juano, przynieś mi kieliszek hiszpańskiego wina, a potem zostaw nas samych! Przyjdiesz później przygotować donnę Fiorę do snu.

Odprowadził wzrokiem wychodzącą duenię, a potem przysunął jedno z krzeseł do łóżka.

- Sądzę - powiedział, ściszywszy głos - że uznasz wieści, które przynoszę, za interesujące. Dotrzymałem towarzystwa Ojcu Świętemu w wolierze, gdzie oddawał się karmieniu swojego orła, kiedy Leone da Montesecco, dowódca straży, wysłanej po ciebie do San Sisto, wrócił stamtąd z niczym.

- No i?

- Nie przypominam sobie, bym już kiedyś widział go tak gniewnego. Dostało się wszystkim: dowódcy za to, że cię nie przywiózł, kardynałowi d'Estouteville, którego natychmiast zawezwał, za to, że udzielił ci schronienia, a nawet orłu, którego pozbawiono połowy posiłku: papież porzucił go i wrócił do swojej komnaty, gdzie rozbił dwa lub trzy wazony, by rozładować wściekłość. Reszta skrupiła się na donnie Boscoli, która właśnie wtedy przybyła ze swoim siostrzeńcem. Powiedz mi, donno Fioro, czy ona wczoraj była w klasztorze?

- Tak, ale papież na pewno o tym wie: miała zezwolenie na odwiedziny.

- To samo powiedziała matka Girolama. Dodała, że dama ta, wciąż w imieniu papieża, wydała jej polecenie zamknięcia twoich drzwi na klucz.

- A papież nic o tym nie wiedział? Ale to przecież nie ona postawiła strażników przed drzwiami?

- Nie. Rozkaz wyszedł z Watykanu, ale pozwolenie na widzenie z tobą było sfalszowane. Ojciec Święty zmieszał donnę Boscoli z błotem za to, że wszystko zaprzepaściła dla przyjemności dokuczenia ci.

Zamilkł. Wróciła Juana ze srebrną tacą, na której wspaniały kielich z czerwono-złotego weneckiego szkła sąsiadował z taką karafką. Postawiła wszystko na stole, napełniła kielich z nabożeństwem celebransa przy ołtarzu i podała go swemu kuzynowi, niemal klękając, co ten zdawał się traktować jak rzecz całkiem naturalną.



- Dziękuję, Juano! Możesz teraz odejść. Zawołam cię wkrótce.
  - Czy gniew papieża nie dotknął także ciebie? - zdziwiła się Fiora.
  - Z powodu mojej wizyty w ubiegłym tygodniu? Przeorysza San Sisto jest kobietą inteligentną. Uznała, że lepiej będzie nawet o tym nie wspominać, uważając bez wątpienia, że jeśli to przemilczy, będę mógł jej przyjść z pomocą. Co też uczyniłem. Wyjaśniłem papieżowi, że wszystko jest winą donny Boscoli, która cię przestraszyła, zamiast pozwolić Ojcu Świętemu na takie poprowadzenie sprawy, jak planował. Dodałem, że jesteś z pewnością kobietą bardzo zaradną. Później zaczęła się niemal regularna awantura, kiedy kardynał d'Estouteville, który spontanicznie zaproponował przeszukanie swego pałacu, powrócił, tym razem jako oskarżyciel.
  - Oskarżyciel? A kogóż oskarżał?
  - Ależ papieża, moja piękna przyjaciółko, po prostu papieża. Kardynał kamerling nie jest byle kim, a poza tym jest najpotężniejszym z kardynałów francuskich. Trzeba było mu opowiedzieć, co dokładnie zaszło, a dowiedziawszy się o przedstawionym ci wyborze między katowskim toporem a ręką smętnego Carlo, uniósł się, protestując przeciw obeldze uczynionej swemu władcy, jako że dysponowano tobą, nie czekając nawet na odpowiedź króla Francji. Zagroził, że poskarży się królowi. Nie będę wchodził w szczegóły tej wymiany zdań: była tak żywa, że wolę wyrzucić je z pamięci.
  - Czyżby kardynał d'Estouteville nie obawiał się papieża?
  - A dlaczego miałby się obawiać? Reprezentuje tu króla Ludwika Francuskiego, jest szefem watykańskiej dyplomacji, jest także najbogatszym ze wszystkich kardynałów, a ponadto w jego żyłach płynie królewska krew. To są rzeczy, które liczą się dla biednego franciszkanina, pochodzącego znikąd, któremu pomógł dostać się na tron Piotrowy.
  - Rozumiem. I jaka była konkluzja tej... awantury?
  - No cóż, na razie każdy pozostał przy swoim stanowisku. Ojciec Święty krzyczy, że jeśli cię dopadnie, zostaniesz stracona, czy to się podoba donnie Boscoli, czy nie, a kardynał, któremu przyznać trzeba, że nie jest krzykaczem, twierdzi spokojnie, że jeśli papież podejmie decyzję w twojej sprawie bez zgody króla Ludwika, sojusze utkną w martwym punkcie i że mnicha Ortegę i kardynała Balue zobaczy co najwyżej we śnie.
- Fiora milczała przez chwilę, bawiąc się jedwabistą materią prześcieradła, którego róg nawijała wokół palców.
- A to małżeństwo, o którym mówiła... donna Boscoli? Chciałabym poznać twoje zdanie na ten temat.

Borgia przez moment przyglądał się młodej kobiecie owiniętej w biały jedwab prześcieradeł, które odsłaniały łagodną krągłość ramienia, a jego oczy rozbliły, kiedy wyobraził sobie inne krągłości, jeszcze bardziej smakowite, które kryło luksusowe obleczenie tego książęcego łoża.

- A jakie mogę mieć zdanie? Musi cię nienawidzić z całych sił, skoro proponuje związek między tobą, najpiękniejszą z pięknych, a tym nieszczęśnikiem.

- Kiedyś Hieronima chciała, bym poślubiła jej syna, Pietra Pazziego, potwora wydzielającego zło każdym porem skóry. To z jego powodu kazała zabić mojego ojca, Francesca Beltramiego. Mimo mojego... nieprawego pochodzenia Hieronima jest opętana pragnieniem wydania mnie za kogoś ze swojej rodziny, tak bardzo się obawia, że jakaś cząsteczka, choćby najmniejsza, naszego zniszczonego majątku może jej umknąć.

Borgia, powstawszy z krzesła, poszedł ponownie napełnić swój kielich i w chwili, gdy miał przyłożyć do niego usta, podał go młodej kobiecie.

- Napij się! Jestem pewien, że dobrze ci to zrobi. Wzięła kielich, w którego przejrzystych ściankach płomień świecy zapalał przepiękne błyski.

- Czy tak trudno rozmawiać ze mną o Carlo Pazzim? Sądzisz, że potrzebuję pokrzepienia, zanim poruszymy ten temat?

Jednym haustem opróżniła kielich i podała mu. Nie wziął go, lecz przykrył swoją dużą dłonią palce młodej kobiety, przyłożył usta do miejsca, w którym ona piła, i wypił ostatnią kroplę złocistego napoju.

- To inny rodzaj potwora - westchnął wreszcie. - Nie jest zły, jestem tego pewien, to po prostu jeden z tych ludzkich wraków, jakie rodzą się czasem w najszlachetniejszych rodzinach. Mówi się, że jest wynikiem gwałtu i że rodząc się, nieodwracalnie rozdarł ciało swojej matki. Myśl, że można cię wydać za mąż za ten ludzki odpad, jest nieznośna dla każdego normalnie czującego mężczyzny... Jesteś stworzona, by być kochaną przez książąt...

Usiadł na brzegu łoża i łagodnie wyjął kielich z jej dłoni, a potem wrzucił go do kominka, jakby był to bezwartościowy przedmiot. Kruche cudo roztrzaskało się na tysiące purpurowych i złotych odłamków.

- Dotykał twoich ust - wyszeptał chrapliwym głosem zdradzającym pożądanie. - Nikt już nie ma prawa z niego pić.

Spomiędzy przymykających się ciężkich powiek przebijało się spojrzenie szarzielonych, nieprzeniknionych oczu. Jednocześnie jedna z rąk uwięziła ramię, które kusilo go od dobrej chwili, a druga wśliznęła się pod wyszywaną złotem kołdrę w poszukiwaniu piersi. Fiora gwałtownie odsunęła się w głąb łóżka i przyciągnęła nogi do piersi.

- Czy muszę ci przypominać, Eminencjo, że jestem chora? - powiedziała głosem tak lodowatym, że był jak zimny prysznic dla lubieżności Borgii.

Z ociąganiem zabrał ręce i wstał.

- Wybacz - wymamrotał. - Twoje oczy są jak niebo w czasie burzy, w której tak łatwo się zgubić... a ja pragnę tylko jednego: podobać ci się.

Zauważyła, że wstając, nieco się zachwiał i zadrwiła z niego bezlitośnie:

- Czy to w celu przypodobania mi się podjąłeś to niesłychane ryzyko, żeby osobiście po mnie przybyć ostatniej nocy?

- A gdyby tak było??? - powiedział z nagłą wyniosłością. - Nie powierza się cennego przedmiotu topornym rękom sługi.

- Już drugi raz porównujesz mnie do przedmiotu. Zapominasz, że jestem kobietą?

- O nie, nie zapominam. Więcej, cały czas myślę tylko o tym. Tak, jesteś kobietą, najbardziej godną pożądania, jaką kiedykolwiek poznałem. Nawet w dniu przyjazdu. Byłaś chuda jak wygłodniały kot i blada jak opłatek, ale dla mnie, kiedy ci się ukradkiem przyglądałem, byłaś najpiękniejszą ze wszystkich istot i przysiągłem sobie, że będziesz moja.

- Czy to dlatego pomogłeś mi uciec z klasztoru i sprowadziłeś tutaj?

- A z jakiegoż innego powodu? Król Francji mnie interesuje, rzecz jasna, ale gdybyś była brzydka, nawet przez chwilę bym się tobą nie zainteresował. Zawsze, kiedy pragnąłem jakiejś kobiety, miałem ją, i to bardzo szybko, ale dla ciebie gotów jestem okazać trochę cierpliwości, gdyż jesteś tego warta, a przyjemność tak bardzo wyczekiwana, będzie jeszcze większa, gdy wreszcie będziesz moja.

- Tracisz czas i marnujesz cierpliwość, Eminencjo - warknęła Fiora, którą zaczynał opanowywać gniew. - Zaufałam ci, bo miałam nadzieję, że pomożesz mi uciec z tego... świętego miasta i wrócić do domu.

- Bez wątpienia. Ale na razie to niemożliwe i obawiam się, że jeszcze długo możliwe nie będzie. W każdym razie nie, zanim dasz mi to, czego od ciebie oczekuję. Chcę zapłaty za moje wysiłki i niebezpieczeństwa, na które się naraziłem dla twoich pięknych oczu, zapłaty w jedynej walucie, jaka mnie interesuje.

- Czyli mnie samej? Jesteś bardzo z siebie zadowolony, nieprawdaż, don Rodrigo? Ale ja mam dopiero dwadzieścia lat, a ty ponad dwa razy tyle. Nie przyszło ci do głowy, że mogłabym cię nie kochać?

Wybuchnął śmiechem, co pozwoliło mu pokazać piękne zęby. Był z nich bardzo dumny i z tego powodu często się śmiał.

- Kto tu mówi o miłości? Ja szukam tylko rozkoszy, a im bardziej wyjątkowa jest kobieta, tym rozkosz większa. Rozkosz, moja śliczna! Jeśli jej nie znasz, nauczę cię, gdyż jeśli jest obopólna, jest jeszcze bardziej upajająca. Och, widzę, o czym myślisz: oddam mu się zaraz i będę to mieć z głowy. Nie tego chcę. Mam wielki apetyt, ale jestem wybredny, a tymczasem, wybaczone, że to mówię, medykamenty Juany uczyniły cię niezbyt apetyczną.

Oniemiała ze zdumienia Fiora poczuła, jak się czerwieni, urażona tą przenikliwością, gdyż rzeczywiście właśnie tak pomyślała. Nie po raz pierwszy znalazła się w pułapce żądź mężczyzny, a nawet zdarzało się jej je prowokować, jak w Thionville, gdy pojechała do Campobassa.

- Odzyskaj zdrowie, cudny aniele - dodał Borgia pieszczotliwym tonem - i bądź znów tak olśniewająca, jak w ogrodzie San Sisto! Przystroję cię jak bóstwo, podkreślę twoją urodę, dając wszystko, czym bogactwo ozdobić może ciało kobiety, i czerpać będę przyjemność z tej wdzięcznej zabawy... Co do mego wieku... Nigdy jeszcze nie przysporzył mi najmniejszej troski i przekonasz się, że w dawaniu rozkoszy jestem bardziej namiętny, wprawny i krzepki, niż jakiś młodziak.

Widząc przestraszoną minę Fiory, znów się roześmiał:

- Wątpisz w to? Rzymskie kurtyzany zwań mnie „bykiem Borgia”. Będziesz moją Pazyfae\*\* i poczniemy nowego Minotaura.

\*\* Legendarna królowa Krety, żona Minosa, matka Fedry, Ariadny i Minotaura, którego urodziła w wyniku zbliżenia ze świętym bykiem, w którym się zakochała.

Wobec tego odwołania do kultury greckiej, tak jej bliskiej, Fiora dała upust wściekłości, która już od pewnej chwili w niej wzbierała.

- Nie mam zamiaru niczego poczynać! - krzyknęła. - Mam syna we Francji i chcę do niego wrócić. Jak mogłeś choćby przez chwilę pomyśleć, że mam ochotę ci się oddać?

Uśmiechnął się do niej tak, jakby złożył jej najmiłą z deklaracji, i pieszczotliwie pogładził palcem jej policzek.

- To przyjdzie z czasem, zapewniam cię. Tak czy inaczej, skoro musisz pozostać tu, w zamknięciu przez kilka tygodni, dlaczego nie miałabyś spędzić tego czasu w najprzyjemniejszy możliwy sposób? A ja jestem mistrzem w miłości...

Krew, która napłynęła Fiorze do głowy z powodu wściekłości, wywołała napad kaszlu.

- Odpocznij teraz - powiedział jej dziwny gość. - Juana przyjdzie za chwilę przygotować cię do snu.

Wyszedł wreszcie i chora, jakby za sprawą czarów, przestała kaszleć. Miała mętlik w głowie i wiedziała tylko, że prawdopodobnie ten mężczyzna nie jest normalny. Chwilę wcześniej pomyślała o Campobassie, którego losów nie знаła, i który także opanowany był istnym szałem prokreacji, ale Campobasso przynajmniej ją kochał, tymczasem dla tego mężczyzny była tylko rzadkim okazem, ciałem innym od tych, do których przywykł i które z tego powodu chciał zniewolić. Zamknął ją w klatce, a klatka ta otoczona była wszelkimi niebezpieczeństwami wrogiego miasta. W dodatku mężczyzna ten był duchownym!

Nagle pomyślała o Leonardzie. Droga, święta kobieta! Nie mogła nawet przypuszczać, że jej „jagniątko” utknęło w tym Rzymie, który uważa za przedsiónek raj, zagrożone śmiercią z rąk wikariusza Chrystusa i wydane na lubieżne zachcianki księcia świętego Kościoła katolickiego.

Kiedy wkrótce potem weszła Juana z filiżanką naparu z ziół, nie mogła pojąć, dlaczego chora roześmiała jej się prosto w twarz, po czym jednym ruchem ręki zrzuciwszy wszystko z tacy, ukryła głowę w poduszkach i tak pozostała. Z drżenia jej ramion duenia wywnioskowała, że młoda kobieta płacze, i nie ośmieliła upierać się przy swoim. Inne dziewczyny, nawet dziewice, które przyszło jej przygotowywać na noc z panem, nigdy nie zachowywały się tak jak ta, która nawet nie była prawiczką, skoro Rodrigo mówił o niej, jak o kobiecie zamężnej. Niektóre oczywiście trochę płakały, dla formalności, ale cenne materie, w które je przyodziewano, korzenne potrawy i wykwiłne wina szybko je pocieszały i gdy nadchodziła pora ofiary, były usposobione co najmniej przychylnie.

Nie wiedząc, co czynić w tej sytuacji, kuzynka Borgii opuściła komnatę na palcach, zamknęła starannie drzwi, przyczepiła klucz do paska i poszła spać, ale mimo poprzedniej bezsennej nocy nie udało jej się zasnąć i spędziła wiele godzin, zastanawiając się nad tym, co mogło zajść między tym dziwnym stworzeniem i jej ukochanym Rodrigiem.

## Rozdział ósmy

### Noc niespodzianek

Fiora potrzebowała czterech dni na pozbycie się kataru i przez cały ten czas nie widziała Borgii. Juana poinformowała ją z nabożeństwem, że kardynał wyjechał do słynnego klasztoru w Subiaco, który wchodził w skład jego beneficjów, i nie wróci stamtąd przed końcem tygodnia. Młoda kobieta poczuła z tego powodu ogromną ulgę. Wykorzystała tę nieobecność, by do reszty powrócić do zdrowia i przeanalizować swoje położenie.

Nie było ono wcale rewelacyjne mimo faktu, że Fiora mieszkała we wspaniałej komnacie, całej obitej zielonym aksamitem ze złotymi frędzlami, której posadzka ułożona z różnobarwnego marmuru znikwała pod bajecznym dywanem, usianym przez kobiety z odległego Kermanu nieznanymi kwiatami i fantastycznymi ptakami. Było jej ciepło, za ciepło nawet, gdyż Juana, obawiając się nawrotu choroby, utrzymywała w pomieszczeniu temperaturę jak w piecu, a karmiona była aż za dobrze przez duenię przynoszącą jej ustawicznie smakołyki i słodczyce w nadziei, że dzięki temu trochę przytyje.

- Jesteś za chuda - wypominała jej. - Rodrigo lubi kobiety nieco zaokrąglone, o miękkim ciele. Jego ulubiona metresa, Yanozza, która dała mu dwóch synów - Juana i Cezara,

jest dorodną blondynką, wyglądającą tak, jakby wykonano ją z białej satyny, a jej piersi są jak młode melony i...

- Nie mam ochoty mieć piersi jak młode melony i nie zgadzam się, by traktowano mnie jak gęś tuczną. Zamiast znosić mi te słodczyce, powiedz lepiej, co się dzieje w mieście.

Nic. Nic się nie działo, a w każdym razie Juana nic o tym nie wiedziała. Wojenne okrzyki dwóch rywalizujących ze sobą watah - Colonna i Orsinich - zakłócały każdą noc, ale Fiora słyszała je tak, jak inni mieszkańcy Rzymu. Każdego ranka odnajdowano jeden lub dwa trupy pływające w Tybrze lub porzucone w jakimś zaułku.

Wyzdrowiawszy, Fiora zaczęła się nudzić. Choroba przynajmniej wypełnia czas, a skazana na towarzystwo Juany poczuła, że dni jej się dłużą, a polecenia kardynała były kategoryczne: drzwi pokoju miały pozostawać zamknięte na klucz i w żadnym wypadku nie wolno jej było z niego wychodzić. Jeśli chodzi o ich respektowanie, można było mieć zaufanie do Juany.

Jedynym nieco przyjemniejszym momentem dnia był poranek. Po wstaniu Fiora brała kąpiel, którą szykowano w przyległym pomieszczeniu, również

bardzo ozdobnym. Zbiornik umieszczony w podłodze zajmował niemal całe wolne miejsce. Był wystarczająco duży, by dwie osoby mogły się kąpać jednocześnie, co było podobno „jedną z największych przyjemności Rodriga”. Woda przynoszona przez pałacowych niewolników - było ich około trzydziestu różnych ras - usuwana była wąskim odpływem prowadzącym do rynny. Po kąpieli, zawsze sprawiającej jej niesamowitą przyjemność, Fiora była masowana przez wysoką czarną dziewczynę, która cały czas się śmiała i ugniatała ją jak ciasto na chleb, używając pachnących olejków, co było mniej przyjemne, ale Fiora wychodziła z jej rąk, tryskając energią, z którą potem nie wiedziała, co robić. Kiedy już okrążyła swoją komnatę dwadzieścia razy w jednym kierunku i dwadzieścia razy w drugim, pozostawała jej tylko jedna rozrywka: wyglądanie przez okno. Przy czym Juana pozwalała jej na otwarcie okna tylko wtedy, gdy młoda kobieta zasłoniła twarz maską i narzuciła welon na włosy. Pokój zajmowany przez Fiorę znajdował się bowiem na samej górze czworokątnej wieży, bez której nie można było sobie wyobrazić rzymskiego pałacu. Powyżej były tylko zębate blanki i dwóch wartowników, wymieniających się dzień i noc. Wszystkie większe domostwa w mieście miały zresztą ten aspekt obronny, choćby ich mury były pokryte malowidłami i dekorowane, choćby posiadały ogród, który - jak ogród pałacu Borgii - dochodził aż do Tybru. Fiora przekonała się o tym dopiero za jakiś czas, gdyż jedno z jej okien wychodziło na wewnętrzny podwórzec zawsze pełen służby, strażników, domowników i niewolników, a drugie na miasto.

Fiora, która od pierwszego dnia myślała tylko o tym, by uciec, przeżyła szok, stwierdziwszy, że jej komnata znajduje się tak wysoko. Jedynym sposobem na ucieczkę stąd było zejście po sznurowej drabince, a nie widziała sposobu, by taką znaleźć. Widok jednak był wspaniały i wykorzystywała to, by wreszcie poznać Rzym, którego większa część rozciągała się przed nią.

Juana, kiedy nie chodziło o jej bożyszcze, była raczej dobroduszną osobą. Zadowolona, że podopieczna czymś się interesuje, bardzo chętnie udzielała wszelkich wyjaśnień, o które Fiora poprosiła.

Kolorem Rzymu był ciepły i głęboki odcień ochry, na który upływające wieki zabarwiły kościoły, pałace, domy i średniowieczne wieże. Zachodzące słońce jeszcze bardziej podkreślało tę barwę. Po swej prawej stronie, na drugim brzegu żółtawej toni Tybru, Fiora widziała czerwoną bryłę zamku Świętego Anioła wznoszącego się nad Borgo, zębate blanki wież i ażurowe kampanile Watykanu na tle wysokich pinii, cyprysów i czarnych cisów ogrodu. Widziała także Torre di Nona, siedzibę policji usytuowaną jak straszak u wjazdu do gęsto zaludnionej dzielnicy Trastevere.

Panorama drugiego brzegu, pełnego młynów, była nieco zamglona za sprawą dymu i pyłu, które jednak nie zdołały ukryć zasmucającego w swej nędzy widoku. Via Papalis, której nie wybrukowano, choć była jedną z najważniejszych, wiła się wśród tego, co pozostało z Forum, i pałaców cesarskich. Sklepiki rzeźników i warsztaty kołodziejów wspierały się o stosy ruin, z których wyłaniała się tu i ówdzie roztrzaskana kolumna lub pęknięte sklepienie bazyliki. Na niezabudowanych terenach można było spotkać więcej krów niż gdziekolwiek indziej. Były także świnie, których targ odbywał się w pobliżu i które swoimi odchodami i tratowaniem wszystkiego potęgowały ogólne spustoszenie.

Łuk Konstantyna, ledwie prześwitujący pomiędzy dwoma domami, wyglądał nędznie pod grubą warstwą pokrywających go gołębich odchodów. Z Palatynu, dawnego pałacu cesarza, pozostała wielka ruina zamknięta murami z czarnego krzemienia zwieńczonymi czerwonym krenelażem, które wyznaczały granice posiadłości rodu Frangipani. Jakieś budy, bezkształtne bryły, chroniły się pod osłoną sklepień starożytnych teatrów porośniętych zielskiem, a w nich gnieździła się wynędzniała ludność.

Nad całym tym bezładem wznosiły się cztery zębate wieże Kapitolu, melancholijne w swoim rozpadzie, oraz wysoka i smutna kampanila, ale bardziej na zachód, naprzeciwko tego groteskowego symbolu utraconych rzymskich swobód, widać było dwie złowrogie wieże - Torre delie Milizie i Torre dei Conti - sąsiadujące z obronnym zamkiem zakonu kawalerów z Rodos.

Wokół Koloseum, z którego zrobiono łatwy w eksploatacji kamieniołom, ustawicznie płonęły piece wapienne wydzielające czarny dym, który drażnił gardło i oczy, a według Juany był przyczyną nieuleczalnych chorób. Stamtąd poprzez porośniętą trawą zbocza Celiusa dotrzeć można było na Lateran. Droga, zwana via Lata, wystarczająco szeroka, by zmieściła się na niej uroczysta procesja, prowadziła prosto do katedry rzymskiej. Juana twierdziła, że żadna procesja nie ryzykowała przejścia tą drogą, odkąd w odległych czasach pewna kobieta, której udało się zasiąść na tronie papieskim dzięki temu, że udawała mężczyznę, zwana następnie papieżycą Joanną, zdemaskowała się przed swymi owieczkami, wydając na świat dziecko na płytach tejże via Lata. Miejsce to wyznaczał posąg leżącej kobiety karmiącej piersią niemowlę, a ponieważ lud rzymski ogłosił je przeklętym i nawiedzanym przez demony, żaden ksiądz, a tym bardziej żadna procesja, nie używała tej drogi. Aby dotrzeć do bazyliki Świętego Jana na Lateranie, wszyscy chodzili dookoła, przez dawne ogrody Mecenasów.



Fiora mogła też oczywiście dojrzeć ruiny term Karakalli, znajdujące się w pobliżu murów miasta, oraz zieleń ogrodu San Sisto. Prześledziła wzrokiem trasę, którą Borgia poprowadził ją do swego pałacu, a tym samym widok całego miasta wrył jej się w pamięć. Potrzebowała jednak dodatkowych informacji i aby je uzyskać wybrała okreśną drogę:

- W dniu, w którym dotarłam do Watykanu - powiedziała lekkim tonem - spotkałam siostrzenicę papieża, księżną Riario. Możesz mi powiedzieć, gdzie ona mieszka?

- Donna Catarina? Oczywiście. Tam, patrz: widać kościół SanfApollinare i pałac San Marco. Pomiedzy nimi widać duży budynek z blankami i wieżą: tam właśnie mieszka.

- Aha, widzę! Spotkałam też inną ważną osobę: kardynała kamerlinga...

- Francuza? Tego, który uchodzi za najbogatszego w Rzymie? No więc zobacz...

Fiorze jednak nie było pisane poznanie umiejscowienia pałacu d'Estouteville'a. Imponująca grupa jeźdźców zatarasowała ulicę, otaczając muła we wspaniałej czerwono-złotej uprzęży niosącego na grzbiecie wicekanclerza Kościoła. Przechodnie przyklękali w kurzu, aby przyjąć jego błogosławieństwo, a służba otworzyła bramy pałacu. Fiora pomyślała, że jego wielki kapelusz wyglądał jak ogromny purpurowy grzyb. Kardynał podniósł głowę i zauważył dwie kobiety. Władczym gestem nakazał im ukryć się wewnątrz. Juana zzieleniała na twarzy.

- Maria Santissimal - jęknęła. - Wygląda na wściekłego! Nie sądziłam, że coś złego może być w pozwoleniu ci na wyglądanie przez okno. Nie widział w tym nic niewłaściwego, jak...

- Jak inne kobiety mieszkały w tej komnacie? - dokończyła Fiora, która nie mogła powstrzymać śmiechu na widok przerażonej miny kuzynki kardynała.

Juana, zamknawszy okno, chodziła tam i z powrotem, wyłamując sobie palce.

- Nie śmieję się, proszę! To... okropne!

- Aż tak się go boisz? Przecież chyba cię nie zbije?

- Zrobi coś gorszego. Będzie na mnie patrzeć z gniewem i gnębić swoją pogardą.

- Nie przesadzasz aby trochę? Z powodu okna?

Juana wiedziała, o czym mówi, a najwyraźniej prawda była jeszcze gorsza: kiedy chwilę później pojawił się Borgia, cały czerwony i zasapany po pokonaniu kilku pięter w tempie spotęgowanym przez gniew, obrzucił ją najpiękniejszą wiązką hiszpańsko-włoskich przekleństw, jaką można sobie

wyobrazić. Padłszy mu do stóp i wznosząc nad głowę dłonie splecione w błagalnym geście, Juana szlochała, uderzała głową o podłogę i rozdierającym głosem błagała o wybaczenie. Scena ta wydała się Fiorze tak śmieszna i oburzająca jednocześnie, że postanowiła interweniować.

- Dosyć tego! - zawołała głośno, by przekrzyczeć zgiełk. - Nie mam pojęcia, czym ta nieszczęsnica zasłużyła sobie na takie traktowanie. Cała jej wina polega na tym, że pozwoliła mi odetchnąć świeżym powietrzem.

Szalejący z wściekłości Borgia nawet jej nie słyszał. Podeszła więc do toaletki i wzięła z niej zwierciadło, szarpnęła kardynała za rękaw, by nieco się cofnął i przystawiła mu lustro do twarzy - czerwonej, wykrzywionej, niemal demonicznej.

- Spójrz na siebie! Jesteś ohydny! I śmiesz mówić o podobaniu mi się?

Ta brutalna konfrontacja z własnym odbiciem ścisnęła mu krtań. Fiora wykorzystwała to:

- Hiszpański szlachcic! Księżę Kościoła, zachowujący się jak pastuch względem niezdarnej dójki! Powinieneś paść trupem ze wstydu! Budzisz we mnie wstręt!

Stała przed nim wyprostowana i pełna pogardy, w białej satynowej sukni szamerowanej czernią i złotem, w którą Juana ubrała ją tego dnia, wyciągając przed siebie lustro tak, jakby wyciągała krucyfiks, mając do czynienia z diabłem, i obraz ten podziałał na gniew kardynała jak egzorcyzmy. Odwrócił się ku Juanie, wciąż pokornie klęczącej, i rzucił:

- Idź precz! Przyjdiesz, jak cię zawołam! Podniosła się i oddaliła z pośpiechem myszy gonionej przez kota. Borgia podszedł do okna wychodzącego na podwórzec i otworzył je, próbując uspokoić oddech. Stopniowo stał się on bardziej miarowy, a twarz kardynała odzyskiwała normalną barwę. Kiedy poczuł się lepiej, westchnął głęboko, po czym odwrócił się i spojrzał na młodą kobietę. Siedząc w fotelu obitym zielonym aksamitem, czekała bez słowa. Na jej kolanach wciąż leżało lustro.

- Wybacz mi! Nie powinienem był dać się ponieść gniewowi, ale kiedy zobaczyłem cię w oknie, przeraziłem się.

- Brednie! Miałam na głowie welon i nosiłam maskę. Donna Juana z trudem zresztą mnie przekonała do ich założenia, ale to był warunek, bym mogła trochę odetchnąć w tym nieszczęsnym oknie.

- Nie wiesz, co mówisz. Mimo to mogłaś zostać rozpoznana.

- Rozpoznana? W mieście, w którym nikt mnie nie zna?

- Z wyjątkiem tych wszystkich, którzy widzieli cię w Watykanie po przyjeździe, z wyjątkiem towarzyszy podróży i zakonnic z San Sisto.

- Doskonały przykład. One są zamknięte w klasztorze! Znowu westchnął i przysunął drugi fotel, usiadł naprzeciwko niej.

- A jednak była to poważna nieostrożność. Wszystkie zbiry w mieście nadal cię poszukują. Poza tym nie wiesz, co wymyślił papież.

- Widzę, że przynajmniej raz nie mówisz „Ojciec Święty”. To określenie wyjątkowo do niego nie pasuje. No więc, co wymyślił?

- Domingo, nubijski eunuch, który cię pilnował, ma pewien talent do rysunku. Zrobił kilka szkiców, na których jesteś do siebie bardzo podobna, choć rysował z pamięci. Obwoływacze publiczni pokazują je na skrzyżowaniach ulic. A ponieważ osobie, która cię wyda, oferowana jest kwota stu dukatów...

Tym razem Fiora pobladła. Teraz odczuła w pełni siłę nienawiści Hieronimy, nienawiści tak wielkiej, że ta nędzna kobieta umiała zarazić nią papieża. Było to absurdalne i przerażające zarazem. Jakiż to zły duch kierował jej przyjściem na ziemski padół, że ustawicznie narażona jest na wrogość mocarzy tego świata? Kolejno musiała stawić czoło swojej drogiej Florencji powstałej przeciwko niej, później Zuchwałemu, najgroźniejszemu z książąt rządzących w Europie, a teraz papieżowi! Kochała mężczyznę i mężczyznę tego zabrała jej śmierć. Czy skażona kaziroddzstwem krew płynąca w jej żyłach jest naprawdę przeklęta? Dowodem na to były być może wydarzenia, które nieustannie obracały się przeciwko niej.

Aby pokonać trwogę chwytającą ją za gardło, ścisnęła obiema dłońmi podłokietniki fotela. Lustro spadło z jej kolan i się stłukło. Zapanowała cisza. Kardynał i młoda kobieta patrzyli na okruchy rozsypane na ziemi, po czym Fiora zerwała się gwałtownie:

- Eminencjo - powiedziała - niepotrzebnie zadajesz sobie trud chronienia mnie, a poza tym narażasz swój dom na niebezpieczeństwo. Każ mnie odprowadzić do Watykanu. Oddam się w ręce papieża.

Natychmiast znalazł się na nogach, a w jego czarnych oczach pojawiły się błyskawice. Położył dłonie na ramionach młodej kobiety.

- Jesteś szalona! Nie powiedziałem tego, by cię wpędzić w rozpacz, ale żebyś zrozumiała, że w twoim interesie jest zachowanie ostrożności.

- Wiem... ale nie mam już ochoty być ostrożna. Chcę umrzeć, koniec, kropka. Jedyne, o co cię poproszę, to byś osobiście przekazał kardynałowi d'Estouteville list, który napiszę. Król Ludwik powinien się zająć moim synem i drogimi mi osobami.

- Przecież nie umrzesz! Jeśli się sama zgłosisz, zostaniesz natychmiast wydana za Carla Pazziego...

- A mówiłeś wtedy wieczorem, że w czasie kłótni z kardynałem papież krzyczał, że mnie straci niezależnie od tego, czy to się Hieronimie podoba, czy nie?

- Przekonała go do swego punktu widzenia. Kiedy w grę wchodzi pieniądze, Jego Świątobliwość staje się bardzo podatny na wpływy.

- To nie ma sensu. Mój majątek nie jest już taki znaczący, jak kiedyś. Poza tym nie widzę sposobu, by mój małżonek, przyjmując, że wyjdę za mąż, mógł odziedziczyć dobra we Francji lub Burgundii, które w sposób oczywisty należą się mojemu synowi.

- Jesteś pewna, że we Florencji nic już nie posiadasz?

- Zupełnie nic. Pałac Beltrami spłonął, willa we Fiesole została skonfiskowana, a interesami mego ojca zarządza Angelo Donati.

- Angelo Donati umarł. Lorenzo Medyceusz przejął więc osobiście zarząd twoich dóbr i mówi się, że gdybyś wróciła do Florencji, odzyskasz swoją willę... i kilka drobiazgów.

- Mówi się? Kto to mówi?

- Takie chodzą słuchy, krążą pogłoski... Jego Świątobliwość utrzymuje bardzo aktywnych szpiegów w mieście Czerwonej Lilii. Nie wiesz, że jeśli chodzi o to piękne miasto, papież ma bardzo konkretne zamiary?

- Weźmy pod uwagę najgorsze: Riario dostaje Florencję. Otrzyma każdy majątek, którego zapragnie.

- Ależ nie! Papież chce tam rządzić, ale nie może być mowy o łamaniu prawa i pozbawiania mieszkańców majątków. Aż za dobrze wiadomo, do czego są zdolni. Oto dlaczego tak bardzo interesuje się tym małżeństwem. Tutejsi Pazzi dołączą do tych, którzy tam pozostali, i wrócą jako tryumfatorzy... ale legalni.

- A ja wrócę w ich kufrach podróżnych? Wielkie dzięki.

- To akurat nie jest takie pewne - odpowiedział Borgia z półuśmiechem. - Jak tylko wyjdiesz za mąż, pani Boscoli, jak sądzę, nie da ci długo pożyć. Wierz mi! Bądź rozsądna i przygotuj się do kolacji ze mną. Postaram się dostarczyć ci rozrywkę.

- Zależy jakiej!

Wybuchnął śmiechem i podszedł do drzwi.

- Nie patrz na mnie tak podejrzliwie! Obiecuję, że do niczego nie dojdzie. Może uważam - dodał mrugając - że nie jesteś jeszcze wystarczająco pulchna, by się nadawać do pożarcia?

- To mnie uspokaja! Nieprędko będziesz usatysfakcjonowany.

Kolacja istotnie była przemiała. Fiora była szczęśliwa, dowiadując się, że Lorenzo Medyceusz zachował dla niej wierną przyjaźń i że być może pod jego egidą będzie mogła pewnego dnia wrócić z podniesioną głową do swego ukochanego miasta. Wiadomość ta zmieniła nieco jej plany ucieczki. Początkowo miała zamiar ukraść łódź, by spłynąć Tybrem i po dotarciu do wybrzeża morskiego spróbować dostać się na statek płynący do Prowansji, ale to nie był dobry pomysł: statki pełnomorskie nie pływały zimą. Trzeba by było czekać na wiosnę. Poza tym nie miała ani grosza, by zapłacić za podróż. Możliwość zawadzenia o Florencję otwierała znacznie szersze perspektywy. Rzym i stolicę Medyceuszy dzieli ledwie siedemdziesiąt mil! Pielgrzymi przemierzający szlaki wiodące do wielkich sanktuariów pokonywali znacznie większe odległości, a tych siedemdziesiąt mil można by przebyć pieszo.

Rodrigo Borgia okazał się tego wieczoru najbardziej uroczym z gospodarzy. Jego wesołe usposobienie sprawiło, że kolacji towarzyszyła przyjemna konwersacja. Podano ostrygi, małe kalmary w sosie brunatnym i drób na sposób rzymski: z papryką, anchois, pomidorami i szynką, wszystko zakrapiane lekkim winem z Frascati. Deserowi, na który podano owoce z konfitury, towarzyszył wyśmienity muskat z Montefiascone, słynny z tego, że spowodował w 1111 r. śmierć kardynała Fuggera.

Aby rozbawić swojego gościa, Borgia opowiadał o różnych wydarzeniach, co ukazało Fiorze nieoczekiwany obraz życia rzymskiego. Dowiedziała się na przykład, że uprowadzenia były ulubioną rozrywką szlachty: porywało się kobietę lub dziewczynę, wiozło w odosobnione miejsce, gdzie urządzano ucztę, po czym odwożono mimowolną bohaterkę zabawy w pobliże jej domu. Prowokowało to oczywiście żądze zemsty, ale zemsta była w Rzymie podniesiona do rangi sztuki. Im bardziej była okrutna, tym bardziej ją oklaskiwano. Borgia opowiedział historię uroczej Lisabetty, małżonki Francesca Orsini, która - zaskoczona z innym mężczyzną - musiała asystować przy śmierci kochanka, zaproszonego na ucztę i zabitego uderzeniami kija przy deserze. Następnie zwłoki winowajcy zostały rozkrzyżowane w sypialni i każdej nocy przywiązywano do nich Lisabettę, a o świcie zabierano ją do domu, gdzie pozostawała do zachodu słońca, jako pożywienie dostając tylko dwie kromki chleba i szklanek wody.

Tym razem Fiora się nie uśmiechnęła. Struchlała i aby dojść do siebie, musiała wypić cały kielich wina.

- I co się z nią stało?

- Oczywiście umarła, i to dosyć szybko, ale była bardzo skruszona. Pouczająca historia, nieprawdaż?

- Trzeba być mężczyzną, żeby opowiadać o takich okropieństwach tak lekkim tonem! Uważam, że to potworne. Ten Orsini zasługuje na piekielne męki. I pomyśleć, że przez cały rok biedni ludzie poświęcają siły i pieniądze na wszystkich szlakach Europy, by móc pomodlić się w tym mieście, które uważają za święte, w którym widzą niebiańską Jerozolimę i ośrodek wszelkich cnót, gdy tymczasem to zwykła kloaka!

- Jesteś surowa w sądach. Przecież żyją tu ludzie wielkich zalet, a jeśli chodzi o pielgrzymów, znam takiego, który przybywszy przed trzema laty na jubileusz, powiedział: „Kiedy stawiasz stopę w Rzymie, wiara odchodzi, gniew pozostaje...”.

- Można by powiedzieć, że to cię bawi, ciebie - księcia Kościoła? Czy twój Sykstus IV choć wierzy w Boga?

- Ależ oczywiście! A szczególnym kultem otacza Matkę Boską, ale co zrobić - jest także bardzo przywiązany do swojej rodziny i nie cofnie się przed niczym, by była bogata i wpływowa.

- Podobno ty także masz dzieci, Eminencjo. Kardynał natychmiast rozpląnął się w morzu czułości:

- Są wspaniałe! Dwaj najcudowniejsi mali chłopcy, jakich nosi ta ziemia! A zwłaszcza Juan! Ale przyznam ci się, że chciałbym, żeby ich matka dała mi teraz dziewczynkę, tak jasnowłosą jak ona. Dałbym jej na imię... Lucrezia! - Widząc pogardliwy grymas wykrzywiający usta młodej kobiety, dodał: - No, nie rób takiej miny! Włochy są krajem dzieci. Wszyscy je tu mają.

- Nawet kardynałowie, jak widzę?

- Mógłbym właściwie powiedzieć: przede wszystkim kardynałowie, gdyż kobiety, które oni zaszczycają, mogą mieć pewność, że ich potomstwu niczego nie będzie brakować. Dlatego też kardynał Cibo ma syna. Kardynał d'Estouteville także. Nazywa się Jeremiasz, a dała mu go bardzo ładna kobieta, Girolama Tosti. Jest teraz panem na Frascati, skąd wino właśnie piliśmy. Co do kardynała...

- Litości, Eminencjo! Nie mów nic więcej! Chciałabym zachować nieco wiary mego dzieciństwa!

- Wiara nie ma z tym nic wspólnego! Trzeba żyć z duchem swoich czasów, a Rzym, którego tylko najgorszą stronę poznałaś, jest jednak mimo wszystko bardzo przyjemnym miejscem do życia. Mieszkają tu i nie uskarżają się na to wysoko urodzone cudzoziemki, takie jak królowa Bośni, królowa Cypru i grecka księżniczka Zoe Paleolog.

- Ich położenie nie ma z pewnością nic wspólnego z moim. Skończmy z tymi pogawędkami, Eminencjo! Ja nie chcę tu zostać. Powiedziałeś przed chwilą, że nie mam już zakazu wstępu do Florencji, pomóż mi więc do niej wrócić!

- Jest na to za wcześnie! Cały czas ci to powtarzam.

- A poza tym nie pozwolisz mi wyjechać bez zapłacenia pewnej kontrybucji, prawda?

Roześmiał się cicho i nieco ochryple, przyglądając się złocistemu winu wypełniającemu kieliszek.

- Który mężczyzna pozwoliłby, by przeszło mu obok nosa najbardziej upajające z win bez próby skosztowania?

Oczy Borgii żarzyły się jak węgielki w popiele i Fiora naraz poczuła się bardzo znużona. Objęła spojrzeniem wspaniałą zielono-złoty wystrój pokoju, którym była już zmęczona.

- Jestem zatem skazana na konanie tu z nudów? Kiedy chociaż będę mogła opuścić ten pokój?

- To byłoby nieostrożne. Pałac jest pełen służby, strażników i domowników; nie mogę być pewien wszystkich. Poza tym gdybym zamknął drzwi, dałbym do zrozumienia, że kryje się tu jakaś tajemnica. Wiadomo oczywiście, że w wieży mieszka jakaś ślicznotka, ale nie ma w tym niczego nadzwyczajnego!

- Wiem - zawołała Fiora, niemogąca dłużej się powstrzymać - ale zrozum, że nie mogę tkwić zamknięta w tych czterech ścianach nie mając żadnego zajęcia poza patrzeniem przed siebie! Odkąd porwano mnie z Francji, wciąż przebywam w zamknięciu! Dwa miesiące w kabinie na statku, dwa tygodnie w San Sisto, ale tam był chociaż ogród, a teraz tutaj. Wolę już umrzeć!

- Uspokój się i uzbrój w jeszcze trochę cierpliwości! Każę ci przynieść książki, jeśli lubisz czytać, i przyślę niewidomego śpiewaka o cudownym głosie. Będę cię często odwiedzać, a czasem, w nocy, zaprowadzę do ogrodu, na świeże powietrze...

Fiora musiała zadowolić się tymi obietnicami, choć wrażenie, że się dusi, rosło z każdym dniem. Wielkim wsparciem były dla niej książki. Borgia, który sam nigdy nie czytał, przez próżność zgromadził duży księgozbiór, zwłaszcza autorów greckich i łacińskich, ale dla niej wybierał najbardziej nieprzyzwoite, a Fiora wprawiła go w zdumienie, gdy oschle zażądała „poważnych” autorów, takich jak Arystoteles i Platon.

- Cóż za zasadnicza kobieta! - zawołał. - Rzymskie damy bardzo sobie cenią nieco swawolne historie. Znakomicie usposabiają do miłości...

- Ale ja nie mam najmniejszej ochoty być usposobiona do miłości! Zrozum wreszcie, Ekscelencjo! Opłakuję małżonka, którego kochałam z całego serca, i

choć jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś, wiedz, że dobrowolnie nigdy nie będę twoja!

Myślała, że to go rozzłości, ale zadowolili się uśmiechem tak zarozumiałym, że ją to rozdrażniło.

- Na pewno zdołam cię przekonać do zmiany zdania!

Mimo uśmiechu w jego oczach była groźba i Fiora wywnioskowała z tego, że musi mieć się na ostrożności jeszcze bardziej niż zazwyczaj. W tym mężczyźnie było nagromadzone zbyt wiele gwałtowności, by jeszcze długo akceptował czekanie. Był przeświadczony o tym, że jest wyjątkowym kochankiem i któregoś dnia na pewno narzuci jej swe karesy. Wyobraża sobie, że potem będzie mu wiekuiście oddana. Było to szczytem śmieszności, ale nie wróżyło niczego dobrego na przyszłość. Nie miała gwarancji, że gdy raz jeden ulegnie jego żądom, następnego dnia Borgia otworzy drzwi i pomoże jej wrócić do Florencji. Fiora pomyślała, że nadszedł czas, by wzięła los w swoje ręce. Przekonała się o tym do reszty po absurdalnej scenie, która miała miejsce w pokoju kąpielowym.

Tego ranka Fiora właśnie weszła do ciepłej i pachnącej wody. To była jej jedyna przyjemność w ciągu dnia i lubiła trochę ją przeciągać. Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Juana zniknęła pod jakimś mętnym pretekstem zaraz po tym, jak pomogła jej wejść do kąpieli, a czarna niewolnica, która zazwyczaj ją myła, jeszcze nie przyszła. Niespecjalnie się tym przejęła, szczęśliwa, że przez chwilę będzie sama. Wyciągnęła się rozkosznie z zamkniętymi oczami, kiedy usłyszała ciche skrzypnięcie drzwi. Myśląc, że to któraś ze służących nawet się nie poruszyła, ale zaalarmowało ją uczucie, że dzieje się coś anormalnego i otworzyła oczy. Stojąc przed nią, Borgia pożerał ją wzrokiem i nagle, zrzucając złocistą szatę, która go spowijała, pojawił się przed nią całkiem nago. Przez chwilę zatkało ją ze zdumienia. Nie żeby jego ciało, brązowe i silne, było odrażające, ale jego znaczną część pokrywało czarne owłosienie. Kręcone włosy porastały podbrzusze, wspinały się na pierś i atakowały pachy i ramiona. Fiora miała wrażenie, że ma przed sobą monstrualne zwierzę, tym bardziej że bez skrepowania ukazywał męskość tłumaczącą przydomek nadany mu przez rzymskie kurtyzany.

Patrzył na nią z łakomą miną wilka szykującego się do pożarcia owieczki, od czasu do czasu oblizując końcem języka grube, ciemnoczerwone wargi. Przerażona Fiora skuliła się w wannie, a kiedy włożył nogę do wody z oczywistym zamiarem dołączenia do niej, wydała krzyk tak przeraźliwy, że gołębie siedzące na zwieńczeniu wieży zerwały się do lotu. Wyskoczyła z kąpieli, odpychając napastnika, który upadł, i uciekła do swego pokoju. Tam,



zerwawszy prześcieradło z łoża, owinęła się nim, drżąc jak osika, po czym schroniła się na jednej z kamiennych ławek umieszczonych w każdej niszy okiennej. Otworzyła okno, przed którym się znajdowała, zdecydowana rzucić się z niego, jeśli Borgia zrobi choćby krok w jej kierunku.

Jednak kiedy chwilę później się pojawił ubrany w złocistą szatę i fioletowy z wściekłości, ograniczył się do posłania młodej kobiecie ciskającego błyskawice spojrzenia, wielkimi krokami przemierzył komnatę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Ten odgłos jakby przebudził Juanę, która w chwili wejścia Fiory zajęta była przygotowaniem sukni. Kobieta stała jak słup soli i śledziła scenę ze zdumieniem.

- Mój Boże! - wykrztusiła wreszcie. - Nie powiesz chyba, że go odtrąciłaś?  
- Rzuciłabym się z okna, gdyby spróbował jeszcze raz się do mnie zbliżyć!  
- Ale dlaczego? Dlaczego? Czy nie jest nadzwyczajnie piękny?  
- Możliwe, ale ten rodzaj urody na mnie nie działa! To nie mężczyzna, wygląda jak małpa!

- Jak możesz tak mówić? Jego ciało jest miękkie w dotyku jak wełna nowo narodzonego jagnięcia. Jest bogiem miłości - dodała Juana z drżeniem w głosie - a kiedy do niego należysz, otwiera się nad tobą siódme niebo.

Fiora patrzyła na duenię ze szczerym zdumieniem.

- A co ty o tym wiesz?

Duenia Juana poczerwieniała jak cegła i zaczęła potrząsać wiszącymi u pasa kluczami, wstydliwie spuszczać oczy.

- Wiem! - potwierdziła. - Dwadzieścia lat temu... kochaliśmy się... pod drzewami pomarańczowymi w moim ogrodzie, w Jativie. Nie mogłam tego zapomnieć i kiedy pięć lat temu poprosił, bym przyjechała do Rzymu i prowadziła mu dom, nie wahałam się ani chwili.

- I... zostaliście kochankami?

- Nie. On lubi młodość. Zresztą takie wspomnienia wystarczą, by rozjaśnić całe życie - zakończyła żarliwie.

- A teraz opiekujesz się dziewczynami, które tu sprowadza? Nie jesteś zazdrosna?

Dotknięta tymi pytaniami, które uznała za zniewagę, Juana wyprostowała się i na chwilę znów stała się osobą, jaką musiała być niegdyś: wyniosłą i wzgardliwą Hiszpanką, pogrążoną w dewocji i świadomą odwiecznego dziedzictwa swego rodu.

- Zazdrosna? Ja? A o co? O te ładacznicę, które sprowadza tu dla przyjemności, a ja je ubieram i perfumuję, by były choć trochę bardziej godne

spędzenia chwili w jego łóżu? Ależ to jakbym posypywała cukrem jego ulubione ciastka. Liczy się tylko to, że w naszych żyłach płynie ta sama krew. Te dziewczyny to nędzne paprochy. Jego przyjemność, jego przyjemność przede wszystkim! Zdarzało mi się nawet niektóre przytrzymywać, kiedy on zaspokajał swoje żądze. A ty podejrzewasz, że jestem zazdrosna?

- Istotnie, nie ma o co - westchnęła Fiora. - Piękne masz zajęcie! W każdym razie wbij sobie do głowy jedno: ja nie jestem ladaczną i ten twój Borgia nie tylko mnie nie interesuje, ale wręcz wywołuje we mnie wstręt!

Dobiegający z ulicy odgłos końskich kopyt sprawił, że zamilkły. Juana otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz, po czym z powrotem je zamknęła, każdym ruchem wyrażając głęboki smutek.

- Odjeżdża! To ty go przegnałaś! Z jakiej ty gliny jesteś ulepiona?

- Z takiej, z jakiej się robi uczciwe kobiety, które rzadko chyba można spotkać na ulicach Rzymu. Mówisz, że odjeżdża? Dokąd jedzie, twoim zdaniem?

- Zabrał oszczepy i przyodział wiejski strój. Myślę, że pojechał do Magliany polować na dziki.

- A daleko do tej... Magliany?

- To willa w pobliżu Rzymu, ale jeździ tam tylko po to, by uspokoić nerwy, i zostaje co najmniej dwa dni.

- Dwa dni spokoju! Co za szczęście!

- Szczęście? Wróci stamtąd pijany krwią i winem... a wtedy z radością przywiążę cię do tego łóżka! Zbyt długo sobie z niego kpiłaś, moja śliczna! Zobaczysz, że będzie cię to drogo kosztować!

Juana opuściła komnatę majestatycznym krokiem królowej. Odgłos wielokrotnie obracanego w zamku klucza upewnił Fiorę, że znowu została zamknięta. Jednak zdecydowanie wołała samotność od towarzystwa wielbicielki Rodriga.

Rozpoczęła od pozbycia się mokrego prześcieradła, ubrała się, wyszczotkowała gęste czarne włosy, zaplatając je po prostu w gruby warkocz, a później usiadła w fotelu, w którym najbardziej lubiła rozmyślać. Powinna za wszelką cenę opuścić ten pałac przed powrotem gospodarza, gdyż powrót ten z całą pewnością będzie dla niej więcej niż nieprzyjemny. Miała szczęście, że Borgia wolał wyładować swoją wściekłość na dzikach, zamiast od razu wyżyć się na niej. Ale jak się stąd wydostać?

Jedynymi możliwymi drogami wyjścia były okna, ale od dawna wiedziała, że są usytuowane zbyt wysoko, by umożliwić ucieczkę, nawet gdyby związała ze sobą prześcieradła i dołączyła do nich kilka pasków.

Z drugiej strony, nawet zakładając, że udałoby się jej wydostać, to jeszcze nie koniec problemów. Dokąd mogłaby się udać, opuściwszy pałac Borgii? Jedyne możliwe schronieniem był pałac kardynała d'Estouteville, ale nie zdołała się dowiedzieć, gdzie się znajduje, a nawet, czy jest daleko, czy blisko, łatwo dostępny, czy nie. Zresztą, jak zostałaby tam przyjęta? Borgia twierdził, że Ludwik XI nie odpowiedział na list wysłany przez kamerlinga i że na pewno pozostawiał ją na pastwę losu i papieskich planów. Być może nie było to prawdą, ale może jednak było. Czy nie poprosiła w przeddzień porwania księżniczki Joanny o zerwanie, w pewnym sensie, więzi między wdową po Filipie de Selongeyu i królem Francji? W takim wypadku możliwe, że kardynał d'Estouteville każe ją dokładnie związać i spiesznie dostarczyć do Watykanu.

Nie, najlepiej byłoby niewątpliwie, gdyby udało się jej wydostać, pojechać na północ, to znaczy w kierunku Florencji, ukryć się do czasu otwarcia bram, a potem ruszyć w drogę. Niestety, między Fiorą a tą tokańską drogą do wolności znajdowały się mury pałacu Borgii, straż pałacu Borgii i, wreszcie, kuzynka Borgii... która najwyraźniej podjęła decyzję, by ją zagłodzić, gdyż nie pojawiła się przez cały dzień.

Fiora myślała początkowo, że nie ma to znaczenia. Miała wodę w karafce, a nawet hiszpańskie wino. Miała także owoce, które pozwoliłyby jej nie umrzeć z głodu. I nagle przyszedł jej do głowy pomysł, rewelacyjny, olśniewający. Było jednak konieczne, absolutnie konieczne, by pojawiła się Juana.

Fiora spędziła dłużące się popołudniowe godziny, dopracowując swój plan i gromadząc przedmioty, których będzie potrzebowała. W pokoju kąpielowym znalazła szczotkę o długim uchwycie służącą do mycia marmurowej wanny. Później nożyczkami pocięła ręczniki na długie paski, które splotła, aby zwiększyć ich wytrzymałość, i związała ze sobą. Wreszcie przyjrzała się krytycznie ubraniom, które jej dostarczono. To był najtrudniejszy punkt. Jak przemierzać ulice Rzymu w strojach z satyny, brokatu czy muślinu? A zwłaszcza - jak iść pieszo w butach, które posiadała? Były to pantofle bez pięty z haftowanego aksamitu lub jasnej satyny. Miała nawet buty na grubej platformie na wenecką modłę, których zresztą nigdy nie nosiła, uważając, że i bez nich jest wysoka. Oczywiście sznurkowe sandały, w których uciekła z San Sisto, zostały spalone wraz z resztą klasztornych ubrań. Żałowała tego teraz, ale ponieważ nie widziała żadnego rozwiązania tego problemu, postanowiła zdać się na opatrzność. W związku z tym schowała prowizoryczną linę do jednego z kufków i usiadła z powrotem w fotelu, udając, że czyta Boską komedię. Lubiła poemat Dantego, ale jej uwagę w całości pochłaniały odgłosy dochodzące z zewnątrz. W fałdach sukni ukryła zaimprovizowaną przez siebie broń.

Zapadał zmierzch, a ona nie pomyślała nawet o zapaleniu świece. Serce zaczynało bić jej mocniej przy każdym dobiegającym z zewnątrz odgłosie. Niejasne przeczucie podpowiadało jej, że ucieczka nastąpi tej nocy lub nigdy. Czy Juana wreszcie się pokaże, czy też będzie czekać na powrót kuzyna w nadziei, że samotność, niepokój i brak pożywienia uczynią więźniarkę bardziej skłoną do ustępstw?

Aby zaczerpnąć powietrza, bo czuła, że się dusi, Fiora otworzyła okno wychodzące na ulicę. Powietrze było świeże i wilgotne. Ciężkie chmury przesuwają się powoli na bezkresnym horyzoncie. Słońce, które nie pokazało się przez cały dzień, nie miało żadnego powodu, by zachodzić i Rzym przechodził powoli z rodzaju półcienia do kompletnych ciemności, których na pewno nie rozjaśni żadna gwiazda. W powietrzu czuć było odór zgnilizny i różnego rodzaju odpadków, które niosła niedaleka rzeka. Kilka jasnych punktów świeciło gdzieś w oddali w bezmiarze szarej przestrzeni, nie zmniejszając w niczym pośpiechu obrazu, jaki przedstawiało tego wieczoru Wieczne Miasto, najeżone kampanilami i wieżami strażniczymi. Nagle Fiora pomyślała o szczególe, o którym zapomniała. Zamknęła okno, przykucnęła przed kominkiem, gdzie niepodtrzymywany ogień przygasł, i zapaliła od żarzących się popiołów dwie świece. Potem weszła do pokoju kąpielowego, gdzie znajdowała się rzecz niesłychanie luksusowa - wielkie weneckie lustro wiszące na ścianie. Zabrała ze sobą świecznik, przybory do czesania i oczywiście szczotkę z długą rączką, z którą postanowiła się nie rozstawać przez całą noc.

Stanąwszy przed lustrem, rozpuściła włosy, zrobiła przedziałek i zaplotła dwa warkocze, które owinęła wokół głowy na sposób duenii Juany. Właśnie skończyła, kiedy z pokoju dobiegł ją brzęk naczyń, który sprawił, że zabiło jej serce. Jednocześnie pod drzwiami wślizgnął się promień światła. Czy nadszedł właściwy moment?

Trzymając mocno hebanowy uchwyt szczotki, otworzyła drzwi i poczuła, jak zalewa ją fala radości. Juana była w środku. Pochylona nad tacą wniesioną na górę przez niewolnicę, ustawiała talerze. Nalawszy wina do kielicha, wypijała je chciwie, a później ponownie napełniła naczynie. Pochłonięta tą czynnością nie usłyszała wejścia Fiory.

Ta nawet się nie wahała. Podniósłszy swą prowizoryczną broń, uderzyła nią ze wszystkich sił w głowę duenii, która zwała się na posadzkę bez jednego okrzyku. Było to tak nagłe, że nieco zaniepokojona Fiora ukucnęła przy wysokiej czarnej sylwetce, obawiając się, że zabiła gospodynię. Obawa ta była jedynym powodem, dla którego wybrała hebanową szczotkę, a nie pogrzebacz

z brązu. Szybko się uspokoiła. Włosy zamortyzowały uderzenie i Juana miała szansę wyjść z tej opresji jedynie ze sporym guzem. Teraz nie było już czasu do stracenia.

Fiora pospiesznie rozebrała starą pannę, którą następnie skrepowała za pomocą zrobionych przez siebie lin. Potem wepchnęła jej do ust chusteczkę, którą umocowała jedwabnym szalikiem. Wreszcie przeciągnęła ją za nogi do pokoju kąpielowego, gdzie zostawiła na dywaniku, po czym zamknęła drzwi na klucz. Zakładając, że Juanie uda się uwolnić, upłynie dłuższa chwila, zanim ktoś przyjdzie jej z pomocą, gdyż to małe pomieszczenie nie miało okien, a tylko otwory wentylacyjne.

Po zamknięciu drzwi Fiora wydała głębokie westchnienie ulgi. Obawiała się chwili zaatakowania Juany równie mocno, jak jej pragnęła, a więc najtrudniejsze miała za sobą. Pozwoliła sobie na wypicie kieliszka wina, aby dojść do siebie, i szybko założyła ubrania duenii. Były nieco za duże, ale trochę podciągnęła do góry spódnice, mocno ściągając je paskiem, nie zapominając oczywiście o zawieszonych przy nim kluczach. Później przypięła do włosów welon z czarnego muślinu i bez chwili wahania założyła na szyję ciężki złoty łańcuch, z którego Juana była tak dumna. Ponieważ nie miała złamanego szeląga, łańcuch ten, sprzedawany po kawałku, umożliwi jej kupowanie jedzenia w drodze, a może nabycie muła.

Spotkała ją przyjemna niespodzianka: buty duenii, wytrzymałe trzewiki z mocnej skóry, były, podobnie jak ubrania, nieco za duże, ale włożywszy do nich małe zwitki płótna, poczuła się w nich doskonale. Oczywiście zapach ubrań nie był szczególnie przyjemny. Juana lubiła ciężkie perfumy. Czuć je było kadzidłem, goździkiem i oliwą z oliwek, ale Fiora pomyślała, że wolność nie ma ceny. Wreszcie, spojrzawszy po raz ostatni na pokój, którego nie miała nadziei kiedykolwiek opuścić, otworzyła drzwi i wyslizgnęła się na zewnątrz. Z ogromną przyjemnością trzykrotnie przekręciła w zamku wielki klucz. Teraz chodziło o to, by wyjść z pałacu, a ona nie знаła jego rozkładu poza tym, co mogła zobaczyć z okien: budynki ustawione wokół dużego podwórcza z podwójnym rzędem arkad, nad którymi dominowała wysoka wieża.

Zobaczyła, że znajduje się na podeście schodów oświetlonym lampką oliwną. Jeden ciąg stopni prowadził w górę na taras, gdzie stali strażnicy, drugi schodził w głąb budynku. Wybrała te drugie i ruszyła na dół, naciągając jak najdokładniej na twarz czarny welon i starając się naśladować sposób zachowania kobiety, której ubrania miała na sobie.

Schody doprowadziły ją na parter, a na dwóch mijanych poziomach nie spotkała żywej duszy. Na dole znalazła się przed grubymi, obitymi żelazem

drzwiami, które być może wychodziły na ogród i które wydały jej się niemożliwe do otworzenia. Przypominając sobie o kluczach, które miała przy pasku, sprawdziła, czy któryś z nich przypadkiem nie pasuje, ale wszystkie były zbyt małe.

Drugie drzwi - malowane i zdobione - widniały z boku schodów. Zbliżywszy się do nich Fiora, usłyszała męskie głosy i śmiechy. Później rozległ się hurgot przesuwanych mebli, a głosy stawały się coraz głośniejsze, aż rozmowa przerodziła się w kłótnię. W tym pomieszczeniu, pewnie zajmowanym przez strażników pałacu, lada moment miała wybuchnąć bójka, nie należało więc tam wchodzić, Fiora wspięła się piętro wyżej, mając nadzieję, że może drzwi na tym poziomie dadzą się otworzyć. Przypomniała sobie, że przyjeżdżając z Borgią tej nocy, gdy uciekła z klasztoru, zauważyła długą loggię, która musiała stanowić kontynuację apartamentów paradnych.

Gdyby mogła dostać się na tę loggię używaną do obserwowania ulicznych widowisk, zdołałaby może jakoś ześlizgnąć się na ziemię. Ale najpierw trzeba było jakoś ją odnaleźć.

Z ogromną ostrożnością nacisnęła na wielką pozłacaną klamkę. Drzwi otworzyły się lekko i bez szmeru. Za nimi znajdowało się duże pomieszczenie, które zdawało się zagłębiać w nieskończoność, ledwie rozjaśnione przez ustawiony na lśniącym stole świecznik. Weszła do niego ostrożnie, ale nie musiała stąpać na palcach, gdyż ciemną posadzkę, w której jak w stawie odbijały się płomyki świec, pokrywały grube dywany. Wysoki sufit był pomalowany na podobieństwo rozgwieżdżonego nieba i do wrażenia, że jest się na zewnątrz, brakowało tylko ruchu powietrza. Wszędzie widać było złoczone sofy i również połyskujące złotem poduszki. Fiora przypomniała sobie, jak Juana wychwalała pewien Gwiazdzisty Salon, w którym jej ukochany kardynał urządzał wystawne przyjęcia.

Przejście przez to wspaniałe pomieszczenie wydało jej się nieskończenie długie. A przecież widziała wystarczająco wyraźnie, by nie wpaść na żaden z foteli ani innych porozstawianych obficie mebli. Wreszcie poczuła pod dłonią jakieś drzwi i omal nie krzyknęła z radości: te wychodziły bezpośrednio na loggię.

Posuwała się naprzód powoli, wzdłuż pokrytych freskami ścian, w obawie, żeby nie zostać dostrzeżoną z ulicy, ale po drugiej stronie rzeźbionej, kamiennej balustrady panowała kompletna cisza. Podeszła do niej, nieco ośmielona tym, że można ją wziąć za duenię Juane, wychyliła się i niczego nie zobaczyła. Długa ulica, którą niewyraźnie oświetlały dwa płonące kaganki zawieszane przy głównej bramie pałacu po obu stronach kamiennego herbu z

bykiem, wydawała się wyludniona, a w ogrodzie i w domu naprzeciwko nie paliło się żadne światło. Było to raczej pokrzepiające, ale wysokość, na której wznosiła się loggia, wcale nie działała pokrzepiająco. W ciemności Fiora miała wrażenie, że znajduje się na brzegu przepaści, na której dnie za chwilę się roztrzaska. Nie miała jednak wyboru, a powrót stał się niemożliwy. Trzeba było coś zrobić, choćby na pierwszy rzut oka pomysł wydawał się śmieszny.

Zdjęła z głowy długi czarny welon, rozdarła go na pół na całej długości, związała dwa końce tak mocno, jak to było możliwe, po czym przywiązała całość do wąskiej balustrady. Następnie, przeżegnawszy się szybko, przeszła na drugą stronę barierki, uchwyciła się welonu dłońmi, które nieco drżały - nogi zresztą też! - i zaczęła ostrożnie schodzić. Serce biło jej w piersi jak oszalałe. Pierwsze piętro rzymskiego pałacu, podobnie zresztą jak florenckiego, miało wysokość co najmniej trzech sążni, a prowizoryczna lina nie mogła mieć więcej niż jeden sążeń, uwzględniając konieczne węzły. Za chwilę trzeba będzie zeskoczyć na ziemię, a powierzchnia ulicy, wybrukowana surowymi okrągłakami z Tybru, nie była miękka.

Okazało się, że musi zeskoczyć szybciej, niż się spodziewała. Welon był z jedwabiu i centralny węzeł rozwiązał się, kiedy do niego dotarła. Spadła jak kamień. Przerazona Fiora zachowała jednak tyle przytomności umysłu, by nie krzyknąć. Jednak krzyknął ktoś inny - ku swemu zaskoczeniu wylądowała na czymś miękkim, co znacznie zamortyzowało jej upadek.

Zalana potokiem przekleństw żwawo zerwała się na nogi i ze zdumieniem i zatroskaniem spojrzała na żebraka, który położył się przy murze pałacu, w miejscu osłoniętym od wiatru, bo to na niego spadła. On także wstał, ukazując pod starym, wymiętym kapeluszem czerwoną, najeżoną siwym zarostem twarz i wściekłe oczy.

- Nic ci nie jest?

- Jak to nic! Co ci strzeliło do głowy, żeby mi tak spadać na głowę? Zwiewasz?... No, ciekawe... Zwiewasz z pałacu Borgii!

Dłońmi, które wydawały się równie mocne jak obcegi, schwycił młodą kobietę i nie wydawał się skłonny jej puścić. Próbował ciągnąć ją w kierunku bramy, a ona opierała mu się, jak mogła, gdy nagle z głębi pamięci wyłoniło się wspomnienie: przypomniawszy sobie starego człowieka, który pewnej nocy ofiarował jej gościnę w swoim prowizorycznym schronieniu na budowie florenckiego pałacu. Powiedział jej o słowie, będącym znakiem rozpoznawczym bractwa żebraków, i teraz słowo to zupełnie spontanicznie pojawiło się w jej ustach:

- Mendicil - szepnęła.

To podziałało jak czary. Mężczyzna natychmiast ją puścił, a jego spojrzenie z rozniewanego stało się zaciekawione.

- Ty też jesteś żebraczką? Trudno w to uwierzyć. Chyba bym cię znał, prawda?

- Nie. Jestem z Florencji i sprowadzono mnie tu siłą. Chcę wrócić do siebie...

- Siłą? To prawda, wyglądasz na piękną dziewczynę, a piękne dziewczyny są tu w cenie. Znasz drogę do Florencji?

- Nie, ale mam nadzieję ją znaleźć. Trzeba iść na północ?

- Trzeba wyjść przez Bramę del Popolo! Przerwałaś mi sen, więc cię podprowadzę... ale jakbyś coś dla mnie miała, jakiś drobiazg, w zamian za mój trud, to sprawiłabyś mi przyjemność. Twój upadek był dla mnie bolesny, wiesz?

Nie odpowiadając, Fiora pogrzebała w mieszk Juany, do którego włożyła, nie sprawdzając jego zawartości, złoty łańcuch i medalik, który teraz zamierzała dać żebrakowi.

Ku swemu zaskoczeniu poczuła pod palcami krągłość kilku monet, wyjęła jedną, mając wrażenie, że jest to złoty dukat, i nie patrząc, włożyła go w dłoń nędzarza, który zrobił kilka kroków w kierunku kaganka. Widząc, jak nagryza monetę, zrozumiała, że się nie myliła.

- To naprawdę złoto! - stwierdził. - Byłbym zdziwiony, gdyby nie udało ci się znaleźć w tym domu jednej czy dwóch takich monet. A teraz chodź! Ruszamy! Pokażę ci drogę, a potem cię zostawię. Lepiej, żeby nie widziano mnie w towarzystwie kobiety, która jest uciekinierką!

Poprowadził ją wąską uliczką zaczynającą się na rogu pałacu i wiodącą na wprost między dwoma rzędami domów nierównej wysokości. Oczy Fiory powoli przyzwyczajały się do ciemności. Zresztą chmury gnane po niebie silnym wiatrem rozsunęły się, postrzępiły i chwilami odsłaniały nieliczne gwiazdy. Mężczyzna szedł szybko, ale nadażała za nim bez trudu. Nagle domy się skończyły, a wokół rozciągał się ogromny, niezabudowany teren, zupełna pustka, gdzie widniały tylko jakieś ruiny kościoła i rodzaj częściowo zniszczonego kurhanu. Żebrak zatrzymał się.

- Zostawię cię tutaj. Musisz iść prosto przed siebie, mijając po lewej stronie grobowiec Augusta.

- To coś, jakby kretowisko, to grobowiec Augusta?

- Raczej to, co z niego pozostało. Rób, jak mówię! Najpierw tam, na końcu, zobaczysz kosze żarowe na murach obronnych. Brama del Popolo jest dokładnie naprzeciwko.



Nie miała nawet czasu na podziękowanie. Żebrak, nie robiąc więcej hałasu niż kot, rozplątał się w gęstym cieniu zrujnowanej świątyni. Fiora stała przez chwilę na skraju tej pustyni, rozkoszując się cudownym, zapomnianym od dawna uczuciem: była sama, była wolna... Gdy tylko opuści to miasto i przekroczy bramę, której światła wartownicze majaczyły w oddali, przed sobą będzie miała już tylko długą drogę wiodącą do miasta Czerwonej Lili, tak jej drogiego. Zapomniała, że jest noc, że jest zimno i że dopóki nie zostawi daleko za sobą murów Rzymu, będzie w niebezpieczeństwie, bo pierwszy kontakt więźnia z wolnością jest zawsze upajający. Miała ochotę biec, by jeszcze bardziej poczuć to wrażenie unoszenia się w powietrzu, ale byłoby to niebezpieczne na tym nierównym terenie i bez jakiegokolwiek oświetlenia umożliwiającego trzymanie się wytyczonego szlaku, zakładając, że taki tu był.

Fiora ruszyła więc spokojnie w kierunku wskazanego punktu, starając się nie potykać o grudy ziemi oraz wystające płytki i żałując, że nie ma laski lub jakiegokolwiek kija umożliwiającego zbadanie drogi. Dotarła mniej więcej na wysokość opuszczonego grobowca, u podnóża którego jakieś światełko migotało w chaszczach, kiedy nagle spadły na nią czyjeś ramiona i oplotły tak mocno, że mimo oporu nie mogła się nawet ruszyć, a jakiś tryumfalny głos zawołał:

- Mam jedną!

- Chyba ci się śni! - powiedział inny głos. - Pewnie złapałeś jakiegoś pastucha!

- Mówię ci, że to kobieta. Ma nawet całkiem spore i jędrne cycki!

Inne dłonie przylgnęły do Fiory, obmacując jej piersi i zatykając usta, by nie mogła krzyczeć. Widziała teraz cztery lub pięć cieni, które ją ścisnęły, cuchnąc skórą, końmi, a nawet brudem. Pomyślała, że dostała się w ręce bandytów i spróbowała ugryźć przyduszającą ją dłoń, ale bez skutku. Jakiś inny, władczy głos rozkazał:

- Przeprowadźcie ją tutaj. Zobaczymy, co to za jedna! Jakikolwiek opór był niemożliwy. Osobnicy trzymający

Fiorę, wszyscy w czarnych maskach, zawlekli ją w kierunku grobowca. Znalazła się w jakby niecce pośród krzaków, oświetlonej latarnią. Nieco dalej pasły się uwiązane krowy.

Rzucona na ziemię Fiora zobaczyła nad sobą wysokiego i mocno zbudowanego mężczyznę, zamaskowanego jak pozostali, ubranego w haftowany kaftan i obszerny czarny płaszcz, który patrzył na nią wsparty pod boki i śmiał się na cały głos, ukazując wilcze kły.

- Trzymajcie ją, wy tam! - rozkazał, jako że młoda kobieta rozpaczliwie się wrywała, by wstać. - Istna wściekła kocica... ale chyba mieliśmy szczęście.

Piękny lup, daję słowo! Te, co tu przychodzą w nocy zbierać zioła, nieczęsto są tak apetyczne! Obejrzyjmy ją sobie z bliska! Orlando, rozepnij jej gorset, a ty, Guido, podnieś spódnicę.

W jednej chwili piersi i uda przerażonej Fiory zostały obnażone, a szef zaczął rozpinać haftki. Z całych sił próbowała się wyrwać, co wywołało ryk śmiechu jego towarzyszy.

- Nie rób takich scen, dziewczyno, nie umrzesz od tego! Jest nas ledwie sześciu!

Na chwilę uwolniona od przyciśniętej do ust dłoni, która się ześlizgnęła, Fiora zawołała ze wszystkich sił:

- Na pomoc! Ratunku! Na po...

Usłyszała głos, który odpowiedział jej jak echo:

- Bierz ich, Zeus! Bierz ich, Hera!

Wyłoniwszy się z ciemności, czarne sylwetki znanych jej już psisk rzuciły się z kłami na czterech mężczyzn, którzy zawyli z bólu. Jednocześnie ich pan pojawił się w żółtym kręgu światła latarni. Jego laska ustąpiła miejsca długiemu mieczowi, którego ostrze oparł na gardle mężczyzny zamierzającego zgwałcić Fiorę.

- I cóż, panie Santa Croce - powiedział Infessura lodowatym tonem - teraz zbieracie się w sześciu, żeby zrobić krzywdę rzymskiej mieszczce?

- To ma być mieszczka? Nie rozśmieszaj mnie, przyjacielu. Odkąd to mieszczki chodzą w nocy po tych ruinach?

- Nawet żona notariusza ma prawo do schadzki z kochankiem, który należy do rodu Colonna, jak cały ten stary grobowiec i wszystko, co go otacza. Powinieneś o tym wiedzieć, Giorgio Santa Croce! Tak jak powinieneś wiedzieć, że znajdujesz się daleko od domu i że jeśli zagwiżdżę w określony sposób, to za chwilę stawi się tu dwudziestu ludzi!

Santa Croce zawahał się, ale pod ostrzem miecza na jego szyi pojawiła się kropla krwi.

- Zabiłbyś mnie z powodu jakiejś mieszczki?

- Bez chwili wahania, bo papież przyznałby mi rację. Żywi szacunek dla urzędników tego miasta.

- Dobra! Opuść tę szablę i przywołaj psy! Nie mam ochoty, by pożarły moich przyjaciół.

Prawdę powiedziawszy, z tych ostatnich pozostali tylko dwaj - ci, których Zeus i Hera unieruchomili na ziemi, grożąc im poczerwieniałymi od krwi zębami. Trzej pozostali woleli sromotną ucieczkę, aby wylizać się z ran i uniknąć poważniejszych kłopotów. Na rozkaz pana oba zwierzaki usiadły u

jego stóp. Jednak jeden z uwolnionych dzięki temu mężczyzn wpadł w szal. Wyciągnąwszy sztylet zza pasa, ugodził nim Fiore.

- Masz ślicznotko! Wyjaśnisz swojemu mężowi notariuszowi, gdzie tak oberwałaś!

Poderwał się jednym skokiem i rzucił do ucieczki, ale dosięgnął go nóż rzucony pewnym ruchem przez Infessurę, wbijając się między łopatki. Runął na ziemię bez jęku. Santa Croce i ostatni z jego towarzyszy pochyłili się nad nim przez chwilę, po czym dali drapaka, dłużej się nie zastanawiając. Jednakże Fiore tego nie widziała, gdyż cios sztyletem połączony z przerażeniem, które przeżyła chwilę wcześniej, pozbawił ją sił. Zemdlała...

Kiedy odzyskała przytomność, wciąż leżała na wilgotnej trawie, gorset miała nadal rozsznurowany, ale jej wybawca, klęcząc obok, zajęty był przykładaniem tamponu z płótna do jej rany. Uśmiechnął się, widząc, że otworzyła oczy.

- Miałaś szczęście. Ostrze ześlizgnęło się po obojczyku i nie dosięgło gardła. Ta rana wymaga jednak leczenia. Dokąd szłaś sama w środku nocy?

- Do Florencji...

- Pieszko?

- Tak. Uciekłam właśnie z pałacu Borgii.

W kilku słowach opowiedziała temu dziwnemu nocnemu wędrowcowi to, co przeżyła, niczego nie próbując zataić, gdyż budził jej całkowite zaufanie. Miała nawet wrażenie, że jest on jedynym porządnym człowiekiem w całym mieście.

- Byłbym przysiągł, że tak się to skończy. Borgia to nawet nie byk, do którego lubi się przyrównywać, to cuchnący cap. Na zbyt wielkie ryzyko się narażał, pomagając ci uciec z San Sisto, by nie domagać się jedynej zapłaty, jaka go interesuje. Nie zatroszczyłby się o ciebie nawet po to, by przypodobać się królowi Francji, gdybyś była brzydka. Per Bacchol Nie mam tu nic, żeby zrobić opatrunek, a krew znów zacznie płynąć, jeśli tampon nie będzie przytrzymywany na miejscu. Czy dasz radę przycisnąć go ręką, jak zapnę suknię?

- Będę musiała... ale co ze mną zrobisz? Nie... nie czuję się zbyt dobrze...

Po zasznurowaniu gorsetu spróbowała się podnieść, ale poczuła zawrót głowy. Infessura zmełł w ustach przekleństwo.

- Ale przecież muszę cię stąd zabrać! Wyciągnąwszy z kaftana powlekaną srebrem buteleczkę, „republikański skryba” odkorkował ją, przytknął szyjkę do warg Fiory i wpuścił jej do ust kilka kropel nalewki tak mocnej, że miała wrażenie, iż połyka płynny ogień. Ciepło ogarnęło całe ciało kobiety i wydało jej się, że odzyskuje siły.

- Dziękuję - westchnęła. - Jest mi lepiej i jeżeli zechcesz mi pomóc stanąć na nogi, to chyba dam radę iść. Oczywiście nie do Florencji. Mój Boże! Byłam taka szczęśliwa na myśl, że tam wrócę, że niedługo zobaczę...

- Zostaw rozczulanie się na później! Musimy jakoś wydobyć cię z kłopotów. Najlepiej byłoby zabrać cię do mnie, ale to za daleko. Mieszkam w pobliżu Santa Maria Maggiore na Eskwilinie. Nie zdołasz tam dojść.

- To co zrobimy? Nie ma tu w pobliżu jakiegoś szpitala albo klasztoru?

- To by oznaczało wydanie cię. Wiem, co zrobimy. Zaprowadzę cię do przyjaciółki. Ona będzie umiała opatrzyć ci ranę, a w getcie nikt cię nie będzie szukać.

- W getcie?

Fiora poczuła, że podtrzymujące ją ramię sztywnieje, a jednocześnie ton głosu jej towarzysza stał się oschły i nieprzyjemny:

- Czy należysz do tych osób, które pogardzają Żydami?

- Co za pomysł! Zbyt wiele wycierpiałam z niechęci innych, by żywić pogardę dla kogokolwiek. Ale wiesz, kim jestem, prawda?

- Było o tobie dosyć głośno.

- A zatem wiesz także, że jestem poszukiwana przez policję papieską, a nie chciałabym kogokolwiek narażać na niebezpieczeństwo. Borgia miał środki, by się wybronić, gdyby mnie znaleziono u niego, ale ta żydowska kobieta...

- Anna też ma możnych protektorów. Poza tym w trakcie tych kilku tygodni, które spędziłaś u wicekanclerza, poszukiwania trochę się uspokoiły. Papież jest wściekły. Po czterokrotnym przeszukaniu pałacu d'Estouteville'a przyzwyczał się do myśli, że zdołałaś opuścić Rzym. W każdym razie robi takie wrażenie. Chodź, musimy ruszać w drogę.

- Daleko stąd do getta?

- Prawie tak daleko jak do mnie, ale jest sposób, by ułatwić ci drogę.

Mocno podtrzymywana przez Stefana, Fiora doszła powoli do Tybru, który przepływał na tyłach grobowca. Zeus niósł w pysku latarnię i oświetlał im drogę, dzięki czemu mogli omijać krzaki i kamienne rumowiska. Hera, węsząc, zamykała pochód. Dotarłszy do brzegu, na którym znajdowały się dwie czy trzy łodzie, Infessura ściągnął jedną na wodę i usadził w niej Fiorę, u stóp której zległy psy.

- Czy wiesz - szepnęła zaniepokojona Fiora - do kogo należy ta łódź?

- Tak. Bądź spokojna! Infessura nigdy nie zrobi krzywdy jednemu ze swych bliźnich. Odprowadzę ją, jak tylko będziesz bezpieczna. Zresztą Piętro zranił się dwa dni temu i chwilowo nie jest mu potrzebna.

Pogrzebawszy w sakiewce Juany, Fiora wyciągnęła jedną z pozostałych trzech monet i podała ją swemu przewodnikowi.

- W takim razie daj mu to. Jeśli nie może teraz pracować, będzie zadowolony, jak dostanie to złoto.

W otaczających ich ciemnościach - latarnia bowiem została zamaskowana - Fiora zobaczyła lśniące zęby swego przewodnika i usłyszała jego cichy śmiech.

- Wiedziałem - powiedział - że jesteś osobą, której warto pomóc. Od tej chwili jestem twoim przyjacielem.

Łódź sunęła po czarnej powierzchni wody. Stefano starał się utrzymywać ją po ciemniejszej stronie rzeki, co nie wymagało wielkiego wysiłku, gdyż pomagał mu prąd. Przebyli w ten sposób szeroki zakręt, w głębi którego znajdował się Watykan, jego wieże, strażę i szpiedzy, ale mała łódka, prowadzona ręką mistrza, nie powodowała najmniejszego hałasu, oprócz, od czasu do czasu, leciutkiego plusku, który można by przypisać ptakowi łowiącemu ryby. Fiorze wydawało się, że podróż nie ma końca. Nocny chłód sprawił, że przemarzła do szpiku kości, a rana, którą cały czas przyciskała dłonią, wywoływała ostry ból szyi. Jednak nie czuła przygnębienia, a nawet przez chwilę rozbawiła ją myśl, że powtarza się sytuacja z chwili przybycia do pałacu Borgii - opuszczając go, znowu może złapać katar.

Infessura zatrzymał łódkę naprzeciwko wyspy Isola Tiberina i pomógł pasażerce wyjść na ląd.

- Jesteś zmęczona, prawda? - zapytał, zauważywszy, że mocniej wspiera się na jego ramieniu. - Ale pociesz się, że jesteśmy prawie na miejscu. To jest pałac Cenci - dodał, wskazując czarny niedostępny kształt wyglądający na fortecę dzięki nieobrobionym kamieniom tworzącym na parterze mur cyklopowy, pozbawiony otworów poza wąską, wysoką bramą wzmocnioną żelaznymi okuciami.

- Dom rabina Natana jest naprzeciwko, obok synagogi. Anna to jego córka.

Uliczka, którą szli ostrożnie w powodu odpadków, cuchnęła zjełczałą oliwą i zgnilizną. Położone przy niej domy były nieforemnymi budowlami z małych cegieł i gliny zmieszanej ze słomą, nad którymi wyniosłe górowała szlachetna sylwetka pałacu. Wreszcie, po przecięciu jakiegoś placyku, Infessura zatrzymał się przed domostwem nieco większym i lepiej wyglądającym niż pozostałe. Wzniesiono je z porządnymi kamieniami podtrzymujących nadwieszony piętrowy nad półokrągłym sklepieniem bramy, zapewne prowadzącej na podwórko. W ramie drzwi znajdowała się mezusa - mały pojemnik zamknięty kratką z brązu, ukrywający zwitek pożółkłego pergaminu z napisanymi po hebrajsku

fragmentami Tory. Wskazywała wszystkim, że dom należy do człowieka ważnego dla wspólnoty żydowskiej.

Stefano zapukał w drzwi w umówiony sposób i otworzyła je młoda kobieta ubrana w żółtą jedwabną suknię z szerokimi rękawami, o atramentowoczarnych włosach zaplecionych w wiele warkoczyków, w rodzaju misternego diademu i szafranowego welonu na głowie. W rękę trzymała świecę.

- To ja, Anno - powiedział Infessura. - Przyprowaździłem przyjaciółkę. Jest zmarznięta i została zraniona przez bandę Santa Croce, gdy uciekła z pałacu Borgii.

Dziewczyna uniosła w górę świecę, by lepiej oświecić twarz nowo przybyłej.

- Aha!... Wejźcie, oczywiście, ale proszę, żebyście chwilę poczekali, bo mam gościa. Usiądźcie sobie tutaj!

Odsunęła się, wpuszczając ich do środka. Drzwi prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, wybrukowanego jak ulica i biednie umeblowanego: stół, trzy zydle, kufer i ławki biegnące wzdłuż ścian. To właśnie jedną z tych ławek, najbardziej oddaloną od drzwi, wskazała Żydówka. W głębi pomieszczenia zasłony w duży wzór zasłaniały schodki prowadzące do niżej położonego salonu. Nagle zasłony się rozchyliły i ukazała się niska, szczupła kobieta, elegancko ubrana w suknię z brązowego aksamitu i białego jedwabiu.

- Co ty tu robisz? - zapytała Anna z niezadowoleniem. - Mówiłam ci, żebyś na mnie poczekała. Jesteś zbyt ciekawa!

Ale młoda kobieta nie słuchała. Wyciągnąwszy ramiona, rzuciła się w stronę nowo przybyłych z okrzykiem radości.

- Moja pani! Moja droga pani!

Fiora, która tylko cudem i dzięki sile swego towarzysza trzymała się na nogach, podniosła oczy i pomyślała, że ma przywidzenia. To musiał być omam, bo skąd wzięłaby się tu Khatoun? Nogi odmówiły jej posłuszeństwa...

- Znowu mdleje - stwierdził Stefano. - Musisz szybko się nią zająć, Anno!

## Rozdział dziewiąty

### Trzy kobiety

To naprawdę była Khatoun. Fiora przekonała się o tym, kiedy po kilku chwilach doszła do siebie po omdleniu spowodowanym zmęczeniem i utratą krwi. Infessura musiał podać jej kolejną dawkę swojego cudownego kordiału, a potem pewnie wzmocnił jego działanie kilkoma klepnięciami w twarz, gdyż płonęły jej policzki, a w ustach znów poczuła palący korzenny smak. Odzyskała całkowitą jasność umysłu i z radością patrzyła na pochyloną nad nią, zalaną łzami trójkątną twarz i kocie oczy młodej Tatarki. Natychmiast otoczyła jej szyję ramieniem i wycisnęła na jej policzkach dwa siarczyste buziaki, świadczące o rozradowaniu.

- A co ty tu robisz? Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę...

- Ja też, pani. To wielkie szczęście dla Khatoun, chociaż widzi cię w oplakany stanie.

- Już od dawna nie jestem twoją panią.

- Zawsze nią dla mnie będziesz, nawet jeśli musiałabym być posłuszna komuś innemu. Jak zapomnieć o dawnych, szczęśliwych dniach?

- Później będziecie się całować - powiedział ktoś surowym tonem. - Chciałabym móc kontynuować badanie.

Fiora zobaczyła wówczas, że położono ją na stole, z głową uniesioną na poduszce. Anna odsunęła delikatnie Khatoun, zdjęła tampon z płótna przyłożony przez Stefana i trzymała go w ręce. Był przesiąknięty krwią, co świadczyło o tym, że rana bardzo krwawiła. Anna wyrzuciła go, odwróciła się, żeby coś wziąć, a potem zawinęła wysoko na szczupłych, złocistych ramionach szerokie rękawy sukni. Trzymała w ręku rodzaj złotej igły z zaokrąglonym czubkiem, którą uniosła do góry.

- Trzymajcie jej ramiona - poleciła. - Muszę zbadać ranę, nie może się wtedy poruszyć.

- Nie poruszę się - stwierdziła ranna, co wywołało krótki uśmiech na pełnych wargach Żydówki.

- To obietnica, której mało kto dotrzymuje. Wolę, żebyś była unieruchomiona. To będzie trochę bolało, ale jeśli choćby drgniesz, może zabołeć znacznie bardziej.

Dłonie Khatoun i Stefana jednocześnie przytrzymały ramiona Fiory, która zobaczyła pochylającą się nad nią uważną, pociągłą, śniadą twarz swojego dziwnego lekarza. Mimo zbyt dużych ust Anna była urodziwa dzięki najpiękniejszym czarnym oczom, jakie Fiora kiedykolwiek widziała. Wygięcie

jej orlego nosa świadczyło o dumie, a pachniała w sposób nieoczekiwany w tej piwnicy - majerankiem. Pomieszczenie, do którego zaniesiono Fiore, w istocie bowiem wyglądało na piwnicę. Sklepienie z poczerniałych kamieni, które musiało powstać w czasach cesarzy rzymskich, wznosiło się półkoliście nad stołem, lecz odwracając nieco głowę, Fiora mogła dostrzec, że znikało za ciągiem grubych półek, na których ustawiono masę słoiczków, buteleczek, pudełek, woreczków z ziołami i dziwnych szklanych naczyń oraz grube księgi o zniszczonych okładkach: wyposażenie, które przywiodło jej na myśl gabinet Demetriososa w Fiesole i sprawiło, że zapomniała o sondowaniu rany, rzeczywiście bardzo nieprzyjemnym.

- Nie lubię ran zadanych przez sztylet - powiedziała Anna, prostując się. - Są często głębsze od powstałych w wyniku ciosu nożem o szerszym ostrzu. Ta jest płytsza, niż się obawiałam, ale wygląda na to, że powstała w miejscu dawnej blizny. Zostałaś już kiedyś zraniona w ramię? - zapytała Fiore.

- Tak. Otrzymałam cios mieczem ponad dwa lata temu.

- Kto cię wtedy leczył? Dobra robota.

- Nie sądzę, żebyś go znała, choć to Włoch. Nazywał się Matteo de Clerici i był lekarzem ostatniego księcia Burgundii...

Przerwał jej śmiech Infessury. Dźwięczny, radosny śmiech, który tak nie pasował do jego osobowości nocnego ptaka.

- Widząc cię, nikt nie powiedziałby, że jesteś starym wojownikiem, donno Fioro! Tak więc znałaś Zuchwałego, tego legendarnego księcia?

- Przebywałam w jego otoczeniu aż do jego śmierci - powiedziała Fiora z bladym uśmiechem. - Ale czyżbyś przestał być republikaninem, że tak się interesujesz jakimś księciem?

- Ten książę nie żyje i to wszystko zmienia. Jego historia interesuje mnie tak, jak historia w ogóle. Musisz mi o nim opowiedzieć, donno Fioro!

Po czym, zwracając się do Anny, dodał:

- Czy możesz się nią zająć przez kilka dni, dopóki nie poczuje się lepiej? Później zabiorę ją do siebie. Nie będę przed tobą ukrywał, że szukają jej zbiry papieża, a teraz bez wątplenia również ludzie Borgii.

Anna, która oczyszczała ranę winem z ziołami i smarowała balsamem o ostrym zapachu, nie przerywała pracy.

- Mogę się nią zaopiekować przez cztery lub pięć dni i myślę, że to wystarczy, jeśli nie dostanie gorączki. Mój ojciec udał się do Perugii do chorego przyjaciela. Dobrze się składa!

- Czy rabin Natan nie potrafi już otworzyć swoich drzwi przed nieszczęściem? - zapytał Stefano z surowością połączoną z rozczarowaniem.



- Nie przed każdym. Bardzo sobie ceni przychylność papieża dla rzymskiej wspólnoty żydowskiej.

- Wyciąga od was niemało złota!

- Niewątpliwie, ale pozwala nam żyć w spokoju, a nawet chroni przed sąsiadami. Gdyby wycofał swoje poparcie dla nas, to Cenci, te dzikie bestie tkwiące u naszych drzwi i śledzące każdy nasz ruch, szybko by się z nami rozprawiły i spaliły nam domy. To się liczy.

- O co tyle szumu! - zawołała Khatoun, która do tej pory milczała, zadowolając się trzymaniem w dłoniach ręki Fiory i od czasu do czasu przykładaniem do niej policzka, jak to robiła niegdyś, gdy razem mieszkały w pałacu Beltramiego. - Przecież może przyjechać do nas. Jestem pewna, że hrabina Catarina, moja nowa pani, będzie szczęśliwa, mogąc ją gościć. Jest jedyną osobą w Rzymie, która się o nią niepokoiła i która zawsze robiła wszystko, aby jej pomóc. Pałac jest duży i...

- Ale to pałac Riario - uciał Infessura. - To jakby rzucić ją w paszczę lwa...

- A poza tym - podjęła Anna - donna Catarina wkrótce rodzi. Wiesz o tym dobrze, Khatoun, skoro dziś wieczór przysłaś sama. A właśnie, pora, żebym ci dała to, po co przysłaś, i żebyś wracała do niej.

- Och nie! - zaprotestowała Khatoun. - Jeszcze nie! Dopiero co odnalazłam moją drogą panią, która była dla mnie jak siostra, a ty już chcesz mnie przegnać? Mam jej tyle do powiedzenia, tyle pytań do zadania...

- Później zadasz te pytania. I tak za dużo mówiła! Połóżymy ją do łóżka i wrócisz do domu. Twojej eskorcie czas musi się dłużyć. Możesz wrócić tu jutro i zawsze, gdy będziesz miała ochotę - dodała, widząc, że oczy tatarskiej niewolnicy napełniają się łzami. - Pomóż nam zaprowadzić ją na górę!

Zapaliwszy świecę od dużej oliwnej lampy oświetlającej pomieszczenie, skierowała się w stronę schodków, aby unieść kryjącą je zasłonę, gdy tymczasem Stefano i Khatoun pomagali porządnie zabandażowanej Fiorze w zejściu ze stołu, na którym leżała. Po wąskich schodkach z chwiejących się kamieni, gdzie lina zastępowała poręcz, weszli na piętro. Na wyłożonym drewnem podeście znajdowały się drzwi, które Anna zignorowała. Odwróciwszy się do nich tyłem, nacisnęła na toporny gzymś. Jedna z płyt odsunęła się i kobieta weszła w powstały otwór, żeby zapalić trzy duże woskowe świece osadzone w srebrnym kandelabrze. Oświetliły one otoczenie, które wywołało zdumienie idących za nią osób. Znajdowały się tam trzy pomieszczenia w amfiladzie, oddzielone grubymi czarnymi kotarami z aksamitu, podpiętymi ciężkimi srebrnymi haczykami. Pokoje były urządzone z orientalnym przepychem, który świadczył o rzeczywistym stanie posiadania

rabina i jego córki. Mebli było niewiele. Tylko niskie i szerokie łóżka, kilka malowanych kufrów, niewielkie stoliki inkrustowane kością słoniową, mnóstwo błyszczących poduszek i dywany, przede wszystkim dywany. Dywany z Armenii lub z Kaukazu, z długim włosiem gęstym jak polna trawa, pokrywały kamienną posadzkę; inne, luźno tkane, miękkie i jedwabiste, zdobiły ściany. Bezpośrednio na ziemi stało naczynie z brązu do pachnideł, z którego wydobywała się wonna para zwycięsko walcząca z cuchnącymi wyziewami ulicy, a zamknięte okna, na zewnątrz których znajdowały się sznury do bielizny, zasłonięte były słonecznie żółtymi zasłonami podszytymi od strony ulicy szarawym płótnem.

Po ułożeniu Fiory na tapczanie w najgłębiej usytuowanym pokoju Żydówka wyjęła z jednego z kufrów tunikę z żółtego jedwabiu, po czym zwróciła się do Infessury:

- Zostaw nas teraz same, wolny człowieku! Ty też możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz. Khatoun wyjdzie zaraz po tobie.

- Już drugi raz mnie uratowałeś - powiedziała Fiora, wyciągając do Stefana sprawną rękę. - Jak zdołam ci podziękować?

- Nie jestem Borgia i nie domagam się zapłaty. Wystarczy mi świadomość, że jesteśmy przyjaciółmi.

- To niewiele!

- Tak myślisz? Dla mnie nawiązanie przyjaźni jest jak przyjęcie religii. Tworzy zobowiązania i prawdziwe więzi. Przyjaźń to miłość bez skrzydeł. Jest może mniej porywająca, ale o ileż trwalsza.

Chwilę później, leżąc w obcym, miękkim jak kokon łóżku, Fiora czekała na sen, który obiecała jej Anna, dając do wypicia kubek mleka z dodatkiem kilku kropel nieznannej mikstury. A jednak sen jakoś zwlekał z nadejściem. Może dlatego, że młodej kobiecie nie udawało się przewyciężyć rozczarowania. Rzecz jasna zdołała wydostać się z poważnych tarapatów, rzecz jasna była bezpieczna, ale właściwie zmieniła po prostu jedną wspaniałą klatkę na inną, niewątpliwie luksusowo urządzoną, ale tak samo pozbawiającą ją dostępu do świeżego powietrza i wolności. Wolałaby stokrotnie zakończyć tę noc w wyrwie rozpadającego się muru czy w jakimś zrujnowanym domu, gdyż wstający dzień ukazałby otwierające się przed nią bramy Rzymu, którego nienawidziła z całego serca. Droga do Florencji, która przez chwilę zdawała się być tak blisko, zniknęła jak fatamorgana.

Lekarstwo zaczynało działać. Obolałe ciało wiecznej uciekinierki rozluźniło się, a bicie serca uspokoiło. Czyż nie było z jej strony niewdzięcznością wobec losu, jakkolwiek niepewny wydawał się obecnie, że nie doceniała faktu, iż

spotkała na swej drodze Stefana Infessurę i jego psy, a przede wszystkim, że tego wieczora odnalazła Khatoun? Całe szczęśliwe dzieciństwo i wczesna młodość stanęły Fiorze przed oczami wraz z widokiem tej młodej Tatarki, którą Leonarda tak chętnie porównywała do małego kotka z powodu jej trójkątnego pyszczka, upodobania do mleka i ciastek oraz sposobu, w jaki zwijała się w kłębek wśród jedwabnych poduszek tworzących jej poślanie. Wróciło wspomnienie jej oddania i straszliwego pobytu w domu megiery na brzegu Arno, skąd Khatoun, zmuszona, podobnie jak sama Fiora, do nierządu, zniknęła pewnej nocy z mężczyzną, który się w niej zakochał. Fiora przypominała sobie dosyć wyraźnie, że był to lekarz z Rzymu, zatem w jaki sposób Khatoun znalazła się na służbie hrabiny Riario? Zastanawiając się nad odpowiedzią na to pytanie, ranna wreszcie zapadła w sen, który miał trwać ponad dwanaście godzin.

Historia Khatoun była prosta i smutna. Opowiedziała ją Fiorze nazajutrz. Mężczyzna poznany u megiery, Sebastiano Dolci, był bogatym rzymskim lekarzem, który pod pretekstem podróży lubił w domu Pippy zapominać o surowej mieszczańskiej egzystencji, opartej na konwenansach i pełnej konformizmu, którą wiódł po śmierci żony pod okiem starej ciotki. Ta nieco sztywna postawa zyskała mu szacunek sąsiadów, a jego gabinetowi przysporzyła wielu klientów. Jednak od czasu do czasu Sebastiano, mający ledwie czterdzieści lat, odczuwał potrzebę oderwania się od rzeczywistości i z tego właśnie względu przybył pewnego dnia do Florencji, gdzie odkrył dom schadzek Pippy, którego z czasem stał się wiernym klientem. Wiedzano tu, jakiego rodzaju dziewczyny podobają mu się najbardziej i rzadko przeżywał rozczarowanie, lecz tego wieczora, gdy przyprowadzono mu Khatoun, poczuł tak silne poruszenie, że o poranku nie chciał się z nią rozstać i odkupił ją od właścicielki domu publicznego.

Khatoun natomiast poczuła się oczarowana przez tego przystojnego mężczyznę, czułego i delikatnego, który dowiedziawszy się, że jest dziewczyną, potraktował ją tak, jak potraktowałby narzeczoną w trakcie nocy poślubnej. Kochali się radośnie i nie mniej radośnie młoda Tatarka wyruszyła w drogę ze swoim nowym panem, który pragnął jedynie być jej niewolnikiem. Pojechała z nim do Rzymu z lekkim sercem, tym bardziej że z jazgotu megiery o poranku wynikało, że Fiora, uwolniona przez Demetriosą, zdołała wydostać się z opresji.

Sebastiano był tak szaleńczo zakochany, że poślubił Khatoun w drodze, w małej kapliczce nad jeziorem Trasimeno, a wprowadzenie jej do domu przy via Latina było dla niego chwilą prawdziwej dumy i radości. Nie wszystkim się to

podobało. Zakochany lekarz mógł sobie mówić, że jego młoda żona jest księżniczką na wygnaniu, którą wenecki statek przywiózł na wybrzeże Adriatyku - dla ciotki liczyło się tylko jedno: bratanek zawrócił sobie głowę kolorową dziewczyną, która nie mogła budzić najmniejszego zaufania w gorliwej chrześcijance, jaką była ona sama. To, że Khatoun przysięgła, iż została ochrzczona i jest wierząca, niczego nie zmieniło: ciotka nie zgodziła się ustąpić jej należnego miejsca w domu, pozwalając panować - nie bez wewnętrznej niechęci, ale przecież nie miała wyjścia - tylko nad małżeńską sypialnią.

To, że nie może zarządzać domem, nie stanowiło dla młodej signory Dolci żadnego zmartwienia. Nie miała większego pojęcia o zajęciach pani domu, gdyż w pałacu Beltramiego, gdzie w rzeczywistości się urodziła, odgrywała na ogół rolę czysto dekoracyjną, a w szczególności miała dotrzymywać towarzystwa Fiorze. Była szczęśliwa, że może się w pełni poświęcić swemu drogiemu Sebastianowi i choć czasem samotne dni wydawały jej się przydługie i nieco gorzkie, noce rekompensowały je z nadwyżką dzięki żarliwości, z jaką młodzi małżonkowie się kochali.

W trakcie jednej z takich nocy Sebastiano musiał wyjść. Służący kardynała Ciprianiego, który zawsze chronił jego rodzinę, przyniósł nagłe wezwanie do chorego i Khatoun daremnie czekała na jego powrót wśród zmiętych prześcieradeł, w łóżu, gdzie poduszka zachowała jeszcze kształt jego głowy. O wschodzie słońca znaleziono jego zwłoki w Tybrze i tego samego wieczora biedna Khatoun, której małżeństwa ciotka nigdy nie przyjęła do wiadomości, została zaprowadzona do handlarza niewolników na Trastevere. Mężczyzna trzymał ją w zamknięciu tak długo, by ucichło ewentualne zamieszanie wywołane śmiercią lekarza i możliwe zainteresowanie policji; niepotrzebnie zresztą, gdyż tego rodzaju odkrycia zdarzały się zbyt często, by

ludzie Soldana starali się dociec prawdy. Później handlarz zaproponował tę rzadką sztukę - legenda wygnanej księżniczki trzymała się mocno - hrabiemu Girolamo Riario, który podarował ją żonie, nie omieszkawszy najpierw przepuścić jej przez swoje łóżo.

Ta ostatnia noc zamknęła listę nieszczęść Khatoun. Młodziutka hrabina Catarina była osobką dumną i nieco wyniosłą, ale dobrą i szczodłą. Nowa niewolnica tak jej się spodobała, że uczyniła z niej swoją ulubioną damę do towarzystwa, a nawet powiernicę. Przy niej Khatoun niemal powróciła do roli, jaką pełniła u Fiory przez tyle lat.

- Ale to jednak nie ty - westchnęła, kończąc swoją opowieść. - Jest w niej jakaś gwałtowność, której nie śmie okazywać. Nie jest szczęśliwa z hrabią,

który jest bydlakiem, człowiekiem z gminu. Pogardza wszystkimi wokół siebie, bo jego wuj został papieżem. Tak naprawdę kocha tylko złoto.

- Przecież jego żona jest taka piękna! Nie kocha jej?

- Jest dumny, że jego żona jest księżniczką, ale nie ma mowy o miłości. Pomyśl, że kiedy ją poślubił, miała zaledwie jedenaście lat, a mimo to zażądał, żeby noc poślubna miała miejsce natychmiast. Sądzę, że ona nigdy mu tego nie wybaczy.

- Jednak, jeśli dobrze pamiętam, jest w ciąży?

- Tak. Urodzi w najbliższych dniach. Choć nienawidzi męża, musi go tolerować. Och, ten związek przynosi jej też wielkie korzyści: jest królową Rzymu. Wszystko, co liczy się w mieście, leży u jej stóp. A poza tym ma książki, wiedzę. W pałacu jest pomieszczenie, w którym lubi się zamykać i przyrządzać napoje, mikstury i maści upiększające.

- Zajmuje się alchemią?

- Nie wiem, czy ta praktyka tak się nazywa, ale hrabina bardzo często tu przychodzi. To ona chroni Annę Żydówkę - tak ją zwą - bo u niej uczy się wielu rzeczy. Poza tym Anna przyrządza dla niej mleczka, kremy, pomady działające upiększająco lub wspomagające zachowanie urody. Donna Catarina pisuje to wszystko w książce, której pilnie strzeże\*.

\* **Receptura środków upiększających zebrane przez Catarinę Sforzę, hrabinę Riario, są faktem historycznym, podobnie jak jej relacje z Anną Żydówką.**

- To naprawdę zadziwiająca kobieta - powiedziała Fiora. - Ale czy nie dziwią jej twoje częste nieobecności? Już od dwóch dni przychodzisz tutaj. Pozwoliła ci na to?

- Mówiłam, że jest dobra. Wyznałam jej prawie całą prawdę: że odnalazłam jedyną przyjaciółkę z młodości, że jest ona chora i że mnie potrzebuje.

- To prawda, Khatoun. Potrzebuję cię. Niestety, wkrótce będziemy musiały się rozstać. Jak tylko odzyskam siły, poproszę Stefana Infessurę, by pomógł mi opuścić Rzym. Chcę najpierw dotrzeć do Florencji, by znaleźć się poza zasięgiem szponów papieża i Hieronimy, a potem wrócić do Francji!

- Pojadę z tobą. Nie chcę się więcej z tobą rozstawać... a poza tym chcę znów zobaczyć donnę Leonardę i poznać małego Filipa.

- Sądziś, że donna Catarina pozwoli ci na to?

- Pozwoli czy nie, to bez znaczenia. Zgodnie z prawem niewolników wciąż należę do ciebie, gdyż nigdy mnie nie sprzedałaś, nie wyгнаłaś... ani nie wyzwoliłaś.

- Ależ tak. Jesteś wyzwolona od dawna, Khatoun. Od dnia, kiedy próbując mnie uwolnić, wpadłaś w łapy megiery. Dobrze o tym wiesz.

- Tak, ale nie chcę, by inni się o tym dowiedzieli. Wejście Anny przerwało rozmowę. Piękna Żydówka przyszła, a robiła to dwa razy dziennie, zmienić opatrunek chorej, której stan zresztą napawał ją dużym zadowoleniem. Dzięki jej staraniom Fiora uniknęła wystąpienia gorączki i zdrowienie postępowało wielkimi krokami. Anna miała więc wszelkie powody do radości, a jednak tego wieczora robiła wrażenie zatroskanej.

- Infessura nie pokazał się ani wczoraj, ani dziś - powiedziała - a przecież obiecał przychodzić codziennie...

- Czy nie powinniśmy się go spodziewać raczej w nocy? - powiedziała Fiora. - Wprawdzie nie widziałyśmy go ostatniej nocy, ale coś mu mogło stanąć na przeszkodzie. Przyjdzie dziś wieczorem...

Jednak noc minęła, a republikański skryba nie zapukał do drzwi. Następnego dnia również go nie zobaczyły, a i czwarty poranek nie przyniósł zmian. Nie pojawił się.

- Trzeba się dowiedzieć, co się dzieje - powiedziała Anna. - Zamknę dokładnie dom i pojedę do niego. Nikomu nie otwieraj, nawet Khatoun! - dodała pod adresem Fiory.

Zdjąwszy szybko złocisty diadem i tradycyjny strój, Anna przywdziała ubrania służącej, włożyła chodaki, przewiesiła przez ramię koszyk, jakby szła na targ, i opuściła dom przez tylne podwórko połączone z ulicą przejściem przez półokrągłą bramę.

Zostawszy sama, Fiora, która od poprzedniego dnia czuła się na tyle dobrze, by wstać, błędziła po domu. Chciało jej się pić, więc zeszła po wodę do otwartej na pomieszczenie wejściowe kuchni, a potem zapuściła się do piwnicy, która służyła jej gospodyni jako laboratorium, przekartkowała kilka książek, ale większość była napisana po hebrajsku i nic z nich nie rozumiała. Jedyne traktat Hipokratesa, po grecku, mógłby przyciągnąć jej uwagę, ale nie czując żadnego zainteresowania medycyną, wróciła do swojego pokoju i nie bardzo wiedziała, czym się zająć.

Machinalnie podeszła do okna, przed którym tego samego ranka Anna powiesiła kilka sztuk bielizny. Mimo to można było obserwować, co się dzieje na ulicy. Przez ostrożność Fiora ukryła się za zasłoniętymi do połowy kotarami. Widok nie miał w sobie nic interesującego: kilkoro ubogo ubranych przechodniów, z których niemal wszyscy nosili okrągłe żółte znaczki, dzieci grające w klasy na starorzymskich kamiennych płytach oraz w tle szpetna fasada pałacu Cenci, którego niedostępna bryła zdawała się wyniosłe dominować nad całą dzielnicą.

Nagle coś przyciągnęło uwagę Fiory: jakiś mężczyzna wyszedł z pałacu, trzymając za uzdę konia. Zatrzymał się w progu, rozglądając się we wszystkich kierunkach, jakby się zastanawiał, skąd wieje wiatr, po czym nie dosiadając konia, ruszył powoli, bardzo powoli, obserwując fasady pierwszych domów getta. Mężczyzną tym był Giovanni-Battista de Montesecco, człowiek, który porwał ją z Francji i sprowadził do Rzymu.

Serce młodej kobiety zatrzymało się na chwilę. Czego szukał w tej nędznej dzielnicy? Bez wątpienia złożył wizytę któremuś z mieszkańców pałacu Cenci, ale okolica nie była przyjemnym miejscem do spacerów, powinien więc był wsiąść na konia i szybko się oddalić. Tymczasem włókł się powoli, zatrzymywał, by czemuś przyjrzeć, cofał się, szedł dalej. Fiora ukryta za zasłonami modliła się, by Anna nie wróciła w tej właśnie chwili. Nawet w przebraniu przyciągnęłaby na pewno, choćby z powodu swej urody, uwagę tego mężczyzny, pod mianem kondotiera skrywającym rzeczywistą naturę szefa bandytów.

Na szczęście, kiedy Anna pojawiła się z pełnym koszem, Montesecco już zdążył odejść w kierunku przeciwnym do tego, z którego nadeszła Żydówka. Fiora zeszła na dół, co zaskoczyło Annę.

- Wstałaś? Nie za wcześnie trochę?

- Dlaczego? Nie mam gorączki i trzymam się na nogach całkiem pewnie. Poza tym nie lubię leżeć w łóżku, jak nie muszę. Masz jakieś wieści?

- Tak, i nie są one dobre. Infessura został przedwczoraj aresztowany.

Fiora poczuła, że blednie.

- Mój Boże! A wiadomo dlaczego?

- Niezbyt, ale powszechnie uważa się, że to papież kazał Soldanowi go pojmać z powodu pism krążących po ulicach miasta. Określa je jako wiadomości z nocy. Można je często znaleźć na targu Campo dei Fiori albo w pobliżu starej rzeźby, pozostałości starożytnego dzieła, którą mieszkańcy dzielnicy nazywają Pasquino. Stef ano lubi tam zostawiać swoje pamflety. Podobno ostatni mówił o panu Santa Croce, który jakoby usiłował zgwałcić jakąś kobietę w ruinach grobowca Augusta...

- Słodki Jezu! Ależ to ja jestem tą kobietą! Co za szalony pomysł, by ogłaszać to wszem wobec! Stef ano mnie uwolnił i to tam zostałam ugodzona sztyletem.

- Pomysł zaiste szalony... chyba że myślał, iż nikt nie śmie podnieść na niego ręki? Lud rzymski go kocha, a on w gruncie rzeczy pragnie pobudzić tenże lud do sprzeciwu, aby Rzym znów mógł zostać republiką, jak w dawnych czasach. Bez skrupowania głosi, że w mieście nie robi się nic dobrego, że liczba

kradzieży, zabójstw i świętokradztw stale rośnie. Pokłada nadzieję w sile zbuntowanego, rozwścieczonego tłumu.

- Nie wiem, czy ma rację. W każdym razie nie jest już „wolnym człowiekiem” i trochę w tym mojej winy. Poza tym muszę ci powiedzieć, co przed chwilą widziałam.

Anna wysłuchiwała bez słowa krótkiej opowieści Fiory i nie okazała najmniejszego poruszenia.

- To może być zwykły zbieg okoliczności - powiedziała wreszcie. - Bracia Montesecco - znany ci Gian-Battista i Leone, kapitan gwardii papieskiej - utrzymują doskonałe stosunki z najbardziej krewkimi rodami w mieście, byle tylko nie były one sojusznikami Colonnów. Cenci należą do tych rodów, ale tak czy inaczej, obecność tego człowieka w pobliżu naszego domu, a szczególnie zainteresowanie, jakie zdawała się w nim budzić okolica, nie są szczególnie pokrzepiające.

- Muszę stąd odejść - powiedziała Fiora. - Kiedy wraca twój ojciec?

- Najprawdopodobniej za dwa dni, ale nie mam od niego żadnych wieści. Ale jak cię wyprawić? I nie odpowiadaj: pieszo. Nie odzyskałaś jeszcze wystarczająco sił.

- Mam jednego dukata i złoty łańcuch z medalionem, które ukradłam kobiecie pilnującej mnie u Borgii. Potrzebuję tylko wierzchowca, męskiego stroju i nieco pieniędzy, żeby dotrzeć do Florencji. Tam będę bezpieczna... w każdym razie taką mam nadzieję.

- To powinno dać się zrobić. Ale najpierw chodź ze mną. Może czegoś się dowiemy.

Wziąwszy Fiorę za rękę, zaprowadziła ją do piwnicy, którą młoda kobieta odwiedziła chwilę wcześniej. Tam posadziła ją na ławce, po czym zapaliła w kominku naręcze sosnowych szyszek, które zajęły się z trzaskiem. W oczekiwaniu na to, aż zamienią się w żar, Anna obcięła swojej podopiecznej pukiel włosów i położyła go na małej żelaznej łopacie, którą ustawiła na ogniu. Po chwili włosy zamieniły się w odrobinę lekkiego popiołu. Następnie Żydówka poszła po miskę wypełnioną wodą i postawiła ją na ławce między sobą a Fiorą, po czym wrzuciła do niej popiół. Pochyliła się nad powierzchnią wody, w której odbijały się trzy płomienie zapalonego na stole świecznika. Zrozumiawszy, że Anna szuka odpowiedzi na pytania, które obie sobie zadawały, Fiora wstrzymała oddech, patrząc z ciekawością, jak źrenice młodej kobiety się rozszerzają, stają się tak duże, że nie mogła oderwać od nich wzroku. Śledziła wyraz czarnych oczu i zdawało jej się, że odczytuje w nich grozę...



Nagle Anna odwróciła się, potrząsając głową z rozdrażnieniem.

- Nic nie widzę! - powiedziała.

- A więc posiadasz zdolność przewidywania przyszłości?

- Tak, ale jeśli o ciebie chodzi, nie mogę nic zobaczyć. Wydawała się spięta. Odwróciła się, wstała i chodziła po pokoju ze wzburzeniem, które przeraziło Fiore.

- Jesteś pewna, że niczego nie widziałaś? - zapytała cicho. - Czy też może wolisz o niczym mi nie mówić? Zdawało mi się, że odczytuję w twoich oczach strach. Jakiegokolwiek jest moje przeznaczenie, wolę być na nie przygotowana! Tyle przeszłam, że już niewiele może mnie przerazić.

Po kilku chwilach ciszy Anna zaprzestała chodzenia tam i z powrotem i ponownie usiadła obok Fiory.

- Być może dlatego, że jesteś w tej, chwili zbyt blisko mnie, nie widzę nic wyraźnego, poza jakimś ciemnym miejscem, jakby więzieniem, rozwścieczonym tłumem... krwią!

- Moją? - zapytała Fiore, mimo woli blednąc.

- Nie sądzę. Nie pytaj dlaczego, ale to jak wewnętrzny głos... widziałam przez chwilę... nowe ciężkie przejścia, które cię czekają.

Wzięła rękę Fiory i uściśnęła ją w swoich dłoniach, na wpół przymykając oczy.

- Nie... Ta krew nie należy do ciebie... lecz mimo to będziesz cierpieć... Później jest jakaś droga... Nie wiem, dokąd prowadzi.

Puściwszy rękę młodej kobiety, Anna posłała jej zmęczony uśmiech i wzięła pochodnię, by wskazać, że chce wrócić do swojego mieszkania.

- Weźmiesz mnie za wariatkę - westchnęła - a reputację mam jeszcze gorszą. Tak czy inaczej, choć miewam wyraźne wizje, wiem, że nigdy nie posiadę daru jasnowidzenia w takim stopniu, w jakim posiadała go moja matka... co doprowadziło ją do zguby.

- Miałabym wziąć cię za wariatkę? Na pewno nie! Miałam we Florencji przyjaciela, medyka przybyłego z Bizancjum, przed którym czasem rozsiewała się zasłona spowijająca przyszłość. Nie miał pojęcia, skąd mu się to brało. Twoja matka też taka była?

- Była kimś znacznie więcej: jedną z tych wielkich wieszczek, jakie znał lud Izraela i jakie może jeszcze znać będzie. Wszyscy Żydzi w Neapolu wiedzieli, że Rebeka, małżonka Natana, bogatego rabina, była natchniona przez Ducha Bożego, a ja od najmłodszych lat czułam dla niej uwielbienie i pełen szacunku lęk - uczucia, jakie budzą istoty, które są niezupełnie z tego świata. Ledwie śmiałam nazywać matką tę ciemnowłosą, bardzo piękną kobietę, o oczach

sprawiających wrażenie, że widzą mnie na wylot i twarzy tak poważnej, że nie znała uśmiechu. Naznaczyła moje dzieciństwo okrutnym piętnem, w którym mieściło się coś zbliżonego do uświęconej trwogi.

- Nie żyje? - szepnęła przejęta Fiora.

- Tak... a płomień stosu, na który skazała ją Święte Oficjum i król Neapolu, Ferrante, dołożyły jej straszliwą płonąca aureolę, której obraz prześlada mnie po dziś dzień.

Anna, być może pod wpływem zbyt długiego milczenia, opowiedziała tej przyjętej z miłosierdzia nieznajomej, w której jednak dostrzegała siostrę w cierpieniu, jak wyglądało jej życie od tej straszliwej chwili, gdy jako dwunastoletnia dziewczynka, skuta jednym łańcuchem z ojcem, musiała pozostać aż do końca przed ogromnym stosem, na którym płonęło ciało jej matki. Pozostało w niej przerażające wspomnienie, które wciąż jeszcze wprawiało ją w drżenie podczas godzin medytacji, ale zahartowało jej duszę na zawsze, gdyż wyniosła z niego ogromną, pełną wyższości dumę. Języki ognia nie wydobyły bowiem z Rebeki, odizolowanej od tłumu wzgardą i wizjami innego świata, nawet jednego jęku. Dziewczynka, zamknawszy oczy o piekących od gorąca powiekach, modliła się w duchu, by dane jej było umrzeć równie dzielnie, gdyby kiedyś czekał ją taki sam los.

Po zakończonej kaźni Natan i jego córka, którzy jakimś cudem ocaleli, zostali zawleczeni przez żołnierzy Ferrante do małej zatoczki na południe od Neapolu, gdzie w tajemnicy cumowały handlowe okręty z Tunisu. Jak to się stało, że wrażliwe dziecko i wyczerpany mężczyzna nie dali się złamać i przetrwali, pozostanie jedną z tych tajemnic ludzkiej woli i nienawiści ukrytej w sercach najsłabszych, które mogą zaprowadzić dalej niż siła fizyczna. Sprzedani jako niewolnicy, Natan i jego córka musieli przebyć nową kalwarię, lecz co ciekawe, żołnierze Ferrante, sprzedając ich Tunezyjczykom, uratowali im życie.

W pobliżu starożytnej Kartaginy żył bogaty Żyd imieniem Amos, krewny Rebeki, cieszący się pewnymi względami miejscowego gubernatora z rodu Marynidów. Natan powołał się na niego zaraz po przybyciu do portu. Amos zjawił się natychmiast. Bez problemu odkupił ojca i córkę, i zabrał ich do swego pięknego domu położonego niedaleko od brzegu morza. Tam oboje odzyskali siły i zdrowie.

Jednakże Natan odrzucił propozycję Amosa, by zostali u niego. Chciał wrócić do Włoch, by przygotować zemstę. Cieszył się tam wielką sławą, a w Rzymie miał wielu przyjaciół we wspólnocie żydowskiej. Ponadto wiedział, że nie musi się niczego obawiać ze strony papieża, jeśli nie wystąpi przeciwko

niemu. Pewnego ranka wsiedli z Anną na statek w La Marsa, pewni, że u kresu podróży znajdą schronienie, opiekę, a nawet możliwość ponownego zdobycia majątku.

Od tego powrotu minęło siedem lat. Anna wykorzystwała je na naukę i rozwój swoich naturalnych zdolności. U boku starych kobiet z getta i tych, którzy umieli odczytywać tajemnice losu z gwiazd, doskonaliła wiedzę przekazaną jej przez Rebeke i nauczyła się straszliwej sztuki sporządzania czarodziejskich napojów i trucizn. A później czekała na klientów, z biegiem czasu coraz liczniejszych, którzy uczynili ją znaną, a jej imię przekazywane było z ust do ust, co pewnego wieczora sprowadziło do niej siostrzenicę papieża.

- Sprzedałaś już jakieś trucizny? - spytała Fiora po lekkim wahaniu.

- Tak. I to bez wyrzutów sumienia. Za każdym razem, kiedy wręczałam komuś śmiertelny likwor lub proszek, cieszyłam się w duchu, bo w tym mieście jest wielu księży i miałam nadzieję, że moja trucizna przeznaczona była dla jednego z nich. Nienawidzę ich, nienawidzę ich wszystkich, gdyż należą do tych, którzy pomogli Ferrante w przywiązaniu mojej matki do stosu.

- I nie boisz się, że kiedyś...

- Zostanę spalona na Campo dei Fiori? Nie. Jeśli zdołam pozbawić życia króla Neapolu, wejdę na stos z radością.

- Rozumiem to, co czujesz, gdyż ja także chciałam się zemścić, ale Bóg uderzył przede mną...

- I jesteś usatysfakcjonowana?

- Tak i nie. Tak, ponieważ ręka Pana uderzyła mocniej, niż ja mogłabym to zrobić. Nie, ponieważ pragnienie zemsty wciąż jest we mnie. Tak długo, jak mordercy mojego ojca będzie wśród żywych, nie zaznam spokoju. Zresztą ta kobieta wciąż mi zagraża.

- Jest tutaj, w Rzymie, a ty chcesz jechać do Florencji?

- Nie mogę jej osiągnąć, nie oddając się w ręce papieża. Muszę wyjechać, dobrze o tym wiesz, ale nie zrezygnuję.

- Pomogę ci, jeśli chcesz!

Zapadała noc. Anna zaciągnęła zasłony, a potem zapaliła świece.

- Czekam na kogoś tej nocy. Nie niepokój się, jeśli coś usłyszysz, a przede wszystkim nie ruszaj się.

- A Khatoun?

- - Jeśli przyjdzie, wyślę ją do ciebie.

Jednakże noc minęła, nie sprowadzając młodej Tatarce, a niepokój dotrzymał Fiorze towarzystwa aż do wschodu słońca. W nadchodzących godzinach Anna dostarczy jej bez wątpienia środka do ucieczki, ale myśl, że ma

znowu wyjechać, nie zobaczywszy wcześniej Khatoun, była dla niej nieznośna. Kiedy wyjeżdżała do Francji z Demetriosem, Estebanem i Leonardą, pogodziła się z rozstaniem z towarzyszką dziecięcych zabaw, gdyż uważała, że dziewczyna jest szczęśliwa i rozpoczyna życie, jakie sama wybrała. Nie mogła jednak pogodzić się z pozostawieniem jej w tej sytuacji półniewolnictwa, w położeniu służącej, wprawdzie ulubionej, ale jednak służącej. Oczywiście Khatoun mogłaby dołączyć do niej we Florencji, i z pewnością by to zrobiła, gdyby była wolna, ale donna Catarina na pewno nie pozwoli jej wyjechać. Przede wszystkim dlatego, że małżonek dużo za nią zapłacił, a poza tym, podobnie jak wszystkim wielkim włoskim damom, musiało jej bardzo zależeć na tej egzotycznej osobce. Tatarki stanowiły rzadkość, były więc tym bardziej cenne.

Jednakże trzeba będzie pogodzić się z losem. Anna, przynosząc obiad, udzieliła jej tysiąca wskazówek na temat wciąż koniecznej pielęgnacji rany. W torbie umieściła szarpie, bandaże, flakonik z wódką do oczyszczania i dwa słoiczki maści leczniczej. Następnie starannie zbadała pacjentkę, szczególnie troskliwie oglądając ranę, będącą na najlepszej drodze do zabliznienia się, i nakładając na nią gruby opatrunek.

- A więc tej nocy wyruszam? - zapytała Fiora.

- Tak. Godzinę przed wschodem słońca zaprowadzę cię do Bramy del Popolo, gdzie poczekasz na właściwy moment, by wyjść z miasta. Zdobyłam dla ciebie muła i strój wieśniaka. Przy odrobinie szczęścia bez większego trudu dotrzesz do Florencji. Mój ojciec wraca jutro. Będę tu, by go powitać.

Kapryśny los postanowił jednak, że Fiora nie podejmie tej nocy przerwanej podróży do Florencji i że nie zobaczy wschodu słońca nad Bramą del Popolo. Dzwony niezliczonych kościołów i klasztorów zadzwoniły właśnie na ostatnie nabożeństwo, a słudzy chwilę przedtem zapalili ogień kaganków u wejścia do pałaców, kiedy zamknięta lektyka, eskortowana przez czterech jeźdźców, wjechała na ulicę i przekroczyła wiodącą na podwórko bramę.

Zdziwiona, nikogo nieoczekująca Anna, otworzyła wąskie okno wychodzące na tyły domu i wychyliła się. Później, pochwycając świecznik, rzuciła się ku schodom.

- To Khatoun! - zawołała. - I jest z nią hrabina Riario. Nie ruszaj się! Muszę sprawdzić, czego chce!

Fiora nie miała czasu na zadawanie sobie pytań. Wśród fal złocistobrazowej tafty, wspaniałych futer i śnieżnych koronek, donna Catarina, wyrzucając potoki słów, wdzierała się już na schody i wchodziła do pomieszczenia, w którym znajdowała się Fiora. Bardzo zaawansowana ciąża sprawiała, że była

niemal równie szeroka jak wysoka, ale jej twarz pozostała świeża jak róża, a ona sama nic nie utraciła ze swej waleczności.

- Przyjechałam po ciebie! - obwieściła, nieco jednak zadyszana, po czym opadła pośród poduszek na jedną z niskich sof, co sprawiło, że jej brzuch znalazł się na wysokości podbródka. - Bogu dzięki, przybywam na czas!

- Na czas dla kogo, madonna?

- Ależ by zapobiec temu szaleństwu, temu samotnemu wyjazdowi o świcie, jeszcze nie w pełni zdrowia, jak mi powiedziała Anna.

- Nie mam wyboru. Rabin Natan wraca jutro i moja obecność nie będzie przez niego dobrze widziana. Nie czynię mu z tego zarzutu. Zależy mu na utrzymaniu protekcji... Ojca Świętego!

Młoda hrabina uśmiechnęła się, co sprawiło, że jej twarz się rozpromieniła, a piegowaty nosek zmarszczył.

- Wygląda na to, że niektóre słowa z trudem przechodzą ci przez gardło? Nie miej mu zbytnio za złe! Byłby w gruncie rzeczy całkiem dobrym człowiekiem, gdyby otoczenie nie popychało go do godnych pożałowania czynów. Ale będziemy miały mnóstwo czasu na rozmowy. Przygotuj się, zabieram cię stąd!

- Wybacz, donno Catarino, ale... dokąd?

- Ależ do mnie! Nie rób takiej spłoszonej miny! Mój małżonek wyjechał koło południa do posiadłości w Segni, którą niedawno otrzymał od wuja. Daje nam to kilka dni, przede wszystkim na to, byś trochę dłużej odpoczęła. Później ja sama pomogę ci wrócić do Florencji. Nie zastanawiaj się, to Khatoun mi wszystko powiedziała. Ponieważ wiem, że została wychowana w pałacu Beltramiego, gdyż nie ukrywała niczego ze swego wcześniejszego życia, nie miałam żadnego problemu z odgadnięciem, kto może być tą chorą przyjaciółką, którą codziennie odwiedza.

- I chcesz mi pomóc w powrocie do Florencji? Ty, hrabina Riario?

- Nie. Ja, Catarina Sforza! Moi rodzice byli w doskonałych stosunkach z Medyceuszami. Może przypominasz sobie wizytę, którą z wielką pompą złożyliśmy we Florencji kilka lat temu?

- Nigdy jej nie zapomnę! Ty, pani, byłaś jeszcze dzieckiem. .. Orszak króla Mediolanu był wspaniały.

- Tak... a Giuliano di Medici?? Był jeszcze wspanialszy! Wyznaję, że w tamtej chwili zakochałam się w nim... trochę także w Lorenzo, tak brzydkim, lecz tak fascynującym! Tymczasem przypadek sprawił, że odkryłam spisek, który hrabia Riario... mój małżonek knuje przeciwko nim z tą wstrętną małpą Francesco Pazzim i twoim przyjacielem Montesecco!

- Montesecco? Widziałam go wczoraj tutaj. Wychodził z pałacu Cenci i bardzo interesował się domami po tej stronie ulicy.

- Nie ma w tym niczego dziwnego. Całkiem możliwe, że Cenci też maczają palce w knowaniach. W jakich relacjach z Medyceuszami jesteś?

- Lorenzo uratował mi życie, pomógł w ucieczce, chronił na wygnaniu i wiem, że nigdy nie przestał czuwać nad moimi interesami. Z tego właśnie powodu jego miasto wydało mi się jedynym możliwym miejscem, z którego mogę wyruszyć do Francji i odzyskać syna.

- Dlatego też postanowiłam pomóc ci w ucieczce z Rzymu. Muszę wysłać do Florencji kogoś zaufanego, kogoś na tyle odległego ode mnie, by moja rola w tej sprawie nigdy nie wyszła na jaw, gdyż wówczas moje życie nie byłoby wiele warte. Traf sprawił, że pojawiłaś się ty i we dwie może zdołamy uniknąć wielkiego nieszczęścia.

- Aż tak wielkiego?

- Sama oceń! Mój małżonek i jego przyjaciele zamierzają zlecić zamordowanie Medyceuszy. I to już wkrótce... Ale teraz tracimy czas! Pospiesz się, proszę!

Fiora nie podjęła jeszcze decyzji. Nie podobał jej się pomysł przebywania choćby przez dwa czy trzy dni w pałacu

Riario, gdzie czułaby się jak w klatce lwa. Z drugiej strony to, co knuto, było po prostu wstrętne, a zarazem sprzeczne z jej interesami. Jeśli Medyceusze zostaną zabici, a Riario stanie się władcą Florencji, wszystkie jej nadzieje legną w gruzach.

- Czy jeśli wyjdzie na jaw, że u ciebie byłam - powiedziała - nie sądzisz, że twój małżonek skojarzy ten fakt z ewentualnym pokrzyżowaniem jego planów?

- Przecież ci mówię, że go nie ma! A służący, którzy cię będą widzieć, przybyli wraz ze mną z Mediolanu i są mi bardzo oddani. Proszę, pospiesz się! Jeśli chcesz się uratować, a jednocześnie ocalić życie swoich przyjaciół, nie masz wyboru. Opowiem ci więcej w lektyce.

Tym razem Fiora się poddała. Ubranie wieśniaka przygotowane przez Annę nie mogło jej być w żadnym razie pomocne, włożyła zatem ponownie strój duenii Juany, który miał tę zaletę, że nie rzucał się w oczy. Żydówka uzupełniła go o czarny welon, jako że ten, który Fiora nosiła w chwili ucieczki, pozostał przywiązany do balustrady pałacu Borgii. Zwracając jej sakiewkę, wykorzystwała fakt, że Catarina zainteresowała się starożytnym posążkiem umieszczonym w jednej z wnęk, i pokazała ukryty w dłoni mały flakonik w ołowianej osłonie, szczelnie zakorkowany, który wsunęła do aksamitnego woreczka, szepcząc:

- Jeśli twoja nieprzyjaciółka wypije to z winem lub jakimkolwiek innym napojem, umrze w ciągu tygodnia, a nikt nie zdoła rozpoznać, na jaką chorobę. Niech Jahwe ma cię w swojej opiece!

Fiora zawahała się przed przyjęciem tego, co jej oferowano. Trucizna była w jej oczach bronią niegodną, ale nie chciała być niemila dla swojej gospodyni. Odszukała złoty medalion należący do Juany i chciała jej go dać, ale Anna odmówiła:

- Nie, nie jesteś mi nic winna, ponieważ zasługujesz na gościnność. Daj to komuś, kto będzie w większej potrzebie.

Kobiety uściskały się, niecierpliwie poganiane przez Catarinę. Khatoun, której poleciła zostać na podwórku, weszła na górę, zaniepokojona przedłużającym się oczekiwaniem i być może obawiając się, że Fiora nie dała się przekonać.

- Trzeba szybko jechać! Wiesz, że możesz zaufać mojej pani?

- Ufam jej. To, że donna Catarina przybyła tu osobiście i to w środku nocy, kiedy powinna leżeć w łóżku i nabierać sił przed porodem, świadczy o tym, że naprawdę jestem dla niej ważna.

Wygodnie wyścielana puchowymi materacami i miękkimi poduszkami, zamknięta zasłonkami z brązowego aksamitu podbitymi białym atłasem i chroniona przed niepogodą skórzanymi, opatrzonymi herbem okiennicami - lektyka oczekująca na donnę Catarinę posiadała wszelkie właściwości konieczne, by najdłuższa nawet podróż była przyjemna. Trzy kobiety zajęły w niej miejsce. Młoda hrabina, z zadowoleniem, które wiele mówiło o jej zmęczeniu, wyciągnęła się jak długa wśród jedwabnych poduszek, podczas gdy Khatoun wyjęła z małego pozłacanego kuferka buteleczkę likworu, z której wlała po kilka kropel do dwóch kubków. Jeden podała Fiorze, a z drugiego napiła swoją panią, która miała spiętą twarz i zamknięte oczy.

- Powinnaś była pozwolić, bym pojechała sama, pani! - powiedziała z łagodnym wyrzutem. - Tak byłoby rozsądniej. Przecież twoja lektyka traktowana jest z poważaniem nawet w najbardziej niebezpiecznych miejscach.

Catarina otworzyła oczy, wzięła kubek i jednym łykiem przełknęła resztę, po czym lekko się podniosła.

- Musiałam pojechać. Donna Fiora może nie chciałaby przyjechać z tobą, gdybym jej nie przekonała. Powinniśmy zresztą porozmawiać.

- Czy twoje straże nic nie usłyszą? - szepnęła Fiora, która z przyjemnością wypijała zaoferowane jej doskonale cypryjskie wino.

- Lektyka jest dokładnie zamknięta. Poza tym odgłos kół i kopyt końskich wystarczą, by zagłuszyć rozmowę. Tym bardziej, że nie będziemy krzyczeć.

Siedzimy wystarczająco blisko siebie, by nawet woźnica niczego nie słyszał. Przyczyna, dla której mój małżonek uknuł ten spisek...

- Znam ją od dawna - ucięła Fiora. - Wszyscy we Florencji wiedzą, że papież pragnie, aby twój małżonek został władcą miasta.

- Tak, ale problem stał się bardziej wyraźny, odkąd posiadamy Imolę, to znaczy jesteśmy sąsiadami. Jeśli Medyceusze zginą, Girolamo, mój małżonek, nie będzie musiał się nimi przejmować i jego władza rozciągnie się w stronę morza. Co do Francesco Pazziego...

- O nim też wiem. Po wygnaniu stracił część majątku i chociaż został bankierem papieża, zawsze marzył o powrocie do Florencji, i to w chwale.

- Gdzie pozostaje nadal głowa rodziny i kilku jej członków.

- Stary Jacopo wciąż żyje?

- I jest w lepszej formie, niż kiedykolwiek, skłonny do udzielenia Francescowi pomocy w powrocie i zemście. Co do Montesecca, trzeciego z mężczyzn, to zabiłby własną matkę za wypchany złotem trzos, a obiecano mu znacznie więcej.

- Rozumiem. Ale jaka jest rola papieża w tym wszystkim?

- To jest właśnie niejasne. Zapewniono mnie, że podobno wyraźnie zalecił, by nie było „rozlewu krwi”.

- Bez rozlewu krwi? Wydaje mi się rzeczą trudną zabicie kogoś bez przelania jego krwi! Jak on sobie to wyobraża?

- Moja droga, Jego Świątobliwość nie potrafiłby zlecić zabójstwa. Pewnie nawet nie ma świadomości, że...

- Gotów jest głośno krzyknąć, jak już będzie po wszystkim, a nawet wyrażać ubolewanie? Ekskomunikuje się kilku figurantów, jako że twój małżonek nie zamierza zapewne sam wykonać tej roboty, prawda?

- Oczywiście, że nie. Nie opuści nawet Rzymu. Tylko Pazzi i Montesecco pojedą do Florencji.

- Przy jakiej okazji? Chyba nie mają nadziei na to, że Lorenzo ich przyjmie?

Catarina wyjaśniła wówczas znane jej szczegóły planu. Papież, który właśnie nadał godność kardynała swojemu najmłodszemu siostrzeńcowi, Rafaelowi Riario, i z tego powodu sprowadził go z uniwersytetu w Pizie, gdzie ten kończył studia, postanowił jednocześnie mianować go legatem w Perugii. Catarina uważała tę nominację za absurdalną - nowy kardynał miał ledwie osiemnaście lat i żadnych zdolności do sprawowania tak trudnej funkcji, ale papież, żywiący do niego iście ojcowskie uczucia, gotów był popełnić niejedno szaleństwo. Po intronizacji młody Rafaele z wielką pompą uda się z wizytą na swój ukochany uniwersytet, aby właśnie jemu udzielić pierwszego



błogosławieństwa. Potem, w drodze powrotnej do Perugii, w sposób najzupełniej oczywisty przejedzie przez Florencję, a Medyceusze nie będą mogli pozwolić sobie na odmówienie mu przyjęcia, ponieważ pozornie stosunki pomiędzy Lorenzem i Stolicą Apostolską były poprawne. Młody kardynał zatrzyma się prawdopodobnie u starego Pazziego, ale Medyceusze będą musieli przynajmniej kilkakrotnie go przyjąć. Ich gościnność była zbyt znana, by nie przyjęli najlepiej, jak potrafią, kardynała legata. Znajdzie się wówczas okazja do zabicia obu braci.

- W ich własnym pałacu? - oburzyła się Fiora. - To nie tylko potworne, ale bezsensowne. Mordercy zostaną położeni trupem na miejscu.

- Zostanie wybrany właściwy moment - jakaś uroczystość czy ceremonia odbywająca się na zewnątrz. Z tej okazji zbiorą się wszyscy Pazzi, a Monteseco przyprowadzi wynajętych morderców. Nawet arcybiskup Pizy, SaMati, podobno obiecał swoje wsparcie. Bardzo nie spodobało mu się, że Lorenzo przeciwstawił się jego nominacji na arcybiskupa Florencji.

Tym razem Fiora nie odpowiedziała. Cała ta historia była zdumiewająca i absurdalna. Ci ludzie, wśród których byli przecież duchowni, zamierzali spaść na jej ukochane miasto jak stado drapieżnych ptaków, by zamordować Giuliana, którego niegdyś kochała, i Lorenza, który okazał jej tak wiele przyjaźni. A w dodatku wykorzystają dla przeprowadzenia zbrodni świętą zasadę gościnności, tak drogą sercu każdego Włocha.

- Dlaczego milczysz? - spytała Catarina.

- Wybacz mi, pani, ale te plany wywołały we mnie obrzydzenie. Nie dziwię się, że wnuczka wielkiego Francesca Sforzy nie chce zawdzięczać czegokolwiek takim metodom.

- Ważniejsza od pamięci o dziadku jest dla mnie pamięć o kobiecie, która mnie wychowała: księżnej Bonie, małżonce mego ojca i siostrze królowej Francji, która sytuuje mnie w obozie Medyceuszy. A także pamięć o ojcu, zamordowanym nieco ponad rok temu. A poza tym, jak mówiłam, zawsze kochałam Giuliana. Pomożesz mi?

- Jestem gotowa wyruszyć do Florencji natychmiast. Ja także kochałam Giuliana, zanim poznałam męża, którego bolesną stratę oplakuję. Jeśli mogę temu zapobiec, nie pozwolę im umrzeć.

- Lepiej odczekać jeszcze dwa lub trzy dni i staranniej się przygotować. Wizyta Rafaela we Florencji powinna mieć miejsce w okolicach Wielkanocy, a zbliża się Wielki Tydzień.

\* \* \*

Pałac Riario usytuowany był niedaleko Tybru, w pobliżu dwóch kościołów - SanfApollinare i SanfAgustino. Imponująca czworokątna budowla, niedawno wzniesiona, była tak masywna i dobrze strzeżona, że wydawała się zdolna wytrzymać oblężenie. Nocne ciemności uniemożliwiły Fiorze obejrzenie jej konstrukcji, gdyż od strony ulicy oświetlały ją tylko zwyczajowe kaganki. Jednakże w chwili, gdy lektyka przekraczała wysoko sklepioną bramę, strzeżoną przez oddział wartowników i wychodzącą na tradycyjny kwadratowy podwórzec, młoda kobieta poczuła się nieswojo, a jeszcze bardziej, gdy rozległ się łoskot zamykających się za nią ciężkich drzwi. Stanowczo Girolamo niczego nie pozostawiał przypadkowi i jego siedziba przypominała skarbiec - opuszczenie jej bez zgody właściciela wydawało się raczej niemożliwe.

Podwórzec był cichy, marnie oświetlony czterema pochodniami: dwoma umocowanymi przy wyjeździe z bramy i dwoma u stóp stromych kamiennych schodów prowadzących na wyższe piętra. Kiedy lektyka i jej eskorta zatrzymały się jak najbliżej tych schodów, zapanowała taka cisza, jakby pałac był niezamieszkały:

- Opuść welon na twarz, donno Fioro! - poradziła Catarina. - A ty, Khatoun, pomóż mi wyjść! Nie czuję się najlepiej...

- Przecież mówiłam, że to szaleństwo - zaburczała Tatarka, przy pomocy Fiory wydobywając swoją panią spośród poduszek.

- To więcej niż szaleństwo, to poważna nieostrożność. Tym bardziej że mógłbym ją uznać za zdradę! - zagrzmiał męski głos, na dźwięk którego z piersi Catariny wyrwał się okrzyk przestachu.

- To ty? Co tu robisz? Myślałam, że jesteś w Segni? Nie odpowiedziawszy, Girolamo Riario odwrócił się w stronę Fiory i zerwał welon okrywający jej głowę. Jego obrzmiała twarz o grubo ciosanych rysach, której przepych haftowanego złotem kaftana nie zdołał uczynić dystygowaną, rozjaśniła się pełnym satysfakcji uśmiechem.

- Nareszcie się znalazłaś, moja śliczna! Na szczęście jeden z ludzi Santa Croce rozpoznał cię wtedy w nocy i śledził z brzegu, kiedy spływałaś w łodzi Tybrem. Już rano wiedziałem, gdzie jesteś...

- Dlaczego więc nie zostałam uwięziona, jak Stefano Infessura?

- Nie dlatego go pojмалиśmy. Chodzi o to, by nauczył się umiarkowania w swych pismach. Zostanie...

Nie zdołał powiedzieć nic więcej. Catarina z furią rzuciła się pomiędzy niego i Fiorę, wyciągając ramiona w ochronnym geście, któremu nie brak było wielkości.

- Ośmieliłeś się zastawić na mnie pułapkę? Na mnie?

- Przestań przyjmować te swoje pozy księżniczki! Nie ze mną takie gierki. Jestem twoim mężem, choćbym nie odpowiadał twoim wymaganiom co do ideału męczyzny. Skąd ten pomysł, że zastawiłem na ciebie pułapkę czy choćby chciałem być dla ciebie niemiły? Gdyby tak było, pojmałbym tę kobietę u Żydówki, a ją wysłałbym do więzienia, żeby przemyślała parę spraw.

- Pod jakim zarzutem? Anna zajęła się przywiezioną do niej ranną kobietą, nic więcej. Poza tym wiesz dobrze, że Ojciec Święty nie chce, by niepokojono Żydów, a zwłaszcza domostwo rabina Natana.

- Toteż poczekałem, aż nasza uciekinierka je opuści. Spodziewałem się, że się nią zajmiesz, jak tylko dowiesz się, że wyjechałem. Po wizytach twojej służącej w getcie nabrałem pewności. Jak widzisz, miałem rację, gdyż bez najmniejszego wysiłku, bez hałasu i przemocy, sprawiłem, że piękny owoc sam spadł mi w ręce.

- Nie bądź durniem, Girolamo! Dlaczego ta kobieta cię interesuje? Co masz wspólnego z polityką wuja względem króla Francji, z wsadzeniem do więzienia jakiegoś nędznego mnicha, a nawet z jakimś francuskim kardynałem?

- Zupełnie nic, masz rację. Natomiast może mi się ona przydać, nawet mimowolnie, w mojej własnej polityce zastosować wobec Medyceuszy. Poza tym... jest warta sto dukatów, a to sumka nie do pogardzenia!

- Dysponujesz skarbcem Kościoła, a zniesławiasz mnie dla stu dukatów? Jesteś potworem, niegodziwcem, parszywym...

Catarina przerwała z szeroko otwartymi ustami, po czym z rozdzierającym krzykiem zgięła się w pół, przyciskając dłońmi brzuch, i zaczęła dyszeć, jakby właśnie zakończyła długi bieg. Khatoun, z oczami pełnymi niepokoju, rzuciła się, by ją podtrzymać, ale Fiora zbyt dobrze jeszcze pamiętała swój poród, by nie rozpoznać jego symptomów. Spojrzała chłodno na Riaria.

- Powinieneś kazać zanieść hrabinę do jej komnaty. Dziecko, którego oczekuje, niedługo się urodzi.

- Naprawdę... tak sądzisz?

Fiora uśmiechnęła się z wyższością. Ten wielki pan odsłonił ukryte pod pancerzem uczucia zwykłego śmiertelnika, przejętego strachem i niepewnością w chwili zbliżających się narodzin pierwszego dziecka. Być może jedyny raz w życiu był w tej chwili naturalny... a nawet ludzki.

- Jestem tego pewna! - powiedziała łagodnie. - Minęło dopiero siedem miesięcy, odkąd sama przez to przeszłam.

Ale on już jej nie słuchał. W odpowiedzi na jego przeraźliwe wezwania pojawiła się grupa kobiet, która pochwyliła Catarinę i z największą

ostrożnością uniosła ją w kierunku schodów. Khatoun nie poszła z nimi. Catarina już jej nie potrzebowała i dziewczyna zamierzała zostać z Fiorą, która uśmiechnęła się i uścisnęła ją.

- Musisz też tam iść, Khatoun. Jesteś w jej służbie...

- Nie... Nadal należę do ciebie. Chcę zostać. - Po co? Nie wiem, co się ze mną stanie...

- Zaraz ci powiem - powiedział Riario. Wrócił, pozostawiając służącym zajęcie się Catarina, której krzyki słabły w miarę, jak wnoszono ją na górę. - Zaznajomisz się z zamkiem Świętego Anioła. Gdyby cię tam umieszczono zaraz po przyjeździe, jak proponowałem, uniknięto by wielu kłopotów...

- Zaoszczędziłabym papieżowi wydatku stu dukatów. Powinieneś mi podziękować.

Zaskoczony Girolamo Riario spojrział na nią osłupiałym wzrokiem, po czym nagle wybuchnął głośnym śmiechem i stanął przed młodą kobietą, podparłszy się pod boki.

- Ależ ona ma rację, szelma jedna! Wiesz co, moja śliczna - dodał, wyciągając w kierunku policzka Fiory gruby palec, przed którym się uchyliła, jakby była to osa - interesujesz mnie coraz bardziej i kiedy mój wuj skończy swoje sprawy z tobą, może moglibyśmy...

- Nic nie moglibyśmy! - ucięła Fiora. - Ty mnie nie interesujesz. Poprzestańmy zatem na tym, a skoro postanowiłeś wsadzić mnie do więzienia, ruszajmy i więcej o tym nie mówmy!

- Nie, pani, błagam! - zawołała Khatoun, wybuchając szlochami i wczepiając się w ramię Fiory. - Nie denerwuj go. Nie mogą cię wsadzić do więzienia.

- Dostyc tego! - ryknął Riario. - Idź do hrabiny, jeśli nie chcesz, by cię tam zagoniono batem! I nie zapominaj, że należysz do mnie. Drogo za ciebie zapłaciłem. Zabrać ją!

Dwóch służących chwyciło młodą niewolnicę, która płacząc i wrywając się, błagała, by pozwolono jej podzielić los dawnej pani.

- Nie zrób jej krzywdy - powiedziała poruszona Fiora. - Jest jeszcze taka młoda i taka wrażliwa. Na pewno w końcu mnie zapomni.

- Nie musisz się o nią niepokoić; moja żona dba o nią bardziej niż o swoje psy i niż o swoją czarną karlicę. Ale właściwie dziewczyna ma rację. Po co wsadzać cię do więzienia? Nie brakuje tu pokojów. Będzie lepiej, jak poczekaś tutaj, aż cię zaprowadzę przed oblicze Ojca Świętego.

W miarę jak się oswajał, ujawniała się jego prawdziwa natura i znów stawał się celnikiem z portu w Savonie, kobieciarzem i rozpustnikiem. Lakier pękał

tym szybciej, że Riario znalazł się poza zasięgiem uszu żony. Zastygła z pogardy Fiora rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Wolę każde więzienie od gościny u takiego człowieka, jak ty. Nadto byłabym ci wdzięczna za zachowanie odpowiednich form względem mnie. Nie jestem jedną z twoich kurtyzan, lecz hrabiną de Selongey, wdową po kawalerze Złotego Runa!

Uśmiechnął się złośliwie, ukazując zepsute zęby.

- Piękne nazwisko! Spiesz się, by je wykorzystać! Coś mi mówi, że już niedługo będziesz je nosić... Skoro jednak pani hrabina wybiera więzienie - dodał z groteskowym ukłonem - będę miał zaszczyt osobiście ją tam zawieźć!

## Rozdział dziesiąty

Carlo

Fiora potrzebowała naprawdę wiele hartu ducha, by nie dać się pokonać wściekłości i zwątpieniu, które ją opanowały, gdy w otoczeniu strażników podążała za Riariem niekończącym się spiralnym korytarzem wznoszącym się pochyło wewnątrz zamku Świętego Anioła i wiodącym na tarasy, do apartamentów gubernatora, a także do więzienia. Od chwili przybycia do Rzymu wciąż poruszała się wokół papieskiej fortecy i to, że w końcu się w niej znalazła, dowodziło, iż cały czas przeznaczone jej było osadzenie tutaj. Tyle wysiłków po to, by w końcu tu wylądować! Pewnie rozśmieszyłyby ją to do łez, gdyby nie dotyczyło to jej życia, a epizod mający miejsce u Anny Żydówki skłaniał do refleksji. Dlaczego bowiem hrabina Catarina nalegała, by zabrać ją do siebie, skoro zamierzała wyjechać z Rzymu? A nade wszystko - dlaczego ona sama jej posłuchała i przyjechała tu z nią? Przecież żona Riaria mogła równie dobrze bez zabierania Fiory do siebie powiadomić ją o niebezpieczeństwie grożącym Medyceuszom i zapewnić środki potrzebne, by mogła ich uprzedzić. Czy kierowała się rzeczywistą troską o jej zdrowie, czy też zawiodła ją pewną ręką w sprytnie zastawioną pułapkę? W pułapkę tę zdecydowanie nie była zaangażowana Khatoun. Młoda Tatarzka z pewnością nie miała sobie nic do zarzucenia, może poza tym, że podała nowej pani imię przyjaciółki, którą odwiedzała. Konwój dotarł wreszcie na taras, nad którym górował ząbkowany mur, patrolowany przez strażę i uzbrojony w działa. Z oświetlonej od wewnątrz wartowni sączyło się żółtawe światło, w niczym niełagodzące posępności tego miejsca. Słabe światło, zapewne pochodzące z lampki nocnej, widoczne było w oknach gubernatora, przed którego mieszkaniem przysypiali dwaj żołnierze oparci na włóczniach, robiąc wrażenie, jakby lada chwila mogli się osunąć na stertę kamiennych kul przygotowanych na wypadek hipotetycznego ataku. Nad wszystkimi zabudowaniami królowało, wznosząc się ku niebu niemal u stóp archanioła, mieszkanie przeznaczone dla papieża na wypadek, gdyby jakieś nieprzyjemne wydarzenia zmusiły go do szukania schronienia. Znajdująca się na grubym murze loggia nadawała konstrukcji nieco przyjaźniejszy wyraz.

Pojawienie się hrabiego Riario obudziło wartowników i strażników. Wiedząc, że dość poważnie chory gubernator nie wstaje z łóżka, Riario poprosił o widzenie z wicegubernatorem, Albańczykiem o nazwisku Jorge, po którego natychmiast posłano.

Pojawił się po paru chwilach i Fiora pomyślała, że rzadko widywała bardziej podejrzanych osobników. Wygląd typa spod ciemnej gwiazdy zawdzięczał nie tyle dziobatej twarzy, tłustym włosom, spłaszczonemu nosowi nad wąsem jak u Mongoła i nazbyt wilgotnym ustom, co wąskim szparkom, w których niepokojąco lśniły małe oczka. Ten człowiek był okrutny i fałszywy. Ukłon, którym powitał siostrzeńca papieża, był arcydziełem wiernopoddaństwa.

- Byłeś w więzieniu - zauważył Riario. - O tej porze, w środku nocy?

- Tak. Właśnie pojmano następnego Francuza, rzekomego pielgrzyma. Był w tawernie na Campo dei Fiori. Właściciel powiadomił Soldana, który go aresztował, zresztą nie bez kłopotów: trzeba było dwunastu ludzi, by go ujarzmić, bo trzech powalił...

- Dziwny pielgrzym! Dlaczego wezwano Soldana?

- Ten człowiek zadawał pytania. Szukał kobiety, swojej rodaczki, która podobno przybyła modlić się u grobu Piotrowego i znikła wiele miesięcy temu. Ta kobieta jest ponoć... bardzo piękna.

Riario złapał Fiorę za ramię i pociągnął w kierunku światła pochodni.

- Może taka, jak ta?

Tamten rozciągnął usta w czymś, co przypominało uśmiech.

- Coś podobnego! Wreszcie ją odnalazłeś, panie?

- Nie bez trudu. Przyprowadziłem ją tutaj, byś ją przetrzymał do czasu, aż Ojciec Święty zechce ją zobaczyć. Co do tego Francuza, to jeśli dobrze rozumiałem, teraz dla odmiany ty zadawałeś mu pytania?

- Dokładnie tak, panie! Chcesz zobaczyć?

- Pójdziemy tam oboje! Prawda, pani hrabino? To może być interesujące.

Fiora chciała się cofnąć, ale nie dała rady - Riario ją trzymał, i to mocno. Chcąc nie chcąc, musiała podążyć za Albańczykiem po wąskich schodach schodzących w głąb olbrzymiej wieży. Serce ścisnęła jej trudna do opanowania trwoga na myśl, że za chwilę zostanie najprawdopodobniej wprowadzona do izby tortur, aby patrzeć na męki jakiegoś Francuza, i to Francuza, który niewątpliwie szukał właśnie jej. Choćby go nie znała, czekała ją straszliwa próba.

Jorge zatrzymał się przed poczerniałymi dębowymi drzwiami, których nie wyposażono w żaden rygiel, a nawet pozostawiono uchylone, przepuszczając czerwone światło. Zza nich dochodziło dyszenie kogoś, kto najwidoczniej walczył z cierpieniem.

Widok, który ujrzała, był jeszcze gorszy od tego, czego się spodziewała: jakiś mężczyzna leżał na ławie, a na nadgarstkach i kostkach nóg zaciśnięte miał żelazne obręcze połączone z kołowrotem służącym do rozciągania

członków aż do ich rozerwania. Straszliwa maszyna była unieruchomiona z powodu nieobecności wicegubernatora, a kat, gigantyczny, nagi do pasa Murzyn, czekał spokojnie obok ofiary, z założonymi ramionami czekając na kolejne polecenia. Fiora nie miała najmniejszego problemu z rozpoznaniem tej twarzy o zamkniętych oczach, poblądłej z bólu: to był Douglas Mortimer, dowódca gwardii szkockiej króla Francji i jeden z jej najbliższych przyjaciół.

Nie mogła powstrzymać drżenia, co nie uszło uwagi Riaria, podobnie jak nagła bladość jej policzków.

- Coś mi mówi, że się znacie? - powiedział z perfidnym uśmiechem.

Fiora zdołała się opanować. Prosząc w myślach Boga, by Mortimer nie był nieprzytomny i mógł ją usłyszeć, oświadczyła, pewnie nieco głośniejszym głosem niż było to konieczne i z oburzeniem, którego rozmiarów nie musiała udawać:

- Oczywiście, że go znam! To intendent z mojej posiadłości w La Rabaudiere. Jest do mnie bardzo przywiązany i nie dziwię się, że zaczął mnie szukać. Minęły miesiące, odkąd zostałam porwana.

- Twój intendent? Sugerujesz, że to zwykły wieśniak? Jak to więc możliwe, że przybył do Rzymu? Kto mógł mu powiedzieć, że tu jesteś?

- Jak to kto? Wydawało mi się, że po moim przyjeździe tutaj kardynał d'Estouteville wysłał umyślnego do Plessis-lez-Tours, by przekazać królowi Ludwikowi żądania papieża? Mój dom sąsiaduje z zamkiem królewskim i moi ludzie musieli się szybko dowiedzieć o moim losie. A propos - czy król nie wysłał jakiegoś posłańca, pełnomocnika, listu czy czegokolwiek innego w odpowiedzi na pismo kardynała?

- Niczego nie wysłał! - odpowiedział Riario, wzruszając ramionami. - Pewnie nie jesteś tak ważna, jak to sobie wyobrażał mój wuj.

- To cholerne parszywe kłamstwo! - rozległ się głos, który zdawał się wydobywać spod ziemi, a który należał do Mortimera we własnej osobie. Mimo tragicznej sytuacji w jego niebieskich oczach, teraz szeroko otwartych, błyszczały wesołe ogniki, co rozgrzało serce Fiory. Bogu dzięki, usłyszał ją, rozpoznał, a we dwoje może zdołają przechytryć obserwowanego ich celnika przebranego za księcia.

- Aha, teraz się odzywasz? - warknął Riario. - Może zechcesz nam chociaż powiedzieć, jak się nazywasz?

- Nazywa się Gaucher - powiedziała Fiora - Gaucher Le Puellier. Jego wuj i ciotka, Stefan i Petronela, opiekują się moją posiadłością. Pięknego jeńca złapaliście! Prościzki ze wsi, który na tym padole uznaje tylko władzę Boga i swego pana!



- Ale mimo to ośmiela się oskarżać mnie o kłamstwo! Co może wiedzieć o relacjach między królem Francji i biskupem Rzymu?

- To, co wiedzą wszyscy w Plessis, gdzie bardzo nam się cknęła za donną Fiorą - podjął rzekomy Gaucher. - Że król Ludwik wysyłał tu już dwa razy swoich ludzi... których nikt więcej nie widział!

- W naszych czasach drogi nie są zbyt bezpieczne - westchnął Riario obłudnie. - Jedno pewne: nikt tu nie przyjechał... Miałeś szczęście, przyjacielu, że dotarłeś bez szwanku. - Zbliżył się do rozciągniętego ciała i pochylił nad nim. - Jesteś pewien, że nie zostałeś wysłany przez króla? Mam wielką ochotę jeszcze trochę cię pomęczyć, choćby po to, by sprawdzić, czy nie masz jeszcze paru drobiazgów do powiedzenia.

- Jezdem wystarczająco dorosły, żeby sam się wysłać! - warknął Mortimer, siląc się na wiejski akcent. - Wszyscy u nas lubią naszą paniom i chciałem zobaczyć, co z nią zrobiliście! Ale... nie myślałem, że zobaczę ją w takim lochu!... jakby we więzieniu!

- Nie „jakby”. Jestem więźniarką, mój Gaucher. Papież wyznaczył nagrodę za moją głowę i z pewnością nie wyjdę stąd żywa! Zostałam pojmana tego wieczora, ale szukali mnie od miesiący.

- Dość tego! - zazgrzytał zębami Riario. - Nie pozwoliłem wam rozmawiać... zwłaszcza żeby opowiadać brednie! Ojciec Święty jest zbyt dobry, mój chłopcze, by skazać na śmierć tę piękną damę. Jedyne, czego chce, to wydać ją za mąż, jako że jest wdową, za florentczyka, młodego, szlachetnie urodzonego...

- I wstrętnego! - ucięła Fiora zirytowana. - Nigdy go nie poślubię, słyszysz? Możesz mnie zaciągnąć przed oblicze księdza, ale nikt mnie nie zmusi do powiedzenia „tak”. A teraz uwolnij tego chłopca, który już nie jest ci do niczego potrzebny!

- Niepotrzebny? Przeciwnie!... sądzę, że może się nam jeszcze bardzo przydać! Zamba - zwrócił się do czarnego olbrzymia - włóż no żelazne szczypce do ognia!

- Chyba nie będziesz go znowu męczyć? - zawołała Fiora. - Co więcej mógłby ci powiedzieć?

- Pewnie nic, ale za to ty możesz pewnie jeszcze sporo powiedzieć? Na przykład jedno małe słówko: to „tak”, przed którym się tak wzbranasz? - Po czym dodał, zmieniając ton: - Albo przysięgniesz, że zgodzisz się na małżeństwo, albo, słowo hrabiego Riario, na twoich oczach żywcem obedzę tego człowieka ze skóry!

- Oszalałeś? - zawołała Fiora przerażona.

- Nie sędę, ale wiem, czego chcę, czego chce Ojciec Święty, i na pewno zdołamy cię do tego skłonić, gdyż jak już wyjdiesz za Carla Pazziego, nie będziemy zupełnie musieli się tobą przejmować

- Chyba się na to nie zgodzisz? - jęknął Mortimer. - Nikt nie ma prawa cię zmuszać...

- Ależ owszem. Ten, kto jest silniejszy! Decyduj, donno Fiore, byle szybko! Spójrz, jaką piękną czerwoną barwę mają te żelaza! Zamba nie może się doczekać. Nic nie sprawia mu takiej przyjemności, jak obdzieranie ludzi ze skóry! No, Zamba, pomóż trochę pani hrabinie!

Kat chwycił przez skórzaną rękawicę jeden z prętów tkwiących w ogniu płonącym w koszu żarowym. Fiore zawyła, jakby rozpalone żelazo zagłębiło się w jej własnej skórze.

- Nie!... - Później dodała ciszej: - Uwolnisz go, jeśli przysięgnę?

- Natychmiast.

- Jaką mam gwarancję? Co mnie upewni, że jak już będziesz miał moje słowo, nie każesz poderżnąć gardła mojemu biednemu Gaucherowi?

- Ależ... dam ci słowo!

- Wybacz, ale jakoś wcale nie budzi to mojego zaufania. Oto, co proponuję: będzie obecny na ślubie, wraz z kardynałem d'Estouteville, a potem zostanie przekazany kardynałowi, który osobiście... i bezpiecznie odeśle go do Francji. W przeciwnym razie, klnę się na Boga, będę mówić „nie” tak długo, dopóki starczy mi tchu i będziesz mógł zabić nas oboje! I strzeż się, by nie drażnić dłużej króla Ludwika!

- A co, może wypowie nam wojnę?

- Nie, ale będziesz musiał mieć baczenie na wszystkich, którzy się do ciebie zbliżą. Lepiej niż ty wie, do czego służy złoto, i jest równie majętny, co wpływowy. Może kupić czyjekolwiek sumienie, jakiegokolwiek sprzymierzeńca, opłacić dziesięciu, stu, tysiąc najemnych zabójców. Zabił księcia Burgundii, który był znacznie potężniejszy od ciebie. Zatem dotrzymuj zobowiązań albo strzeż się!

Riario przyglądał się okrągłymi ze zdumienia oczami tej stojącej przed nim kobiecie - groźnej, strasznej, mściwej. Niejasno poczuł, że należała do rasy królewskich drapieżników, od których zawsze będzie go dzielić przepaść nie do pokonania. Jako człowiek wierzący w zabobony miał wrażenie, że w jej oczach płonie ciemny ogień, jak u starożytnych wieszczek, i poczuł, że po plecach przebiega mu dreszcz.

- Uwolnij go! - rozkazał Albańczykowi, który milcząc, niewzruszony jak posąg, przyglądał się całej scenie.

Po czym zwrócił się do młodej kobiety: - Zgadzasz się na małżeństwo?

- Tak, na warunkach, które postawiłam!

- To dobrze. Ten człowiek zostanie w więzieniu aż do ślubu. Zresztą nie potrwa to długo! Chodźmy.

- Nie zrobisz tego, pani?- zawołał Mortimer, któremu teraz kat rozcierał nadgarstki i kostki nóg z troskliwością dobrego pokojowca.

- Nie mam wyboru - powiedziała Fiora łagodnie. - Głupotą z mojej strony byłoby pozwolić, by cię zamęczył, gdyż mój syn będzie potrzebował... wszystkich bliskich mi osób. A poza tym, może zobaczymy się... później!

Dzięki swej kapitulacji Fiora spędziła resztę nocy w jednym z pokoiów przeznaczonych dla otoczenia papieża, a nie w lochach fortecy. Jego wyposażenie było raczej spartańskie, ale przynajmniej miała do dyspozycji prawdziwe łóżko i przybory toaletowe oraz wodę i mydło. Wyczerpana padła na nakryte pikowaną kapą łóżko, nie rozebrawszy się nawet.

Mimo to nie zasnęła, gdyż wydarzenia ostatniej nocy odegnały od niej sen, choć tego najbardziej potrzebowało jej zmęczone ciało. Bolało ją zranione ramię, nie miała jednak niczego, by zmienić opatrunek, jako że niewielki bagaż, w który wyposażyła ją Anna, został w lektyce Catariny. Pozostała jej tylko sakiewka duenii Juany zawieszona u paska. Przetrasając ją w poszukiwaniu chusteczki do nosa, natrafiła na wysmukły flakonik pokryty ołowiem, który wsunęła tam Żydówka. Wyjęła go i przyglądała mu się przez chwilę. Anna dała jej truciznę, by stała się narzędziem zemsty na Hieronimie i by posłużyła do pozbycia się jej na zawsze. Teraz Fiora doszła do wniosku, że mogłaby ona stać się jej własnym wyzwoleniem, ostatnią deską ratunku przed otchłanią, w którą miała spaść i zaginąć bez śladu na zawsze. Aby uratować Mortimera, oddała się w ręce największych wrogów, ale z drugiej strony Szkot naraził się na wielkie ryzyko, aby ją uratować. Czy mogła odwdzińczyć się za to, pozwalając mu umrzeć i to w tak straszliwy sposób? Poza tym wiedziała teraz, że we Francji wciąż o niej pamiętano. Król zadał sobie trud wysłania już dwóch posłańców, a później Mortimera. Było to pocieszające, ale jego wpływy nie sięgały aż tutaj, a posłańców najprawdopodobniej spotkał tragiczny los. Ludwik XI otrzyma zapewne pewnego dnia kłamliwy list informujący go o jakimś głupim wypadku. Ona sama będzie już wtedy przypuszczalnie prawowitą małżonką Carla Pazzięgo.

Tylko jedna rzecz powstrzymała ją przed odkorkowaniem flakonika i wypiciem jego zawartości: nie była to trucizna szybko działająca. Anna powiedziała wyraźnie, że jej wróg „umrze w ciągu tygodnia, a nikt nie zdoła rozpoznać, na jaką chorobę”. Fiora z westchnieniem odłożyła flakonik na

miejsce. Na pewno któregoś dnia w zasięgu jej ręki znajdzie się jakiś nóż, a może nawet, co byłoby lepsze, natknie się na jakiś wysoki mur, z którego mogłaby się rzucić, lub na rzekę, by móc się utopić... Zdecydowanie szczęście nie było jej pisane, a skoro przekleństwo, które naznaczyło jej przyjsie na świat, wciąż działało, lepiej będzie dla wszystkich, a w szczególności dla jej dziecka, jeśli to fatum zniknie wraz z nią.

Gdy tylko podjęła tę posępną decyzję, w zadziwiający sposób poczuła się lepiej, jakby wyzwolona. Uspokoiło się bezładne bicie serca, ustała piekielna karuzela wirująca w głowie i Fiora wreszcie zasnęła.

Obudził ją dźwięk bijących rozgłosnie dzwonów. Zobaczyła, że słońce jest już dość wysoko i poczuła, że ktoś siedzi przy niej. Jej wzrok padł na czarne palce trzymające bursztynowy różaniec, a potem przeniósł się na twarz, którą nagle rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Dobrze spałaś? Domingo jest szczęśliwy, że znów cię widzi. Martwił się o ciebie.

- Dlaczego? Bo udało mi się uciec twemu panu?

- Nie, ale nawet wierny sługa może odczuwać przyjaźń dla osoby, która została powierzona jego pieczy.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Takie otrzymałem polecenie. Domingo ma cię przygotować do audiencji, której Ojciec Święty udzieli ci pod koniec tygodnia.

- Nie przypominam sobie, bym prosiła o audiencję. Ale powiedz mi: co oznacza to bicie w dzwony? Uszy mi pękają od tego hałasu...

- Nie tylko tobie, ale dziś rano jaśnie wielmożna hrabina Riario wydała na świat córkę, która otrzyma imię Bianca. Ojciec Święty jest szczęśliwy i w związku z tym w Rzymie jest święto. A przecież nie ma się z czego cieszyć - dodał Nubijczyk, z poważną miną kręcąc spowitą w turban głową. - Córka! Tyle hałasu z powodu dziewczynki! Wróćmy jednak do ciebie! Niezbyt dobrze wyglądasz, wiesz?

- Nic w tym dziwnego! Jestem ranna i jeszcze nie odzyskałam sił. Poza tym nie mam nic, by się leczyć.

- Pozwól, że Domingo się tym zajmie! Ale najpierw zdejmijmy ten czarny łach, w którym wyglądasz jak paskudny insekt!

Bez protestów pozwoliła się rozebrać. Podczas długiej podróży statkiem narodziła się między nimi zażyłość i Fiora przyzwyczaiła się nie widzieć w tym troskliwym słudze mężczyzny, którym zresztą przestał być. Rana była nieco zaogniona. Domingo oczyścił ją wódką, od czego młodej kobiecie napłynęły do oczu łzy, po czym nałożył czysty opatrunek. Skończywszy, zostawił ją samą,

by mogła się umyć, i poszedł przynieść coś do jedzenia. Przed wyjściem rozłożył na skrzyni bieliznę z cienkiego, haftowanego płótna, jedwabne pończochy, suknię z zielonego aksamitu z jedwabnymi haftami, białymi jak halka, i pasujące do całości pantofle bez pięty. Obszerna peleryna z tego samego aksamitu i długa złocista siateczka przeznaczona do podtrzymania włosów uzupełniały tę toaletę, którą każda kobieta włożyłaby z przyjemnością, lecz Fiora ledwie spojrzała na nią z roztargnieniem. O ileż wolałaby chłopski strój, który miał ją chronić w drodze do Florencji!

Jednakże poczuła się mniej przygnębiona, kiedy umyta, ubrana i uczesana usiadła do obfitego posiłku przyniesionego przez Dominga. Zawsze tak się działo w trudnych okresach jej życia: miała większy apetyt niż normalnie. Toteż, zdając sobie sprawę z formatu przeciwnika, któremu miała stawić czoło wieczorem, z zapalem zjadła wszystko, co jej podano.

W przeciwieństwie do tego, co przypuszczała, ceremoniarz Patrizi nie poprowadził jej do sali, w której została przyjęta za pierwszym razem, ale do biblioteki. Sykstus IV siedział na swego rodzaju krześle kurulnym w binoklach na nosie i czytał grubą książkę w języku greckim, leżącą przed nim na dużym pulpicie, przesuwając wzdłuż linijek małym złotym rylcem. Nie przerwał tej czynności, kiedy Patrizi wprowadził Fiorę i powiodł ją przez całe długie pomieszczenie ku poduszce ułożonej u stóp papieża, na której Fiora musiała uklęknąć, jak chciał ceremoniał. Ale nagle Sykstus IV zaczął się głośno śmiać.

- Próba walki z nieszczęściami zsyłanymi przez bogów, to dowód odwagi, lecz także szaleństwa; nikt nigdy nie przeszkodzi temu, co musi nieuchronnie nadejść... - I odwracając głowę w stronę młodej kobiety, zapytał tak naturalnie, jakby rozmawiali ze sobą poprzedniego dnia lub kilka godzin wcześniej:

- Co sądzisz o tym tekście, donno Fioro? Jest wyjątkowo piękny, nieprawdaż?

- Jeśli Wasza Świątobliwość tak mówi, to musi to być prawda. Ja osobiście niezbyt cenię Eurypidesa, a w szczególności Herkulesa szalonego. Znacznie bardziej wolę Ajschylosa. Ach! Smutny los ludzi: ich szczęście jest podobne do lekkiego szkicu; nadchodzi nieszczęście, trzy razy przesuwając wilgotną gąbką i los się dopełnia. Już od lat ścieżki mojego życia są splątane i nie mogę wytyczyć innej drogi.

Zaskoczenie papieża było nieudawane. Zdejmując okulary, spojrzał na młodą kobietę niemal z podziwem.

- Czyżbyś czytała wielkich helleńskich autorów?

- Łacińskich także, Wasza Świątobliwość. To część zwykłej edukacji wysoko urodzonych florentynek. Ponadto mój ojciec był człowiekiem

wykształconym i zapalonym bibliofilem. Jego kolekcja książek była... niemal tak duża, jak księgozbiór w pałacu Medyceuszy.

- Naprawdę? I... co się z nią stało?

- A co dzieje się z bogactwami znajdującymi się w pałacu, gdy najpierw zostaje splądrowany, a następnie spalony?

- To wielka strata! Tak... wielka strata! I nigdy nie dowiedziałas się, co...

Fiora nie mogła dłużej spokojnie tego znosić. Nie przyszła po to, by gawędzić o literaturze, a nadto ton naiwnego strapienia, który przybrał papież, wydał jej się szczytem hipokryzji. Zerwała się tak nagle, jakby wystrzeliła do góry na sprężynie.

- Co się z nimi stało? Ależ o to trzeba spytać Hieronimę Pazzi... przepraszam: panią Boscoli, tę, która, aby położyć łapę na moim majątku, nie cofnęła się przed zamordowaniem mego ojca i która nie przestaje prześladować mnie swą nienawiścią.

- Strzeż się, córko, przed pochopnym sądem! - powiedział papież surowo. - Jakże łatwo jest rzucać oskarżenia!

- Pochopny sąd? Zapytaj kogokolwiek we Florencji, a powie ci to samo! I to na pastwę tej nędznej kobiety chcesz mnie wydać! Po tym, jak chciała mnie zmusić do poślubienia tego potwora, który był jej synem, teraz zamierza przymusić mnie do oddania ręki swemu siostrzeńcowi... kolejnemu potworowi, jak słyszałam! Mnie, będącą poddaną króla Francji!

- Zgodziłaś się na to małżeństwo, czy też zostałam okłamany?

- Tak, zgodziłam się na to ostatniej nocy, pod przymusem, aby nie patrzeć na śmierć człowieka, jednego z moich przyjaciół, który obawiając się o mój los, przyjechał mnie szukać aż tutaj! A ty popierasz taką nikczemność! Ty, następca świętego Piotra, namiestnik Chrystusa!

Oczekiwała wybuchu gniewu w odpowiedzi, ale Sykstus zachował spokój. Przyglądał jej się przez chwilę znad binokli, które ponownie założył.

- Przysuń ten taboret i usiądź! Sprowadziłem cię tutaj po to, byśmy mogli porozmawiać bez świadków. No, zrób to, co mówię! Siadaj!

Usłuchała i usiadła tuż obok papieża, osłonięta podobnie jak on szerokimi skrzydłami pulpitu.

- Moje zachowanie być może cię zaskakuje - kontynuował - ale jestem dziś wyjątkowo szczęśliwy, ponieważ Pan pobłogosławił związek mojego drogiego siostrzeńca. Być może właśnie to skłania mnie do... pewnej pobłażliwości, choć od dawna budzisz mój gniew. Musieliśmy się sporo natrudzić, by cię złapać... ale dzięki temu miałem czas na zastanowienie.

- Czyżbyś zrezygnował z pozbawienia mnie głowy?

- Co za bzdury! Czy gdybym chciał cię zgładzić, byłabyś tutaj? Jednak muszę powiedzieć ci jedno: twoje małżeństwo z Carlem jest ważne dla mojej polityki. Dla mnie będzie korzystne, jeśli Fiora Beltrami zostanie Fiorą dei Pazzi. Dlatego chcę, by doszło do tego ślubu, a nie po to, by sprawić przyjemność donnie Hieronimie... która zresztą może w związku z tym odczuć pewne rozczarowanie, gdyż sprawy nie potoczą się tak, jak by chciała.

- Jak by chciała? Mogę przepowiedzieć Waszej Świątobliwości, co się ze mną stanie z chwilą, gdy znajdę się w jej domu: w bardzo krótkim czasie spotka mnie nieszczęście.

- Mówiłem o rozczarowaniu, poinformuję ją bowiem, że nie pogodzę się z żadną twoją chorobą ani wypadkiem czy czymkolwiek podobnym. Jeśli coś takiego się stanie, zostanie niezwłocznie wydana katy.

- Być może, ale ja nie zgadzam się żyć pod tym samym dachem, co ona. Nigdy nie sądziłam, że mogę kogoś tak nienawidzić, jak jej nienawidzę. Poprzysięgam jej śmierć!

- Spędzisz pod jednym dachem z tą panią tylko jedną noc: poślubną. Następnego dnia wyjedzie... w podróż w towarzystwie swego szwagra, a kiedy wróci, zamieszkaś w pałacyku w pobliżu Santa Maria in Portico, który dam Carlowi w prezencie ślubnym. I mogę ci obiecać - dodał z nikłym uśmiechem - że twoja głowa pozostanie na swoim miejscu, jeśliby przypadkiem pani Boscoli zdarzyło się coś... nieprzyjemnego! Nie czujemy do niej najmniejszej sympatii. To hałaśliwa i pospolita kobieta.

- Doceniam, Ojczy Świąty, to zapewnienie, którego zechciałeś mi udzielić, ale nie zmienia to faktu, że muszę poślubić potwora. Jeśli przypomina on nieżyjącego syna Hieronimy, to moje dni będą jeszcze oszczędniej policzone niż przez nią.

- Potwora? Nie przesadzajmy. Carlo jest brzydki i przygłupi, ale nie jest niegodziwcem. Zrobisz z nim, co zechcesz. Jestem pewien, że w końcu docenisz życie w Rzymie. Zostaniesz tu jedną z pierwszych dam...

- Nie bardzo wiem z jakiego tytułu.

- Najprostszego i niezaprzeczalnego: bo ja tego chcę. Kiedy zostaniesz moją sąsiadką, wszyscy szybko się dowiedzą, czyją jesteś protegowaną... Wyznam, że będę wówczas szczęśliwy, mogąc rozmawiać z tobą o wielkich autorach i pięknych starożytnych tekstach, które oboje lubimy.

To miłe oświadczenie zapało Fiorze dech. Było to doprawdy dziwne. Wielkie postacie tego świata, które przeznaczenie umieszczało na jej drodze, zdawały się nie mieć innego celu w życiu, niż umieszczanie jej w swoim sąsiedztwie. Ludwik XI ofiarował jej Dom w Barwinkach, Zuchwały

proponował jej w chwili euforii, że osadzi ją w swoich włościach i po zakończeniu wojny sprowadzi na swój dwór, a oto teraz papież chce ją ulokować na wzgórzu watykańskim w pałacu Santa Maria in Portico\*.

**\* Który później stanie się pałacem Lukrecji Borgii.**

- No i co? - podjął Sykstus. - Nic nie powiesz? Co sądzisz o moich planach?

- Ze świadczą o wielkiej wspaniałomyślności, Ojcze Święty... i że będą musiały mi odpowiadać. Przypominam ci jednak, że mam syna we Francji i że zamierzam sama go wychować i mieszkać z nim.

- Co za problem? Sprowadzisz go tu wraz z jego opiekunami i on także cieszyć się będzie naszymi szczególnymi względami. Zresztą gdy tylko zawrzesz małżeństwo, wyślę posłańców do króla Francji, aby go uspokoić co do twojego losu i powiadomić o szczęśliwym zakończeniu naszych spraw.

- Szczęśliwym? Czyżby król uwolnił brata Ignacia i tego kardynała, którego nazwisko wypadło mi z pamięci?

Papież zaczął się śmiać. Był to radosny śmiech małego chłopca, któremu udała się psota.

- Wcześniej czy później odzyskam kardynała Balue\*.

**\* Zostanie uwolniony w roku 1481 i dokona żywota w Rzymie.**

Nieco dłuższa medytacja nad nieprawościami tego świata może być dla niego jedynie zbawienna. Co do tego kastylijskiego mnicha, powiadomiono mnie, że umarł i możemy już tylko modlić się za spokój jego duszy. Obaj zresztą byli dla mnie jedynie... pretekstem, aby cię tu sprowadzić. Ale, proszę, zostawmy z boku tę obmierzłą politykę i...

- Chciałabym jednak zadać Waszej Świątobliwości jeszcze jedno pytanie, jeśli pozwoli?

- Pytaj!

- Skąd ta dziwna zmiana zachowania, ta pełna kurtuazji uprzejmość, z którą się do mnie dziś odnosisz, podczas gdy spodziewałam się... gromów papieskiego gniewu? Czemu ją zawdzięczam? Tylko przyściugu na świat małej Bianki?

- Nie, oczywiście że nie. Zawdzięczasz ją dwóm okolicznościom: pierwszą jest naturalnie okazanie przez ciebie skruchy, i to było najważniejsze, ale z drugiej strony donna Catarina, nasza ukochana siostrzenica, nieustannie wstawia się za tobą, a my nie chcemy sprawiać jej przykrości.

Będiesz w niej miała najlepszą przyjaciółkę, która na pewno przyczyni się do tego, że polubisz Rzym.

Po tych pocieszających słowach papież podsunął Fiorze do ucałowania dłoń z pierścieniem i wezwał Patriziego, aby odprowadził ją z powrotem do zamku



Świętego Anioła, gdzie nie miała już długo pozostawać. Następnego dnia była Niedziela Palmowa, dzień niewłaściwy, jak wszystkie niedziele, na ceremonię ślubną. Ślub miał więc mieć miejsce w poniedziałek wieczorem w prywatnej kaplicy papieża, który osobiście miał go udzielić.

Te blisko pięćdziesiąt godzin Fiora spędziła w towarzystwie Dominga, ponownie przysłanego, by nad nią czuwał. Wobec przychylności papieża miała nadzieję na towarzystwo Khatoun, ale narodziny dziecka wymagały zapewne troski wszystkich w pałacu SanApollinare, a młoda księżna na pewno nie miała ochoty się z nią rozstać. Mimo wszystko te ostatnie chwile niewoli minęły bardzo szybko, i to nie tylko dlatego, że Domingo starał się rozerwać ją grą w szachy i spacerami po tarasach zamku, skąd mogła swobodnie kontemplować całą panoramę Rzymu, lecz także dlatego, że upływające nieubłaganie godziny były ostatnimi przed zmianą całego jej życia, która przerażała ją mimo zapewnień papieża. Chcąc nie chcąc, miała stać się jedną z Pazzich, a sama myśl o noszeniu tego zniechęcającego nazwiska budziła w niej obrzydzenie. Myślała także o Mortimerze, uwięzionym w tym samym zamku, z którym mimo próśb nie pozwolono jej się zobaczyć. Czy będzie mógł swobodnie wrócić do Francji? Riario to obiecał, ale czy do słów tego człowieka można było mieć zaufanie? Była jeszcze jedna obawa, która nie dawała jej spać w ciągu tych dwóch ostatnich nocy: groźba wisząca nad Medyceuszami. Fiora aż za dobrze wiedziała, co to będzie za „podróż”, w którą udadzą się nazajutrz po jej ślubie Francesco i Hieronima. Szykowali się na tryumf, chcieli być obecni przy ostatnim akcie dramatu, który uczyni z ich rodziny najbogatszy i najpotężniejszy ród we Florencji, oczywiście pod zwierzchnictwem Riaria, ale to w ich drapieżne szpony wpaść miała część majątku ofiar i cała fortuna Beltramiego, i nawet nieprzejednane prawo Florencji nie mogło się temu przeciwstawić. Myśl, że Lorenzo i Giuliano umrą, a ona nic nie może zrobić, by temu zapobiec, była dla niej nieznośna.

Toteż była najbledszą i najposepniejszą z narzeczonych, kiedy w poniedziałek wieczorem, po zachodzie słońca, Domingo przygotował jej kąpiel w wielkiej balii, którą przyniósł bez widocznego wysiłku, i powiedział, że przyszła pora na toaletę.

- Jesteś blada jak śmierć - zauważył. - Domingo będzie musiał nałożyć ci róż.

- Nikt nie oczekuje, że pójde do ołtarza z radością w sercu. Mój wygląd nie ma najmniejszego znaczenia i nie chcę żadnych barwiczek. Nie cierpię ich.

- Ojciec Święty nie będzie zadowolony.

- Mylisz się. Jedyłą rzeczą, która się dla niego liczy, to bym pozwoliła wydać się za mąż. Za mąż! Ja! Gdy tymczasem Filip...

Wybuchnęła tak gwałtownym szlochem, że przerażony Nubijczyk poszedł po ocet, aby jej zwilżyć czoło i skronie.

- Litości, uspokój się! Domingo zostanie ukarany, jeśli za chwilę pokażesz się z taką rozpaczliwą miną. Musisz być dzielna.

- Ma rację - odezwał się łagodny głosik, który natychmiast przerwał płacz Fiory. - Sądzę, że poczujesz się silniejsza, gdy przeczytasz list, który ci przynoszę!

Khatoun wzięła w dłonie głowę swej dawnej pani, by zmusić ją, aby na nią spojrziała.

- Przyszłaś? - wyszeptwała Fiora. - Puścili cię?

- Tak, ale przeczytaj ten list, proszę! A ty w tym czasie - dodała pod adresem Murzyna - przynieś kufer, który czeka na zewnątrz na mule pilnowanym przez służących hrabiny Riario.

List, rzecz jasna, był od Catariny.

W tej chwili, która musi zdawać Ci się okrutną - pisała młoda kobieta - pragnę Ci dodać otuchy tak, jak potrafię. Nie mogę Ci towarzyszyć, ale chcę Ci powiedzieć jedno: inteligentna kobieta może przyzwyczaić się do najgorszego z małżeństw z chwilą, gdy ma przyjaciół, którzy jej pomagają, a Ty masz we mnie przyjaciółkę. Khatoun, którą Ci ofiarowuję - to mój prezent ślubny - powie Ci więcej, niż mam odwagę napisać. Przyjmij także tę nową suknię, którą przywiozła. Im wspanialej będziesz wyglądać, tym więcej zyskasz w oczach mego wuja. Wkrótce się zobaczymy, gdyż od jutra zacznę się ubiegać o Twoją wizytę, co jest naturalne, gdyż muszę pozostawać w łóżku. Bądź dzielna i ufna! Ściskam Cię. Catarina.

To było jak wielki haust świeżego i ożywczego powietrza. Fiora wylała ostatnie łzy przytulona do policzka Khatoun, którą uścisnęła z głębokim wzruszeniem.

- Chociaż ciebie odzyskałam! Nie wyobrażałam sobie nawet, że czeka mnie dziś wieczorem tak wielka radość.

Z wrażeniem, że czas się cofnął, pozwoliła młodej Tatarce ubrać się we wspaniałą suknię ze złotogłowi przyniesioną przez Dominga, ale zimny dotyk metalicznej tkaniny sprawił, że zadrżała, a Khatoun pomyślała, że jest to objaw niepokoju.

- Nie myśl! - poprosiła. - Nie trzeba myśleć o tym, co było kiedyś! Dziś wieczór śnisz zły sen, ale zbudzisz się z niego.

- Tak sądzisz?

- Jestem pewna. Jutro zobaczysz hrabinę Catarinę - dodała ledwo dosłyszalnie. - Ma ci coś do powiedzenia.

Kiedy godzinę później Fiora, za którą kroczyła Khatoun, sztywna jak prawdziwa dama dworu, weszła do papieskiej kaplicy, zdawało jej się, że wnika do wnętrza mszału. Gąszcz złotych świec wydobywał blask złotych przedmiotów i ożywiały malowane postacie na freskach Melozza da Forli. Ich blask i przepych oraz jaskrawe kolory sprawiły, że postacie te wydały jej się prawdziwsze od żywych osób zgromadzonych wokół ołtarza, być może dlatego, że jej umysł i serce z całych sił wypierały rzeczywistość.

Aby odsunąć od siebie budzącą obawy chwilę, Fiora najpierw przyjrzała się papieżowi, białej plamie w obramowaniu oparcia wysokiego fotela z czerwonego aksamitu. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał złowrogiego gada. Naprzeciwko niego znajdowała się podwójna czarno-srebrna plama, na której widok Fiora poczuła taką nienawiść, że nie musiała się przyglądać twarzom, by wiedzieć, że to Hieronima i Francesco Pazzi, których obrzuciła jedynie pełnym pogardy spojrzeniem. Przed ołtarzem ujrzała dziwny kształt, rodzaj złocistego owada z długimi, cienkimi odnóżkami, o walcowatym korpusie i dużej, pozbawionej szyi głowie, którą pochylał na bok, jakby była zbyt ciężka, by można ją było utrzymać prosto. Długie, jedwabiste włosy w ciepłym kasztanowym kolorze - jedyne, co było ładne u tego chłopca w nieokreślonym wieku - otaczały twarz o wilgotnych wargach, opadającym nosie i ciężkich powiekach ledwie odsłaniających tęczówki o niemożliwym do określenia kolorze.

Zaraz po przekroczeniu progu Fiora zatrzymała się, gotowa uciec, gdyby w środku nie było tych, których obecności żądała. Jednak w cieniu papieskiego tronu odkryła purpurową samarrę kardynała kamerlinga i wysoką postać ubranego w prosty strój z brązowego sukna Mortimera, który skrzyżowawszy ramiona na piersiach, gryzł palce. Riario dotrzymał obietnicy i Fiora mogła teraz poczuć się uspokojona co do losu swojego przyjaciela... Ale kiedy jej spojrzenie napotkało wzrok Szkota, zasepiony i pełen bezsilnego gniewu, poczuła, jak jej odwaga słabnie. Tak bardzo kojarzył jej się z niedawną przeszłością, przeszłością utraconą, która z tego powodu stała się jej szczególnie droga, że miała ochotę podbiec do niego i schronić się w tych pełnych znajomej siły objęciach. Oczywiście Mortimer bez trudu rozprawiłby się z kilkoma obecnymi w kaplicy mężczyznami, w większości starymi, ale na zewnątrz byli wartownicy, a także dozorczy więzienni oraz kaci, i Fiora nie mogła się już cofnąć.

Zamierzała ruszyć w kierunku ołtarza, kiedy otworzyły się drzwi przed Girolamem Riario. Podszedł do Fiory i z uśmiechem pełnym arogancji podał jej ramię, aby położyła na nim dłoń, okazując w ten sposób wolę występowania w roli jedyne go pomysłodawcy tego małżeństwa, diabelskiego dzieła łączącego w sobie jego nienasyconą chciwość i nienawiść Hieronimy.

Fiora zawahała się przed położeniem dłoni na ręce tego mężczyzny, ale odmowa wywołałaby skandal, który może osłabiłby chwilową dobrą wolę Sykstusa. Pozwoliła się więc powieść ku temu, który miał zostać jej małżonkiem, ale spojrzawszy na niego raz jeden, zamknęła oczy, aby powściągnąć łzy, gdyż nie mogła powstrzymać się od porównania tego tak zupełnie pozbawionego jakiegokolwiek uroku mężczyzny, podśpiewującego coś pod nosem, jakby był sam, z wysoką postacią jej ukochanego Filipa, jego barczystymi ramionami, nieco sarkastycznym uśmiechem i namiętnością, której blask ujrzała wówczas w jego orzechowych oczach.

Nikt nigdy nie zajmie twojego miejsca, przysięgła w myślach cieniowi swej miłości. A ten tutaj, choćbym się miała zabić tej nocy, nie dotknie mnie ani dzisiaj, ani później!

Głos kardynała d'Estouteville sprawił, że otworzyła oczy i zobaczyła, że papież przy pomocy dwóch diakonów przywdziewa szaty liturgiczne w celu udzielenia ślubu.

- Ojciec Święty - powiedział stanowczo Francuz - proszę cię uroczyście i po raz ostatni, byś zechciał ponownie rozpatrzyć to małżeństwo. Żadna kobieta nie umiałaby się zdecydować na taki związek i trudno mi uwierzyć, by donna Fiora wyraziła na niego zgodę.

- Nie masz prawa głosu! - przerwał gwałtownie Riario. - Zgodziła się i nie ma do czego wracać!

- A jednak wróć do tego, bo to moja powinność. Jest poddaną króla Francji i nie mam ochoty znosić jego wymówek, kiedy dowie się o tym... bezsensownym związku.

- Skąd pomysł, że jest poddaną króla Francji? - zapytała cierpko Hieronima. - Zawsze była znana jako florentynka, jest też wdową po Burgundczyku. To małżeństwo, poza wszystkim innym, wynika z naturalnej kolei rzeczy, jako że kiedyś była narzeczoną Pietra, mojego biednego kochanego syna.

- Nigdy nie byłam zaręczona z twoim synem! - zawołała Fiora. - Wiem, że dla ciebie jedno kłamstwo mniej czy więcej to bez różnicy, są jednak pewne granice...

Zanosiło się na to, że rozpoczęta w ten sposób ceremonia ślubna przerodzi się w awanturę, i papież uznał, że pora interweniować. Zagrzmiął jego spiżowy głos, odbijający się od sklepienia kaplicy:

- Cisza! Uspokójcie się wszyscy! To święte miejsce, a nie targ. Nasz bracie d'Estouteville, bądź spokojny! Już jutro napiszemy do króla Francji, aby go powiadomić o tym związku, który raduje nasze ojcowskie serce. Co się zaś tyczy ciebie, Fioro Beltrami, czy wyraziłaś zgodę na poślubienie tu obecnego Carla?

- Tak, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Sądzę, że Waszej Świątobliwości nie jest on nieznany. Chcę, by młody człowiek towarzyszący dziś monsignore d'Estouteville'owi został natychmiast bezpiecznie odesłany do Plessis-lez-Tours.

Riario wybuchnął gromkim śmiechem, od którego zatrząsał mu się podwójny podbródek i zadygotał brzuch.

- Tyle hałasu o jakiegoś wieśniaka! Słowo daję, ślicznotko, sypiałaś z nim?

To już przekroczyło wytrzymałość zainteresowanego:

- Sam jesteś wieśniakiem! - zawołał. - Ja jestem oficerem gwardii szkockiej wielkiego i potężnego księcia Ludwika, jedenastego tego imienia, z łaski Boga króla Francji i Nawarry. Zostałem wysłany przez mego pana, zniechęconego tym, że dwa wyprawione przezeń poselstwa nie powróciły. Zabij mnie, jeśli chcesz, tak jak bez wątpienia zabiłeś moich poprzedników, ale nie zgadzam się, by moja wolność miała taką cenę! Uprzedzam jednak, że jeśli nie wrócę, król uzna, że chodzi o wrogi akt i nie wyśle kolejnego poselstwa, lecz wojsko.

- Wojsko? - oburzył się Sykstus IV. - Ośmieliłby się nam wypowiedzieć wojnę?

- Może niezupełnie, ale wiem, że przemyśliwa nad wysunięciem swoich dziedzicznych praw do królestwa Neapolu, bezpodstawnie znajdującego się w rękach Aragończyków. No i tak się składa, że Rzym położony jest po drodze do Neapolu...

Francesco Pazzi uznał, że nadeszła jego kolej na włączenie się do walki. Nie zmienił się od czasu, gdy Fiora widziała go po raz ostatni, w dniu giostry, kiedy pokonał Giuliana Medyceusza, walcząc o względy pięknej Simonetty. Wciąż był brzydki, przysadzisty, czarnowłosy i śniady. Jego głos był nadal tak samo zgrzytliwy, a wyraz twarzy wciąż równie odpychający.

- Słowo pozostaje słowem, a Fiora dała słowo. Żądam, by go dotrzymała.

- A ja, Douglas Mortimer, z Mortimerów de Gien Livet, nadal utrzymuję, że zostało jej ono wyrwane przemocą i że ty jesteś zwykłym kłamcą. A teraz, jeśli

chcesz, żebyśmy to rozstrzygnęli z bronią w rękę, jestem gotów walczyć w obronie donny Fiory, dopóki jeden z nas nie zginie.

- Pojedynek? - zawołał d'Estouteville. - Przypomnij sobie, Mortimer, że jesteśmy w kaplicy!

- Eminencjo, nie jestem pewien, czy ma to tutaj wielkie znaczenie. Sam słyszałem, że księżę Mediolanu został w ubiegłym roku zamordowany, gdy wychodził z kościoła. Najwidoczniej takie są w tym kraju obyczaje!

- Dostyc tego! - ryknął papież, którego twarz stała się ceglastoczerwona. - Mamy zamiar skończyć z tym natychmiast. Donno Fioro, za godzinę ten... oficer opuści Rzym z listem, który napiszemy do króla Francji i z glejtem podpisanym naszą ręką. Czy jesteś gotowa wypełnić na tych warunkach swoją część umowy?

Nie odpowiedziawszy, Fiora podeszła do Szkota, wspięła się na palce i złożyła pocałunek na jego policzku.

- Dziękuję, przyjacielu, dziękuję za to, co chciałeś zrobić. Nie martw się już o mnie, proszę.

- Prosisz mnie o rzecz niemożliwą.

- Ależ nie. Proszę cię też, byś czuwał nad moim synem do chwili, gdy będę mogła do niego wrócić, co będzie teraz moim jedynym celem.

- I poślubisz tego...

- Ciii! Dałam słowo i dotrzymam go. Niech Bóg ma cię w swojej opiece!

- Co mam powiedzieć królowi Ludwikowi?

- Powiedz, że mu dziękuję z głębi serca za trud, który sobie zadał w mojej sprawie, i to wtedy, gdy właśnie odrzuciłam jego opiekę z powodu egzekucji mojego małżonka. Nie potrafię nie żywić dla niego przyjaźni...

Nie mówiąc już nic więcej, podeszła do ołtarza i zajęła miejsce u boku Carla Pazziego, który przestał podśpiewywać. Odwrócił głowę w jej stronę i przez chwilę wydało jej się, że pomiędzy na wpół zamkniętymi powiekami pojawił się niebieski błysk.

Sapiąc i burcząc, Sykstus IV stanął naprzeciwko nich, wziął ich dłonie i zaczął mamrotać sakramentalne formułki, z których prawie niemożliwe było zrozumienie choćby jednego słowa. Najwidoczniej pilno mu było do końca i odbębniał ceremonię. Fiora nie słuchała. Zapytana o zgodę odpowiedziała ledwo słyszalnym „tak”, ale kiedy położył jej dłoń na ręce Carla, poczuła wyraźnie, że chłopak delikatnie ścisnął jej palce. Spojrzała na niego, lecz przybrał ponownie nieobecny wyraz twarzy i zdawał się pilnie przyglądać jednemu z pulchnych i kędzierzawych aniołków grających na lutni za ołtarzem.

Aby nadać wydarzeniu pozory ceremonialności, Fiora i jej nowo poślubiony mąż zostali przeprowadzeni w orszaku, przy świetle licznych pochodni, przez Borgo, aż do domostwa Francesca Pazziego, gdzie mieli zamieszkać do czasu, gdy papież dotrzyma obietnicy. Nie był to właściwie pałac, co najwyżej duży warowny budynek, przypominający bardziej skarbiec jakiegoś bankiera niż przyjemne miejsce do mieszkania, ale wewnątrz było wystarczająco luksusowe, by zadowolić nienasycony apetyt na zaszczyty i przepych grającej tam rolę pani domu Hieronimy.

Jednakże to Francesco Pazzi czynił honory pana domu, witając nową siostrzenicę. Nagle wydał się nadzwyczaj radosny, co było rzeczą niezwykłą u osoby o tak posępnej i mściwej naturze. Odsuwając Carla, który zdawał się tego nawet nie zauważyć, podał ramię Fiorze, przeprowadził ją przez próg swego domu i osobiście poprowadził do wielkiej sali, gdzie przygotowano wystawne przyjęcie. Obok najśłodszych win podano wszelkie ciasta, wszystkie łakocie mogące przypaść do gustu młodej kobiecie.

Hieronima, najwyraźniej nic nie wiedząc o przyjęciu, spojrzała na długi stół ze zdumieniem, do którego szybko dołączyła wściekłość.

- A to co znowu? Nic takiego nie kazałam szykować!

- Nie. Ja to zrobiłem i przyznasz mi prawo, mam nadzieję, do wydawania poleceń we własnym domu!

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Przyjmuję dziś wieczorem z pewnością najładniejszą kobietę we Florencji, tę, która jutro będzie jej królową... i która teraz jest moją siostrzenicą. Tak radosne wydarzenie należy uczcić.

Sam napełnił kielich winem małmazyjskim i topiąc spojrzenie w oczach Fiory, zanurzył w nim wargi, zanim go jej podał, aby udowodnić, że nie musi obawiać się trucizny, po czym sam wziął drugi kielich dla siebie i podniósł go.

- Piję za twoją urodę, Fioro, i witam cię w moim domu, który odtąd będzie twoim, tak jak ja sam będę twoim przyjacielem i... protektorem - dodał, rzucając okiem na Hieronimę, ze zmarszczonymi brwiami obserwującą tę sytuację, której nie przewidziała.

- Co się z tobą dzieje? Myślałam, że jej nienawidzisz?

- Nienawidziłem jej ojca, lecz czy można nienawidzić kwiat? Ten był jeszcze w pączku, kiedy opuściłem Florencję, gdzie uroda Simonetty przyćmiewała wszystko. Ale nie mogłem mieć Simonetty.

- I myślisz, że będziesz miał tę tutaj? Przecież nie z tobą właśnie wzięła ślub.

Francesco odwrócił się ku swemu siostrzeńcowi, który, jakby sytuacja go nie dotyczyła, podjadał z półmisków, z widocznym zadowoleniem delektując się hiszpańskim winem.

- Naprawdę uważasz, że ona kogoś poślubiła? Przypominając sobie dziwny niebieski błysk i lekki uścisk jego dłoni, Fiora pomyślała, że przyszedł czas, by włączyć się do rozmowy. Do tej chwili ograniczała się do pełnego satysfakcji przysłuchiwania się dziwnej kłótni pomiędzy swymi wrogami. Wykorzystanie požądania Pazziego, który nawet nie zadawał sobie trudu, by je ukryć, mogło być ciekawe, wypiwszy więc wino z podanego kielicha uśmiechnęła się z wdziękiem, który spowodował, że oczy mężczyzny zaśniły.

- Dziękuję ci za tak miłe przyjęcie, wuju. Jestem szczęśliwa, konstatuując, że mam w tym domu choć jednego przyjaciela i jestem teraz pewna, że przyszłość przyniesie nam szczęśliwe chwile, ale nie godzi się, bym zaniedbywała tego, który dziś wieczorem został mym małżonkiem. Jeśli pozwolisz, to właśnie z nim chcę dzielić ten kielich cypryjskiego wina i ten tort migdałowy.

- Oczywiście! Zapomnieliśmy o tradycji! Słyszysz, Carlo? Chodź tu do nas!

Pan młody potulnie usłuchał, przyjął kawałek ciasta podany przez Fiorę i opróżnił duży ślubny kielich ze srebra, z którego przed chwilą piła.

- Dziękuję - powiedział tonem dobrze wychowanego chłopczyka. - Bardzo smaczne. Czy mogę teraz iść spać?

- Oczywiście, mój mały! - powiedziała Hieronima aksamitnym głosem. - Zaraz odprowadzimy na spoczynek ciebie i twoją małżonkę. Spójrz na nią! Mam nadzieję, że ci się podoba? Nie jest, rzecz jasna, dziewczicą, ale nie powinieneś okazać się zbyt wybredny...

- Będę z nią spać?

- Tak, i zaznasz z nią przyjemności tyle razy, ile zapragniesz. .. Jest twoja, wiesz o tym, cała twoja...

- Dosyć tego! - zagrzmiał Francesco. - Na pewno nigdy nie dotknął dziewczyny i nie wiem, czemu ma służyć ta komedia. Ważne było tylko ślubne błogosławieństwo.

- Niewątpliwie, ale Carlo zasługuje na nagrodę i nie ma powodu, by go jej pozbawiać. Chcesz tej pięknej dziewczyny, prawda, Carlitto? Idź się przygotować! Sama ją zaprowadzę do waszej komnaty i rozbiore.

- Tak... tak, Carlo bardzo chce! - zawołał chłopak, klaszcząc w dłonie z idiotycznym uśmiechem, na którego widok Fiora zbladła. Czy naprawdę będzie musiała znieść tego pokurcza, oblizującego teraz grube wargi jak kot stojący przed miseczką ze śmietanką?



- Otrzymałam dziś wieczorem w prezencie od hrabiny Riario tę młodą kobietę, która niegdyś była moją służką - powiedziała, wskazując Khatoun, która stała w drzwiach do salonu nieruchoma jak posąg. - Będzie doskonale umiała mnie rozebrać.

- Przed nocą poślubną należy to do kobiet z rodziny - zaprotestowała Hieronima.

- A więc zrobicie to we dwie, i tyle! - westchnął Pazzi, który ucałował dłoń Fiory z wiele mówiącym spojrzeniem. Niewątpliwie sam chętnie zająłby się tym przyjemnym zadaniem.

Nie przyjmując ramienia podanego przez złośliwie uśmiechniętą Hieronimę, Fiora miała opuścić salon wraz z Khatoun, kiedy Pazzi wzięwszy pochodnię, podszedł do niej.

- Odprowadzę cię, aby zostać z tobą trochę dłużej. Jutro wyjeżdżamy, Hieronima i ja, w bardzo ważnych sprawach, ale wkrótce znów się zobaczymy. Albo wrócę tutaj, albo, co bardziej prawdopodobne, pošlę po ciebie i Carla. Do tego czasu czuj się tu jak u siebie.

Gdy dotarli pod drzwi ślubnej komnaty, życzył jej dobrej nocy, wzdychając tak ciężko, że rozbawiłoby ją to, gdyby jej położenie nie było tak przykre. Kiedy Hieronima chciała wejść wraz z nią do środka, Fiora ją odepchnęła.

- Nie, dalej nie pójdziesz! Zaprowadziłaś mnie tam, gdzie chciałaś, i to musi ci wystarczyć! Idź precz!

- Ale...

- Powiedziałam: precz! Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, Hieronimo, a przede wszystkim nie wyobrażaj sobie, że moja nienawiść do ciebie zniknęła!

Kiedy mimo wszystko rozwścieczona kobieta chciała wejść siłą, Francesco zastawił jej drogę.

- Rób to, co ci mówi! Zejdziemy razem na dół, Hieronimo, musimy porozmawiać!

Kobieta musiała na to przystać. Kiedy Khatoun zamknęła za nimi dwiema drzwiami przestronnej komnaty oświetlonej pochodniami, Fiora nie mogła powstrzymać westchnienia ulgi, ale nic nie powiedziała. W środku znajdowały się bowiem dwie służące, z których jedna kończyła rozścielać wielkie łoże z kolumnkami i ciężkimi kotarami, druga zaś układała w wazonie ogromny pęk pachnących piwonii i wonnych lilii. Fiora dała im znak, by wyszły, co zrobiły, dygnawszy.

Ledwie drzwi się zamknęły, Fiora podbiegła do okna, otworzyła je i wychyliła się na zewnątrz. Wychodziło ono na wąskie podwórze, któremu głębię nadawało światło odbite w kaflach na dnie.

- Na co patrzysz? - zaniepokoiła się Khatoun.  
- Chciałam sprawdzić, czy jest stąd jakieś wyjście.  
- Chcesz uciec? To zdaje się trudne.  
- Wszystko zależy od tego, jakiego rodzaju wyjścia się szuka. Sądzisz, że będę dzielić łóżko z tym... z tym czymś? Ze pozwolę mu się dotknąć? Zgodziłam się na ten groteskowy ślub, ale niech nikt nie oczekuje ode mnie więcej.

- I co zrobisz? Rzucisz się z okna?

- Bez wahania, jeśli tylko spróbuje się do mnie zbliżyć.

Nie odpowiedziawszy, Khatoun uniosła brzeg sukni, wyciągnęła długi i wąski sztylet, umocowany do nogi za pomocą podwiązki, i podała go młodej kobiecie.

- Dlaczego to ty masz się poświęcić? Contessa myśli, że im prędzej zostaniesz wdową, tym lepiej. Wyjazd tych dwojga jutro rano upraszcza sprawy. Po zabiciu Carla położymy go do tego łóżka, a jutro polecimy służbie, by pozwolono mu spać. W tym czasie udamy się do pałacu Riario, skąd w męskim przebraniu będziesz mogła uciec do Florencji.

- Dlaczego ja, a nie my? Myślałam, że nie chcesz już się ze mną rozstawać?

- To prawda, ale nie umiem jeździć konno i opóźniała- . bym twoją ucieczkę. Tylko ty możesz ostrzec monsignore Lorenza o knowaniach przeciwko niemu. Zresztą, jeśli ci się uda, Francesco Pazzi i pani Hieronima nie będą mogli prawdopodobnie nigdy wrócić do Rzymu. Później dołączę do ciebie i razem wrócimy do małego Filipa! - zakończyła radośnie, jakby nakreśliła właśnie plan przyjemnej wycieczki, a nie zabójstwa połączonego z ucieczką.

Fiora potrząsnęła głową, niezbyt przekonana:

- Naprawdę sądzisz, że powrót do pałacu Riario to nie nieostrożność? Co zrobimy z hrabią Girolamo?

- Nie będzie go.

- Już słyszałam to zdanie, a widziałas, jak się potoczyły wydarzenia?

- Tym razem nie będzie zasadzki. Jutro ma z pompą poprowadzić nowo narodzoną córkę na Lateran, gdzie dziecko ma przyjąć chrzest z rąk papieża. Wiem, o której godzinie... A teraz pozwól, że położę cię do łóżka! Zaraz przyjdzie twój małżonek. Ja będę spać przed drzwiami. Wystarczy, że po mnie przyjdiesz, gdy już będzie po wszystkim.

Szybko schowała sztylet pod białymi jedwabnymi poduszkami obszytymi złotymi frędzlami, a następnie pomogła Fiorze się rozebrać i włożyć koszulę z delikatnego jedwabiu. Była najwyższa pora, gdyż z galerii dobiegł odgłos kroków. Fiora wskoczyła pod kołdrę i ledwie się nią nakryła, kiedy drzwi

otwarły się przed Franceskiem Pazzim trzymającym pochodnię i prowadzącym za rękę Carla, jakby był dzieckiem.

Młody małżonek ubrany był w brokatową szatę w wielkie purpurowo-złote kwiaty, które jeszcze bardziej uwypuklały żółtość jego cery. W jej rozcięciu widać było fałdy białego jedwabiu, co świadczyło o tym, że miał jeszcze na sobie koszulę. Mocno przyciskał ubranie do piersi. Pazzi podprowadził go do samego łoża i stał przy nim przez chwilę bez słowa, wpatrując się w Fiorę oczami jarzącymi się jak płomienie świec. Musiał sporo wypić, gdyż był bardzo czerwony, a intensywny zapach alkoholu docierał aż do niej. Młoda kobieta zobaczyła, jak jego spojrzenie zwraca się ku Carlowi, a wolną ręką Francesco szuka rękojęści sztyletu wiszącego u pasa. Poczowała żądzę mordu płonąca w tym mężczyźnie znajdującym się pod wpływem wina i pomyślała, że może dzięki niemu nie będzie musiała dopuścić się czynu, który ją przerażał. Jednak wtedy znalazłaby się w jego władzy bez większych możliwości obrony. Zabicie Pazziego w jego własnym domu równałoby się ściągnięciu sobie na głowę nie tylko Hieronimy, ale całej służby.

Trwało to tylko chwilę. Broń nie została wyjęta z haftowanej pochwy. Pełnym wściekłości ruchem Pazzi wymierzył cios pięścią w plecy swego siostrzeńca, po czym odwróciwszy się na pięcie, złapał Khatoun za ramię i wywłókł ją z pokoju, a drzwi trzasnęły za nimi z hukiem. Fiora i jej nowo poślubiony mąż zostali sami, twarzą w twarz...

Chłopak nie zareagował na cios Pazziego bardziej, niż gdyby był workiem trocin. Zgiął się tylko wół, a potem wyprostował i przez chwilę pozostał nieruchomy, aż Fiora zaczęła się zastanawiać, czy nie zasnął. Ale zrozumiała, że nasłuchuje oddalających się lekko niepewnych kroków wuja. Kiedy nastąpiła cisza, Carlo natychmiast ożył i żwawym krokiem podszedł do drzwi, otworzył je, wystawił głowę na zewnątrz, wymruczał coś, czego Fiora nie dosłyszała, wziął pozostawiony w zamku klucz, włożył go od wewnątrz i wreszcie zamknął drzwi, przekręcając go dwukrotnie, co zaniepokoiło Fiorę. Powoli wsunęła dłoń pod poduszkę, sięgając po sztylet.

- Zrobione! - powiedział Carlo spokojnie. - Już nikt nam nie przeszkodzi.

Oparty jedną ręką o kolumnienkę łoża, szeroko otwierając oczy o niebieskich tęczęwkach, w których pojawił się błysk wesołości, całkiem utraciwszy swój senny wygląd, patrzył na młodą kobietę i cieszył się jej zdumieniem. Nieco się wyprostował i choć nadal był brzydki, to budził znacznie mniej tej litości połączonej z obrzydzeniem, którą na ogół wywołują osoby upośledzone umysłowo.

Ponieważ Fiora nadal nie mogła wykrztusić słowa, wydał z siebie jakby gdaknięcie i zaczął się śmiać.

- Nie rób takiej miny, droga żono! To, że zdradzam ci moją tajemnicę, powinno cię uspokoić co do moich zamiarów. Zapewniam cię, że z naszego związku nie narodzą się dzieci i że możesz spać spokojnie w tym wielkim łóżu, które tak cię przeraża.

- Odgrywasz komedię? - wykrztusiła w końcu młoda kobieta. - Dlaczego?

- Aby przeżyć. Przyzwyczaiłem się do tego od lat, a pomocna mi w tym była moja fizyczna ułomność: jestem tak brzydki, że uważa się za rzecz naturalną, że jestem także idiotą.

- Aby przeżyć, mówisz? A kto ci zagraża?

- Wszyscy Pazzi z wyjątkiem mojego dziadka Jacopo, który mnie zawsze bronił. Musisz wiedzieć, że w związku ze śmiercią moich rodziców jestem po dziadku najbogatszym z rodziny, i to dlatego wuj Francesco zabrał mnie ze sobą do Rzymu, kiedy musiał opuścić Florencję. Byłem, w pewnym sensie, jego ruchomym skarbcem. Uzyskał prawo do sprawowania opieki nade mną, co pozwoliło mu na założenie w Rzymie nowego banku, jest to bowiem zręczny człowiek, ale w jego interesie jest, bym pozostał przy życiu, gdyż jeśli umrę, dziadek odbierze mu cały mój majątek. A nikt nie ośmieliłby się wywołać niezadowolenia tego patriarchy.

- Jak to możliwe, że nigdy nie słyszałam o tobie, kiedy mieszkałam we Florencji?

- Ponieważ mnie ukrywano jeszcze staranniej, niż mojego okropnego kuzyna Pietra. Dwa potwory w rodzinie to za dużo! Mieszkałem w Trespiano, w willi odziedziczonej po matce, gdzie zostawiono mnie w spokoju z moją nianią i starym księdzem, który nauczył mnie tego, czego mógł. Mam tam książki, ptaki, drzewa.

- Czy byłeś zmuszony do odgrywania tej okropnej... i na pewno wyczerpującej roli?

- Tak, gdyż gdyby podejrzewano mnie, że jestem choć trochę rozgarnięty, a więc zdolny do samodzielnego zarządzania majątkiem, od dawna bym nie żył pomimo ochrony patriarchy. Żył niegdyś w Rzymie człowiek imieniem Claudius Ahenobarbus. Udało mu się uniknąć nieustannych morderstw popełnianych w jego rodzinie dzięki temu, że udawał kretyna. Wstąpił nawet na tron cesarski...

- Czyżbyś miał podobne ambicje? - zapytała Fiora, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

- Och nie! Tylko nie to! Wszystko, czego pragnę, to powrót do Trespiano. Możliwe zresztą, że to pragnienie wkrótce się zrealizuje, ale w okolicznościach, które mnie przerażają. Jeśli wujowi Francesco i tej wstrętnej Hieronimie uda się wykonać plan, który uknuli, Girolamo Riario niczego im nie odmówi i zostaną zamordowani. Ty zresztą także, gdyż nasz ślub służył wyłącznie przechwyceniu twojego majątku.

- Ale... twój dziadek?

- Zginie w zamieszaniu, które spowoduje przejęcie władzy przez Riaria.

- Wiesz o tym? W jaki sposób mogłeś się o tym dowiedzieć?

- Nikt nie przejmuje się przygłupem, w jego obecności mówi się nawet całkiem otwarcie o wszystkim. Wiem wszystko o spisku przeciwko Medyceuszom zorganizowanym przez Pazzich z Riariem i Monteseckiem, tym pyszałkiem niemal tak szpetnym jak ja. Lorenzo i Giuliano muszą umrzeć pod koniec tygodnia, w trakcie wizyty składanej przez nowego kardynała, Rafaela Riario, który wczoraj opuścił Rzym.

- Nie wiesz, czy ustalili jakąś datę?

- Nie, ale być może będzie to Wielkanoc. Najgorsze jest to, że udało im się pozyskać całą rodzinę, nawet mojego dziadka, początkowo przeciwnego tym planom, które uważał za czyste szaleństwo. A ja nic nie mogę zrobić, choć chciałbym ich ocalić.

- Ocalić kogo? Medyceuszy? Ty, jeden z Pazzich, nie czujesz do nich nienawiści?

- Giuliano mało mnie obchodzi, to pięknoduch, ale bardzo lubię Lorenza. Jest bardzo brzydki...

- Czy to dlatego go lubisz?

- Litości, nie uważaj mnie za aż tak powierzchownego! - rzekł Carlo ze smutkiem. - Jest brzydki, powtarzam, ale co za inteligencja! I jaki urok! A poza tym próbował mi pomóc, bowiem zna pewnego greckiego lekarza, o którym mówi się zadziwiające rzeczy.

- Demetrios Lascaris! - szepnęła Fiora, w której to nazwisko poruszyło czułą strunę.

- Znasz go? Lorenzo chciał, żeby się mną zajął, ale moja droga rodzina się temu sprzeciwiła. O tak! Chciałbym móc zapobiec tej zbrodni, ale jestem więźniem mojej postaci: nie mam pieniędzy ani żadnych środków do dyspozycji, nawet wiernego sługi, i nie mogę wsiąść na konia! Mogę jeździć tylko na mule... i to niezbyt szybko.

- Ale ja mogę jeździć konno!

Wyskoczywszy z łóżka, Fiora narzuciła leżący na krześle szlafrok, wzięła Carla za rękę i posadziła obok siebie na skrzyni, która stała w nogach łoża. Szaleńcza nadzieja sprawiła, że jej serce biło jak zwariowane.

- Pomóż mi jutro opuścić ten dom. Pojadę do Florencji i pokrzyżuję ich plany!

- Jak mogę ci pomóc? Mówiłem: nie mogę ci nic dać. Wyjeżdżając rano, zabiorą wszystkie konie i najbardziej krzepkich służących.

- Ktoś da mi to, czego potrzebuję. Wiem, że po ich wyjeździe hrabina Riario zaprosi mnie do siebie. Zawieź mnie do niej na wizytę kurtuazyjną... reszta będzie należeć do niej.

- Chcesz powiedzieć, że... żona Girolama chce ocalić Medyceuszy?

- Kocha Giuliana, ale oczywiście musi zachować największą ostrożność...

Nagle Carlo położył rękę na dłoniach Fiory i przytknął palec do jej ust, po czym pochyliwszy się ku niej, wyszeptał jej do ucha:

- Płacz! Jęcz tak głośno, jak możesz!

Wskazał drzwi, które ktoś próbował bardzo delikatnie otworzyć. Zapewne była to Hieronima, gdyż Pazzi był zbyt pijany, by zachować taką ostrożność. Fiora natychmiast zaczęła jęczeć i głośno szlochać. Przystawała na chwilę, po czym znowu zaczynała, błagając, by zostawić ją w spokoju, a była przy tym tak naturalna, że Carlo cicho się roześmiał. Od czasu do czasu wydawała słaby okrzyk, jakby zadawano jej ból, później znów zaczynała łkać, zawodzić i błagać. Carlo zaś wydawał pomruki pełne całkiem przekonującego okrucieństwa. Trwało to dobrą chwilę, ku wielkiej radości uczestników szczerze ubawionych odgrywaną scenką. Po ostatnim okrzyku Fiora zamilkła, jakby Carlo ją ogłuszył. Ten wymamrotał jeszcze dwa lub trzy niewyraźne słowa, po czym nastąpiła cisza... cisza, która pozwoliła wyraźnie usłyszeć odgłos ostrożnie oddalających się kroków i szelest jedwabnej sukni.

- Uf! - westchnął Carlo. - Udało się!

- Mówiliśmy szeptem, ale całe szczęście, że masz dobry słuch.

- Nieraz już bardzo mi się to przydało! A teraz powinnaś się przespać. Z pewnością tego ci trzeba.

- A ty?

- Ja ulokuję się w tym fotelu z poduszkami.

Tenże fotel był twardy jak skała, a leżały na nim tylko dwie poduszki i to bardzo małe. Fiora zawahała się przez chwilę, po czym zaproponowała:

- Dlaczego nie miałbyś się położyć obok mnie, na łóżku? Jesteśmy teraz przyjaciółmi, a obiecałeś, że...

- Wierz mi, że ta obietnica nic mnie nie kosztuje. Jesteś niezwykle piękna, droga Fiore, aleja kocham tylko chłopców!

Zaskoczenie sprawiło, że w oczach Fiory pojawiły się znaki zapytania, co wywołało uśmiech Carla, uśmiech jednak nieco gorzki.

- Nigdy nikogo nie szokowało, nawet moich partnerów, że mój wuj hojnie płaci, pod kategorycznym warunkiem, że zachowają dyskrecję.

Ta dziwna deklaracja sprawiła Fiorze taką radość, że spontanicznie pochyliła się do Carla i pocałowała po siostrzanemu.

- Zdecydowanie jesteś małżonkiem, jakiego mogłabym sobie wymarzyć, Carlo, i nigdy wystarczająco nie podziękuję niebiosom za to, że nas połączyły. Będę od tej pory twoją siostrą i zrobię wszystko, co zdołam, żeby ci pomóc.

W niebieskich oczach chłopaka zalśniły łzy i teraz on z kolei złożył ostrożny pocałunek na policzku młodej kobiety, po czym życzywszy sobie dobrej nocy, każde z nich położyło się po swojej stronie łóżka. Chwilę później małżonkowie, odwróćni do siebie plecami, spali dobrze zasłużonym snem osób o czystych sumieniach.

## Część trzecia

Krwawa Wielkanoc

### Rozdział jedenasty

Droga do Florencji

Zapadał zmierzch, kiedy Fiora - nie do rozpoznania w męskim stroju - przekroczyła wreszcie Bramę del Popolo, z którą związane były od tylu dni jej pragnienia i nadzieje. Wszystko przebiegło jak we śnie, ale z precyzją dokładnie wyreżyserowanego baletu. Najpierw poranny wyjazd Pazziego i Hieronimy, którzy zapukali do drzwi młodej pary, lecz usłyszeli tylko wściekle przekleństwa Carla, zupełnie jakby zbyt wcześnie wyrwano go ze snu. Później bieg obojga do okna, aby upewnić się, że Pazzi opuścili pałac Borgo, po czym Fiora wróciła do łóżka, a Carlo otworzył w końcu drzwi pokoju, donośnie żądając śniadania i wzywając służącego. Następnie przybycie posłańca hrabiny Riario z zaproszeniem do złożenia przez nową panią Pazzi pierwszej wizyty, na co Carlo zgodził się, utyskując i obwieszczając, że on też pojedzie. A potem wyjechali na mułach do pałacu SanfApollinare z niewielką eskortą - czterech służących i Khatoun - Fiora zasłonięta gęstym welonem mającym ukryć ślady złego traktowania w trakcie nocy poślubnej, a Carlo z naburmuszoną miną, podążający przodem i nieustannymi wygłupami wywołujący uśmiech lub wzruszenie ramion przechodniów.

Po przybyciu do Catariny, która rzeczywiście była sama, Carlo zażądał czegoś do picia, więc z rewerencją zaprowadzono go do apartamentu Girolama, podczas gdy Fiora i Khatoun udały się do pokoju młodej hrabiny.

Był to pokój naprawdę wspaniały, cały obity lazurowym brokatem i srebrogłowem, wypełniony nieskończoną liczbą malowanych skrzyń, siedzisk i stołów, wśród których na honorowym miejscu usytuowane było ogromne łoże obciążone tym samym srebrogłowem i zwieńczone pękami niebieskich i białych piór. Catarina, tonąca w drogich koronkach, przyjęła gości z należnym ceremoniałem, po czym odesłała służące, pozostawiając przy sobie tylko Rosario, swoją ulubioną pokojówkę, do której miała pełne zaufanie.

Godzinę później Khatoun, podwyższona przez weneckie buty na wysokich koturnach, w sukni Fiory i owinięta w sławetny welon opuszczała pałac w towarzystwie Carla, który opróżnił - w większości do doniczek z drzewkami pomarańczowymi - sporo kielichów. W tym czasie Fiora ukryta w alkowie sypialni Catariny wkładała przygotowane dla niej ubranie z brązowego zamszu,



tabard ozdobiony herbami: żmiją Sforzów i różą Riariów, wysokie buty z miękkiej skóry, obszerny płaszcz do jazdy konnej i wysoką czapkę z piórami, pod którą zupełnie ukryły się jej ściśnięte siateczką włosy.

Kiedy była gotowa, Catarina wręczyła jej sakiewkę wypełnioną złotem, którego część Fiora ukryła w ubraniu, oraz list podpisany po prostu „C”.

- To do Lorenza - powiedziała. - Nie chcę, by Medyceusze uważali mnie za współniczkę Pazzich... i mojego męża. Kiedy miniesz Sienę, zdejmij tabard i zakop albo ukryj w gęstych krzakach. Strzeż się także, by nie natknąć się na tych, którzy wyjechali rano. W torbie masz plan podróży, który powinien cię ustrzec przed tym problemem. A teraz uściskaj mnie i niech Bóg ma cię w opiece! Przyślę ci Khatoun, która wróci tu tej nocy, jak tylko to będzie możliwe.

Z głębokim wzruszeniem Fiora musnęła wargami piękną twarz tej młodej kobiety, której mimo nienawistnego małżeństwa udawało się pozostać wierną sobie i swojemu rodowi. Zrobiła to bez ukrytych myśli i niepokoju: mimo młodego wieku Catarina Sforza była zdolna wykaraskać się z najtrudniejszych sytuacji, posiadała bowiem żywą inteligencję, której tak bardzo brakowało jej małżonkowi, a przed wszystkim odwagę, której był całkowicie pozbawiony. W ostatniej chwili, kiedy Rosario przypinała do pasa fałszywego młodzieńca miecz i sztylet, ostrzegła Fiorę:

- Od jutra będą cię ścigać, gdyby więc zły los sprawił, że zostaniesz pojmana, zabij się bez zastanowienia, gdyż w żaden inny sposób nie unikniesz okrutnej śmierci poprzedzonej niekończącymi się cierpieniami.

- Bądź spokojna: zapamiętam. Nie dostaną mnie żywej.

Później wszystko potoczyło się szybko. Rosario poprowadziła Fiorę bocznymi korytarzami do stajni, gdzie młoda kobieta sama wybrała i osiodłała konia, a potem otworzyła przed nią wrota. Fiora z ogromną radością dosiadła konia noszącego imię Titano i ruszyła kłusem w kierunku Corso.

Przekroczywszy bramę, gdzie wartownicy, widząc znajomy tabard, pożegnali ją zażyle, przeszła w galop, z rozkoszą czując tak długo wyczekiwany pęd powietrza - i deszcz, gdyż Wielki Tydzień zaczął się szarugą i ciemnymi chmurami - chłuszczący jej twarz. Była wolna, wreszcie wolna! Otwierała się przed nią szeroka przestrzeń przecięta przez niewyraźny zarys dawnej via Flaminia, starej rzymskiej drogi łączącej Rzym z Etrurią, której wyszczerbione płyty wytyczały szlak, ale czyniły drogę niebezpieczną dla końskich nóg. Toteż Fiora wybrała podróż szerokim, porośniętym trawą nasypem biegnącym wzdłuż zrujnowanych starożytnych grobowców. Po kilku minutach tej piekielnej jazdy koń i amazonka przekroczyli jak burza Tyber po

moście Milvio, po czym Fiora ściągnęła cugle, aby uspokoić zwierzę, zatrzymała się na moment i odwróciła. Mimo złej pogody chciała ostatni raz spojrzeć na Rzym, na to starożytne miasto cesarzy, uświęcone krwią męczenników, które obecność papieża powinna uczynić szlachetnym, czystym i prawym. Tymczasem była to ogromna kloaka najeżona pułapkami i uciekinierka pomyślała, że nigdy nie zdoła należycie podziękować Bogu za to, iż pozwolił jej wydostać się stamtąd. Jednocześnie po raz ostatni pomyślała z sympatią, a nawet z żalem - jako że miała ich zapewne nigdy więcej nie zobaczyć - o Stefanie Infessurze, o którym wiedziała, że odzyskał wolność, o Annie Żydówce, która ją leczyła, o donnie Catarinie, która została jej przyjaciółką wbrew wszystkiemu i wszystkim, wreszcie o Antonii Colonne, siostrzyczce Serafinie, którą pozostawiła w klasztorze San Sisto na pastwę oczekiwania, mającego trwać pewnie do końca życia. Skoro oni, pozostając przy życiu, oddychali powietrzem tego zepsutego miasta, mogło ono jeszcze zostać uratowane? Ale za jaką cenę?

Deszcz przypominał Fiorze, że zupełnie nie ma czasu na te filozoficzne rozważania i że poza wszystkim innym do Boga należała decyzja, czy Rzym miał istnieć nadal, czy zginąć w morzu ognia jak Sodomia i Gomora...

Postępując zgodnie z dokładnymi wskazówkami udzielonymi przez Catarinę oraz Carla, nie musiała się obawiać, że wpadnie na Francesca i Hieronimę. Przede wszystkim wyprzedzali ją o co najmniej dwanaście godzin, a poza tym posuwali się bardzo szybko, jako że Montesecco zarządził przygotowanie na całej trasie świeżych koni na zmianę. No i wreszcie dlatego, że za Sieną nie skierują się bezpośrednio do Florencji, lecz przejadą przez Poggibonsi, by na wysokości San Miniato dołączyć do legata jadącego z Pizy. Dzięki temu bez ryzyka wjadą do miasta Czerwonej Lili, wmieszawszy się w istic księżęcy orszak towarzyszący młodemu kardynałowi Riario.

Podjęte przez nich kroki mogły się nawet okazać użyteczne dla Fiory, która nosząc herb Catariny, z pewnością zdołałaby udać spóźnionego służącego i sama uzyskać świeże konie. Miała do dyspozycji bardzo mało czasu: Rafaele Riario miał wjechać do Florencji w Wielki Czwartek, a był wtorek wieczorem. Musiała przebyć około siedemdziesięciu mil w dwa dni - była to prędkość osiągalna dla wyćwiczonego jeźdźcy posiadającego dobre wierzchowce, ale znacznie trudniejsza dla młodej kobiety, która ostatnich sześć miesięcy przeżyła w zamknięciu. Będzie zmuszona zatrzymywać się, by choć odrobinę odpocząć. Hieronima podróżowała w wygodnym powozie, który zatrzymywać się będzie tylko na czas wymiany koni. Zmieni go na muła przed San Miniato i

opuści orszak u bram Florencji, by udać się bezpośrednio do Montughi, willi starego Jacopo Pazzięgo.

Ta myśl doprowadziła Fiorę do wściekłości i sprawiła, że z pogardą spojrzała na czekające ją trudy. Przypomniawszy sobie drogą Leonardę i niezliczone kataplazmy z wosku, które stosowała w trakcie kampanii Zuchwałęgo, zaśmiała się nawet sama do siebie z wesołością przynależną młodości, którą zwróciła jej odzyskana wolność...

W Viterbo, papieskim mieście, do którego przybyła w środę rano, czuła już w plecach dwadzieścia mil i całe jej ciało rozpaczliwie domagało się odrobiny odpoczynku. Koń także go potrzebował, więc wymieniła go na innego w oberży deli'Angelo, bardzo żałując, że nie może tam wynająć pokoju. Był to jeden z postojów Pazzich i lepiej było tu się nie zatrzymywać. Wierna roli spieszącego się marudera zadowolila się kupieniem sera, bochenka chleba, dzbanka cienkiego wina i kilku świec, po czym dzielnie ruszyła w dalszą drogę.

Wyjechawszy z miasta, wypatrzyła zrujnowany budynek zarośnięty bluszczem, pokrzywami i melisą, wprowadziła do niego konia, którego przywiązała do belki stropowej i usadowiła się, by zjeść, napić się i odpocząć przez trzy godziny. Nie obawiała się przekroczenia tego czasu, który sama sobie wyznaczyła, posiadała bowiem cenną zdolność budzenia się, kiedy chciała. Trzy godziny później rzeczywiście ocknęła się ze snu, zjadła i wypiła jeszcze trochę, i postanowiła ponownie ruszyć w drogę. Padający od świtu deszcz ustał i choć pogoda była pochmurna i zimna, to jednak znacznie bardziej znośna. Niestety, droga stawała się coraz trudniejsza, bardziej kręta i wkrótce galop nie był już możliwy tak często, jak wcześniej. Jednakże podróż Fiory przebiegała bez komplikacji. Tabard z herbem czynił cuda.

Za San Cjuirico d'Orcia droga wiodła wzdłuż łagodnych wzgórz Umbrii. Spokojny pejzaż naszpikowany cyprysami, tak lubianymi przez starego mistrza Giotto i przez samą Fiorę, zaczynał przypominać drogą jej Toskanie.

U podnóża jednego ze wzgórz wśród gęstych chaszczki znajdował się ostry zakręt. Wjeżdżając tam, koń niemal wpadł na wózek wyładowany wiązkami chrustu, zajmujący całą szerokość drogi. Zahamował tak gwałtownie, że Fiora mimo swojej zręczności omal nie przeleciała mu nad głową. Z wielkim trudem utrzymała się w siodle, ale wierzchowiec, przestraszony, z pianą na pysku, stanął dęba. Zza krzaków wyskoczyli obdarci, lecz uzbrojeni po same zęby mężczyźni. Jeden z nich zarzucił na głowę zwierzęcia czarną szmatę, a pozostali ustawili się wokół, wymierzając w kobietę arkebuzy.

- Rabusie! - zasyczała Fiora przez zęby. - Tylko tego mi brakowało!

Oślepiiony koń uspokoił się. Jeden z bandytów chwycił cugle i mocno je trzymał. W tym czasie inny mężczyzna, który musiał być hersztem bandy - jako jedyny nie miał arkebuz - odłączył się od reszty i podszedł, wspierając się pod boki i zadzierając nosa. A nos miał imponujący. Osobnik należał do masywnych, był raczej niski, miał szerokie ramiona i ogromne dłonie. Większą część twarzy pokrywała siwiejąca broda, dokładnie taka, jak czupryna, a pośród tej gęstwiny włosów błyszczały oczy o kpiącym spojrzeniu. Jego ubiór składał się z usianego licznymi plamami kaftana z bawolej skóry, na którym dwa czy trzy fragmenty zbroi robiły, co mogły, by nadać mu szlachetny wygląd, co byłoby zabawne, gdyby nie długaśne ostrze miecza obijającego mu się o łydki i elegancko unoszącego z tyłu strzępy czerwonego płaszcza. Strój uzupełniała brudna czapka przyozdobiona szkarłatnym piórem.

Z rozdrażnieniem przerastającym lęk Fiora przyglądała się osobnikowi, który ukłoniwszy się kurtuazyjnie, szybko sięgnął po jej miecz.

- Miałeś kiepski pomysł zatrzymując mnie, panie bandyto - westchnęła Fiora. - Bardzo się spieszę!

W gęstwinie brody błysnęły białe zęby, a mężczyzna wesoło zważył w rękę sakiewkę, która wydała zachęcający odgłos.

- No to marnie się składa, paniczu - powiedział ze śmiechem - gdyż mi także bardzo spieszo, by wejść w posiadanie tego pięknego konia. Doskonale zastąpi mojego, którego utraciłem dwa dni temu. Wydajesz mi się człowiekiem z towarzystwa, jeśli mam sądzić po tym pięknym herbie widniejącym na twojej piersi, i bez trudu zrozumiesz, że godność przywódcy nie pozwala mi dłużej chodzić pieszo. Traci na tym mój prestiż.

- Przykro mi ze względu na ciebie, ale jako że twoje życie nie jest zagrożone, natomiast wiele istnień zależy od nóg tego zwierzęcia, chciałbym to z tobą omówić.

Wypowiadając te ostatnie słowa w taki sposób, by zmieniona intonacja nie obudziła jego czujności, Fiora dobyła miecza z pochwy i z szybkością błyskawicy wymierzyła wściekły cios w pierś przeciwnika, który zwałił się na ziemię; w tej samej chwili spięła konia, którego przednie nogi uderzyły trzymającego go bandytę. Jeśli jednak liczyła na efekt zaskoczenia, aby pokonać resztę bandy, to się przeliczyła, gdyż trzej pozostali rabusie widząc poturbowanego szefa, puścili broń, rzucili się na Fiore, rozbroili ją i powalili na ziemię, zarzucając jej płaszcz na głowę. W tym czasie ich herszt pozbierał się i otrzepał brudne ubranie z gracją elegancika.

- Zawsze warto mieć na sobie kolczugę, kiedy ma się do czynienia z uczciwymi podróżnymi - zarechotał. - Zawdzięczam ci jednak kolejną dziurę w kaftanie, a to cię będzie dużo kosztować, piękny przyjacielu!

W okamgnieniu Fiora, przekonana, że nadeszła jej ostatnia godzina, została związana jak baleron i rzucona w poprzek końskiego grzbietu. W siodle z satysfakcją usiadł szef bandy.

- Jesteś nieco impulsywny, przyjacielu - powiedział, wymierzając wesołego klapsa w pośladki rzekomego posłańca - ale dochodowy. Twój mieszek zasługuje na szacunek. Natomiast... będziesz musiał mi to przeczytać - dodał, wyjmując bilecik Catariny i obracając go w palcach. - Nigdy nie miałem czasu nauczyć się czytać!

- Jeśli zależy ci na głowie, kapitanie, radzę ci zostawić ten list w spokoju - warknęła Fiora, której nos przy każdym kroku konia uderzał o skórzaną uprząż. - Zresztą sam fakt, że przeszkodziłeś mi w podróży, już jej poważnie zagroziło.

Bezczelność była jedynym możliwym ratunkiem. Nadzwyczajne, że rabuś wydawał się bardziej chciwy niż okrutny. Czyżby możliwe było dogadanie się z nim? Pozostawało dowiedzieć się, w którą stronę skłaniały się jego sympatie polityczne...

- Rzadko widziałem gadatliwe trupy, wiesz? - powiedział rabuś. - Spokojnie! Nie jedziemy daleko i będziesz mógł trochę odpocząć. Ale jeśli będziesz niegrzeczny, twój odpoczynek może stać się wiecznym spoczynkiem...

Ścieżką wijącą się wśród dębów korkowych dotarli wkrótce do wąskiego i zamaskowanego przez gęstą roślinność wejścia do jaskini znajdującej się w zboczu wzgórza.

Zapadał zmrok. Gęsiego przebyli ciemny korytarz wypełniony zapachem dymu, od którego Fiorę szczypały oczy, a drapanie w gardle wywołało kaszel. Wkrótce jednak korytarz się rozszerzył i rozjaśnił, a jej nozdrza połechtał przyjemny zapach pieczonego mięsa. Położono ją na ziemi, nieco zdrętwiała, w pobliżu ogniska, nad którym piekł się na rożnie cały baran. Herszt bandy ukucnął obok i ogrzewał dłonie przy ogniu.

- Przypominam jeszcze raz to, co już powiedziałem - rzekła spokojnie. - Im więcej czasu minie, w tym większym niebezpieczeństwie będzie twoja głowa..

- Dostyc tego! - warknął mężczyzna, rzucając jej mordercze spojrzenie. - Są rzeczy, których nie lubię słuchać nawet jeden raz. A co dopiero dwa! Mam wielką ochotę uciszyć cię na zawsze.

- Nie krępuj się! - zawołała Fiora. Jej gniew rósł proporcjonalnie do czasu, który traciła. - Ale uświadom sobie, że moje zwłoki mogą stać się dla ciebie

jeszcze bardziej niebezpieczne niż moja osoba. Nie umiesz czytać, ale jako, jak sądzę, były żołnierz, powinieneś znać te herby?

- Hm... Mediolańska żmija, tak... znam! Ale ta róża... co to jest?

- Chyba od dawna nie wychodziłeś z tej twojej jamy. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, odejźmy na stronę. Może nie masz tajemnic przed twoimi ludźmi, ale są rzeczy, o których nie mogę mówić byle komu.

Czując się pochlebiony, rabuś rozwiązał Fiorze nogi, po czym chwytając koniec sznura krępującego jej ręce, poprowadził ją w głąb groty. Tam wiązki słomy i jakieś derki tworzyły posłanie, na którym usiadł.

- No dobra! Mów!... Kim jest twój pan?

- To nie pan, lecz pani: siostrzenica papieża, donna Catarina Sforza, hrabina Riario. Wysłała mnie do Florencji... z misją specjalną, stąd ten list. Jeśli mi się nie uda, ryzykuję głową, ale ktokolwiek mi przeszkodzi, ryzykuje swoją jeszcze bardziej. Donna Catarina jest nieustępliwa, choć bardzo młoda.

Bandyta zdjął czapkę i podrapał się w głowę, wyraźnie zmagając się z trudnym problemem.

- Słyszałem o tym! Mówią, że jest tak dzielna, jak piękna, i wiadomo po kim to odziedziczyła! Ja osobiście służyłem pod jej dziadkiem, wielkim Franceskiem Sforzą. Srogi był z niego wojak! Byłem wtedy jeszcze chłopakiem, ale mogę powiedzieć, że dobrze mi było u niego. On to wiedział, jak sprawić przyjemność swoim żołnierzom...

Oczy bandyty zaśniły nagle żywszym blaskiem, a w jego głosie zabrzmiała jakaś nostalgia:

- Razem splądrowaliśmy Piacenzę, i nigdy, chłopcze, nie zobaczysz takiej grabieży ani takiego świętowania! Wybebeszyliśmy wszystkich mężczyzn, zgwałciliśmy wszystkie kobiety w wieku od dziesięciu do sześćdziesięciu lat, odszpuntowaliśmy wszystkie beczułki, a na koniec podłożyliśmy ogień. Miasto płonęło jak piekielne czeluście, a my jeszcze obalaliśmy dziewczki w rynsztokach, którymi spływało wino, krew i wnętrzności. Można było zdechnąć z gorąca, ale wypiliśmy, ile się dało. A poza tym byliśmy bogaci: pieniądze, piękne materie, żywność, nawet złoto - to wszystko Sforza dawał swoim ludziom! Mieliśmy też mniszki... a nawet braciszków zakonnych dla tych, którzy lubią te rzeczy. Ach! Daleko trzeba by szukać, by znaleźć takiego dowódcę jak on! Dzisiejsi myślą tylko o tym, żeby się ubrać w jedwabie i uniknąć ciosów. Mają delikatną skórę... Sforza... ten to miał skórę, porządną, twardą, spękaną skórę, zniszczoną przez pancerz, jak moja, a mimo to królowa Neapolu przyjmowała go w swym łożu, a Mediolan dał mu najpiękniejszą z księżniczek...

Fiora cierpliwie wysłuchiwała odgrzebującego wspomnienia bandyty, nie okazując zresztą wzruszenia tym, co słyszała: widziała wojnę z wystarczająco bliska, by znać jej okropieństwa.

- Jestem oddany donnie Catarinie tak samo, jak ty jej dziadkowi, i mogę cię zapewnić, że jest jego godna. Słuchaj! Zachowaj moją sakiewkę, ale pozwól mi zatrzymać konia i odjechać. Przysięgam ci, że po wypełnieniu mojej misji przyprowadzę ci go, a wraz z nim dwa inne, jeśli chcesz...

- Dlaczego nie dwadzieścia? Tych, które będą pod pośladkami towarzyszących ci żołnierzy? Uważasz mnie za durnia, chłopcze? Nie wierzę już w żadne obietnice, i jakom Rocco da Magione, nie narodził się jeszcze taki, który mi coś odbierze... A zwłaszcza taki gołowąs! Istna dziewczyna, słowo daję - dodał, przesuwając palcem po policzku Fiory, która omal go nie ugryzła, ale zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę.

- Ależ ja jestem dziewczyną - powiedziała cicho. Rocco odsunął palec, jakby się oparzył.

- Co ty mówisz?

- Łatwo to sprawdzić. Zdejmij mi czapkę!

Rozbójnik zdjął filcowe nakrycie głowy, odsłaniając siateczkę, którą ściśnięte były włosy młodej kobiety. Ta potrząsnęła głową i fala czarnego jedwabiu spłynęła jej na ramiona ku ogromnemu zdumieniu Rocca.

- A jednak to prawda! Kim jesteś?

- Powiem ci, ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy skoro warujesz przy tej drodze, nie widziałeś tu ostatniej nocy powozu w eskorcie jeźdźców?

- Nie w nocy, wczoraj o świcie. Dziwny orszak, wierz mi. Nie brak mi było ochoty, by wsadzić moich ludzi na te konie, ale tamci byli nieco zbyt dobrze uzbrojeni jak dla nas, skromnych rozbójników.

- Wielka szkoda! - jęknęła Fiora. - Gdybyś ich zaatakował, z pewnością zapobiegłbyś wielkiemu nieszczęściu...

- Zaraz, zaraz! Nieszczęście z pewnością spotkałoby mnie i tych zacnych chłopców, którzy się zaciągnęli do mojego oddziału. Ale wróćmy do mojego pytania: kim jesteś?

- Nazywam się Fiora Beltrami i jestem przyjaciółką donny Catariny. Aby dopełnić tego obrazu, dodam, że jestem również zaprzysięgłą nieprzyjaciółką tego gbura, jej męża... A zresztą, dosyć tego! Siedzę tu jak głupia, dyskutuję z jakimś rzezimieszkiem, a tymczasem być może Medyceusze jutro zostaną zabici!

Chciała się podnieść, ale Rocco zapobiegł temu, przewracając ją z powrotem na słomę. Jednocześnie wydał z siebie prawdziwy ryk:

- Co ty opowiadasz? Co to za historia z tym zabijaniem?

- To długa opowieść. Wiedz tylko, że spieszę się tak bardzo, bo hrabina i ja chcemy ich uratować. Ci, którzy przejeżdżali tędy wczoraj, to ich mordercy!

Zapadła cisza, a Rocco wyjął zza pasa długi nóż o groźnym wyglądzie, ale zadowolił się przecięciem sznura krępującego nadgarstki więźniarki. Następnie zaczął chodzić tam i z powrotem, wyraźnie nad czymś się zastanawiając.

- Czy sądzisz, że jeśli ci pomogę, to mogę mieć nadzieję na sowitą nagrodę?  
- zapytał, gmerając w brodzie.

- Przysięgam ci to na pamięć mego ojca, zamordowanego przez Pazzich, których tu wczoraj widziałeś na drodze. Ale dlaczego miałbyś coś zrobić dla Medyceuszy?

- Lorenzo Wspaniały uratował mi życie w Volterra. Zabiłem jedną dziewczynę, którą Vitelli zarezerwował dla siebie, więc chciał mnie za to powiesić. Lorenzo przeciął sznur i zwrócił mi wolność. To rzeczy, o których człowiek honoru nie zapomina. Ale dosyć gadania: będziemy mieli na to czas w drodze. Jadę z tobą! Zresztą w ten sposób najlepiej przypilnuję mojego konia.

- Dosiądziemy go oboje? W ten sposób raczej albo go wykończymy, albo będziemy musieli jechać stępa. Mówiłam ci, że musimy się pospieszyć!

- Ale dowiezie nas jakieś pół mili stąd? Wiem, gdzie można znaleźć konia, jeśli ma się trochę złota - dodał, głaszcząc sakiewkę, którą na sznureczkach przyczepił do pasa. A teraz chodź zjeść kawałek tego barana, który zaraz się spali... ale schowaj z powrotem włosy. Wolę, żebyś została chłopcem.

Zaproszona przez Rocca Fiora pochłonęła kawałek doskonale upieczonego mięsa i popiła je cierpkim winem, podczas gdy herszt bandy, jedząc i pijąc, przemawiał do swych ludzi, których było co najwyżej dziesięciu:

- Pojadę z tym chłopcem, gdyż proponuje mi ciekawy interes, ale niedługo wrócę. Orlando - dodał, wskazując kudłatego olbrzyma obdarzonego siłą dwóch niedźwiedzi - będzie wami dowodzić pod moją nieobecność, która nie powinna trwać znacznie dłużej niż tydzień. Siedźcie tu cicho i nie zwracajcie na siebie uwagi. Zostawię wam część złota tego chłopca i przywiozę jakieś porządne odzienie.

- Dlaczego? - warknął Orlando. - Nie będziemy już bandytami?

- Będziemy tym, czym zawsze byliśmy: żołnierzami. Kiedy wrócę, pojedziemy do Urbino. Mówią, że książę Federico de Montefeltro werbuje najemników na nową wojnę, a nasze miecze już zbyt długo rdzewieją! Zgoda?



Wszyscy się zgodzili, ale nie Fiora, która pochyliła się w stronę Rocca:

- Jesteś pewien, że nie ma tu sprzeczności? Montefeltro jest jednym z kondotierów w służbie papieża, a to wojsko mogłoby zostać wysłane na Florencję.

- Wiem, ale powiedzmy, że to... ostateczność! Zobaczymy, co się tam będzie działo. Jeśli Medyceusze zwyciężą, wstąpimy na służbę do nich. Jeśli nie... cóż, trzeba jakoś żyć, prawda?

Nie pozostało nic do dodania. Fiora spokojnie dokończyła posiłek, podczas gdy Rocco przystąpił do sprawiedliwego podziału złotych monet. Dzięki zapobiegliwemu ukryciu kilku z nich w butach i różnych miejscach w ubraniu, fakt utraty sakiewki nieszczególnie martwił Fiorę, ale poprosiła o zwrot samego woreczka. Nie zostało w nim wiele rzeczy: chusteczka do nosa i mała buteleczka ofiarowana przez Annę. Rocco przyjrzał się jej uważnie.

- Co to jest?

- Możliwość uniknięcia straszliwej śmierci w przypadku, gdybym... został schwytany.

Rocco pokiwał głową, włożył flakonik z powrotem do sakiewki i podał ją Fiorze, która zaczynała przebierać nogami z niecierpliwości. Taka strata czasu! Poza tym niepokoiła się trochę o wrażenie, jakie wywoła w drodze i na ulicach Florencji w towarzystwie tego obdartusa, który aż za bardzo wyglądał na tego, kim był...

Kiedy jednak Rocco wrócił po chwilowej nieobecności, poczuła się uspokojona. Wymienił swój, oględnie mówiąc, brudny kubrak na kaftan z grubego szarego sukna, może niezbyt czysty, ale nadający się do pokazania. Transformacji dopełniły wysokie buty, brązowy skórzany pas i płaszcz w tym samym kolorze oraz, na szczęście, długi miecz i sztylet.

- Boisz się, żebym ci nie przyniósł wstydu, co? - powiedział, wymierzając Fiorze kuksańca. - A teraz ruszajmy w drogę.

Po wyjściu z groty dosiadł konia, a Fiora usiadła za jego plecami. Zegnani życzeniami bandy ruszyli w stronę głównej drogi, z konieczności wolnym krokiem, by podwójne obciążenie nie umęczyło zwierzęcia.

\* \* \*

Noc była bardzo ciemna i zimna, trzeba było dobrze znać okolicę, by się nie zgubić, ale Rocco wiedział, gdzie jedzie, i chwilę później Fiora znalazła się w posiadaniu nowego wierzchowca zakupionego jak najbardziej legalnie u jakiegoś wieśniaka, który zdawał się dobrze znać zbójcę, a nawet utrzymywać z nim dosyć zażyłe relacje.

- Oskubujemy podróżnych, nie sąsiadów! - wyjaśnił Rocco. - Inaczej życie nie byłoby możliwe. Ten kmięć nie ma powodów, by się na mnie uskarżać, wręcz przeciwnie.

Towarzysz Fiory nie był na tyle koleżeński, by oddać jej konia. Zatrzymał go dla siebie, a młoda kobieta bynajmniej nie skorzystała na tej zamianie. Jej nowy wierzchowiec był raczej zwierzęciem roboczym niż koniem pod siodło. Ponadto okazywał pewną niezależność, która skłaniała go do obchodzenia najmniejszej kupki ziemi czy nawet do cofania się, jeśli przeszkoda wydawała mu się zbyt uciążliwa do pokonania. Rocco, bezwstydnie zaśmiewający się z rosnącej wściekłości Fiory, w końcu wziął zwierzę za uzdę, by je poprowadzić za sobą. Fiora pocieszała się myślą, że w Sienie ona i jej towarzysz będą mogli wymienić konie na nowe. Jednak w wielkiej księdze przeznaczenia zapisane było, że nie dotarła jeszcze do końca swych trudów.

Oberża delia Fontana na placu del Campo przyjęła podróżnych z szacunkiem należnym tak szlachetnym gościom, ale jej właściciel, mistrz Guido Matteotti, okazał wielkie strapienie, kiedy poprosili o świeże konie.

- Skąd miałbym je wziąć, dostojni panowie? Nie został mi nawet jeden jedyny! Nawet najmniejszy. Jedyne, co mogę wam zaoferować, to osioł, w dodatku ze sztywną nogą. No i moja córka bardzo go lubi!

- Co nam przyjdzie z osła, jak myślisz? - zagrział Rocco. - Widzisz przecież, kim jesteśmy? Mój pan, należący do dworu szlachetnego hrabiego Riario, jest posłańcem wysłanym przez Jego Świątobliwość i, wierz mi, jego misja jest pilna.

- Niech tu padnę trupem na miejscu, panie, jeśli nie mówię prawdy. Miałem cztery konie, cztery wspaniałe konie: duże, silne jak nosorożce, oko żywe, grzywa dłuższa niż kobiece włosy, ale zabrano mi je wczoraj wieczorem! Zabrano mi wszystkie cztery...

- A któż sobie na to pozwolił? Czyż nie były zastrzeżone na usługi papieża i jego ludzi?

- Oczywiście, ale widziałem już przejeżdżający duży oddział i nie sądziłem, że mogą pojawić się kolejne. Poza tym ci, którzy byli tu wczoraj, mieli argumenty nie do podważenia!

Rocco schwytał poczciwinę za kołnierz koszuli i zaczął nim porządnie potrząsać:

- A kim byli ci ludzie? Powiesz to wreszcie?

- Oddział mężczyzn jadących z Pizy. Żołnierzy! Wypili, zjedli, splądrowali mi piwniczkę i spiżarnię, sponiewierali służące i kuchcików. Prawdziwa katastrofa!

- Tracę cierpliwość! - powiedział Rocco. - Zdecydujesz się wreszcie powiedzieć, kto to był?

- A bo ja wiem? Żołnierze, mówiłem. Jechali przyłączyć się do oddziału, formowanego tu niedaleko pod dowództwem kondotiera Sanseverino. Zobaczyli moje konie i po prostu je zabrali. Ach, ja nieszczęsny!

Fiora zmarszczyła brwi i się zamyśliła. Sytuacja stawała się poważna. Rocco mówił o zbieraniu się najemników w Urbino pod przywództwem księcia Federico, a tu tworzy się drugi oddział pod Sanseverinem. Jeden na wschodzie, drugi na południowym zachodzie - diabelnie przypominało to kleszcze gotowe zacisnąć się na Florencji. Bezsprzecznie Riario dobrze przygotował swoje działania, gdyż po zabiciu Medyceuszy będzie mógł spuścić tę zgłodniałą sferę na ich miasto i zdusić je, zanim zdąży choćby drgnąć. Poza tym za papieżem stał także Ferrante di Napoli, podczas gdy sojusznicy Florencji - Mediolan i Wenecja - nawet może nie podejrzewali, co się szykuje. Nie mówiąc rzecz jasna o królu Francji, który ze względu na odległość nie był zbyt niebezpieczny dla spiskowców.

Nic nie powiedziała, ale Rocco chyba śledził tok jej myśli, gdyż uspokajająco poklepał ją po ramieniu, za co podziękowała mu wzrokiem.

- No trudno - rzekł - dołączymy do innych we Florencji, a nasze konie będą musiały wytrzymać do tego czasu. Czy w twojej ogołoconej spiżarni i splądrowanej piwniczce zostało cokolwiek, byś mógł nakarmić i napoić dwóch dzielnych żołnierzy?

Mistrz Guido, spodziewający się najgorszego, nagle odżył niczym kwiat zbyt długo wystawiony na palące słońce, a teraz zroszony świeżą, chłodną wodą przez miłosiernego ogrodnika.

- Oczywiście, dostojni panowie, oczywiście! Wejdźcie! Osobiście przyrządzę dla was smaczny omlet i wyjmę zapasy, które ukryłem dla siebie i rodziny... W tych strasznych czasach trzeba być przewidującym...

- Jesteś pewien, że nie schowałeś gdzieś dwóch koni, skoro jesteś taki zapobiegliwy? - powiedział Rocco nieco drwiąco. - Tymczasem każ zająć się naszymi! Niech im natrą nogi winem i dobrze napełnią żłoby! I niech nam podadzą dzban wina, żebyśmy mieli się czym zająć w oczekiwaniu najedzenia!

Weszli do oberży, która rzeczywiście wyglądała jak po przejściu huraganu, i podniósłszy dwa przewrócone taborety, usiedli.

- Nic jeszcze nie jest stracone - szepnął Rocco do bliskiej omdlenia Fiory, siedzącej z głową w. dłoniach. - Zostało nam tylko dwadzieścia mil do przejechania. Jestem pewien, że możemy jeszcze zdążyć na czas.

- Na koniach, które mogą paść w połowie drogi? Będziemy musieli iść pieszo... a ja umieram ze zmęczenia!

- A więc odpocznijmy! Tylko kilka godzin, ale zwierzętom pozwoli to nabrać sił na dalszą podróż. Zjedzmy, a potem pójdiesz spać, a ja w tym czasie pójdę do miasta zobaczyć, czy...

- Nie ma mowy! Jeśli ja będę wypoczywać, to ty także i przywiążę cię do siebie!

- Jak widzę, masz do mnie pełne zaufanie. W zasadzie nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. Znamy się od niedawna. Zrobimy, jak sobie życzysz, ale najpierw zjedzmy! Umieram z głodu!

- Już? Przecież nie tak dawno jedliśmy tego barana?

- Może, ale przeciwności losu wzmagają mój apetyt! A właśnie... jesteś zupełnie pewna, że nie zostało ci parę monet, by zapłacić naszemu oberżyście?

- Przecież zabrałeś mi sakiewkę, tak czy nie?

- Tak... tak, oczywiście, ale mam jakby szósty zmysł, który sprawia, że zwęszę złoto, jak świnia trufle. Przecież powiedziałaś mi, że nosisz nazwisko Beltrami?

- Powiedziałaś, ale czy to ci coś mówi?

- Drugi majątek Florencji? To coś mówi każdemu dziecku we Włoszech.

- Mówiło! Mój ojciec nie żyje...

- Wiem, ale jestem przekonany, że coś ci zostało, a córka bankiera na pewno nie wkłada wszystkich jajek do tego samego koszyka.

Mimo zmęczenia Fiora zaczęła się śmiać.

- Nie trzeba jechać do Florencji, by o tym wiedzieć, Rocco. Nie obawiaj się: dostaniesz nagrodę, którą ci obiecałam, nawet jeśli nie da ci jej Lorenzo Medyceusz...

Opuścili Sienę po zapadnięciu zmroku, tuż przed zamknięciem bram. Ulice były pełne milczących cieni, które w żałobnych strojach wracały z nabożeństwa Drogi Krzyżowej. Inne czuwać miały przez całą noc w obitych czernią i pozbawionych wszelkich ozdób kościołach, by opłakiwać śmierć Chrystusa na Golgocie. Dzwony zamilkły w Wielki Czwartek, a brak ich swojskiego dźwięku sprawił, że miasto było zdezorientowane i całkowicie oddane pokucie. Nawet niebo przyczyniało się do pogłębienia przygnębiającego nastroju, gdyż od południa padał drobny, doprowadzający do rozpacz deszcz.

W chwili gdy opuszczali oberżę, mistrz Guido postanowił udzielić podróżnym ostatniej wskazówki:

- Jeszcze słowo, dostojni panowie! Jeśli chcecie dotrzeć do celu na swoich koniach, omijajcie San Casciano in Val di Pesa!

- Dlaczego? - spytał Rocco drwiąco. - Czyżby grasowali tam bandyci?

- Tak mówili jadący stamtąd podróżni. Podobno nawet tydzień temu podejrznięto tam gardła dwóm wędrownym kaznodziejom. Tak więc bądźcie ostrożni!

- Dzięki za radę! Zabójcy, a do tego źli chrześcijanie... Lepiej dmuchać na zimne. Na szczęście jesteśmy lepiej uzbrojeni niż włóczący się braciszkanie...

Jednakże, kiedy jadąc za Rockiem, który znów prowadził za wodze jej fantastycznego wierzchowca, Fiora zjeżdżała w dół z gliniastych wzgórz, na których rozciągało się miasto, z trudem walczyła ze złymi przecuciami, które ją opanowały, odkąd dowiedziała się o niemożności wymiany koni. Nieszczęśliwe przypadki zdawały się piętrzyć na trasie tej wyprawy, którą rozpoczęła z taką nadzieją i determinacją. Lecz nie wszystko jeszcze było stracone. Przy odrobinie szczęścia mogła dotrzeć do Florencji następnego dnia, w sobotę, jeszcze przed zmrokiem, niewiele później niż orszak kardynała legata. Nie udawało jej się pozbyć ściskającego ją za gardło niepokoju. Czyżby nikczemna Hieronima i jej rodzina mieli znowu zwyciężyć? Czy naprawdę z powodu żądzy mordy i chciwości po Francescu Beltramim teraz musieli zostać złożeni w ofierze obaj Medyceusze? Przecież Bóg nie może przyznać racji papieżowi, skoro ośmielał się on wysłać zabójców do chrześcijańskiego miasta, choćby nawet Florencja wołała Platona od czterech ewangelistów. Trzeba było za wszelką cenę zdążyć na czas! Niestety, noc była bardzo ciemna, a ona nie znała tej drogi...

## Rozdział dwunasty

### Śmierć w katedrze

Rocco zresztą też nie znał drogi, a ta pełna była wszelkich możliwych pułapek. Dopiero w niedzielę o świcie dwoje podróżnych, wyczerpanych i z jednym tylko koniem, ujrzało wznoszące się na tle różowego, wreszcie wolnego od chmur nieba, mury i wieże kartuzji w Galluzzo, u bram Florencji. Wezbrane wody jednej z rzek uniemożliwiły im przejście i zmusiły do długiego objazdu. Poza tym, aby uniknąć niebezpieczeństwa sygnalizowanego przez oberżystę ze Sieny, jeszcze bardziej nadłożyli drogi i zgubili się. Wreszcie koń Rocca, potknąwszy się na wystającej skale, zrzucił jeźdźca i złamał sobie nogę. Trzeba było go zabić. Z kolei koń Fiory, nieprzyzwyczajony do długich tras i zmęczony wysiłkiem, nie był zdolny udźwignąć dwóch osób. Rocco z galanterią zgodził się iść pieszo, pozostawiając młodej kobiecie, bardzo niewygodne zresztą, siodło. Od czasu do czasu wołała iść obok niego, niewiele mówiąc, gdyż nadzieja na uratowanie Medyceuszy malała wraz z upływem czasu. Zgodziła się w końcu na propozycję Rocca, by zatrzymać się w kartuzji. O tej porannej porze bramy miasta nie były jeszcze otwarte. Ponadto z pewnością uzyskają tam najnowsze informacje. Jeśli Pazzi już uderzyli, trzeba będzie postanowić, co dalej, gdyż wówczas wejście do miasta byłoby szaleństwem. Oboje też odczuwali wielką potrzebę posilenia się.

Uśmiech brata furtiana przywrócił Fiorze ufność. Gdyby we Florencji poprzedniego dnia miała miejsce katastrofa, mnich nie miałby z pewnością tak spokojnej i pogodnej twarzy. Gdy przybysze zasiedli w sali dla gości, gdzie podano im ser i bochenek chleba, chętnie odpowiadał na ich pytania: w mieście poprzedniego dnia świętowano, pewnie aż do późnej nocy. Brat zajmujący się robieniem sprawunków wrócił zachwycony orszakiem młodego kardynała legata i wspaniałym powitaniem, jakie zgotowali mu Medyceusze. Dziś, w dniu Wielkanocy, ważnym wydarzeniem miała być msza, której monsignore Riario miał przewodniczyć w Duomo w obecności florenckich notabli i mieszkańców miasta tłumnie wypełniających katedrę...

Podczas gdy mnich poszedł po kolejny dzban chłodnej wody, Rocco zwrócił się do Fiory:

- Bramy są już pewnie otwarte. Czujesz się na siłach, by ruszać dalej?
- Trzeba. Z pewnością nie ma czego się obawiać w trakcie mszy, ale im szybciej Lorenzo zostanie ostrzeżony, tym lepiej.
- Zgadzam się, tym bardziej że msza nie budzi we mnie wielkiego zaufania...
- Zwariowałeś?

- Nie, ale mam pewne doświadczenia. Zbyt wiele bram klasztorów wyważyłem, zbyt wiele mniszek zgwałciłem, by nie wiedzieć, ile jest warta bojaźń boża, gdy w grę wchodzi władza. Ale od bram Florencji dzieli nas jeszcze ponad pół mili... i trzeba je będzie pokonać pieszo.

Choć Fiora starała się zdobyć jakiegoś wierzchowca, musieli się poddać i mimo zmęczenia kontynuować drogę na piechotę. Jednak widząc nadciągające zewsząd w stronę miasta tłumy, Fiora doszła do wniosku, że nie mogliby posuwać się szybciej, nie traktując ludzi. Chłopi ze wszystkich okolicznych wsi zmierzali do Florencji jak do nowego Jeruzalem, by podjąć próbę ujrzenia wysłannika Ojca Świętego. Tłok był tym większy, że pogoda nagle się poprawiła. Słońce, prawdziwie wielkanocne słońce, złociło całą okolicę. Dzwony budziły się jeden po drugim, swymi spiżowymi głosami obwieszczając temu padołowi zrad, wojen, mordów, ciemności i strachu, że Syn Człowieczy zmartwychwstał i przynosi na ziemię nadzieję na życie wieczne...

Ostatniej nocy Fiora ostatecznie pozbyła się zdobnego w herby tabardu, wrzucając go do rzeki po uprzednim solidnym obwiązaniu wokół dużego kamienia, ale obcisły zamszowy kaftan, choć rozsznurowany dla orzeźwienia, wydawał jej się nieznośnym ciężarem i z radością zamieniłaby wysokie buty na parę chodaków. Pełna entuzjazmu fala okolicznych mieszkańców niosła dwoje podróżnych aż do murów obronnych Florencji, na którą Fiora, zapominając o zmęczeniu i niepokoju, patrzyła z trudną do powstrzymania radością. Od tak dawna czekała na tę chwilę, najbardziej upragnioną ze wszystkich, kiedy będzie mogła znów zobaczyć ukochane miasto swego szczęśliwego dzieciństwa! Florencja przywitała ją melodią wygrywaną przez wszystkie dzwony i radosną wrzawą na przystrojonych flagami ulicach.

W miarę jak posuwali się ulicami, ludzka fala stawała się coraz potężniejsza, coraz bardziej żywiołowa.

- Nie wydostaniemy się stąd - szepnął Rocco, który nie lubił ścisku. - Czy idziemy w kierunku pałacu Medyceuszy? - spytał z niepokojem, gdy rzeka ludzi zwięzła się, by przekroczyć most Ponte Vecchio pomiędzy podwójnym rzędem sklepików o zamkniętych okiennicach.

- Tak i nie. Najpierw idziemy do Duomo. Pałac jest trochę dalej...

Przepychając się za pomocą łokci i rękojeści mieczy, zdołali posunąć się do przodu i dotarli na plac, który Fiora zapamiętała jako miejsce, gdzie zawałił się jej świat tego straszliwego dnia, gdy miał miejsce pogrzeb jej ojca. Spostrzegli wówczas jednak, że dalsze przemieszczanie się jest niemożliwe. Dostępu do wszystkich ulic broniły kordony żołnierzy.

- Przybywam z Rzymu i mam wiadomość dla monsignore Lorenza - powiedziała Fiora do jednego z dowódców. - Pozwól mi przejść! Muszę się dostać do pałacu...

- Później, chłopcze! Nie słyszałeś dzwonów? Zaczęła się msza i monsignore Lorenzo wraz z bratem i przyjaciółmi bierze w niej udział... Poczekaj! - dodał, poruszony widokiem jej mizernej, zakurzonej i wyraźnie zmęczonej twarzy. - Wprowadzę cię do kościoła. Może, przeciskając się przez tłum, dotrzesz jakoś do niego.

Prowadzona pewną ręką żołnierza Fiora znalazła się wkrótce przed wejściem do Duomo, przez którego monumentalne, szeroko otwarte wrota dobiegał dźwięk organów. Rocco podążał za nią krok w krok.

- Jak widzisz, synu, kościół jest pełen. Musisz sobie jakoś radzić! - powiedział żołnierz. - Wracam na posterunek, zanim tłum mi to uniemożliwi.

Zbliżenie się do ołtarza, przy którym musieli znajdować się Medyceusze, ich rodzina i przyjaciele, wydawało się trudne, bowiem tłum zajmował nawet centralne przejście, które zazwyczaj pozostawało puste, by wyznaczać granicę między mężczyznami i kobietami. Jednak Fiora, od dzieciństwa znająca ten kościół, zaczęła przepychać się bocznymi nawami. Do tych, którzy próbowali jej przeszkodzić w przejściu, szeptała, wymachując listem Catariny:

- Wiadomość dla monsignore Lorenza! Wiadomość dla monsignore Lorenza!

Robiło się gorąco jak w piecu. Tłum cisnący się w katedrze Santa Maria del Fiore był tak gęsty, że oddawał w olbrzymim marmurowym wnętrzu całe ciepło gromadzące się nad miastem, osuszające wreszcie rynsztoki i kałuże biota, powiększone przez nieustanne deszcze padające w Wielkim Tygodniu. Woń kadzideł, tak obficie palonych, że gęsty dym docierał aż pod ogromną kopułę, mieszała się z bardziej mdłym zapachem setek świec płonących wokół ołtarza i aromatem z wolna więdnących kwiatów, tworzących barwny kobierzec na posadzce.

W nawie głównej zgromadziło się prześwietne towarzystwo, całe w jedwabiach i aksamitach, złocące się, usiane drogimi kamieniami i bliższe książęcemu dworowi zajętemu frywolnym życiem doczesnym niż zgromadzeniu pobożnych chrześcijan zebranych, by odprawić najświętszą ofiarę. Kłaniano się sobie, gawędzono, przekazywano ledwie stłumionym głosem najświeższe plotki, najnowsze wiersze. Przyglądano się sobie. Krytykowano toalety i uczesania. Za tym wystrojonym towarzystwem przepychało się ze wszystkich sił pospólstwo pragnące ujrzeć siedzących w prezbiterium dwóch władców miasta: Lorenza, całego w czerni, ale z



przypiętym do czapki diamentem wartym fortunę, i Giuliana, w purpurze i złocie, pięknego i promiennego jak posąg Apollona i wesołego jak paź na wakacjach.

Kiedy Fiora ich wreszcie ujrzała, jej serce zabiło z radości jak szalone. Byli cali i zdrowi, i jak tylko skończy się nabożeństwo, będzie mogła im przekazać list. Bóg pozwolił, by mimo tylu przeciwności dotarła na czas! Tak dobrze było zobaczyć te twarze, które kiedyś były jej tak drogie... które wciąż były jej drogie.

W prezbiterium znajdował się także ktoś, z kim musieli dzielić tego ranka zainteresowanie zgromadzonych. Pokazywano sobie szczupłego i bladego, kruchego pod ciężarem koronek i kardynalskiej purpury, młodego, osiemnastoletniego księcia Kościoła, który wydawał się przedwcześnie dojrzały. Każdy z jego ruchów zapalał błyski na mitrze ze złotogłowiu wysadzanej drogimi kamieniami i na złotych słońcach wyhaftowanych na szkarłatnych rękawiczkach. Prawdę powiedziawszy, Rafaele Riario wyglądał na lekko spiętego, ale wszyscy tłumaczyli to jego nieśmiałością, ujmującą, a nawet wzruszającą u młodzieńca, któremu nadano tak wielką godność. Kobiety uważały go za czarującego z powodu tęsknego spojrzenia i częstego rumieńca na twarzy, ale mężczyźni, widząc jego delikatność, wypinali torsy i czuli się utwierdzeni w przekonaniu o swojej samczej wyższości; zadowoleni z siebie klasyfikowali go z odrobiną pogardliwą satysfakcją: żółtodziób!

Część kleru i księży z jego świty otaczała rodzaj tronu, na którym go usadowiono, i gdzie trochę przysypiał mimo głośniejszej gry organów i śpiewów chóru o najwyraźniej wyjątkowo potężnych głosach. W istocie w całym tym zgromadzeniu jedynie dwaj Medyceusze i kilku siedzących za nimi przyjaciół - Fiora poznała wielki nos Angela Poliziano, okulary Marsila Ficino i marzące oczy Botticellego - zdawali się uczestniczyć w wielkanocnym nabożeństwie.

Przy ołtarzu ksiądz i akolici kontynuowali odprawianie powolnego i uroczystego rytuału mszy: nastąpiła konsekracja, potem podniesienie. Ktoś z nadzwyczajną energią potrząsnął dzwonkiem. Zamarły śpiewy, ustały rozmowy, tylko organy nadal cichutko grały. Jak pole kwiatów pochyłonych nagłym powiewem wiatru, mężczyźni i kobiety uklękli. Przed świętym stołem, płonącym od świateł, kapłan odprawiający mszę, podnosząc wysoko hostię, którą padające z witraża światło zabarwiło na czerwono, zdawał się rosnąć w swym złotym ornacie. Dzwony znów zaczęły bić i nagle rozpęta! się straszliwy zamęt. Fiora pobladła...

- To niemożliwe... Nie tutaj...

- Chodźmy! - rzucił Rocco, dobywając miecza.

Naśladowując go, także wyciągnęła miecz z pochwy i ruszyła za nim. Utorowali sobie drogę w wyjąłym, ogarniętym szaleństwem tłumie i dotarli do prezbiterium.

Przed ołtarzem, na którego stopnie przerażony ksiądz upuścił kielich, trwała walka. Święte naczynie potoczyło się w dół do czerwono-złotego ciała leżącego bez życia na czarnej, marmurowej posadzce w powiększającej się kałuży krwi: Giuliano Medyceusz, piękny, wesoły, uroczy Giuliano z pewnością już nie żył, lecz mimo to ubrany na brązowo mężczyzna, na wpeł leżący na jego ciele, wciąż dźgał go sztyletem. Rocco spadł na niego jak piorun i zadał cios.

Zraniony w udo morderca poderwał się i chciał się rzucić na napastnika, ale nagły napór zszokowanego tłumy porwał zabójcę i odepchnął zwłoki na stopnie prezbiterium, gdzie przypadła do nich Fiora. W tym czasie Rocco, raptem unieruchomiony przez jakąś jęczącą kobietę, która zawisła mu na szyi, patrzył bezradnie, jak morderca znika w tłumie niczym jaszczurka w skalnej rozpadlinie.

Podczas gdy Fiora, nie godząc się z oczywistością, zastanawiała się rozpaczliwie, jakiej pomocy mogłaby udzielić temu młodzieńcowi, którego kiedyś kochała, ktoś ukląkł przy zwłokach, a szczupła, pomarszczona dłoń dotknęła szyi ofiary.

- Nic dla niego nie można zrobić - powiedział Demetrios Lascaris. - Spiskowcy dobrze zorganizowali zamach. Zauważyłem w pierwszych rzędach twarze, które mi się nie podobały...

- Ty? - szepnęła zdumiona Fiora. - A co ty tu robisz?

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie... Chodź! Powinniśmy stąd odejść.

Wokół nich wciąż trwała walka. Rocco zmagał się z jakimś dryblasem o twarzy pokrytej bliznami. Poszukali wzrokiem Lorenza i ujrzeli go - przed obliczem młodego kardynała, równie bladego i drżącego jak jego koronki, władca Florencji, zawinąwszy czarny płaszcz wokół lewego ramienia, uzbrojony tylko w paradny miecz, dzielnie się bronił przed dwoma księżmi uzbrojonymi w sztylety, którzy rzucili się na niego jednocześnie, kiedy przy podniesieniu wszyscy opuścili głowy, a Pazzi i niejaki Bandini zaatakowali Giuliana. Krew spływała z rany na jego szyi, ale nie wydawał się pokonany, i gdy walczył, cofając się krok za krokiem pośród przewracanych kandelabrow, rozdeptanego wosku i spadających zewsząd przedmiotów liturgicznych, jego czarne oczy, płonące gorączkowym ogniem w oliwkowej twarzy oceniały liczbę wrogów - tych, którzy go otaczali, i tych, którzy nadal próbowali pokonać balustradę prezbiterium, by go dosięgnąć. Jego przyjaciele,

również zaatakowani, bili się po jej drugiej stronie i nie mogli mu pomóc. Znalazł się w ogromnym niebezpieczeństwie.

- Do mnie, Medyceusze!... Palle! Palle! - zagrział i to stare zawołanie jego rodu dotarło aż do sklepienia sanktuarium.

Odpowiedziało mu zaledwie kilka rozproszonych okrzyków. Przerażona Fiora zrozumiała, że jest zgubiony. Stawiał teraz czoło czterem przeciwnikom, a jego oddech stawał się coraz krótszy. Zamierzała podbiec do niego, by miał chociaż przyzwoity miecz, podczas gdy Rocco dobijał swego przeciwnika, ale ze stali, na które się wspięli, zeskoczyli bracia Cavalcanti, uderzając z siłą kul armatnich i uwalniając przyjaciela. Mógł odetchnąć, tym bardziej że wobec tego nieoczekiwanego wsparcia dwaj księża - Antonio de Volterra i Stefano, preceptor u Pazzich - odstąpili od walki, jako że ich sztylety nie mogły sprostać mieczom bojowym. Fiora wykorzystała to, by podbiec do Lorenza i wzięwszy swój miecz za ostrze, podała mu go.

- Masz! Tym będzie ci lepiej walczyć, a ja nie umiem się nim posługiwać!

- Fiora! - szepnął z nagłą słodyczą, co wywołało tkliwość w sercu młodej kobiety, ale zaraz potem zawołał, żeby się odsunęła, żeby się ukryła. Z prawej strony prezbiterium nadbiegała uzbrojona banda, na czele której Fiora dostrzegła Francesca Pazziego. Tym razem było z nim co najmniej dwudziestu ludzi!

Podczas gdy Demetrios, zawoławszy: „Biorę to na siebie!”, odciągał na bok młodą kobietę, Rocco lekko przeskoczył balustradę i wylądował naprzeciwko bankiera.

- Zaczynam cię mieć dosyć! - zawołał, rzucając się wściekle do ataku.

Ale nagle nie wiadomo skąd pojawił się przystojny, wspaniale ubrany młodzieniec i stanął pomiędzy dwoma mężczyznami, ryzykując, że zostanie przebity na wylot.

- Zostaw tego cuchnącego psa mnie, messer! - zawołał, przyjmując pozycję do walki. - Krew na moim mieczu, to krew Giuliana. Zanurzyłem go w niej, przysięgając, że jego morderca zginie z mojej ręki. Nazywam się Francesco Nori!

Aby mu nie przeszkadzać, Rocco usunął się i znalazł się twarzą w twarz z dwoma innymi przeciwnikami.

- Walcz, młodzieńcze, ale nie daj mu uciec! I nie poślizgnij się we krwi! Wszędzie jej pełno i... dalibóg! - dodał, przebijając przeciwnika - postaramy się, by było jej więcej.

Mimo otrzymanego wsparcia walka pozostawała nierówna. Wspaniały słabł, a jego wąska pierś unosiła się z odgłosem miecha kowalskiego. Wypchnięto go poza prezbiterium i groziło mu to, że zostanie zaatakowany od tyłu.

- Do zakrystii, monsignore! - krzyknął Demetrios, który zostawiwszy Fiorę ukrytą za filarem, fechtował się sztyletem. - Zamknij się w zakrystii, dopóki nie nadejdzie pomoc!

Lorenzo skoczył do tyłu, po czym łącząc w zwarty trójkąt kilku walczących dla niego ludzi, zaczął się wycofywać, kładąc pokotem po drodze dwóch nieprzyjaciół.

- Brawo - ocenił Rocco ze znanstwem.

On sam powalił właśnie jednego z nich na czarną posadzkę. W kręgu wrogów zapanowało wówczas lekkie zamieszanie i ludzie Medyceuszy, wykorzystując tę chwilową słabość przeciwnika, wyrwali się z okrążenia, biegiem dopadli nowej zakrystii, której ciężkie wrota z brązu, niedawne, zachwycające dzieło Luca delia Robbia, zamknęły się za nimi. Prześladowcy nadaremnie walili w nie pięściami.

- Chodź - szepnął Demetrios. - Też musimy pomyśleć o jakimś schronieniu.

Nie pozostało im nic innego. Rocco, porwany wirem walki, znalazł się wraz z Lorenzem w zakrystii obleganej przez kilku spiskowców. Dotarcie do wyjścia było niemożliwością, gdyż walczący zajmowali całą długość nawy. Zdając się na Demetriosą, Fiora za jego przykładem schowała się pod ołtarzem, na którym młody Riario leżał półżywy, łkając i tuląc do siebie wielki srebrny krucyfiks. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Pod osłoną haftowanego obrusa dwójka towarzyszy przeanalizowała sytuację. Ośrodkiem największego zamieszania była zakrystia, a nawa powoli pustoszała, jako że niektórzy z walczących decydowali się na ucieczkę. Fala cofała się, pozostawiając za sobą wraki: krwawiące ciała, porzucane pośród niepotrzebnej już broni, podartych i zdeptanych kobiecych welonów, rozgniecionych kwiatów i zniszczonej biżuterii, spieszenie zbieranej przez żebraków, czołgających się jak larwy. Przez monumentalne odrzwia dostrzec można było osłoneczniony plac, z którego dobiegał straszliwy zgiełk, dowodzący, że trwały tam zażarte potyczki. Można by sądzić, że zebrało się tam całe miasto.

- Jak to możliwe, że Medyceusze przyszli bez obstawy? - spytała szeptem Fiora. - Gdzie jest Savaglio i jego ludzie? Gdzie jest gonfalonier? Wciąż jest nim Petrucchi?

Demetrios wzruszy! ramionami.

- Nikt nie mógł przewidzieć ataku w trakcie mszy. Savaglio pewnie jest w pałacu. Petrucchi zaś, skoro zaczęła bić Vacca\*, musi być w Signorii, za porządnie zamkniętymi drzwiami... Chodź, mam lepszą kryjówkę na przeczekanie tego wszystkiego.

\* **Dzwon więzienia. Uderzano weń w przypadku pożaru lub innego nieszczęścia.**

Znowu ciągnąc za sobą młodą kobietę, Grek zaczął biec, zgięty w pół, wzdłuż bocznej nawy do ciemnych schodków prowadzących do Cantorii - trybuny, na której zbierali się śpiewacy i muzycy wokół organów. Była ona pusta, lecz panujący na niej bałagan świadczył o tym, że została opuszczona w pośpiechu. Podłoga usiana była instrumentami i partyturami. Na dużym pulpicie z brązu leżały rozłożone nuty motetu, którego dźwięki zamarły w gardłach kantorów. Było to piękne dzieło, skomponowane bardzo niedawno przez messire Johannesa Ockeghema, muzyka na dworze króla Francji, wysłane przez niego dla Lorenza na święta wielkanocne. Wszystko porzucono.

- Jeśli była tu walka - rzekł Demetrios - to musieli uciekać w panice! Usiądźmy, dobrze? - dodał z nagłą pokorą. - Chciałbym się dowiedzieć, jakim cudem znalazłaś się we Florencji... oczywiście, jeśli zechcesz mi powiedzieć...

Fiora wyjęła chusteczkę, by obtrzeć twarz, do której pot przykleił brud. Sporo czasu minęło, odkąd jej kapelusz zginął w zamieszaniu, a siateczka podtrzymująca ciężar włosów, nie była wygodna. Szare oczy spojrzały na Greka z ciekawością zmieszaną z rozbawieniem. Postarzał się przez ostatnie miesiące i jego ciemne oczy były pełne melancholii.

- Dlaczego miałabym nie zechcieć? - powiedziała łagodnie, kładąc dłoń na sękatym nadgarstku starego przyjaciela. - Czy zmieniła się krew, która tu płynie?

- Przez chwilę tak myślałem, ale zostałem za to ukarany, gdyż ciągnie się za mną żal, będący niemal wyrzutami sumienia!

- Wiem, co masz na myśli. Myślisz o tej nieszczęsnej scenie w Morat, kiedy to w pustym namiocie Zuchwałego szarpaliśmy się nawzajem.

- Oczywiście!

- Musisz o niej zapomnieć, Demetriosie, tak jak ja zapomniałam. Tyle wody upłynęło w rzekach, tyle chmur przesunęło się z jednego końca mojego horyzontu na drugi! Byłeś zadowolony, kiedy mnie znów zobaczyłeś?

- Co za pytanie!

- Ja także byłam bardzo szczęśliwa. To było jak promień słońca po ponurych dniach, które przeżyłam. Widzisz więc, że tylko to się liczy! Ty jesteś tobą, ja jestem mną, i znowu jesteśmy blisko siebie.

Nie odpowiedział, lecz ze łzami w oczach otoczył ją długimi ramionami i przytulił do piersi. Trwali tak przez chwilę bez ruchu, czekając, aż minie ich obopólne wzruszenie. Jeszcze nigdy Demetrios nie wykonał w stosunku do Fiory tego gestu ojca odzyskującego dziecko, które uważał za utracone. Ich uczucia jak dotąd obywateli się bez gestów, a tym bardziej bez słów. Trzeba było ciężkiej próby, by Grek zrozumiał, jakie miejsce ta młoda istota zajęła w jego sercu.

- A Esteban? - zapytała Fiora z nosem wtulonym w czarną szatę lekarza. - Czy wiesz, co się z nim dzieje?

- Jest tutaj ze mną. Myślałem, że jego także straciłem i po tym, jak pani Leonarda mnie przekleła, słusznie zresztą!, wyruszyłem prosto przed siebie, nie bardzo wiedząc dokąd.

- Dlaczego nie dołączyłeś do księcia Lotaryngii? Albo do króla Ludwika?

- Żaden z nich mnie nie potrzebował, a ja nie lubię się narzucać. Esteban domyślił się, że jestem w rozpacz. Dogonił mnie w drodze i powiedział: „A może wrócilibyśmy zobaczyć, co się dzieje z naszym ogrodem we Fiesole i w tawernach na brzegach Arno?”. Wróciliśmy więc tutaj...

- Nie obawiałeś się, że znów znajdziesz się w niebezpieczeństwie, jak wtedy, gdy musieliśmy stąd uciekać?

- Prawdę mówiąc: nie, bo znam ludzi. Tłum na ogół jest kapryśny i zmienny, łatwy do zmanipulowania, a ludność Florencji jest, moim zdaniem, szczególnie niestała. Minęły dwa lata... a poza tym co za różnica: umrzeć tu czy gdzie indziej? Nie miałem nic do stracenia.

- I co się wtedy stało?

- Nic. Pan Lorenzo przyjął mnie jak odzyskanego przyjaciela, najpierw w Badii, a potem... w twoim domu.

- Czyżbym miała tu jeszcze jakiś dom?

- Nadal masz willę we Fiesole, której Medyceusz strzegł dla ciebie. Często o tobie rozmawialiśmy, i myślę, że mimo tego wszystkiego, co tu wycierpiałaś, zawsze miał nadzieję, że kiedyś wrócisz.

- A okoliczni ludzie dobrze cię przyjęli?

- Tak, tym bardziej że nielicha epidemia dżumy ostatniego lata sprawiła, iż poznali moją przydatność. Fiesole jest całe za mną, a i we Florencji mam zwolenników... ale, błagam, nie mówmy już o mnie. Bardziej interesuje mnie twoja historia.

- A więc nie miałaś żadnych wizji na mój temat? Ty, dla którego czas i przestrzeń nie są przeszkodą?

- Miałem czasami. Jednak zawsze było to nieco mgliste, gdyż byłaś daleko, a moja przyjaźń dla ciebie utrudniała interpretację. Mów, proszę!

Cantorię otaczała teraz cisza. Z napastników oblegających zakrystię zostało już ledwie kilku. Cicho rozmawiając, kręcili się przed zamkniętymi drzwiami, jak wilki szykujące się do ataku. W nawie głównej, którą ostre promienie południowego słońca przenikały na wylot, nie było już nikogo. Oparłszy się plecami o balustradę, Fiora spojrzała z góry na tragiczny widok, jaki stanowiły porzucone na czarnym marmurze ciała leżące wokół dwóch wielkich purpurowych plam: już stężyłych zwłok Giuliana w odświętnych szatach oraz niemal równie nieruchomej postaci młodego kardynała, jakby rażonego gromem, leżącego w głębi u stóp połyskującego krzyża, który wciąż obejmował...

Fiora westchnęła.

- Ty przynajmniej, zanim nadejdzie dzień, w którym być może zawali się cały twój świat, odzyskałeś spokój. Mnie spotykały same trudne doświadczenia, a jedyną radością było przyjscie na świat mojego małego Filipa.

W smutnych oczach Greka pojawił się taki jak niegdyś błysk, a jego twarz się rozjaśniła.

- Syna? Masz syna? Mój Boże... jakie to szczęście!

- Tak. Ale możliwe, że już nigdy go nie zobaczę.

Osunąwszy się na podłogę przy balustradzie, Fiora możliwie lapidarnie opowiedziała, jak wyglądało jej życie od chwili, gdy u bram Nancy w gruzach legła potęga ostatniego Wielkiego Księcia Zachodu.

Kiedy skończyła, Demetrios nic nie powiedział: wyglądał jak zamieniony w kamień - siedział wyprostowany, nieruchomy w czarnej, pokrytej kurzem szacie, ze skrzyżowanymi nogami, przypominając mądrych starców, którzy przycupnąwszy w czerwonym pyłe wschodnich targowisk, sławią śpiewem Proroka, wielkie czyny kalifów lub ich legendarnych rycerzy i wypowiadają czasem słowa zrodzone z odwiecznej mądrości lub z wizji przyszłości. Wydał się nagle tak odległy, że zaniepokojona Fiora pochyliła się i położywszy mu dłoń na ramieniu, lekko nim potrząsnęła.

- Demetriosie! Czy ty mnie w ogóle słuchałeś?

Nie poruszył się, a jego wzrok utkwiony był w jakimś punkcie, znajdującym się daleko poza wielobarwnymi murami Santa Maria del Fiore.

- Tak... Ale, Fioro... nie sądzę, by twój mąż zginął. Serce młodej kobiety przestało bić. Gardło jej się ścisnęło się, a w ustach zaschło.

- Co powiedziałaś?

Długi dreszcz przebiegł Demetriosą, wstrząsnął nim i wydobył z transu, w który wpadł. Spojrzał na nią i słabo się uśmiechnął:

- Myślisz, że zwariowałem!

- Nie... wiem, że jesteś jasnowidzem, ale tym razem mylisz się, Demetriosie! Filip wszedł za szafot na oczach całego miasta, na ten sam szafot, na którym zginęli moi rodzice. Nikt z niego nie schodzi żywy i Mateusz de Prame wiedział, o czym mówi, informując mnie o jego egzekucji.

- Rzeczywiście, widziałem uniesiony miecz... ale nie widziałem krwi.

Fiora pomyślała z głębokim smutkiem, że Demetrios naprawdę się postarzał i że jego umysł, tak niegdyś błyskotliwy, osłabł w równym stopniu, co ciało. Umarło wszystko, co, choć niewątpliwie niebezpieczne, zapierające dech i namiętne, miało swój urok. Umarło wraz z Filipem!

Spizowy dźwięk dzwonu wciąż rozbrzmiewał, a na jego tle słychać było krzyki i bieganinę, po czym wielkie wnętrze Santa Maria del Fiore wypełniło się charakterystycznym odgłosem maszerującego oddziału. Rozległ się głos, który sprawił, że Fiora, a w ślad za nią Demetrios, rzucili się ku balustradzie.

- Otwórz, monsignore! To ja, Savaglio! Nie masz się już czego obawiać, a miasto jest twoje!

Był to w istocie dowódca straży Lorenza na czele oddziału, którego zbroje przykrywały tuniki ze znakiem Czerwonej Lilii. Za nimi nadciągali mieszkańcy miasta, po części uspokojeni, po części być może skrzeszeni.

Drzwi zakrystii się otworzyły. Na widok ukazującej się w nich wysokiej i szczupłej postaci oraz ponurej twarzy władcy, zawsze będącego przyjacielem ludu, rozległ się ryk radości, który rozkołysał miedziane żyrandole i przetoczył się przez świątynię jak grzmot. Nagły napór, którego źródłem były kolejne osoby próbujące wejść do kościoła, wypchnął do przodu kilku strażników i Savaglio musiał użyć włóczni, by uratować władcę przed śmiercią przez uduszenie.

- Odsunąć się! - wrzasnął. - Odstąpcie wszyscy albo zostaniecie aresztowani! Ci, którzy nie usłuchają, zostaną uznani za morderców. Strzeżcie się więc!

Tłum się cofnął, tworząc przejście, a Lorenzo i jego towarzysze ruszyli, witani żywiołowymi wiwatami, na które Wspaniała odpowiedział ruchem dłoni. Jednak nagle się zatrzymał.

- Giuliano! - zawołał. - Co się stało z moim bratem?

- Tu jest, monsignore! - odrzekł Savaglio, wskazując mieczem grupę mężczyzn, w tej właśnie chwili dźwigającą na ramionach nosze przykryte jedwabną kotarą, zerwaną zapewne z któregoś z okien na placu. Pod purpurową materią rysował się kształt postaci.



Lorenzo podszedł do nich szybko i gwałtownym ruchem zrzucił kotarę na ziemię.

- Chcę, żeby Florencja zobaczyła na własne oczy, co z nim zrobiono! Podnieście go! Podnieście tak wysoko, jak zdołacie, aby jego śmierć wołała o pomstę wprost do nieba! I aby sprawiedliwości stało się zadość!

Odłoniły się zwłoki, bezkrwiste w świątecznym stroju. Z pięknego Giuliana, tego, który był szczęśliwym kochankiem Simonetty Vespucci, pozostało tylko pozbawione życia ciało przebite trzydziestoma ciosami sztyletu przez zaciekłych morderców. Lorenzo, ze łzami w oczach pochylił się nad zwisającą ręką zmarłego i przytknął do niej wargi. Ale kiedy smutny orszak miał ruszyć, zatrzymał go raz jeszcze.

- Gdzie jest kardynał Riario? - zapytał.

Savaglio wykonał gest niewiedzy, ale jakiś dzieciak w stroju kościelnych kantorów wyszedł zza kolumny i zbliżył się do władcy.

- Kanonicy z Duomo się nim zajęli, przeświecny panie. Znaleźli go na wpół żywego ze strachu przed ołtarzem i zabrali stąd, by doszedł do siebie. Pewnie jest w kapitularku.

- Niech go tu sprowadzą!

- Co chcesz z nim zrobić? - zapytał Poliziano, pochylając się nad ramieniem przyjaciela. - Dlaczego nie zostawisz go własnemu losowi? Lud zaraz się nim zajmie...

- Tego właśnie chcę uniknąć. Tłum go rozszarpie i zrobi z niego męczennika, którego papież natychmiast kanonizuje. Ten złotodziób jest zbyt cennym zakładnikiem, by po prostu oddać go na żer ślepego pospólstwa.

Kiedy kończył mówić, z prawej strony prezbiterium wyłoniła się żałosna i nieco groteskowa grupka ludzi. Był to powracający w niesławie młody kardynał podtrzymywany przez dwóch tłuściutkich kanoników toczących wokół przerażonym wzrokiem. Nieszczęśnik z pewnością sądził, że nadeszła jego ostatnia godzina. Jednak kiedy rozpoznał Wspaniałego na czele uzbrojonego oddziału, wykonał widoczny wysiłek, by odzyskać nieco godności.

- Jest mi... jest mi bardzo przykro z powodu tej tragedii, plamiącej krwią święty dzień Zmartwychwstania i nie chcę... zostać tu ani chwili dłużej! Chcę stąd odejść... natychmiast!

Lorenzo zmierzył go z góry spojrzeniem pełnym pogardy zabarwionej litością.

- Nie ma mowy. Obecność waszej eminencji w tym straszliwym dniu pokazała wszystkim, skąd pochodził cios, który uśmiercił mojego brata i omal

nie zabił mnie. Zostaniesz tutaj, w moim domu, tak długo, jak będę miał ochotę cię w nim zatrzymać.

- To pogwałcenie prawa Kościoła! Jestem legatem Ojca Świętego i jako taki nie mogę być przetrzymywany wbrew mojej woli. Nie ośmielisz się, jak sądzę, podnieść ręki na księcia Kościoła?

- Ja? Przenigdy... Przecież jesteś wolny, jak mówisz. Idź swoją drogą! Drzwi otwarte...

Młody prałat spojrzął kolejno na sarkastyczną minę Medyceusza, ciało dźwigane na noszach, zastygłe twarze strażników zakutych w żelazo, i dalej - na tłum, ten tłum<sup>3</sup> który za murami kościoła wykrzykiwał już wyrok na niego: „Śmierć Pazzim!”, „Śmierć Riariowi!”, a nawet „Śmierć papieżowi!”.

Mimo upału zadrżał pod swoją purpurą, opuścił głowę i, pokonany bez walki, wyszeptał:

- Zdaję się na ciebie, signor Lorenzo!

Wspaniały bez słowa dał znak, by szedł za nim, po czym zajął miejsce na czele orszaku niosącego zwłoki brata i ruszył do wyjścia. Tłum zamilkł i zrobił mu przejście. Kiedy ciało Giuliana pojawiło się w przedsionku, słońce roziskrzyło swym blaskiem złote ozdoby jego stroju i znów przywitała je cisza. Dzwony na kampanili katedralnej zaczęły bić i ich żałobne brzmienie spadło na miasto, które wstrzymało oddech.

Nagle, jakby na jakiś tajemniczy rozkaz, rozwścieczony tłum poderwał głowy i odezwał się jednym głosem: straszliwe wycie uniosło się ku niebu. Przerażliwy krzyk zdawał się wydobywać z samych trzewi ziemi. Żałobny orszak został porwany, uniesiony przez ludzką falę, która w swej wściekłości zmieniała to tragiczne wydarzenie w triumf, zmarłego jednogłośnie ogłosiła zwycięzcą, a nieszczęsnego kardynała legata, wciąż podtrzymywanego przez kanoników, zwyciężonym, którego ciągnięto za triumfalnym rydwanem i któremu brakuje tylko łańcuchów i kajdan.

- Chodź! - powiedział Demetrios do Fiory. - Najwyższy czas, byś trochę odpoczęła.

- Dokąd mnie zabierasz? Do pałacu Medyceuszy?

- Nie. W obecnej sytuacji nie możemy się do niego nawet zbliżyć. Zresztą Esteban czeka na mnie z mułami w tej tawernie marynarzy w pobliżu Signorii, którą zawsze tak lubił.

- Ale co z moim towarzyszem? Nie mogę go tak zostawić.

- Poszedł z Lorenzem i jego przyjaciółmi. Kiedy zawiozę cię do Fiesole, wrócę do pałacu i dopytam się o niego. Jednocześnie powiem, że wróciłaś.

- Lorenzo wie. Widział mnie, kiedy dałam mu swój miecz.

- Tym bardziej muszę z nim porozmawiać dziś wieczorem. Chodźmy już!

Kiedy wyszli z kościoła, mrużąc nieco oczy w oślepiającym słońcu, plac był pusty, ale gdy skierowali się w stronę Signorii, zobaczyli, że nie wszyscy mieszkańcy miasta ruszyli za orszakiem Medyceuszy i że spory tłum kłębi się wokół Palazzo Vecchio.

- Nigdy nie zdołamy tędy przejść - jęknął Demetrios. - A jednak musimy, skoro chcemy dotrzeć do Estebana.

Istotnie o potężne mury Signorii uderzało ludzkie morze, morze rozszalałe, wyjące i rozjuszone. Niektórzy obłąkańczo próbowali wspiąć się po kamiennej podmurówce w bezsensownej nadziei dotarcia do okien znajdujących się zdecydowanie za wysoko, by było to możliwe. Inni zdzierali sobie skórę dłoni na wielkich gwoździach w obitej żelazem bramie, przed którą ubrane na zielono strażnicy priorów robiły, co mogły, by ich odeprzeć. Wszystkie gardła rozdzierały wściekłe krzyki, a na Marzocco, kamiennym lwie będącym symbolem republiki, siedział jakiś rozczochrany szaleniec wydający dzikie okrzyki i wymachujący czapką. Naturalnie Vacca górowała nad całym tym zgielkiem, bijąc na niebosiężnej wieży, na szczycie której łopotał sztandar z Czerwoną Lilią.

- To nieprawdopodobne! - powiedział Demetrios, patrząc z niedowierzaniem. - Co robią tu ci wszyscy wrzeszczący ludzie?

Koniec tego pytania został zagłuszony przez ryk radości: otworzyło się główne okno pałacu, wychodzące na żelazny balkon, i pojawili się dwaj żołnierze w zielonych tunikach, wlokąc skrepowanego mężczyznę wyjącego z przerażenia. Tłum zamilkł w oczekiwaniu na dalszy ciąg. Poszło szybko. Jeden z żołnierzy zatopił sztylet w piersi ofiary, a kiedy wyjmował broń, jego towarzysz schwycił wiotczące ciało, w herkulesowym wysiłku uniósł je na wyciągniętych ramionach i wyrzucił na plac, o który się roztrzaskało. Tłum rozstał się z niemal lubieżnym westchnieniem...

Scena na balkonie powtórzyła się i kolejne zasztyletowane ciało zostało rzucone tłumowi, podczas gdy na blankach wywieszono chorągiew gonfaloniera Cesare Petrucciego, by pokazać, że prawo zwycięża i że nadeszła godzina odwetu...

Demetrios nie miał czasu ponownie zapytać, co to wszystko znaczy, gdyż musiał się zająć chłopakiem, próbującym się wspiąć do okna domu, o który byli z Fiorą oparci. Z pomocą niespodziewanie pospieszył mu Esteban, który zauważywszy, co się dzieje, dotarł do nich, energicznie rozpychając się łokciami. Chwyciwszy chłopca i zaczepiwszy go, wrzeszczącego i

wierzgającego, na uchwycie do pochodni na ścianie tegoż domu, Kastylijczyk miał właśnie wyciągnąć swego pana z tłumu, kiedy rozpoznał Fiore.

- Och! To niemożliwe! Chyba śnię?

- No nie, drogi Estebanie, to naprawdę ja! - Por Dios!

Oszalały z radości Esteban wziął młodą kobietę w ramiona i ucałował w oba policzki. W tejże chwili napór tłumu przycisnął ich do muru, blokując niewielkie przejście, jakie zdołał wywalczyć, próbując dotrzeć do swego pana.

- Nie ma jak się ruszyć, chłopcze! - westchnął Grek. - Musimy tu zostać. Żebyśmy chociaż wiedzieli dlaczego.

- Och, ja wiem. To zupełnie zwariowana historia. Wyjaśnił sytuację najlepiej, jak potrafił. Podczas gdy część spiskowców oblegała Medyceuszy w katedrze, inni na czele z arcybiskupem Pizy, Salviatim, mieli za zadanie opanować Signorię. Kiedy rozległy się dzwony na podniesienie, ludzie ci sądzili, że obaj bracia nie żyją i pobiegli zamknąć się w pałacu priorów, nie wiedząc, że jego drzwi mogą zostać otwarte tylko od zewnątrz przez osobę, która posiada klucze. Znaleźli się zatem zamknięci wraz ze wszystkimi, którzy znajdowali się w pałacu. Salviati wezwał wówczas Petrucciego, który właśnie siadał do stołu i ta wizyta była mu nie na rękę. Powitał wojowniczego prałata bardzo nieuprzejmie. Ten pląta! się w zawilej wypowiedzi, zdawało się, że nie może ustać na miejscu i co chwila głośno kasłał, jakby chciał dać jakiś sygnał.

W tej samej chwili stary Jacopo Pazzi, sądząc, że sprawy rozwijają się pomyślnie, wkroczył na plac z kilkoma ludźmi, krzycząc: „Wolność! Wolność!”. Gonfalonier, już wcześniej patrzący na Salviatiego podejrzliwie, zrozumiał od razu, co się dzieje i jako że jeden ze spiskowców przybył właśnie, by spokojnie zorientować się w sytuacji, złapał go za włosy i kilka razy obrócił w miejscu przed osłupiałym arcybiskupem, po czym cisnął nim prosto w ręce strażnika, wydając rozkaz aresztowania. Następnie zaczął wołać: „Do broni! Na pomoc!” z taką siłą, że przybiegło ośmiu priorów i cały personel Signorii. Po czym, jako że tylko strażnicy byli uzbrojeni, a Petrucci uważał, że ma do czynienia z rewolucją, wszyscy rzucili się do kuchni, by wziąć stamtąd noże, różny i toporki, a potem pobiegli do wieży, gdzie się zabarykadowali w oczekiwaniu na rozwój wypadków.

W tym czasie nieliczni spiskowcy zamknięci w Signorii krążyli po niej, szukając nieistniejącego wyjścia. Pojęli, że wszystko stracone, kiedy przybyli łucznicy i służba Medyceuszy, która eskortowała jeńców pojmanych w katedrze. Priorzy, którym kamień spadł z serca, zeszli z wieży i utworzyli trybunał.

- Teraz Petrucci wyrównuje rachunki swoje i signora Lorenzo! - zakończył Esteban, wskazując na to, co się dzieje na balkonie.

Można było powiedzieć, że jego wymiar sprawiedliwości działał sprawnie. Fiora zdrzała na wspomnienie nienawiści, z jaką gonfalonier potraktował ją w chwili skandalu wywołanego przez Hieronime, po czym odwróciła głowę, aby nie patrzeć na sceny, od których zbierało jej się na mdłości.

Ledwie wyrzuceni z balkonu ludzie dotykali ziemi, tłum rozszarpał ich na kawałki i nabijał te okropne szczątki na włócznie, widły, a nawet zaostrzone kije, by obnosić je po ulicach miasta...

- Chodźmy stąd! - powiedziała błagalnie. - To nie do zniesienia!

- Chciałbym was stąd zabrać - powiedział Esteban - ale musimy jeszcze zostać. Sama widzisz, że nie możemy się przedrzeć przez to pospólstwo, które już upoiło się krwią, a wkrótce upije się winem!

Rzeczywiście nad głowami zaczynały kursować ociekające trunkiem dzbany. Podawano je z rąk do rąk, by zachęcić do pracy tych, którzy rozkawałkowali ciała, nie omieszkawszy po drodze upić łyk lub dwa.

Szykował się nowy akt dramatu. Na balkonie właśnie pojawili się trzej ciasno związani mężczyźni. Jeden z nich ubrany był w długą, fioletową szatę.

- Arcybiskup Salviati! - wyszeptał Demetrios. - Czy jemu także poderzną gardło bez sądu?

Jednak tym razem nie użyto sztyletu. Trzej skazańcy - dwoma pozostałymi byli brat arcybiskupa i niejaki Bracciolini - zostali powieszni za nogi na żelaznym balkonie. Był to sposób egzekucji bardzo we Florencji ceniony, gdyż umożliwiał ludowi rozkoszowanie się długą agonią. Tłum zawył z radości, widząc, jak długa szata prałata odwraca się i opada aż na uda, spowijając resztę ciała. Jednak, jako że w ten sposób zasłoniła twarz, ludzie zaczęli napierać, by lepiej widzieć, a jednocześnie niektórzy domagali się, by wciągnąć go z powrotem na balkon i powiesić za szyję... Esteban postanowił wykorzystać to, że on i jego towarzysze są mniej ściśnięci - schwytał Fiore za rękę i pociągnął za sobą, za nią zaś ruszył Demetrios. Pragnąc jak najszybciej wyprowadzić Fiore z niebezpiecznego zbiegowiska, Esteban gwałtownie potrącił w przejściu jakiegoś mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, niskiego i otyłego, o dużej, pokrytej czarnymi, kręconymi włosami głowie. Wyglądał na wieśniaka, ale miał wysokie, inteligentne czoło, ciemne, wyjątkowo przenikliwe oczy, a jego ubranie, choć usiane licznymi plamami, wykonane było z pięknej materii. Przyglądał się widowisku z absolutną niewzruszonością, założywszy ramiona na piersiach, kiedy Esteban niemal go przewrócił na ziemię, w rewanżu za co otrzymał cios pięścią wymierzony z piorunującą szybkością.

- Do stu skurczybyków! - zaczął ten ostatni, gotów kontynuować bójkę, ale Demetrios rozpoznał mężczyznę.

- Wybacz mojemu służącemu, ser Andrea! Potrącił cię, bo spieszno nam opuścić to miejsce.

- Dlaczego? Czyżbyś uważał, medyku, że sposób potraktowania tych morderców jest nazbyt surowy? Ja sędzę...

Nie dokończył zdania. Jego spojrzenie zatrzymało się na Fiorze i nieoczekiwanie złagodniało. Młoda kobieta także go rozpoznała. Był to Verrocchio, najslawniejszy we Florencji rzeźbiarz, a także utalentowany malarz i żarliwy przyjaciel Medyceuszy. Nie zmienił się od sławetnej giostry w dniu 23 stycznia 1475 roku, której był genialnym realizatorem i w czasie której po raz pierwszy zobaczyła Filipa de Selongeya.

- Dzisiejszy dzień powinien cię uradować, Fioro Beltrami, gdyż to zabójcy twego ojca karani są śmiercią. Mimo to wydajesz mi się bardzo blada.

- Dopiero przyjechałam, ser Andrea, i nie spodziewałam się trafić na taką krwawą łaźnię...

- Nic dostatecznie nie wynagrodzi śmierci Giuliana! O, spójrz! Przyszła kolej na Francesca Pazziego. Wyciągnęli go w koszuli z łóżka kochanki...

W istocie był to on. Był nagi, mocno skrepowany linami i pokryty śladami krwi wypływającej z licznych ran, ale nie opuściła go wściekłość. Wrzaski tłumu zagłuszały złorzeczenia, którymi obrzucał swych katów. Rozjątrzona tłuszcza, wiedząc, że to on właśnie zaatakował Giuliana, żądała, by został jej wydany. Chwilę później, uwiązany za kostki nóg, kołysał się obok SaMatiego, zdecydowanie zbyt wysoko, by można go było dosięgnąć. Posypał się więc na niego grad kamieni...

Tym razem Fiora nie odwróciła wzroku. Los tego człowieka, którego dłoń kilka dni wcześniej dotykała jej ręki, kiedy wiódł ją do małżeńskiej komnaty, był jej obojętny. Patrząc na jego męki, myślała tylko o jednym: gdzie się podziewa Hieronima?

Usłyszała za plecami Demetriosą pytającego rzeźbiarza, co stało się ze starym Jacopo, patriarchą Pazzich, i czy on także został pojmany.

- Nie. Udało mu się uciec z kilkoma ludźmi, ale Petrucci wysłał za nim pościg. No dobrze, dwudziestu sześciu załatwionych, jeśli dobrze policzyłem. Pora, żebym wrócił do pracowni.

- Dziwi mnie - powiedział ze śmiechem Demetrios - że w ogóle ją opuściłeś.

- A co mogłem zrobić? Wszyscy moi uczniowie uciekli jak stado wróbli, gdy tylko usłyszeli pierwsze uderzenia dzwonów, i zostałem sam z moją gliną i

pędzłami. Ruszyłem więc za nimi, ale teraz wracam do pracowni, bo mam co zrobić.

- Wciąż pracujesz nad posągiem Colleone?

- Oczywiście. Ale sądzę - dodał, zwracając się do Fiory - że znajdę czas dla ciebie, piękna Fiore. Mam w głowie projekt posągu z brązu przedstawiającego Artemidę, a żadna z moich modelek nie jest godna tego, by dać mi natchnienie do wyrzeźbienia bogini. Muszę o tym porozmawiać z signorem Lorenzo.

Oddalił się, przecinając tłum jak wytrwały stateczek, który postanowił pokonać niebezpieczną zaporę. Pozostała trójka odprowadziła go wzrokiem, po czym Demetrios wziął Fiore pod ramię.

- Zapomniałaś, jaka jest Florencja, prawda? - zapytał, zgadując, co się dzieje w jej głowie. - Najokropniejsze sceny masakry nigdy nie przeszkodzą artyście w myśleniu przede wszystkim o jego dziele. Jak widzisz, mimo tego, co się wydarzyło, nigdy nie przestałaś do niej należeć. Dla Verrocchia te trzy lata nie mają znaczenia.

- Myślę, że masz rację. Rozmawiał ze mną tak, jakbyśmy się widzieli wczoraj. A przecież w sercu tej tragedii...

- Tutejsi ludzie kochają tragedię, zwłaszcza gdy mogą odegrać w niej jakąś rolę. Ale kiedy krew zostanie zmyta, a ciała rozerwane na strzępy, wróca, jakby nigdy nic, do swoich sklepików, miłości, książek, kolekcji i będą opiewać dolce vita z równym zapałem, z jakim zmienili się w żadne śmierci, wyjące wilki...

- Tym razem może to potrwać dłużej - powiedział Esteban. - Trudno im będzie zapomnieć Giuliana.

- Bez wątplenia, ale tym żarliwiej kochać będą Lorenza.

Chwilę później, zmierzając do Fiesole na idących spokojnym krokiem mułach odebranych z ciasnej stajni tawerny marynarzy, Fiore pomyślała, że Demetrios nie całkiem miał rację. Od dawna wiedziała, że mieszkańcy Florencji są zmienni, mają słabą pamięć i łatwo dają się porwać przesadnemu entuzjazmowi lub okrucieństwu, ale dziś daremnie szukała wśród tego szaleństwa, którego ofiarą niegdyś niemal padła, znajomej twarzy ukochanego miasta.

Być może zanadto je idealizowała w trakcie długotrwałego żalu, z jakim o nim myślała? Być może również te trzy lata, odciskając na niej nieusuwalne piętno, sprawiły, że się postarzała? A może po prostu, choć uważała się za florentynkę w każdym calu, tak naprawdę nigdy nią nie była?

Jednakże jedna rzecz była pewna: nie wystarczyło jej to, że straceni zostali Pazzi i ich sojusznicy, gdyż brakowało jednej osoby. Hieronimy. Fiore

wiedziała, że nie zazna spokoju, póki ta kreatura będzie żyła pod tym samym, co ona, niebem.

I co z tego? Czy żądza zemsty, którą zawsze nosiła w sobie, nie była cechą typowo florentyńską?



## Rozdział trzynasty

Lorenzo

Stojąc przy oknie swego dawnego pokoju, z którego tyle razy niegdyś podziwiała ogrody i tarasy oraz, poniżej, urzekającą panoramę miasta, przypominającego bukiet wszystkich róż świata opleciony srebrną wstążką rzeki Arno, Fiora usiłowała sobie przypomnieć, co wówczas czuła. Zazwyczaj, kiedy nadchodziła noc, bukiet zmieniał się w kobierzec z szarości i błękitu, przebity tu i ówdzie mikroskopijną gwiazdką - jednym z niewielu płonących na ulicach świateł.

Tego wieczora wszystko wyglądało inaczej. Tego wieczora Florencja nie chciała zasnąć - wrzało w niej gwałtowne i instynktowne życie, rzucała czerwone błyski jak roztopione w tyglu żelazo. Fiora już kiedyś widziała z wieży Demetriososa nieprzyjazne, obrzmiałe z gniewu oblicze miasta, ale było to nic w porównaniu z tym, co ujrzała dzisiaj, gdyż wraz z Giulianem Florencja utraciła swego księcia z bajki i część swego serca, tę najczulszą. Młoda kobieta miała wrażenie, że w docierającym aż do Fiesole, przytłumionym przez odległość pomruku wyróżnia krzyki umierających oraz przekleństwa i przeciągłe zawodzenie rozpaczających kobiet. Podpalano i plądrowano domy Pazzich i ich sojuszników. Było to jak miłosna ofiara całopalenia, którą rozwścieczone i zrozpaczone miasto składało swemu ukochanemu dziecku.

Tego dnia Giuliano połączył się z Simonettą i może dobrze się stało? Może trzymając się za ręce, patrzą z góry, z nieba, na widok, który stanowił tło ich miłości? Ale jedno było pewne, i to Fiora czuła całym swoim jestestwem: już nigdy Florencja nie będzie taka, jak w czasach, gdy się kochali, wbrew prawom ludzkim - a nawet kościelnym, jako że Gwiazda Genui była zameźna - lecz chroniła ich uroda, promienna młodość i radość, jaką budzili w napotykanym na swej drodze ludziach. Lud ich uwielbiał jako symbol wdzięku i rozkoszy życia w wyjątkowym mieście.

Zresztą nic już nie będzie takie jak kiedyś. Fiora poczuła to, wchodząc do tego domu, w którym niegdyś zaznała największego szczęścia w ramionach Filipa. I nie wynikało to z faktu, że wystrój wnętrza był inny - splądrowana w dramatycznych okolicznościach willa została ponownie umeblowana staraniem Lorenza - lecz z panującej w nim atmosfery, innego rodzaju ciszy.

Cisza, której domagał się często Francesco Beltrami, kiedy zamykał się w swoim studiolu, była żywa. Składały się na nią szept, ciche kroki, wyważone ruchy dwudziestu osób troszczących się o to, by nie przeszkodzić panu w pracy lub w wypoczynku. Teraz panowała tu cisza pustki... Wprawdzie Demetrios

zajmował ten dom wraz z Estebanem, ale poza Franceskiem brakowało tu Leonardy, której sama obecność wystarczała, by byle buda zyskiwała duszę, brakowało Khatoun, małej, rozmruczanej kotki, brakowało także wszystkich tych służących, którzy podobnie jak sam dom zdawali się wrastać korzeniami w ziemię w Fiesole, ale burza ich rozpędziła. Teraz to czarna i cicha Sarnia panowała w kuchni i gospodarstwie, mając do pomocy dwie niewolnice. Sarnia o miękkim chodzie wcześniej pełniła rolę gospodyni greckiego lekarza i w całkiem oczywisty sposób odzyskała tutaj swoje miejsce.

Fiora bardzo lubiła Sarnię, która była łagodna i uporządkowana, i tak troskliwie ją pielęgnowała, kiedy Demetrios przywiózł ją do Fiesole po całym tym koszmarze, ale nigdy nie należała do świata jej szczęśliwej młodości. Pojawiła się dopiero w czasach próby.

Zbliżała się północ. Jednakże, mimo wyczerpującego dnia, jaki miała za sobą, i wielu poprzednich, nie mniej męczących, Fiora nie mogła spać. Nie mogła nawet leżeć w łóżku z białą, jedwabną pościelą, jak poślanie dziewicy, które nigdy nie było jej własnym. Woląca stać bosą na dywanie przy oknie, patrząc, czekając na nie wiadomo co.

Demetrios, po przywiezieniu jej do Fiesole, zgodnie z obietnicą pojechał z powrotem do miasta, by spróbować zobaczyć się z Lorenzem. Wrócił o zmierzchu, przywożąc ze sobą na wpół żywego ze zmęczenia Rocca, którego Sarnia obficie nakarmiła i wysłała do łóżka. Spał teraz w pokoju nieodległym od komnat Fiory, a na korytarzu słychać było dobiegające zza jego drzwi potężne chrapanie człowieka na skraju wyczerpania.

Na pytanie Fiory dotyczące Wspaniałego Grek odpowiedział:

- Wkrótce go zobaczysz... Twój widok był dla niego jedynym ukojeniem w chwili tak głębokiego bólu. Śmierć Giuliana odczuł tak, jakby stracił część siebie samego.

Opowiedział następnie o tym, z jakim staraniem zajęto się ciałem młodzieńca. Umyty, natarty pachnidłami, ubrany w złotogłów i paradną zbroję, Giuliano ze splecionymi dłońmi i zamkniętymi oczami spoczywał teraz w kaplicy rodzinnego pałacu na wspaniałym katafalku obitym cenną materią i usianym ogromnymi bukietami fiołków, tych fiołków, które były ulubionymi kwiatami jego brata i które ten kazał sadzić w swoich ogrodach. U stóp młodego zmarłego na dużej poduszce z purpurowego aksamitu leżał jego hełm ozdobiony białymi piórami, rękawice i złote ostrogi.

Sama kaplica była kunsztownym dziełem i wystarczyło, by Fiora zamknęła oczy, by ją ujrzeć. Wszystkie ściany pokrywał wielki fresk przedstawiający orszak Trzech Króli zmierzających w stronę Gwiazdy na tle przecudnego

toskańskiego pejzażu usianego zamkami, cyprysami i kwitnącymi krzewami. Były tam konie w pysznej uprzęży, szaty haftowane złotem, korony wysadzone drogimi kamieniami, wystrojeni, weseli dworzanie trzymający na uwięzi leopardy, charty afgańskie lub niosący prezenty. Widniał tam sam Lorenzo pod postacią pięknego młodzieńca o kręconych blond włosach, co bardzo bawiło Fiore, gdyż naprawdę trzeba było wiedzieć, że najmłodszy z królów miał przedstawiać jednego z Medyceuszy, by w to uwierzyć. Lorenzo sam pierwszy się z tego śmiał i lubił mawiać, że Benozzo Gozzoli, malarz, tak bardzo go lubił, że uparcie widział w nim anioła, którym nigdy nie będzie...

W tej będącej istnym cackiem kaplicy znajdowało się jeszcze jedno чудо: przepiękny obraz Adoracja Dzieciątka, umieszczony nad ołtarzem; dzieło mnicha, który zrzucił habit i którego burzliwe życie wywołało skandal we Florencji dwadzieścia lat wcześniej. Jednak Filippo Lippi miał tak wielki talent, że wybaczone mu wszystko... nawet to, że dał Madonnie zachwycającą twarz młodej mniszki, w której był zakochany.

Tak, ta kaplica naprawdę dawała właściwą oprawę dla ciała młodego księcia i Fiora żałowała, że nie może tam pojechać i się pomodlić. Nie była pewna, czy kobiety - Lucrezia, matka Medyceuszy, i Clarissa, żona Lorenza, byłyby przychylnie nastawione do niej jako osoby, która niegdyś stanowiła przedmiot skandalu. A tak chciałyby złożyć daninę z łez temu, który był jej pierwszą miłością, tak jak był nią dla Catariny Sforzy. Jak małżonka Girolama Riario przyjmie wiadomość o jego śmierci, której tak bardzo chciała zapobiec? Czy uda jej się ukryć smutek? Sam Riario zresztą będzie miał ponurą minę, bo przecież nie został osiągnięty główny cel spisku: zamordowanie władcy Florencji. A władca Florencji wciąż żył i był potężniejszy, bardziej kochany niż kiedykolwiek!

Nagle Fiora nadstawiła ucha. W ciemnościach rozległ się koński galop, zbliżając się, wciąż się zbliżając... Usłyszała jakieś głosy: Estebana i jakiś drugi, bardziej stłumiony, którego nie zidentyfikowała. Kto mógł przyjechać o tej porze?

Szybko naciągnęła na koszulę szatę bez zapięcia i rękawów, którą niegdyś nosiła, a którą jakimś cudem Sarnia odnalazła wraz z kilkoma innymi ubraniami w skrzyni na strychu. Od lampki nocnej płonącej przy łóżku zapaliła świece, wyszła na galerię i podeszła do schodów. Tam przystanąła, podnosząc wysoko do góry świecznik.

U stóp schodów stał ubrany na czarno mężczyzna bez nakrycia głowy i z gołymi rękami, i patrzył na nią, a mężczyzną tym był Lorenzo...

Jeszcze nigdy nie widziała jego twarzy tak wyniszczonej, wynędzniałej, zoranej łzami i naznaczonej cierpieniem, nigdy nie miał takich płonących oczu, które błagały i jednocześnie czegoś się domagały. W mrocznym westybulu przemknęła bezszelestnie ciemna szata Demetriososa i znikła.

Wolnym krokiem, jakby obawiając się, że gwałtowny ruch może spowodować zniknięcie zjawy lub ją przestraszyć, Lorenzo zaczął wchodzić po schodach. Serce Fiory zaczęło bić w niecodziennym rytmie, jakby chciało rozerwać jej piersi, ale nie czuła najmniejszego niepokoju. Przeciwnie - odczuwała raczej radość, gdyż nagle zrozumiała, że to, co ma nastąpić, zapisane było od zawsze w księdze jej życia i że może nawet, zupełnie nieświadomie, tego pragnęła.

Lorenzo wciąż szedł w jej kierunku. Mogła teraz usłyszeć jego oddech, mogła zobaczyć, jak pod czarnym kaftanem, w wycięciu koszuli odsłaniającej biel opatrunku, podnosi się jego szczupły tors.

Kiedy stanął przed nią, górując nad nią znacznie wzrostem, nie wykonała żadnego ruchu, nie powiedziała ani słowa, tylko podniosła głowę i podała mu rozchylone usta, na których delikatnie, zamknawszy oczy, jak robi się wtedy, gdy pragnie się bardziej rozkoszować niezwykłą i długo oczekiwaną przyjemnością, położył swoje wargi, nie dotykając jej w żaden inny sposób. Był to pocałunek długi, lecz lekki, delikatny, niemal nieśmiały, jakby pił z kielicha kwiatu...

Potem Fiora poczuła dłonie Lorenza na swych ramionach, i dłonie te drżały. Odsunęła je delikatnie, ale uśmiechnęła się czule, widząc, jak jego twarz kurczy się z bólu. Wzięła go za rękę, podniosła świecznik i podeszła do drzwi swej komnaty.

- Chodź! - powiedziała jedynie.

Podczas gdy on machinalnie zamknął za sobą drzwi, Fiora ustawiła świecznik na skrzyni i jedną po drugiej zgasila świece. Pokój oświetlała jedynie nocna lampka, ledwie złocąc od środka białe zasłony przy łożu. Stojąc nieruchomo, Lorenzo śledził wzrokiem każdy ruch młodej kobiety. Fiora pozwoliła opaść na dywan wierzchniej szacie i rozwiązała wstążkę przy koszuli, która ześlizgnęła się jej do stóp. Chwilę później znalazła się w jego ramionach, niesiona w kierunku łoża, na które opadł wraz z nią...

Kochali się w milczeniu, bo nie potrzebowali słów. Słownik namiętności nie miał z tym nic wspólnego, oboje wiedzieli, że ich związek bierze początek z przeszłości pełnej wzajemnej fascynacji i podziwu, to niewątpliwe, lecz także z jakiegoś popychającego ich ku sobie instynktu. Lorenzo przyszedł do Fiory jak zbłąkany podróżny, który nagle odkrywa gwiazdę na czarnym niebie, a Fiora

go przyjęła, gdyż ujrzawszy go, poczuła, że ofiarowanie mu siebie samej jest jedynym możliwym ukojeniem, jakie może dać jego duszy, zatrutowanej rozpaczą pomieszaną z gniewem. Poza tym, nosząc teraz znienawidzone nazwisko Pazzi, czuła skrytą przyjemność, mogąc dać Wspaniałemu tę noc poślubną, która należała się zupełnie komu innemu.

Zbliżywszy się do siebie w takich okolicznościach, bez wsparcia prawdziwej miłości, Lorenzo i Fiora narażeni byli na niepowodzenie lub przynajmniej rozczarowanie, ale z zachwytem odkryli, że ich połączone ciała wibrowały unisono, tworząc doskonałe współbrzmienie, tak rzadkie między kochankami. Każde z nich instynktownie wiedziało, czego może pragnąć drugie, toteż razem osiągnęli najwyższą rozkosz, przyjemność o takiej intensywności, że rzuciła ich dyszących na zmięty jedwab prześcieradeł. A później, wciąż razem, wtuleni w siebie, zapadli w sen, którego tak bardzo potrzebowali i którego nie udało im się znaleźć w samotności.

O świcie Lorenzo wstał. Fiora spała tak smacznie, że zawahał się, czy ją budzić, ale przed ponownym pogrążeniem się w czekającym go piekle musiał zaczerpnąć z jej oczu i ust nową siłę. Wziął ją więc w ramiona i całował jej twarz tak długo, aż wreszcie z wielkim trudem podniosła powieki.

- Nie chciałem odjechać jak złodziej - wyszeptał tuż przy jej ustach. - No i... czy zechcesz pozwolić... bym znów przyjechał tej nocy?

Uśmiechnęła się do niego, przeciągając się z cudownym uczuciem błogostanu.

- Potrzebujesz pozwolenia?

- Tak... To, co dałaś mi tej nocy, było tak piękne, że wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Tym razem zaczęła się śmiać.

- Przy tobie niewierny Tomasz byłby uznany za łatwowiernego. Powiedz mi zatem, dlaczego leżymy tu, nago, w jednym łóżku?

- To było jak sen, a ja chcę nadal śnić. Potrzebuję twojej miłości, Fioro, pragnę, byś dawała mi czułość i chcę dawać ci moją. Jesteś jak od dawna szukane źródło, które w wyniku cudu wytrysnęło na najmroczniejszej i najbardziej jałowej pustyni. Nie móc już z niego czerpać byłoby dla mnie okrutnym cierpieniem. Czy chcesz mnie nadal?

Uklękła na łóżku i wzięła w dłonie tę niekształtną głowę, tę twarz tak brzydką i tak pociągającą.

- Tak, chcę cię! - powiedziała cicho, nieco ochrypłym głosem, od którego zadrżał. - Przyjedź! Będę na ciebie czekać. - Całowała go długo, po czym zwinnie wyślizgnęła się z jego pożądlivych rąk, które próbowały ją schwycić,

zawinęła się w prześcieradło i objęła poduszkę. - Ale teraz musisz mi dać pospać.

Kiedy Fiora znowu się przebudziła, niebo było szare, a deszcz, który na dwa dni ustał, znów rozpadał się na całego. Ogród tonął w mokrej mgłę rozmiękczającej powierzchnię alejek i skapującej z posągów, ale młoda kobieta poświęciła rozmazanemu pejzażowi tylko rozdrażnione westchnienie i wzruszenie ramion. Po tylu ciężkich przejściach ostatnia noc była dla niej jak ożywcza kąpiel. Lorenzo był kochankiem, o jakim marzy każda kobieta, a jego pieszczoty oczyściły jej ciało z całej lubieżności i bólu, które musiało znosić. I młoda kobieta nawet nie zastanawiała się nad uczuciami, jakie mógł w niej budzić: było jej z nim dobrze i na razie tylko to się liczyło. Z pewnym gniewem odtrąciła jedyną psującą jej nastrój myśl: choć meble zostały zmienione, to była jednak w tym samym pokoju, w którym Filip uczynił z niej kobietę.

- To twoja wina! - zawołała do tego cienia, który tak nie w porę wrócił w jej wspomnieniach. - Trzeba było nie pozwolić mi odjechać, ale ty wolałeś odgrywać bohatera u boku swojej księżniczki! To ty doprowadziłeś do tego, że między nami zaszły rzeczy nieodwracalne. A ja mam zaledwie dwadzieścia lat! Mam prawo żyć!

Kompletnie zapomniała, że jeszcze całkiem niedawno pragnęła umrzeć - taką władzę uroki miłości mogą mieć nad młodą istotą. Ze wszystkich sił pragnęła odrzucić ograniczenia i przymus. Żyła w niewoli od miesięcy i oto jej więzienie właśnie otworzyło się na coś, co było zbliżone do szczęścia, nawet jeśli były to tylko pozory... Toteż kiedy po zjedzeniu podanego przez Sarnię posiłku zeszała na dół, w jej oczach widać było wyzwanie, gdy napotkały spojrzenie Demetriosia, do którego dołączyła w dawnym studiolu swego ojca.

Jednak znał ją zbyt dobrze, by nie przeniknąć jej myśli, i jej wielkie szare oczy, pochmurne jak burzowe niebo, sprawiły, że się uśmiechnął. Fiora, pomyślał, szuka pretekstu, by się rozgniewać, mając nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się zażenowania, które odczuwa. Nie mylił się.

- Dlaczego się uśmiechasz? - zapytała nerwowo. - I dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy coś się we mnie zmieniło? Tak, przespałam się z Lorenzem! Sama mu się oddałam! Tej nocy znowu przyjedzie i znów się z nim prześpię!

Zdjąwszy binokle, które nosił coraz częściej, Demetrios odszedł od pulpitu, na którym rozłożył jakiś hebrajski manuskrypt, podszedł do młodej kobiety i położył jej dłonie na ramionach, czując, jak sztywnieje.

- Nie mam najmniejszego zamiaru robić ci wyrzutów, Fioro! To, co zaszło tej nocy między tobą i Lorenzem, było zapisane od dawna. Często mówił mi o tobie, odkąd wróciłem, i bez trudu pojąłem, że jesteś jego najbardziej tajemnym

marzeniem. To naturalne, że to do ciebie przyszedł, kiedy znalazł się na dnie rozpacz.

- Uważasz więc, że mnie kocha?

- Jesteś jak wszystkie kobiety: zbyt upraszczasz uczucia. Lorenzo jest niby ogrodnik, który ujrzał, jak złodziej ucieka z najpiękniejszym kwiatem z ogrodu, nie dając mu czasu nawet na jego powąchanie. Wczoraj ten kwiat powrócił, piękniejszy niż kiedykolwiek, i roztoczył zapach zbyt upajający, by mógł wyrzec się poddania się jego mocy. Ty zaś...

- Co ja?

- Przestań się tak buntować, Fioro! Nie popełniłaś żadnej zbrodni, po prostu miłość przywróciła ci radość życia, którą utraciłaś.

- Miłość? Nawet nie wiem, czy Kocham Lorenza. A przecież wszystko byłoby o tyleż prostsze!

- Przede wszystkim wygodniejsze, jako że jesteś do głębi przepojona chrześcijańską moralnością mimo twego platońskiego wychowania, a zawdzięczasz to naszej drogiej Leonardzie.

- Nie wspominaj o niej, bo rozchoruję się ze wstydu!

- Masz rację, nie powinienem był o niej mówić. Co do wstydu... To głupie słowo, nawet jeśli tak naprawdę nie Kochasz Lorenza. To, co w nim Kochasz, to przede wszystkim miłość, którą ci daje, a wiem, że jest w tym swego rodzaju... wirtuozem. Lecz jest także jego legenda, a w tobie przetrwała mała florentynka, której Wspaniały przesłaniał horyzont. Nie zdając sobie z tego sprawy, byłaś w nim trochę zakochana...

- Nie. Kochałam Giuliana, nie jego.

- Tak ci się wydawało! Dowodem niech będzie fakt, że szybko przegnałaś go ze swoich myśli. Zapominasz, że na tym słynnym balu, na którym spotkaliśmy się po raz pierwszy, widziałem cię tańczącą z Lorenzem i nigdy jeszcze nie widziałem tak promieniejącej radością twarzy, jak twoja wówczas.

- To prawda, byłam bardzo szczęśliwa... a zwłaszcza bardzo dumna!

- Tak jak dumna jesteś dziś, że leży zniewolony u twoich stóp. Przyszedł do ciebie jak biedak proszący o jałmużnę, z pustymi, błagalnie wyciągniętymi rękami, on, tak potężny, i od razu zrozumiałem, że ty te wyciągnięte ręce napełnisz skarbami. Jednak gdyby przybył tu jako księżę i władca, odepchnęłabyś go. Mam rację?

Z Fiory uleciał cały gniew i wybuchnęła śmiechem.

- Zbyt często miewasz rację, Demetriosie! Co mam teraz zrobić? Powinam wyjechać....

- Jeszcze nie teraz. Zresztą tak naprawdę nie masz na to ochoty. Pozwól się kochać! To najlepsze z lekarstw, nie tylko dla ciała, lecz także dla serca, które tak wiele wycierpiało. Tylko że...

Zamyślił się i Fiora zobaczyła, że przyszło mu do głowy coś niepokojącego.

- Tylko że?

- Dużo ze sobą rozmawialiście? Pewnie zadawał ci jakieś pytania...

Młoda kobieta mocno poczerwieniała i, odwróciwszy się, podeszła do leżącej na pulpicie księgi, której zaczęła się z zainteresowaniem przyglądać.

- No więc... wcale nie rozmawialiśmy!

- Gratulacje! - rzekł Demetrios, nie mogąc się powstrzymać od śmiechu i widok zmieszania na jej twarzy. - Jeśli chcesz wiedzieć, bardzo mnie to cieszy. Jednak będziecie rozmawiać. A więc posłuchaj mnie uważnie: przede wszystkim nie wspominaj mu, że poślubiono cię jednemu z Pazzich!

- Carlo zrobił wszystko, żeby mi pomóc.

- Nie wątpię, ale Lorenzo jest zbyt głęboko zraniony, by znieść myśl, że nosisz to nazwisko! Jakkolwiek wielkie jest jego pożądanie, odsunie się od ciebie ze wstrętem. A konsekwencje tego mogłyby być dramatyczne. Rozumiesz?

- Nie obawiaj się! Nic nie powiem.

Bardzo ostrożnie przewróciła kilka splekanych stronic manuskryptu, którego nie umiała odczytać, zadowolając się podziwianiem nieco tajemniczego piękna liter.

- Dziwną rzeczą jest przeznaczenie - westchnęła. - Moje zdaje się z upodobaniem kazać mi zawierać małżeństwa, które muszę ukrywać przed Lorenzem. Przypomnij sobie!

- Masz rację, ale sytuacja jest odmienna. To małżeństwo ty także powinnaś zapomnieć. Ono się nie liczy, ponieważ...

- Ponieważ?

- Nic. Postaraj się już o tym nie myśleć. Myśl tylko o mężczyźnie, który przybędzie tu tego wieczora, by szukać w twoich ramionach azylu, którego tak potrzebuje.

Jednakże tego wieczoru Lorenzo się nie zjawił. Przekazał tylko bilecik przez Estabana, który pojechał do miasta zasięgnąć języka. Pogrzeb Giuliana miał się odbyć nazajutrz i Lorenzo chciał tej ostatniej nocy czuwać przy zmarłym bracie.

Więci przywiezione przez Kastylijczyka były dramatyczne. Trwała oblawa na Pazzich oraz ich krewnych i sojuszników. W mieście pojmano dwóch kolejnych, z których jeden w kobiecym przebraniu ukrywał się w kościele



Santa Croce. Trzech innych zatrzymano na drogach pod miastem. Co do starego Jacopa, którego rycerze Signorii dogonili na drodze do Imoli, wieziony był w zamkniętym powozie do Florencji. Miał zostać powieszony na żelaznym balkonie w chwili, gdy ciało Giuliana spocznie w ziemi.

Jeszcze innych zrzucano z tego balkonu, powieszono lub wydano na pastwę tłumu i przed Palazzo Vecchio liczba mniej czy bardziej rozkawałkowanych ciał sięgała siedemdziesięciu. Byli to jednak wyłącznie mężczyźni, gdyż Lorenzo kategorycznie zabronił maltretowania kobiet, które w istocie nie brały bezpośredniego udziału w morderstwie.

- A Hieronima? - zapytała Fiora z goryczą. - Czyżby ona także nic złego nie zrobiła?

- To jedyna, którą Lorenzo rozkazał pojmać - powiedział Demetrios.

- Skąd się dowiedział, że ona tu jest?

- Ja mu o tym powiedziałem wczoraj, kiedy wróciłem na via Larga po przywiezieniu cię tutaj. Możesz być pewna, że szukana jest bardzo energicznie.

- Dokładnie tak - podjął Esteban. - Rozmawiałem z Savagliem, dowódcą straży prowadzącym obławę, i powiedział, że jeśli znajdzie tę diabolicę, to ukatrupi ją na miejscu. Przeszukał wszystkie domy Pazzich, począwszy od ich pałacu w pobliżu Santa Croce, a na willi w Montughi skończywszy, znalazł dużo zapłakanych kobiet z głowami posypanymi popiołem, ale żadną z nich nie była Hieronima.

- Pewnie, gdy się zorientowała, że zamach się nie udał, ruszyła z powrotem do Rzymu - westchnął Demetrios.

- To nie takie proste. Wszystkie drogi i dróżki są strzeżone i nikt nie wydobędzie się z miasta.

- Ale ona nie była w mieście, tylko właśnie w Montughi, a skoro jej tam nie zastano, to znaczy, że udało jej się uciec...

\* \* \*

Lorenzo zgodził się z tym pesymistycznym poglądem, kiedy przyjechał nazajutrz wieczorem, złożony doczesne szczątki młodszego brata w rodzinnym grobowcu w Starej Zakrystii, gdzie spoczywali już jego ojciec, Piero di Cosimo, i dziadek, Cosimo di Giovanni. Niektórzy z Pazzich wyśliznęli się z rąk żołnierzy. Oczywiście Antonio i Stefano, dwaj księża, którzy dokonali ataku, zostali zabici po tym, jak torturami wydobyto z nich nazwiska współników; dzięki temu zatrzymano Montesecca, który jednak w ostatniej chwili odmówił dokonania tego czynu w kościele. Stracono go przez ścięcie. Oczywiście Francesco Pazzi poniósł karę, na jaką zasługiwał, ale

Bandini, mężczyzna zawzięcie dźgający ciało Giuliana, zdołał zbiec. Ścigany na drodze do Wenecji jakimś cudem rozplynął się w powietrzu.

- Ale odnajdę go - stwierdził Lorenzo. - Dokądkolwiek uciekł, nawet gdyby schronił się u Turków, dopadnę go\*.

\* Suitan rzeczywiście w dowód szacunku odesłał go Lorenzowi w kajdanach.

- Jest bardzo wielu zabitych - powiedziała Fiora. - Jesteś pewien, że wszyscy byli winni?

- Oczywiście, że nie, ale nie mogę powstrzymać wściekłości ludu. Z trudem udaje mi się zapobiec wtargnięciu do mojego pałacu i wywleczeniu z niego kardynała Riario...

- Co z nim zrobisz? Lorenzo wzruszył ramionami.

- Nic! Kiedy miasto się uspokoi, odeślę go do Rzymu pod dobrą eskortą... albo do Perugii, skoro został mianowany legatem. Umiera ze strachu i jestem zupełnie pewny, że gdyby miał najmniejsze pojęcie o tym, co ma się zdarzyć w Santa Maria del Fiore, jego noga by tam nie powstała. Ale, błagam cię, moja słodka, moja śliczna, moja najdroższa, przestańmy mówić o tych okropnościach. Przy tobie chcę być samym pragnieniem i miłością...

Tej nocy kochali się długo, namiętnie, jakby nie mogli nasycić się sobą wzajemnie. W końcu jednak Lorenzo zapadł w sen, powalony przez bezgraniczne zmęczenie trwające od wielkanocnej tragedii. Fiora nie mogła spać. Siedziała w łóżku, otoczywszy nogi ramionami, i przyglądała się długiemu, śniademu ciału, zarazem chudemu i muskularnemu, leżącemu obok niej i podobnemu do tych rzeźb przedstawiających zmarłych, które widziała na niektórych grobowcach. Wyczerpanie poraziło go gwałtownie i leżał z rozrzuconymi ramionami i nogami na zmiętym pościeliu w nieładzie; jedną dłoń owinał w długie pasmo jej czarnych włosów.

Próbowała uwolnić włosy, ale Lorenzo trzymał je tak mocno, że zrezygnowała, by go nie obudzić. W końcu więc przytuliła się do niego, przytknąwszy najpierw na chwilę usta do jego zranionej szyi, na której przesunął się opatrunek.

Po raz kolejny zaczęła pytać samą siebie, czy go kocha, ale serce nie udzieliło jej odpowiedzi. Pragnęła go i w jego ramionach była szczęśliwa, ale kiedy między nimi zapadała cisza, Fiora nie mogła zagłuszyć dochodzącego z głębi duszy bolesnego głosu wyrzutów sumienia i żalu. Choćby godziny spędzone z Lorenzem były najcudowniejsze, to nigdy nie zdołają zdusić wspomnienia jej miłości do Filipa... Filipa utraconego na zawsze mimo

mglistych wizji Demetriosa. I nawet nie zdając sobie z tego sprawy, Fiora rozplakała się, a jej łzy spływały na ramię śpiącego kochanka.

Kiedy się obudził, ona nie przysnęła nawet na chwilę. W jej głowie kłębiły się setki myśli. Podczas gdy Lorenzo ubierał się w chłodzie deszczowego świtu, powiedziała mu, że pragnie pójść się pomodlić na grobie swego ojca w kościele Orsanmichele.

- Na razie to niemożliwe, kochanie. Nie chcę, żebyś przyjeżdżała do miasta, dopóki lud się nie uspokoi. Widok jest straszliwy. Smród też i nie chciałbym znaleźć się na miejscu Sandra Botticellego...

- Dlaczego to?

- Signoria zleciła mu namalowanie na murach swego budynku obrazu wydanych na męki ciał wiszących na balkonie. Nieszczęśnik spędza całe godziny ledwie osłonięty jakąś płachtą i szkicuje.

- Biedny Sandro! On, tak kochający piękno... No dobrze, to zadowolę się spacerem wokół domu. A właściwie... możesz mi powiedzieć, co się stało z naszym folwarkiem?

- Tym w pobliżu Montughi? Sądzę, że nadal należy do ciebie. Nikt nie chce tam zamieszkać i posiadłość jest całkiem opuszczona.

- Z jakiego powodu?

- Śmierć Marino Bettiego, mordercy twego ojca, sprawiła, że wszyscy stamtąd uciekli. Nasi chłopci są przesądni, jak wiesz, przeraźliwie boją się duchów. Trzeba będzie jednak spróbować coś z tym zrobić. Może pomogłoby spalenie drzewa, na którym został powieszony, i zrównanie z ziemią jego domu?

- Porozmawiamy o tym później. Rzeczywiście, nie ma pośpiechu...

- Mamy przed sobą dużo czasu - powiedział czule, pochylając się nad jej ustami.

Już wychodził, kiedy go zatrzymała.

- Lepiej byłoby, gdybyś nie przyjeżdżał dziś wieczorem - powiedziała.

- Dlaczego? - zapytał, natychmiast pochmurniejąc. - Już jesteś mną zmęczona?

- Jak możesz mówić takie głupstwa? Nie, Lorenzo mio, nie jestem tobą zmęczona, ale są w życiu kobiety noce, które powinna spędzić sama. Rozumiesz?

Zaczął się śmiać i wziął ją w ramiona, okrywając jej twarz i szyję pocałunkami.

- Zgoda, nieczyste stworzenie! Przynajmniej będziesz mogła się wyspać. I moja matka też. Z powodu tego, co się stało, niepokoją ją moje nocne eskapady. Ale nie sądź, że będziesz mogła długo trzymać mnie na dystans!

Godzinę po jego odjeździe Fiora weszła do Demetriososa, by powiadomić go o pomysśle, który jej przyszedł do głowy. Słuchał jej bez słowa, a kiedy skończyła, zapytał:

- Czy wiesz, jaki dziś jest dzień?

- Chyba 28 kwietnia... O mój Boże! To ta sama data?

- Tak. Dokładnie trzy lata temu pojechaliśmy tam, by ukarać mordercę. Sądzisz, że Hieronima mogła się ukryć w starej farmie?

- Oczywiście! To dla niej wspańska kryjówka: dom jej współnika. A przede wszystkim to dom chroniony przez trwogę. Ta kreatura z piekłą rodem nigdy niczego się nie bała, a najmniej duchów.

- Możliwe, że masz rację, Fioro... Tak, tak myślę. W każdym razie nie zaszkodzi pojechać i sprawdzić.

\* \* \*

Choć była to ta sama data, to pogoda tej nocy była zupełnie inna. Żadnych gwiazd na niebie, żadnego świeżego zapachu ziemi wieszczącego wiosnę! Z czarnego nieba lały się strugi deszczu, drogi były grzaskie, pełne rozpadlin, niebezpieczne dla tych, którzy ich nie znali. Ale Fiora rozpoznałaby drogę nawet z zamkniętymi oczami i w trakcie trzęsienia ziemi, tak bardzo była jej znajoma. Siedząc na idącym pewnym krokiem mule, bok w bok z Demetriosem, garbiła plecy pod ulewą, przed którą chroniła ją obszerna, czarna peleryna z kapturem, ale nie czuła deszczu i równie dobrze mogłaby przechodzić przez płomienie, byle tylko osiągnąć swój cel, tak wielką miała pewność, że droga ta wreszcie wiedzie ją ku zemście.

Za nią jechali Esteban i Rocco, uzbrojeni aż po zęby. Były rozbójnik nalegał na uczestniczenie w wyprawie, kiedy dowiedział się, o co chodzi.

- Jestem ci to winien - powiedział do Fiory. - Dzięki tobie będę mógł zostać prawdziwym żołnierzem i służyć takiemu władcy, jakiemu chcę.

Nazajutrz zamierzał powrócić do grotty w San Quirico d'Orcia, aby ściągnąć stamtąd swoich ludzi, których Lorenzo przyjmował do dowodzonych przez siebie oddziałów. Było bardziej niż pewne, że wkrótce wybuchnie wojna z papieżem, a Wspasniały wiedział, ile warci są dobrze wyćwiczeni żołnierze. Ponadto Rocco otrzymał od niego okrągłą sumkę za to, że walczył u jego boku w katedrze. Toteż serce jego było pełne radości i od czasu do czasu Fiora słyszała, jak gwizdże jakąś sentymentalną piosenkę.

Po dotarciu do celu bez trudu odnalazła ścieżkę obramowaną zielonym żywopłotem. Nieco dalej ujrzeli ciemny zarys zabudowań farmy oraz wysoką sosnę, której olbrzymia korona osłaniała kamienne filary przy wjeździe na podwórze. Sosnę, na której powieszono udręczone ciało Marina Bettiego...

Jak przed kilku laty jeźdźcy zeszli na ziemię w pewnej odległości od domu, przywiązali zwierzęta do cyprysów tworzących zwarty szpaler osłaniający teren od wiatru i stąpając tak ostrożnie, jak to możliwe, wrócili w stronę posiadłości.

- Duże to jest! - szepnął Rocco. - Jeśli chcemy wszystko przeszukać, powinniśmy się może rozdzielić, ale na pierwszy rzut oka nie ma tu nikogo.

Opuszczone budynki ledwie rysowały się w ciemnościach i nie słychać było żadnych dźwięków poza skrzypieniem niedomkniętych drzwi szarpanych porywami wiatru.

Pozostała trójka, nie odpowiedziawszy, postępowała naprzód, starając się przeniknąć wzrokiem gęste ciemności, niegdyś kryjące w sobie tyle życia i odgłosów - bydła, służby, psów pilnujących farmy - a teraz wypełnione martwą ciszą.

Nagle Esteban ścisnął ramię Fiory.

- Popatrz! - szepnął. - Tam... na końcu domu zarządcy! Z jednego komina trochę się dymi!

W miarę jak szli, oczy czworga towarzyszy przyzwyczyły się do ciemności i Fiora szybko dostrzegła szarą spiralną smużkę. Serce zabiło jej mocniej: ogień oznaczał obecność człowieka...

- Może to jakiś pasterz szukał tam schronienia? - zastanawiał się Demetrios.  
- Albo zbłąkany podróżny? W taką pogodę można przenocować nawet u samego diabła.

- Nie! - powiedziała Fiora. - To ona! Jestem pewna, że to ona...

Nie czekając na pozostałych, poszła w kierunku tej części domu, wciąż starając się nie robić hałasu. Zbliżywszy się, zauważyła wąski promień światła pomiędzy zamkniętymi okiennicami. Obok znajdowały się drzwi, których dół zasłaniały chwasty z widniejącym w nich wydeptanym śladem...

Znała ten dom na pamięć, jako że będąc dzieckiem, setki razy się tu bawiła. Znała jego wszystkie zakamarki i wszystkie możliwości wyjścia z niego. Wiedziała, że drzwi tego pomieszczenia, będącego kiedyś kuchnią zarządcy, zamykają się jedynie na klamkę, ale od środka można je wzmocnić sztabą. Jeśli była ona założona, to jedyną możliwość wejścia stwarzało wyważenie okiennicy.

Delikatnie, bardzo delikatnie nacisnęła na klamkę, która ustąpiła bezgłośnie. Wstrzymując oddech, ostrożnie popchnęła drzwi z obawą, że poczuje opór

sztaby, ale osoba znajdująca się wewnątrz musiała czuć się wystarczająco bezpiecznie z powodu przerażenia, jakie budziła opuszczona farma. Drzwi stanęły otworem...

Fiora natychmiast rozpoznała zawiniętą w czarną pelerynę ze srebrnym haftem kobietę siedzącą na zydlu przy mizernym ogniu, która wsparłszy się łokciami na stole, jadła jakąś papkę. Była odwrócona plecami do drzwi i nie zauważyła, że się otworzyły.

- Dobry wieczór, Hieronimo! - powiedziała Fiora jedynie. Kobieta podskoczyła tak gwałtownie, że koślawy stół przewrócił się, pociągając za sobą miskę. Kiedy stanęły twarzą w twarz, Fiora uśmiechnęła się, rozkoszując się już smakiem zemsty. Miała przed sobą uosobienie strachu. Hieronima zapewne chorowała przez te ostatnie trzy dni - jej skóra była szara, powieki sine, a skóra pod oczami obwisła. Nic nie pozostało z jej bujnej urody, z którą tak butnie się obnosiła, a jej dłonie drżały. Jednak nienawiść przywróciła jej siły i Fiora zobaczyła, jak zwężają się jej źrenice, kiedy rzuciła:

- Co ty tu robisz?... Nie jesteś w Rzymie?

- To chyba oczywiste? Wyjechałam zaledwie kilka godzin po tobie.

- Jak to zrobiłaś?

- Chyba nie sądzisz, że będę ci o tym opowiadać? Przyszła pora, byś zapłaciła za swoje zbrodnie! Zbyt wiele osób zginęło z twojej winy, ale przede wszystkim pomsty domaga się przelana krew mego ojca. Jestem tu, by cię zabić!

Hieronima parsknęła śmiechem.

- Zabić? A czym?... Ach tak, teraz widzę! Nie jesteś sama. Nie miałaś odwagi stawić mi czoła bez świadków!

- A dlaczego miałyby to zrobić? - zagrzemiał Demetrios. - Jesteś silniejsza od niej, a zwłaszcza zręczniejsza w posługiwaniu się nożem. Poza tym to nie ona cię zabije. Twoja krew splamiłaby jej ręce!

- Nie, Demetriosie! Pozwól mi to zrobić! Wie, że nie może nam się wymknąć. Mam tutaj coś, co się nada.

Fiora odczepiła od paska mały bukłak i kubek. Naczynie zawierało odrobinę wina i truciznę ofiarowaną przez Annę Żydówkę. Napełniła kubek i wyciągnęła do swej odwiecznej nieprzyjaciółki.

- Pij! Trucizna zawsze była twoją ulubioną bronią, więc sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli od trucizny umrzesz...

- Nigdy! Nigdy tego nie wypiję!

- Moi towarzysze mogą cię do tego zmusić. Jeśli pozostała ci w pamięci jakaś modlitwa, to ją zmów, ale szybko! Nie mam już do ciebie cierpliwości! Pij!

- Idź do diabła!

Zanim Demetrios i Esteban zdołali ją obezwładnić, Hieronima machnęła ręką i wytrąciła Fiorze z dłoni kubek, wylewając jego zawartość.

- Popełniłaś błąd - powiedziała Fiora. - To nie była szybko działająca trucizna. Dałaby ci czas na skruchę.

Jednak Hieronima powodowana wściekłą nienawiścią już rzuciła się z pazurami, chwytając młodą kobietę za szyję i zaciskając na niej pałce. Fiora upadła na plecy, na wpół przy duszona ciężarem swej nieprzyjaciółki, która zaczynała ją dusić. Tuż przy swojej twarzy widziała wykrzywione, demoniczne oblicze Hieronimy, wciąż plującej nienawiścią:

- To ty zdechniesz! Słyszysz?... Ty mała dziwko... Zaraz zdech...

Nagle ciało Hieronimy zeszywniało, jakby porażone, z otwartych ust wydobyło się rżenie, a oczy wyszły jej z orbit. Dłonie zaciśnięte w morderczym chwycie zwiotczały. Fiora ledwie zdążyła się uwolnić, by uniknąć wytryskającego z jej ust strumienia krwi. Podniosła się z pomocą Demetriosia i wczepiła w jego ramię, by nie upaść. Hieronima, leżąca twarzą do ziemi w brudnym, aksamitnym odzieniu, już się nie ruszała. Z jej ciała wystawała rękojeść wbitego między łopatki sztyletu.

Esteban przyklęknął, by go wyjąć, ale Rocco go powstrzymał.

- Wiem, że kat zawsze zabiera swój topór, ale mój sztylet już nigdy nie będzie czysty po tym, jak został zbrukany krwią takiej degeneratki!

- Dam ci mój! - powiedział Esteban. - Byłeś szybszy ode mnie.

Demetrios z nieskończoną czułością przyciągnął Fiorę do siebie. Owijając ją własnym płaszczem, rzekł:

- Chodź, moja córko, wróćmy do żywych! Jesteś na zawsze uwolniona od zatruwającej cię żądzy zemsty...

Esteban zdeptał ogień i wyszedł ostatni, zostawiając otwarte drzwi. Na zewnątrz deszcz ustał. Chmury rozstały się na tyle, że jedna jedyna gwiazda ciekawym okiem zerknęła na ziemię. Chwilę później jeźdźcy się oddalili. W opuszczonej posiadłości znów zapanowała cisza...

Saint-Mande, 10 maja 1989

